

Alice
BLANCHARD



**GLÓD
ZABIJANIA**

Alice Blanchard

GŁÓD ZABIJANIA

Tłumaczenie:
Ewa Godycka

CZEŚĆ PIERWSZA

1

W progu stała pacjentka umówiona z doktor Kate Wolfe na piętnastą. Miała na sobie niewiarygodnie krótką minispódniczkę, jasnoniebieską koszulkę, podkolanówki w szkocką kratę i masywne buty na platformie. Piętnastoletnia Nikki McCormack cierpiała na chorobę dwubiegunową. Uważała, że jest centrum wszechświata. Żyła w świecie, który sama sobie stworzyła.

- Cześć, Nikki - powiedziała ciepło Kate. - Wejź.

Nastolatka postąpiła trzy małe kroczki do przodu i rozejrzała się po obszernym gabinecie, jakby go nie poznawała. Wszystko to stanowiło część rytuału. Nikki zatrzymała wzrok na grafitowym dywanie, błękitnoszarych ścianach, na dyplomach Kate, jej obrotowym fotelu i dużym dębowym biurku, jakby coś podczas jej nieobecności mogło się tu zmienić. Przychodziła na terapię już od siedmiu miesięcy, a jedyną rzeczą, jaka się zmieniała, była aura za oknem - pochmurna, słoneczna czy jaka tam jeszcze - ale Nikki chciała, by to miejsce wyglądało zawsze tak samo. Jeszcze jedno dziwactwo wynikające z jej choroby.

- Hmm - mruknęła dziewczyna, wsuwając palec wskazujący między błyszczące wargi.

- Hmm dobrze czy hmm źle?

- Po prostu hmm.

Okej, dziś będzie kolejny taki dzień.

Wszystkie prognozy pogody zapowiadały opady śniegu. Według jednych miały być większe, według innych mniejsze. Był luty, w Bostonie panowała ostra zima, jednak Nikki nie ubrała się odpowiednio do pogody. Swoim strojem chciała wywrzeć wrażenie. Oprócz kusej spódniczki miała na sobie cienką

winyłową kurteczkę i czerwoną jedwabną apaszkę, za to nie miała rękawiczek ani legginsów, w ogóle żadnych innych warstw ubrania. Jej blade szczupłe ciało pokrywała gęsia skórka, sutki prześwitywały przez cieniutką koszulkę. Kate wiedziała jednak, że nie należy poruszać tematu ubierania się odpowiednio do pogody. Nikki mogłaby wypaść z pokoju jak burza, co zdarzyło się już nieraz, więc tego rodzaju uwaga przyniosłaby efekt przeciwny do zamierzonego. Kate zignorowała swój instynkt macierzyński i nie spuszczała wzroku z oczu Nikki – błękitnych, zdradzających błyskotliwą inteligencję.

- Usiądź.

Nikki wahała się. Kate stwierdziła, że emocje przebiegają po jej twarzy niczym informacje na pasku na Times Square – ta dziewczyna wątpiła, by ktokolwiek mógł powitać ją z otwartymi ramionami. Nie czuła się kochana. Uważała, że ludzie się z niej śmieją. Kate ze smutkiem skonstatowała, że ta inteligentna, zdrowa i obiecująca młoda osoba ma bardzo niskie poczucie własnej wartości. Było to bardziej niż niepokojące.

- Czekałam na ciebie. – Kate namawiała ją do wejścia tonem, jakim ludzie zwracają się do kotka. – Usiądź, Nikki.

Dziewczyna weszła do gabinetu z niezdarną godnością nastolatki, usiadła w skórzanym fotelu o barwie karmelowej i skrzyżowała chude nogi. Masywne buty na koturnie wyglądały na nich śmiesznie, na śniegu były zapewne niebezpieczne. Wszystkie palce u rąk Nikki zdobiły emaliowane pierścionki, na szyi widniał cienki złoty łańcuszek. Miała mocny makijaż: jej skrzywione w sceptycznym wyrazie wargi były grubo pomalowane brzoskwiniową szminką, a rzęsy tuszem.

Poruszała się w czarująco niezgrabny sposób, ale Kate dostrzegła w niej coś niepokojąco pasywno-agresywnego.

- No to - zaczęła Kate - jak się masz?

Dziewczyna była rozkojarzona. Studiowała wzrokiem oprawione w ramki reprodukcje dzieł sztuki, przeładowany pojemnik na papiery stojący na biurku, wreszcie samą Kate.

- No, okej. Więc zastanawiałam się, jak pani radzi sobie z pacjentami i całą resztą.

- Z pacjentami? - powtórzyła Kate.

- No bo... my jesteśmy tacy zakręceni. Jak pani daje sobie radę? I to tak dzień po dniu? Bo siedzi pani tu i wysłuchuje, jak jęczymy, narzekamy, biadolimy. Jak pani sobie z tym wszystkim radzi?

Kate uśmiechnęła się. Dopiero niedawno rozpoczęła praktykę. Jej oprawione w ramki dyplomy zajmowały niespełna metr szerokości ściany za biurkiem. Zrobiła magisterium z psychiatrii i neurobiologii na Uniwersytecie Bostońskim oraz doktorat z nauk medycznych na Harvardzie. Na półkach regału z brzozy stały dziesiątki pism naukowych zawierających artykuły, których była współautorką. Na jej biurku leżała biblia psychiatrów, DSM-V, piąta edycja klasyfikacji zaburzeń psychicznych Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, do której nieustannie sięgała[1].

- A konkretnie z czym?

- Ze stresem? Z tym, że musi się pani spotykać z nami wariatami?

- No cóż, po pierwsze nie uważam swoich pacjentów za „wariatów”. Każdy z nas ze stresem radzi sobie inaczej. Ja na przykład, żeby uwolnić się od stresu, biegam, wędruję po górach albo wspinam się na skały.

- Serio? - Dziewczyna przewróciła oczami. - Jakoś nie wyobrażam sobie pani w maratonie bostońskim albo w czymś podobnym, pani doktor.

- A czy ja użyłam słowa maraton? Nie, maratony to nie dla

mnie. - Kate zaśmiała się. - Ale ćwiczenia fizyczne redukują stres.
- Tylko trochę bagatelizowała temat. W istocie uwielbiała bieganie, wędrówki i wspinaczkę skałkową. Te czynności przynosiły jej największą ulgę, oprócz spania ze swoim chłopakiem.

- Dlaczego więc została pani psychiatrą? - zapytała Nikki, zmieniając temat.

- To był długi proces. Zrobiłam magisterium i doktorat, potem odbyłam staż, rezydenturę i dostałam etat naukowo-dydaktyczny. Wreszcie, w zeszłym roku, zaczęłam spotykać się z prywatnymi pacjentami, takimi jak ty.

- Aha. - Nikki uśmiechnęła się znacząco. - Więc jestem świnką doświadczalną?

- Tego bym nie powiedziała.

- A co by pani powiedziała?

Kate uśmiechnęła się. Podobało jej się, jak Nikki patrzy na świat - na poły z dojrzałym sceptycyzmem, na poły z naiwną brawurą.

- Hm, uważam, że jesteś inteligentną, wrażliwą i pełną intuicji istotą ludzką, która, tak się składa, ma zaburzenia dwubiegunowe i trzeba jej pomóc nad tym zapanować.

Nikki niecierpliwie potrząsała nogą.

- Ile ma pani lat?

Okej, to pytanie z kosmosu.

- Niedługo skończę trzydzieści dwa.

- A niedługo to jest ile?

W zrelaksowanym uśmiechu Kate pojawił się cień frustracji, robiła jednak, co mogła, by nie zapomnieć o bezdennej studni cierpliwości, jaką zbudowała sobie w szpitalu McLeana w Belmont, gdzie pracowała jako rezydentka i miała do czynienia

z największymi szaleńcami. Przypadkami naprawdę ciężkimi. Z ludzką tragedią w skali epickiej. Nawet na Nikki zrobiłoby to wrażenie.

- No, za parę dni.

- Wow, trzydzieści dwa. I nie ma pani jeszcze męża?

- Nie.

- Dlaczego?

- To pytanie ciągle zadaje mi mój chłopak.

- Naprawdę? - Nikki się zaśmiała. - James ma rację. Powinna pani wyjść za niego.

James. Kate napomknęła o nim kilka razy, ale poczuła się dziwnie, gdy to imię wróciło do niej w tym kontekście, jak gdyby ona i James byli postaciami z jakiegoś telewizyjnego serialu komediowego.

- Ładnie się śmiejesz - zauważyła, zmieniając temat rozmowy. - I masz fantastyczny uśmiech.

Nikki ironicznie wyduła usta.

- Należy pani do niewielkiej grupy uprzywilejowanych, pani doktor. Ja się nie uśmiecham często.

- Wiem. A dlaczego?

Nikki wzruszyła ramionami.

- Może dlatego, że życie jest do dupy?

- Czasami jest do dupy. A czasami nie.

- No no. Pani jest uczciwa. Dorośli rzadko używają tego słowa.

- No cóż, chcę, żebyś mi ufała, jestem więc uczciwa.

- Ufam pani. Nawet pani nie wie jak.

- To dobrze.

- A więc wyjeżdża pani na wakacje i zostawia mnie samiutką? - Nikki zrobiła marsową minę. - Proszę nie wyjeżdżać, pani doktor. Nie teraz. Wiem, wiem. Jestem samolubna.

- Cóż - zaczęła Kate z wahaniem, po czym uśmiechnęła się. - Każdemu od czasu do czasu należą się wakacje, nie uważasz?

- Żartowałam. Kupa śmiechu. Ha, ha, ha.

Obie jednak wiedziały, że to nieprawda.

- Czy James z panią jedzie? Na te wakacje?

Ta sesja zaczynała przybierać niebezpieczny obrót, bo dziewczyna pytaniami uciekała od terapii. Kate próbowała skierować rozmowę na właściwe tory, ale dziś nie była w szczytowej formie. Ją i Jamesa czekało jeszcze pakowanie.

- Dlaczego o to pytasz? - chciała wiedzieć. - W jaki sposób mój wyjazd na wakacje ma związek z tobą?

Nikki podrapała się w policzek polakierowanym paznokciem i utkwiała wzrok w czymś poza ramieniem Kate.

- Co to jest? Peanutsy?[\[2\]](#) - Wskazała palcem regał. - Czy próbuje mi pani coś przekazać? Na przykład że jestem szurnięta?

Kate ze zdumieniem spostrzegła na regale słoik z nalepką Planters Roasted Peanuts. Na pewno zostawił je tutaj Ira. Doktor Ira Lippencott był jej mentorem, znakomitym psychiatrą z dyplomem Harvardu, obdarzonym niekonwencjonalnym poczuciem humoru oraz nietypowym podejściem do psychoterapii.

- Nie - odrzekła spokojnym tonem. - To przypadek.

- Jest pani tego pewna? Bo właściwie, jak wiadomo, jestem świrem.

Kate musiała się uśmiechnąć.

- Zapewniam cię, że jest to całkowicie niezamierzone.

- Aha! Nic nie jest niezamierzone. - Nikki oskarżycielsko wycelowała w nią palec i uśmiechnęła się szeroko. - Kiedyś mi pani coś takiego powiedziała, nie pamięta pani?

- Aha. - Kate usiłowała przybrać mądrą minę, ale zastanawiała

się, czy Ira przypadkiem nie zostawił tych orzeszków w jej gabinecie celowo, dokonując swego rodzaju testu.

A ona nawet ich nie zauważyła. Od kiedy tutaj stoją, pokrywając się kurzem? Ira pewnie zachodzi w głowę, co jest nie tak z jego ulubioną byłą rezydentką, że nie zauważyła „orzeszków” na regale.

- A co to jest? - zapytała Nikki, wskazując na biurko Kate. - To coś nowego?

- Ach to? To przycisk do papieru. Trylobit.

- No no. Jaki duży. - Nikki McCormack interesowała się paleontologią i bardzo dobrze wiedziała, co to jest trylobit. - *Coltraenia oufatensis*. Z gromady *Phacopida*. - Zmieniła pozycję i obciągnęła obcisłą minispódniczkę. - Właśnie coś przyszło mi do głowy. A jeśli skończę tak jak to?

- Jak co?

- Jak trylobit. Może za jakieś tysiąc lat? A może pozostanie po mnie tylko czaszka do stawiania na papierach, żeby nie fruwały? Mogłabym tak skończyć, prawda?

- Bardzo w to wątpię.

- Dlaczego pani wątpi? Dlaczego nie mogłabym skończyć jak skamielina na czyimś biurku?

- Czy właśnie to cię martwi? Że będą cię badać jak skamielinę?

Usta Nikki zacisnęły się w długą prostą kreskę.

Kate sięgnęła po trylobita.

- Czy tak właśnie myślisz, Nikki? Że cię badam? Że znaczysz dla mnie tylko tyle, co ten trylobit?

Niespokojne oczy Nikki zrobiły się szkliste. Uciekła wzrokiem w bok.

- Nic nie jest dalsze od prawdy. Jesteś dla mnie bardzo prawdziwa, pełna życia, i mam wielką nadzieję, że któregoś dnia,

już niedługo, nauczysz się kochać siebie tak, jak kochają cię wszyscy.

W pięknych oczach Nikki pojawiły się łzy i spłynęły po policzkach. Osiem miesięcy wcześniej Kate diagnozowała ją podczas decydującego czterotygodniowego pobytu na oddziale psychiatrycznym dla dzieci w szpitalu Tillmanna-Stafforda. Doszła wtedy do wniosku, że dziewczyna cierpi na chorobę dwubiegunową i depresję, toteż trudno było zakładać, że kilka dekad później będzie jeszcze żyła. Czy dożyje do trzydziestu dwóch lat? Kate żywiła taką nadzieję, ale statystyki są bezwzględne. Jej zadaniem było zwiększyć jej szanse.

- Nikki - powiedziała miękko. - Już o tym rozmawialiśmy, ale chciałabym teraz to uściślić. Ponieważ w przyszłym tygodniu mnie nie będzie, terapię z tobą podejmie z chęcią doktor Lippencott. Czy mogłabym cię z nim umówić?

- Nie.

- Jesteś pewna?

- Zaufanie - wyjaśniła dziewczyna drżącym głosem.

- Zaufanie?

- Ja nie ufam ludziom. Lepiej by było, gdybym ufała, prawda? No cóż, nie ufam. - Szybkim ruchem wyjęła chusteczkę z pudełka w kwiaty stojącego strategicznie na stoliku z jasnego drzewa obok fotela i wytarła nos.

- Nie przejmuj się. Trochę to trwa, zanim człowiek zacznie ufać ludziom. Ale doktorowi Lippencottowi możesz zaufać. Czy mogę was umówić na następny wtorek? O tej samej porze?

Na twarzy Nikki pojawiło się zwątpienie.

- Pani mówi, że powinnam mu zaufać, ale to nie znaczy, że mogę mu zaufać lub to zrobię.

- No tak... ale wiesz, ja mu ufam. A ty ufasz mnie.

- Jeden dodać jeden nie zawsze równa się dwa.

- To prawda, ale...

- Chwila. Omal nie zapomniałam. - Dziewczyna podniosła z podłogi swój obskurny plecak, położyła go na kolanach i zaczęła w nim grzebać. - Przyniosłam pani parę rzeczy - oznajmiła z przejęciem.

W umyśle Kate zapaliło się światełko ostrzegawcze.

- Nikki, nie wolno mi przyjmować prezentów od pacjentów. Już o tym rozmawiałyśmy...

- Ale tak naprawdę to nie są prezenty. - Wyjęła garść podniszczonych przedmiotów i ułożyła je na skraju biurka. Były tam obrosłe skorupiakami okulary z lat pięćdziesiątych XX wieku, półprzezroczysty grzebień szylkretowy i zardzewiały kompas. - Na plaży można znaleźć zdumiewające rzeczy. Ludzie pozbywają się ich, te rzeczy lądują na jakiejś barce na śmieci pośrodku oceanu albo ludzie wyrzucają je za burtę, a po jakimś czasie fale zaśmiecają nimi plaże. Niektóre z tych przedmiotów są bardzo stare - ciągnęła zdyszczanym głosem. - Proszę popatrzeć, na koniec zachowałam najlepsze. - Sięgnęła do ukrytej kieszonki w plecaku i wyjęła okrągły kawałek metalu, który włożyła Kate do ręki. - To jest z ołowiu. Proszę zgadnąć, co to jest, doktor Wolfe. No, proszę.

Kate przyjrzała się przedmiotowi w dłoni.

- Guzik bez dziurek? - spytała niepewnie.

- To obciążnik do spódnic z lat dwudziestych. Chore, prawda? Kobiety wszywały je w obrąbek sukienki, żeby wiatr nie podwiewał spódnicy. Dobrze, nie?

- Bardzo interesujące - odrzekła Kate z uśmiechem.

- W tamtych czasach kobiety były bardzo skromne - dodała Nikki tęsknie.

Palce Kate zacisnęły się na obciążniku.

- To były inne czasy - powiedziała.

- To byli bahdzo skhomni panie i panowie - rzekła Nikki, imitując brytyjski akcent i szarpiąc rąbek minispódniczki.

Kate chciała oddać prezenty, ale Nikki potrząsnęła głową.

- Proszę je zatrzymać. Odbiorę je podczas naszej następnej sesji. Dzięki temu będzie pani musiała wrócić. - Jej uśmiech był nieco wymuszony. - Gdzie jedziecie na ten urlop?

Kate postanowiła nie ciągnąć tematu.

- Nie martw się. Wrócę za dwa tygodnie.

- Dwa tygodnie - szepnęła Nikki, dotykając swych zaczerwienionych policzków. - A jeśli... będę czegoś potrzebowała? To znaczy jeśli coś wyskoczy?

- Zawsze możesz zadzwonić do doktora Lippencotta albo do mnie - odrzekła Kate. - Masz numery moich telefonów, prawda? Dzwon do mnie o każdej porze, Nikki. Naprawdę. W dzień czy w nocy. - Ze stojącego na biurku drewnianego pojemnika wyciągnęła wizytówkę i ponownie zapisała swój prywatny numer.

- Wszystko będzie dobrze. Chciałabym, żebyś to zrozumiała.

- Dziękuję. - Nikki wzięła wizytówkę i położyła ją na kolanach.

- Obiecuj, że zadzwonisz, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Mówię serio. Dobrze?

- Dobrze - odparła Nikki łagodnie.

Kate uśmiechnęła się, by dodać jej otuchy.

- Wiesz, ja i moja siostra, kiedy byłyśmy małe, grałyśmy w taką grę, która polegała na tym, że zaznaczałam jej wzrost na ścianie w kuchni. Raz w tygodniu ona stawała w tym samym miejscu, żeby sprawdzić, czy urosła. Savannah była dosyć niska, ale za to bardzo niecierpliwa. Nie mogła się doczekać, aż urośnie. No więc żeby sprawić jej przyjemność, trochę oszukiwałam, rysując kreskę

odrobinę wyżej. Myślała, że przez tydzień urosła, i bardzo się cieszyła. To była taka nasza gra. - Kate pochyliła się nad biurkiem. - Ale tutaj nie wolno mi tego robić. Na twoim wykresie nie mogę narysować kreski wyżej. Nie wolno mi fałszować prawdy. Muszę być absolutnie uczciwa. Żadnych oszustw. Okej? Przed nami długa droga, ale obiecuję, że razem ją pokonamy. Nie jesteś sama.

Nikki sztywno skinęła głową.

- I wróci pani za dwa tygodnie?

- Za dwa krótkie tygodnie - odrzekła Kate z uśmiechem.

2

Chłopak Kate nie mógł się doczekać, aż parująca pizza ostygnie, i odgryzł kawałek.

- Ojej! - Doktor James Hill pomachał dłonią tuż przy ustach i wypił trochę piwa.

James był psychiatrą na oddziale zamkniętym dla dorosłych w tym samym szpitalu, w którym pracowała Kate. Na co dzień miał do czynienia z najtrudniejszymi przypadkami, z dotąd nieleczonymi chorymi psychicznie, w tym ze schizofrenikami, często ludźmi bezdomnymi i pozbawionymi nadziei. Radził sobie z napięciem, reagując cynicznym uśmiechem na niewydolny system opieki psychiatrycznej, który tym ludziom wcale nie pomagał. Opowiadał swoje historie Kate i śmiał się z niektórych nieszczęśliwych wypadków swych pacjentów. Czarny humor to sposób na łagodzenie stresów, a nawet psychiatrzy muszą czasem sobie pomóc.

- Okej, możesz się teraz ze mnie śmiać - powiedział, wycierając usta papierową serwetką.

- Ja? Nigdy się z ciebie nie śmieję.

- Ha, ha. Śmiejesz się ze mnie każdego dnia. Gdybyś tego nie robiła, pewnie by mi tego brakowało.

- Okej. Daj mi sekundę.

Roześmiał się.

- Zaraz coś wymyślisz.

- Tak czy owak - uśmiechnęła się promiennie - dzięki za to, że zabrałeś mnie do mojego najbardziej ulubionego miejsca w świecie, a nie upierałeś się, żeby pójść do jakiejś modnej knajpy. - Słowo „modnej” wymówiła tak, jakby chciała je umieścić

w cudzysłowie.

- Modny szmodny. Komu zależy na czymś modnym? Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, dziecinko. Jak twoja pizza?

- Lubię tę pieprzoną pizzę.

- To naprawdę najlepsza pizza na świecie. - Z przyjemnością wciągnął w usta pasek mozzarelli i otarł brodę z tłuszczu.

Tulili się do siebie w swej ulubionej knajpie Duke's w bostońskiej dzielnicy Back Bay. Był wtorkowy wieczór i właściwie mieli cały lokal tylko dla siebie.

- A więc zgadnij, co moja pacjentka z piętnastej miała dziś na sobie. - Kate mówiła cichym głosem, mimo że nikt nie siedział na tyle blisko, by ich podsłuchiwać. Udało im się zająć swoje ustronne miejsce, poza tym zawsze niemal szeptem wymieniali się uwagami na temat pacjentów. Dzielili się z sobą wszystkim, ale robili to dyskretnie. - Ubrała się wyjątkowo skąpo. Buty na koturnie, minispódniczka i kurteczka winylowa. W taką pogodę, rozumiesz? Bez płaszcza, bez wysokich butów, bez rękawiczek. Musiałam zadać sobie pytanie, gdzie jest matka. Jestem zdziwiona, że dziewczyna nie dostała hipotermii.

- Uhm. Rodzice babrzą się we własnym syfie.

- Serce mi się kraje, jak myślę o tym wszystkim. Powinnam była pójść na prawo.

Spojrzał jej w oczy.

- Kate, oboje wiemy, dlaczego zajęłaś się psychiatrią.

- No taak, a skoro już o tym mowa, to dziś znowu o niej napomknęłam. Chodzi mi o Savannah.

- No, słucham.

- Nikki jest bardzo dociekliwa. Co zrobię, jeśli zacznie zadawać pytania?

- Poradzisz sobie. - Wzruszył ramionami.

Kate pokręciła głową.

- To było głupie z mojej strony. Wreszcie zaczyna mi wierzyć. Powiedziałam jej, że zawsze będę wobec niej uczciwa. Nie jestem jednak pewna, czy poradzę sobie, kiedy zacznie pytać o moją siostrę.

- Poradzisz sobie znakomicie. Pomoże ci profesjonalizm.

- Może. W każdym razie Nikki chciała mi dać pewne rzeczy, a ja musiałam jej przypomnieć, że żadnych prezentów.

- A jakie to były prezenty?

- Przedmioty, które znalazła na plaży. Obciążnik do spódnic z lat dwudziestych. Słyszałeś kiedyś o tym?

- Obciążnik do spódnic? Nie, ale to intrygujące. Dlaczego Nikki podarowała mojej dziewczynie obciążnik do spódnic? Czy ona wie o czymś, o czym ja nie mam pojęcia?

- Ha, ha. Ależ mój chłopak jest zabawny! Najwyraźniej nowoczesne dziewczyny z lat dwudziestych wszywały je w spódnice, żeby wiatr ich nie uniósł i nie pokazał nóg. - Potrząsnęła głową. - Jakie to smutne. Siedzi przed tobą błyskotliwa, zabawna, odważna i naiwna nastolatka i mówi o dawnych czasach, kiedy kobiety były o wiele skromniejsze. Ciągle poprawiała tę spódniczkę. I to ma wzmacniać wiarę w siebie. - Pokręciła głową. - Nie sądzę.

- To wszystko bierze się z presji wywieranej przez rówieśników i brak kontroli rodzicielskiej.

- Już ci powiedziałam, patrzę na to z bólem serca.

Ręka Jamesa z kawałkiem pizzy zatrzymała się parę centymetrów od jego ust.

- Nie możesz reagować emocjonalnie na pacjentów - powiedział. - To im nie pomaga. Nic a nic.

- Ale jeśli ich zawiodę? Czego to dowodzi, że po tylu latach studiów i praktyki nie mogę im pomóc?

- Niektórym pomożesz. Innym nie. - James wzruszył ramionami.

- Nikt ci nie obiecywał manny z nieba.

Zmarszczyła czoło.

- Ile jeszcze tych kęśliwości w moje urodziny?

- Ile tylko chcesz.

Kate odchyliła się do tyłu.

- Pewnie nigdy nie przeżyłeś chwili zwątpienia w siebie, prawda?

- Nie, ale chyba to właśnie we mnie lubisz, prawda? Tę moją ślepą pewność siebie.

- No tak, chyba - przyznała ze śmiechem.

- No widzisz.

- Chcę tylko powiedzieć...

- Ale, ale, nie zgadniesz. Coś dla ciebie mam.

- Przepraszam, ale od pacjentów nie wolno mi przyjmować prezentów - zażartowała.

- Zamknij oczy. - Odłożył kawałek pizzy, wytarł ręce w pogniecioną serwetkę i czekał, aż Kate go posłucha. Potem wyjął coś z kieszeni marynarki. - Okej, możesz otworzyć. - Trzymał w ręku pudełeczko od jubilera.

- James, nie - powiedziała zawstydzona. - Naprawdę?

- Rozluźnij się. To nie to, co myślisz.

Z zakłopotaniem ukryła twarz w dłoniach. Obchodziła dziś trzydzieste drugie urodziny, ale zdecydowanie zapowiedziała Jamesowi: żadnych przyjęć, żadnych gości, żadnych prezentów. Tylko ty i ja, i pizza z bekonem i mozzarellą w Duke's.

- Wszystkiego najlepszego - powiedział, wręczając jej pudełeczko.

Ważyło tyle, ile powinno. Gdy je otworzyła i zobaczyła delikatny srebrny pierścionek z olśniewającym ametystem, na jej twarzy pojawił się zachwyty oraz przestraszony.

- Och... - wyszeptała.

- To tylko pierścionek - powiedział James. - Nic specjalnego.

- Jest przepiękny.

- Pasuje do twoich oczu.

- Hm... Niezupełnie.

Oczy Kate miały barwę lawendy. Łatwo się czerwieniła, teraz też jej twarz zmieniła kolor. Wyjęła pierścionek z wyłożonego aksamitem pudełeczka i włożyła go na palec.

- James, nie wiem, co powiedzieć.

- To tylko pierścionek, na litość boską - odrzekł łagodnym tonem. - Bo w drodze do pracy mijalem sklep jubilera i ten pierścionek przypominał mi o tobie każdego cholernego dnia. Taki sam kolor jak twoje oczy. Choć teraz, skoro już mnie upomniałaś, ty psuju, to przyznam ci rację. To niezupełnie taki sam kolor, ale bardzo zbliżony. Odpuść trochę, niewdzięcznico.

- Jest piękny.

- Wszystkiego najlepszego. - Przysunął głowę, by ją pocałować.

Pocałowała go czule, z wdzięcznością, a potem zademonstrowała pierścionek na rękę.

- No więc jak ci się podoba mój pierścionek niezaręczynowy?

- Taa - odrzekł z sarkastycznym uśmiechem. - Twój pierścionek typu nigdy-nie-wyjde-za-mąż.

- Och, to tylko prezent od mojego chłopaka.

- Chryste. Ależ ty się boisz zaangażowania. Panicznie.

- Możesz za to winić moje nieszczęśliwe dzieciństwo.

- Wyluzuj. To zwykły pierścionek typu prezent. Okej? Bo cię kocham.

- Ja też cię kocham.

Kate rzadko nosiła pierścionki lub naszyjniki, o czym zapewne setki razy mu mówiła. Jej wrażliwa skóra nie tolerowała biżuterii. Nawet tej drogiej, wyrafinowanej. James jednak jako psychiatra zakładał, że wysypkę powodowała raczej myśl o małżeństwie, a nie sam pierścionek. Ten prezent zapewne był testem, czy też, jak kto woli, „ślepą próbą”, by przekonać się, jak długo Kate będzie go nosiła, zanim go zdejmie i schowa do pudełka. Choć może James nie tyle poddawał ją próbie - to byłaby już manipulacja - ile poszukiwał odpowiedzi.

Kate nie chciała wychodzić za mąż, ale była w nim szaleńczo zakochana. Co doprowadzało ją do tego samego bolesnego miejsca w mózgu, do punktu w szarej materii, którą nieustannie poszturchiwała i odpytywała: „Co się, do diabła, z tobą dzieje? Dlaczego nie chcesz wyjść za niego? On jest fantastyczny. Jest wszystkim, czego kiedykolwiek chciałaś. Na czym polega ten twój kretyński problem?”. Uważała, że rozwiązanie tego wewnętrznego konfliktu ułatwiłoby jej podjęcie wreszcie decyzji i zakochanie się w pomysle zamążpójścia. A w Jamesie już się zakochała.

Prawdę powiedziawszy, Kate miała problem z zaufaniem. Miała problem z porzuceniem. Ona i jej siostra, Savannah, wcześniej straciły matkę, a ich ojciec był człowiekiem zamkniętym w sobie. Doktor Bram Wolfe, lekarz rodzinny starej daty, posiadał osobliwą zdolność znikania emocjonalnie, psychicznie i mentalnie, nawet jeśli siedział tuż przed tobą. Jego oczy stawały się szklane, zaciskał usta i w ciągu paru sekund oddalał się o miliony kilometrów. W takim stanie pozostawał długo - był obojętny, niedosiężny. Kate zawsze to zdumiewało, ten niesamowity akt znikania. Nazywała Brama „ojcem lukstorpędą”,

ponieważ zniknął w ciągu sekundy niczym strzała.

A ciosy nadchodziły jeden po drugim. Sześć lat po śmierci matki zaginęła siostra Kate. Skończyło się to strasznie, a po tym wszystkim ojciec w sensie psychicznym zniknął na dobre. Gdy Kate kończyła siedemnaście lat, nie miała już rodziny. Matka zmarła, siostra nie żyła, ojciec był emocjonalnie niedostępny. Ta potrójna trauma leżała u podstaw wszystkich głęboko zakorzenionych lęków Kate i niewiary w siebie, ale okazała się również źródłem siły. To był główny powód, który skłonił ją do studiowania psychiatrii, a nie prawa czy medycyny.

- Cieszę się, że pierścionek ci się podoba - odezwał się James, tym razem ze śmiertelną powagą.

- Bardzo mi się podoba.

Dziesięć minut później nadal miała go na palcu.

Przy kasie zapłacili rachunek i otworzyli ciężkie drzwi frontowe, śmiejąc się z ręcznie napisanego na kartce polecenia: „Pchać mocno”. Za każdym razem Kate niezmiennie żartowała: „Mocniej, James, mocniej”, on zaś niezmiennie odpowiadał: „No przecież pcham, pcham”.

- Boże, jak łatwo nas rozśmieszyć - powiedziała, gdy wzięli się pod rękę i wyszli skuleni na zimne wieczorne powietrze.

Zima w Bostonie. Ciemne ulice i parujące oddechy. Wkrótce nadejdzie wiosna, ale jeszcze trochę trzeba poczekać. Przeszli dwie i pół przecznicy dzielące ich od srebrnego lexusa Jamesa. Drżąc z zimna, Kate usiadła w fotelu w pachnącym nowością samochodzie i podejrzliwie popatrzyła na swego chłopaka.

- Co? - Włączył podgrzewanie foteli i zapalił silnik.

- Uwielbiam ten pierścionek. Uwielbiam pizzę w Duke's. I uwielbiam ciebie.

- W tej kolejności?

- Ha. Mój chłopak jest...

- Zabawny, wiem. - Ujął jej rękę, odwrócił ją i ucałował stare blizny na nadgarstku. Czule i łagodnie. - Kocham cię, Kate. Cieszę się, że pierścionek ci się spodobał.

Czuła wagę ich trzyletniego związku i podczas jazdy do placu Harvarda pławiła się w jego ciepłe i zażyłości.

Zaczął padać śnieg. Przed przednią szybą wirowały grube białe płatki. Skrzące miasto przywodziło na myśl baśniową magię, toteż Kate postanowiła niczym się nie martwić. Nikki McCormack poradzi sobie, ona zaś nie powinna czuć się winna z powodu pierwszego od lat urlopu. Każdy ma prawo do własnego życia.

Spojrzała na pierścionek. Może powinna wyjść za Jamesa? W czym problem? Był przystojny, inteligentny, to najbardziej wesoły facet, jakiego znała - sprawiał, że śmiała się z głębi serca, na cały głos - i chciała spędzić z nim resztę życia. Ale nie potrafiła się przełamać i zmusić do następnego kroku, bo... jej siostra, jej matka... Ogrom tych tragedii przytłaczał ją i nie pozwalał oderwać się od przeszłości.

Lexus wjechał na wyjazd z garażu i skierował się w stronę placu Harvarda, który był pokryty śniegiem i jarzył się światłami. Jechali aleją Massachusetts, minęli zatłoczony kampus uniwersytecki z czterema wiekowymi akademikami, po czym skierowali się w stronę Arlington, obskurnego siostrzanego miasta Cambridge w aglomeracji bostońskiej. Tuż przed granicą miasteczka skręcili w lewo w cichą uliczkę mieszkalną - nadal w granicach Cambridge, co dla Jamesa miało znaczenie z powodu prestiżowego kodu pocztowego - i zaparkowali w najnowszej części dzielnicy.

James położył pachnącą nowością kartę parkingową na desce rozdzielczej, wysiedli i odetchnęli ożywym zimowym

powietrzem. Wkrótce wyruszą na wspinaczkę skałkową w Southwest, będą wędrowali po czerwonych kanionach Sedony, podziwiali widowiskowe zachody słońca i tulili się w hotelowych łóżkach.

Dziś jednak padał śnieg, a oni znajdowali się w zimnym intelektualnym Cambridge. Księżyc ledwo prześwitywał przez chmury, płatki śniegu przyklejały się do rzęs. James chwycił Kate za rękę i razem pokonywali śliską nawierzchnię z kocich łbów, mijając domy w stylu wiktoriańskim i gotyckim, w których samotni i anonimowi absolwenci Harvardu pisali doktoraty i kończyli studia podyplomowe. Na ulicach panowała niesamowita cisza, której nie zakłócał padający śnieg, a jedynie szum opon rozchlapujących od czasu do czasu breję.

Na końcu przecznicy skręcili w liczącą ponad sto lat ulicę. W świetle staromodnych latarni widać było gęste płatki. Świeżo odnowiona kamienica, w której mieszkali, została zbudowana w 1915 roku. Miała granitowe schody, na dachu sterczały gargulce. Kilka miesięcy temu wpłacili depozyt na rachunek zastrzeżony na niesamowite trzypokojowe mieszkanie w tej bardzo prestiżowej lokalizacji, po czym ostatnie pięć czy sześć weekendów spędzili na malowaniu ścian w modnych odcieniach bieli oraz instalowaniu oświetlenia. Kilka dni temu poustawiali meble po swojemu i byli gotowi na spędzenie reszty życia razem. Było to nieco przytłaczające.

Pierścionek. Mieszkanie własnościowe. Dwutygodniowe wakacje. Równie dobrze można by wziąć ślub.

James otworzył przed nią drzwi i weszli do holu o ścianach wyłożonych bejcowanym drewnem, o elegancko przyćmionych światłach. Ciepłe lepkie powietrze wypełniał dziwny zapach wyprawionych skórek zwierzęcych i popękanych starych

skórzanych obić.

- Czy tylko mi się wydaje - odezwał się James - czy jesteśmy jedynymi mieszkańcami tego budynku?

- Prawda? - zgodziła się z nim. - Gdzie oni wszyscy się podziali?

- Czy to możliwe, żebyśmy nigdy nikogo nie spotkali? No i co z przyjęciem powitalnym?

Kate spojrzała na sklepiony sufit.

- Przecież w końcu ich poznamy.

- Przeciezzzzzz - zasyczał jej w ucho, po czym zaczął nucić piosenkę z filmu „Rodzina Addamsów”.

Gdy objął ją w pasie, poczuła jakiś nieuchwytny zapach, jakby dymu. James był dobrze zbudowanym mężczyzną po trzydziestce, miał gęste ciemne włosy i ciepłe brązowe oczy. Latem jego włosy wyglądały na bardziej złote niż brązowe. Był typowym Amerykaninem - męski, pasjonujący się sportem i grammi wideo, czasami głośnym i zadufanym, czasami roztargnionym i zamyślonym, zawsze dobrze wychowanym i pełnym szacunku. W jego obecności czuła się niezniszczalna. Uważała, że w tego rodzaju odczuciu jest coś niebezpiecznego.

Wcisnęła guzik windy.

- Jesteś gotów? - zapytała, wskazując pierścionek. - Na mieszkanie razem?

- Bardziej gotów niż ty, jak widać. - Położył rękę na sercu jak skaut. - Nigdy więcej nie użyję pierwszej osoby liczby pojedynczej.

Kate zaśmiała się. W tej samej chwili zadzwonił jej telefon, gdy jednak odnalazła go w torebce, dzwoniący się rozłączył. Spojrzała na ekran. Numer prywatny.

- No wiesz - powiedział z udaną podejrzliwością. - Czy to ten twój drugi chłopak?

- Taa, jest bardzo irytujący.
- Jestem zazdrosny. Bo to ja powinienem cię irytować.
- I to robisz. Bezapelacyjnie.

Winda zatrzymała się z trzaskiem. Była to jedna z tych staromodnych mosiężnych klatek, które trzeba obsługiwać, otwierając na zewnątrz odporne drzwi na zawiasach. Weszli do lekko kołyszącej się klatki, zamknęli niesforne drzwi i wcisnęli guzik ósmego piętra. Gdy tylko winda ruszyła, zaczęli namiętnie się całować, obmacując się jak napalone nastolatki. Wydawało się, że winda będzie jechać na górę całą wieczność. Gdy wreszcie zachybotła się na trzeszczących linach, James znieruchomiał. Miał głęboko zakorzeniony lęk przed tymi urządzeniami, o czym Kate wiedziała. Jako dziecko utknął w windzie między piętrami, gdy odwiedzał swoją babkę. Naciskał guzik dzwonka, walił pięściami w drzwi i głośno wzywał pomoc, a w tym czasie winda wypełniała się dymem ze spalonego na dole silnika. Długa historia, szczęśliwe zakończenie.

Teraz jego usta były chłodne i z powodu świeżego śniegu miały smak jakby ozonu. Na palcu ręki z pierścionkiem nie czuła swędzenia. Cud nad cudy. Jadą na górę do własnego mieszkania znajdującego się o rzut kamieniem od placu Harvarda. Ona ma trzydzieści dwa lata i jest po uszy zakochana. Chciała, by ta chwila trwała wiecznie.

Winda zatrzymała się, podskakując na zardzewiałej linie.

- Będę musiał się do tego przyzwycząić. - James się wzdrygnął.
- Ostatni przystanek, wszyscy wysiadają.

Otworzyli ciężkie mosiężne drzwi.

- Jak na siłowni, tyle że za darmo - zażartował, otaczając Kate ramieniem.

Ruszyli dusznym korytarzem do swego mieszkania, na

fioletoworóżowym dywanie zostawiając ślady brei z zaśnieżonych butów. Dyskretne oświetlenie ukrywało skazy na eleganckim tynkowanym suficie. Przystanęli przed polakierowanymi drzwiami z mosiężnym szyldem, na którym widniał napis 8D.

- Wreszcie w domu - rzekła Kate z westchnieniem.

Gdy James szukał kluczy, w mieszkaniu zadzwonił telefon stacjonarny.

- Okej - powiedziała. - Wyjaśnij mi jeszcze raz, dlaczego twojej mamie daliśmy ten numer.

- Cholera. Niech odpowie sekretarka.

James bez problemu potrafił ignorować swą bogatą, mającą dużo wolnego czasu matkę, Kate jednak nie przychodziło to tak łatwo. Vanessa Hill była niczym paznokiec na tablicy - poruszając nim, skrzypiała. Często dzwoniła po to, by pochwalić się bostońskimi akcjami dobroczynnymi, w których brała udział, oraz organizacjami non-profit, w których zarządzie zasiadała, rzadko jednak pytała Jamesa o jego życie, co drażniło Kate bardziej niż jego. Wzruszał wtedy ramionami z taką samą rezygnacją, jaką demonstrował na lotniskach oraz przy wypełnianiu formularzy ubezpieczeniowych.

Teraz otworzył drzwi i wtoczyli się do środka. Podłogę z twardego drewna przeciął promień światła. Poza tym ciemność rozjaśniała błękitna mgiełka emanująca z lamp ulicznych w dole. James po omacku szukał na ścianie włącznika. Po chwili wewnątrz zalało światło.

Telefon przestał dzwonić.

- Och! - westchnęła z ulgą Kate.

- Jak przyjemnie - zgodził się James.

Czekali na nieuniknioną wiadomość głosową, ale Vanessa widocznie się rozłączyła. Aż taka lakoniczność była do niej

niepodobna.

Zdejmowali z siebie kolejne warstwy ubrania - rozpinając zamki, odpinając guziki i rozwiązując szaliki.

- Rany boskie! - jęknął James. - Tu jest jak w piekarniku.

Mimo panującej wszędzie duchoty Kate uwielbiała to mieszkanie. Było to pierwsze miejsce, które stało się jej własnością, i napawało ją to uczuciem szczęścia. Za salon służyło duże otwarte pomieszczenie z marmurowym kominkiem i łukowatym przejściem do sporej i widnej jadalni. Kate uwielbiała główną sypialnię w stonowanych barwach, z subtelnymi akcentami. Piękne też były w swej stylowej prostocie kuchnia i łazienka. Kate podobała się zwłaszcza głęboka wanna na lwich łapach, w której po długich dniach w szpitalu zamierzała wylegiwać się godzinami. Olbrzymie okna w kuchni wspaniale nadawały się na ziołowy ogród.

- Spociłem się jak mysz. - James zdjął płaszcz, rękawiczki oraz szalik i rzucił wszystko na kanapę.

- Myszy się nie pocą.

- Naprawdę? Czy tylko ja tutaj się rozpływam? - Zaczął walczyć ze swetrem, który w końcu zdjął przez głowę przy akompaniamencie trzasków ładunków elektrycznych, po czym wyłowił wzrokiem winnego, czyli syczący grzejnik w kącie salonu. Podeszedł do niego i zaczął mocować się z pokrętłem termostatu.

- Ostrożnie, bo...

- Auu!

- ...się oparzysz.

James włożył palec do ust i spojrzał na nią skruszony. Para nadal uwalniała się z pokrętła, miedziane rury grały w ścianach.

- Biedactwo. - Kate do niego podeszła. - Taki rozgrzany i tak dalej. - Sięgnęła do klamry paska, wsunęła w nią palec

i przyciągnęła Jamesa do siebie. Otarła się o niego brzuchem i pocałowała go namiętnie.

Objął ją mocno i okręcił się z nią dokoła, a ona roześmiała się z całego serca. Gdy niósł ją do sypialni, mało brakowało, by zimowymi butami zabrudziła ściany.

- Uważaj! - rzuciła z chichotem.

Rzucił ją na łóżko, zdjął jej buty jeden po drugim, ściągnął skarpetki i rozpiął zamek w dżinsach.

- Boże, jesteś taka wspaniała. - Rozpiął guziki jej bluzki i pochylił się, by pocałować małe, niemal już niewidoczne blizny rozsiane na jej skórze.

Kate się kiedyś cięła. Brzytwą, spinaczami do papieru, pinezkami, nożyczkami. To, co rozpoczęło się jako ekstremalna reakcja na śmierć siostry, przeszło w wyniszczającą psychozę lękową. Robiła małe cięcia na brzuchu, udach oraz ramionach, i nosiła długie rękawy, by ukryć je przed światem, lecz głównie dlatego, by ojciec ich nie zauważył. Samookaleczanie uważała za zemstę za jego lekceważenie. Pomagało jej to także przynajmniej częściowo rozładować napięcie z okresu, kiedy jako absolwentka z wyróżnieniem próbowała dostać się do prestiżowego college'u. Cięła się przez kilka lat, aż wreszcie trafiła na terapię i nauczyła się sobie z tym radzić. Jej mentor, doktor Ira Lippencott, uratował jej życie. Pomógł okiełznać destruktywne nawyki i skierował ją na drogę wiodącą do zdrowia psychicznego.

Telefon znów zadzwonił.

- O Boże! - jęknęła. - Musimy ustalić jakieś zasady dla twojej matki. Żadnych telefonów przed południem albo po ósmej wieczór.

- Po prostu ją zignoruj - powiedział James zdyszczanym głosem,

wsuwając dłonie pod jej bluzkę. – Ja tak zawsze robię.

– Och, proszę. – Powstrzymała jego rękę. – Ostatnią rzeczą, jaką pragnęłabym usłyszeć, jest głos Vanessy, kiedy się kochamy.

Wyobraziła sobie matkę Jamesa, jak stuka długimi lakierowanymi paznokciami w marmurową powierzchnię wyspy kuchennej, zerka na zegar i zastanawia się, dlaczego nie odbierają telefonu. Ale przynajmniej mieszka na drugim krańcu miasta, z godzinę jazdy samochodem.

James opadł na nią.

– Odbierz, James – poprosiła.

Gdy włączyła się sekretarka, odwrócili głowy w stronę salonu.

– Kate? – Przez drzwi napłynął głos Iry Lippencotta. – Mam złą wiadomość. Nikki McCormack nie żyje. Zadzwoń do mnie jak najszybciej.

3

Nikki McCormack znaleziono wiszącą na belce nośnej salonu jej rodziców. Pod nią leżało przewrócone krzesło. Powiesiła się na starym sznurze od bielizny znalezionym w garażu, choć nikt nie miał pojęcia, jakim cudem zdołała umocować go tak wysoko. Rodzice znaleźli ciało po powrocie z przyjęcia charytatywnego w Isabella Stewart Gardner Museum. Ojczym chwycił Nikki w pasie, podczas gdy matka zadzwoniła na 911. Umieścili ciało na podłodze. Dziesięć minut później ratownicy medyczni stwierdzili, że Nikki nie żyje. Była ubrana w paradny strój gotycki. Jej szyja i twarz były spuchnięte, oczy czarne i lśniące jak oliwki.

Spotkanie z rodziną – ich smutkiem, zagubieniem – oraz jej własny szok i żal trwające przez całą noc i rano wywołały w Kate tak potworny ból głowy, że żadna ilość tylenolu nie potrafiła go złagodzić. Policjanci byli uprzejmi, ale drobiazgowi. Rozmowa z nimi trwała na szczęście krótko. Reszta personelu szpitalnego była przygnębiona, lecz wszyscy mieli zbyt wiele zajęć, by długo się tym zajmować. Osiem miesięcy temu Nikki została przyjęta na oddział stanów ostrych, więc niektórzy ją pamiętali i dobrze wspominali, ale na tym koniec. Samobójstwa zdarzały się tu co jakiś czas, ale Kate jeszcze nie miała z czymś takim do czynienia.

Przez cały rano odbywała spotkania z różnymi osobami z personelu, a o dziesiątej trzydzięci Ira Lippencott znalazł ją w pokoju wypoczynkowym. Kate trzęsa się tak bardzo, że nie potrafiła utrzymać w ręce dzbanka z kawą.

- Uhh. Wyglądasz upiornie – stwierdził Ira. – Gdzie jest James?

- Mocuje się z własnym problemem. Agatha zupełnie się rozsypała.

Ira kiwnął głową. Wszyscy w szpitalu słyszeli o najtrudniejszym przypadku na oddziale Jamesa.

- Chodź. - Poprowadził ją do swojego gabinetu, kazał usiąść, a potem podał jej filiżankę kawy ze swego ekspresu marki Breville. Gabinet Iry składał się z mebli modułowych w stonowanych barwach. Rośliny już dawno wyrosły ze szklanych donic i napierały liśćmi o ściany, jakby domagały się wolności.

Ira był kiedyś lekarzem prowadzącym Kate i znał wszystkie tragedie, jakie ukształtowały jej życie. Podczas studiów licencjackich przeszła u niego psychoanalizę. To był warunek wstępny.

- Powinnaś wiedzieć, co to znaczy siedzieć na krześle naprzeciwko, zanim zajmiesz moje miejsce - tłumaczył.

Ten człowiek znał ją bardzo dobrze.

- Siadaj - powiedział, podając jej filiżankę espresso. - No i mów.

Kate tak drżały ręce, że omal nie rozlała kawy na kolana, toteż wypła łyk i odstawiła filiżankę.

- O czym tu mówić - odparła bezbarwnym głosem. - Zawiodłam ją.

- Zrobiłaś wszystko, co mogłaś, Kate. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

- Jestem jej psychiatrą i nie zauważyłam, że coś się dzieje. A więc... zawiodłam ją.

- Nie pora użalać się nad sobą.

- Użalać się nad...? - powtórzyła.

- Rozczulanie się nad sobą do ciebie nie pasuje. - Jej mentor nie tolerował częściej gadaniny. - Posłuchaj mnie, Kate. Nie jesteś z tym wszystkim sama. Ja codziennie rano budzę się z kilkoma nowymi siwymi włosami.

- Wiem, ale...

- Ale nic.

To załatwiło sprawę. Przez cały długi poranek usiłowała się trzymać, teraz jednak poczuła się przytłoczona samobójstwem Nikki. Z pudełka w kwiatki wyjęła chusteczkę, przyłożyła ją do oczu i się rozplakała.

- Wiem, wiem - powiedział Ira kojącym tonem. - To się zdarza. Każdy z nas miał pacjenta, który popełnił samobójstwo. To jest druzgocące. Uwierz mi jednak, że nauczysz się z tym żyć.

Kiwnęła głową i wzięła się w garść.

- Dobra. Zastanówmy się, co mogłaś zrobić nie tak - zasugerował. - Powiedz mi, jak szła terapia Nikki.

- Robiliśmy postępy. Reagowała dobrze na nowe leki.

- Jak wyglądały sesje rodzinne?

- Jej rodzice zaczęli dopuszczać do siebie myśl, że mogli przyczynić się do niektórych problemów Nikki.

- A co z jej uzależnieniami?

- O ile wiem, przestała pić i brać narkotyki. Powoli zaczęła kierować swoim życiem.

- Wspaniale. A więc? Co jeszcze mogłaś zrobić? Zrezygnować z urlopu? Nieszczęścia się zdarzają, Kate. To część naszego zawodu.

- No cóż, teraz muszę zrezygnować z urlopu. - W nocy męczyły ją okropne sny. Potwory ścigały małe dziewczynki, które z trzaskiem łamały się na pół jak gałązki. - Elizabeth McCormack chce, żebym przyszła na pogrzeb.

- Dobrze. Zalecamy utrzymywanie bliskiego kontaktu z rodziną, przynajmniej do czasu pogrzebu, a już na pewno do chwili otrzymania wyników sekcji.

Sekcja. To chłodne słowo ją otrzeźwiło.

- Łamałam sobie głowę, próbując wyobrazić sobie, jak to się

stało.

- Kate, proszę. - Ira westchnął i potarł grzbiet nosa. - Przecież doskonale wiesz. Nie było w tym twojej winy. Czasami mrok zwycięża.

Obrzuciła go sceptycznym spojrzeniem. Znali się już dosyć długo.

- Serio? Czasami mrok zwycięża? I to ma mnie uspokoić?

- Nie należy do moich zadań uspokajanie kogokolwiek.

- Oczywiście. Naszym zadaniem nie jest uspokajanie ani pocieszanie pacjentów, my mamy skierować ich na drogę samouzdrawienia... bla, bla, bla.

- Właśnie.

- To była ironia.

- Wiem.

Poczuła, jak wracają do niej dawne wyrzuty sumienia. Były niczym cicha zapowiedź nadchodzącej burzy z piorunami. Wydarzenia, które ukształtowały jej życie, nigdy nie pójdą w zapomnienie, ale przynajmniej przez jakiś czas udawało jej się trzymać je w ukryciu... schować do pudełka, psychicznie zamknąć wieko i umieścić pudełko w zamkniętej garderobie. Ale śmierć Nikki McCormack przypominała wybuch, który wyrwał z zawiasów drzwi do tej garderoby.

- Popatrz, Kate, umiesz sobie z tym poradzić. Przeżyłaś więcej ciężkich chwil niż większość ludzi w ciągu całego życia. - Ira położył ręce na biurku. - Ale tak to wygląda. Śmierć Nikki obciąża także mnie. Kładzie się cieniem na całym oddziale. Wiem, o czym myślisz, dlatego proszę, żebyś uświadomiła sobie, że to, co się stało wczoraj wieczorem, nie ma nic wspólnego z twoją siostrą. Czy przyjmujesz to do wiadomości?

- Do wiadomości tak.

- Okej, ale musisz przyjąć to także tutaj. - Ira poklepał się po piersi. - Całkowicie.

Savannah Wolfe, dziewczynka o falujących złotych włosach, o delikatnych szmaragdowych oczach i zaraźliwym śmiechu, była tak szczęśliwą i ufną dwunastolatką, że każdy gad z sąsiedztwa mógł ją wykorzystać. Była jednym z tych przedsiębiorczych dzieci, które ratują mrówki z podjazdu i pielęgnują pisklęta o złamanym skrzydełkach. Wzruszały ją nawet najśłodsze reklamy psiej karmy. Była gotowa pospieszyć z pomocą każdemu - przyjacielom, sąsiadom, obcym - a nawet dorosłemu facetowi o przekrwionych oczach. Wystarczyło poprosić: „Cześć, miła panienko, mogłabyś poświęcić mi sekundkę?”. Kate poczuła bolesny ból za oczami.

- Słuchaj, rozumiem, że te dawne uczucia związane z moją siostrą nie mają z tym nic wspólnego, ale...

- Odsuń uczucia na bok. - Złożył ramiona. - Masz się z tym zmierzyć jak profesjonalistka.

- Oczywiście, dam sobie radę - odparła defensywnym tonem.

- Jedyną liczącą się rzeczą jest to, czy zastosowałaś standardową procedurę odpowiednią dla jej symptomów. To właśnie szpital zechce wiedzieć. Zastosowałaś standardową procedurę?

Dopiero po chwili dotarł do niej sens tych słów.

- Standardową procedurę?

- Z prawnego punktu widzenia to wszystko, czym szpital się zainteresuje. Czy użyłaś właściwych kwantyfikatorów do postawienia dokładnej diagnozy?

Mechanicznie pokiwała głową.

- Władz szpitala nie interesuje, co mogłaś zrobić inaczej, Kate. Musisz przestać sobie coś zarzucać. To nikomu nie pomoże.

Jesteś znakomitym psychiatrą, masz bardzo dobre kwalifikacje, świetne referencje. Leczyłaś u Nikki chorobę dwubiegunową. Nadzorowałaś stosowanie przez nią leków, a podczas sesji terapeutycznych próbowałaś zmienić jej zachowania. Pacjentka sprawiała wrażenie ustabilizowanej, dokumentowałaś poprawę jej stanu zdrowia. Cała reszta jest bez znaczenia. A więc - powiedział, pochylając się do przodu - poradzisz sobie z tym?

- Tak - odparła bez przekonania. Po raz pierwszy straciła pacjenta. Była to dla niej zupełnie nowa sytuacja. A Ira nie był sobą. Nigdy go takim nie widziała. Zachowywał się, jakby bronił swojego tyłka.

- Kiedy będziesz rozmawiała z Działem Zarządzania Ryzykiem, masz im podać swoje kliniczne obserwacje, kropka. Zapomnij o emocjach. Czy potrzebujesz adwokata?

- Adwokata? - zapytała, czując galopujące bicie serca. Pozew o błąd w sztuce to najgorszy koszmar każdego lekarza.

- Dla szpitala obrona własnych interesów to sprawa podstawowa. Robi się to tak na wszelki wypadek, gdyby doszło do sprawy o odszkodowanie. To jest normalna procedura. Musisz o siebie zadbać.

Sąd? Sprawa o odszkodowanie?

- Proszę, to nazwisko mojego adwokata. Bardzo go polecam. - Otworzył szufladę biurka i wręczył jej wizytówkę. - Powiedz mu, że cię do niego skierowałem.

- Dzięki.

- I nie martw się. Będzie dobrze. Wszyscy mieliśmy już z czymś takim do czynienia. A teraz wybac, ale mam za sobą ciężką noc i całą górę roboty papierkowej. Przepraszam, że tak jęczę. Muszę uzupełnić karty choroby i wracać do domu. Tobie radziłbym to samo.

Kate zauważyła, że jego spojrzenie zubożało.

- Ira, czy to ty zostawiłeś orzeszki w moim gabinecie?

Popatrzył na nią z lekkim zdziwieniem.

- Jakie orzeszki?

- Na regale ktoś zostawił słoik Planters Peanuts.

- Ja nie. Może James?

- Już go pytałam. Nie zrobił tego.

- No cóż, nie przykładałbym do tego zbyt wielkiej wagi. Zapewne ktoś sobie zażartował. Tak czy owak, pogadajmy o tym jutro rano, dobrze?

Wstała i uściskała jego rękę.

- Dziękuję, Ira.

- Nie martw się. Poradzisz sobie. Potraktuj to jak rytuał przejścia.

Szybkim krokiem pokonała korytarz, wpadła do swojego gabinetu, złapała płaszcz, owinęła się szalikiem i włożyła ciepłe rękawiczki. Zjechała windą na dół, przecięła zatłoczone lobby szpitala i pchnęła szklane drzwi, jakby były gigantycznymi poduszkami. Wyszła na dwór i wycygała papierosa od jednego z rezydentów. Wciągnęła nikotynę głęboko w płuca i przypomniała sobie ostatnie słowa siostry.

- Ile muszę czekać?

- Tylko kilka minut. Zaraz wrócę - obiecała Kate.

- Gdzie idziesz?

- Tam. Widzisz te drzewa? Nie bój się.

- Nie boję się.

- Wiem, jesteś moim malutkim dzielnym kwiatuszkiem.

- Niczego się nie boję, Katie.

Stłumiła łkanie, lecz i tak kilka osób odwróciło się w jej stronę.

Odkasznęła kilka razy, ukrywając ból, palacze zaś dyskretnie odwrócili głowy. Stała przez chwilę, kaszląc i jednocześnie paląc, oraz obserwując swój skraplający się w mroźnym powietrzu oddech.

4

Nie chciała wracać do domu, zwłaszcza że miała jeszcze sporo pracy. Pojechała windą do izby przyjęć, by z pielęgniarką Yvette Rosales porozmawiać o stanie psychicznym Nikki McCormack, bo to właśnie Yvette ją przyjmowała. Personel oddziału psychiatrycznego zawsze był zajęty, nieustannie dzwoniły telefony. Praca personelu nigdy się nie kończyła.

W drodze do stanowiska pielęgniarek, czegoś w rodzaju biurokratycznego portu pośród mózgowo-chemicznej burzy, mijala sanitariuszy i dyplomowane pielęgniarki w kolorowych mundurkach. Tamara Johnson była korpulentną kobietą w średnim wieku, która znała nawet najskrytsze tajemnice. Była szefową pielęgniarek i człowiekiem do wszystkiego.

- Dzień dobry, Tamaro. Widziałaś gdzieś Yvette?

Tamara pokręciła głową.

- Zaraz powinna tu być. Pewnie chciała po drodze kupić pączka i znowu spóźniła się na autobus. Jak Boga kocham, ciągle tłumaczy te swoje spóźnienia tym autobusem. Jak się pani trzyma, pani doktor?

- Tak sobie.

- Oj, wiem. Pamiętam, jak przyjmowałyśmy Nikki. Takie mizerne maleństwo. Za to jaka odważna. Obejrzała sobie to miejsce i oświadczyła, że tutaj wszyscy są chorzy. - Tamara się zaśmiała. - Ona nie. Tylko wszystkie te pieprzone ciule w tym pokoju.

- Cała Nikki - odparła Kate z bolesnym uśmiechem.

- Napije się pani kawy? Właśnie zaparzyłam.

- Nie, dziękuję. Poczekam tam.

Przyniosła z sobą notatki, znalazła wolne miejsce w poczekalni i usiadła. Pokój przyjęć można by nazwać odą do przeciętności: sztruksowe kanapy, fotele pokryte imitacją skóry, reprodukcje akwareli na nagich ścianach z cegieł. Na stolikach leżały błyszczące broszury.

Kate otworzyła szarą teczkę i zaczęła przeglądać notatki. W czerwcu, gdy została tu przyjęta, Nikki bywała w domu nie do opanowania. Prowadziła nieustanne boje z rodzicami, brała narkotyki oraz piła. Jej ojczym był zwolennikiem ostrej dyscypliny, a zbuntowana nastolatka tęskniła za swym ojcem. Rozwód rodziców był dla niej wyjątkowo bolesny.

Nagle ktoś zawołał:

- Zabieraj ze mnie te łapy, ty śmierdzący skurwysynu!

Kate uniosła głowę. Na przyjęcie czekało kilkanaście osób. Większość z nich już знаła, bo miała za sobą epizod terapeutyczny na oddziale dla dorosłych. Sądząc ze sposobu, w jaki dwaj mężczyźni, których nie poznawała, ukrywali przed kamerą twarz za daszkami czapek bejsbolowych, podejrzewała, że udają będących na głodzie narkomanów, by dostać zastrzyk demerolu. Były tam także dwie osoby z zaburzeniami afektywnymi, anorektyczka, młoda matka z depresją poporodową, starszy pan, który nieustannie czyścił ręce wacikami do dezynfekcji, i nieznana jej około dwunastoletnia dziewczynka, która siedziała wyprostowana w pewnej odległości od pozostałych.

Kate skupiła uwagę na głównym konflikcie: wychudzony schizofrenik, który wyrwał się sanitariuszom, wydzierał się na starszą kobietę cierpiącą na depresję, obrzucał ją wyzwiskami i wymachiwał przed jej twarzą chudymi rękami. Kobieta siedziała skulona, w jej załzawionych oczach malowała się niepewność,

a sterczący nad nią mężczyzna dominował - jeśli patyk może w ogóle nad kimś dominować.

Nagle do miejsca kłótni szybkim krokiem podszedł sanitariusz z kluczami przypiętymi do paska. Był to Clive Block, który słynął z umiejętności negocjacyjnych. Prędko uspokoił i rozdzielił uczestników sporu. Z Clive'em nikt nie zadzierał. Pielęgniarki nawet nie pomyślały o wezwaniu ochrony. Na oddziale psychiatrycznym kajdanki były na porządku dziennym - o różnych porach dnia i nocy słychać było trzaskanie drzwiami i uniesione gniewnie głosy.

Teraz Kate zwróciła uwagę na siedzącą w kącie dwunastolatkę. Jasne włosy dziewczynki były związane w koński ogon, miała senne zielone oczy, sprawiała wrażenie odprężonej. Kate natychmiast przypomniała się Savannah. Podobieństwo było uderzające. Dziewczynka miała na sobie wyprasowane niebieskie dżinsy i różową bluzkę zapiętą pod samą szyję. Kurtka z gęsiego puchu była złożona na pół i ułożona na miejscu obok. W dziewczynce była jakby skromność, pełna rezerwy sztywność. Kate odniosła wrażenie, że jest tu sama. Gdzie są jej rodzice?

Kate nie „widziała w niej wariatki”, jak niedelikatnie mówili niektórzy z jej znajomych, dopóki nie dostrzegła biżuterii. Na szyi dziewczynki wisiały dziesiątki srebrnych krzyżyków na cienkich srebrnych łańcuszkach, nadgarstki zdobiły różańce z koralików. W wyobraźni Kate ujrzała dziecko odcięte od świata. Dostrzegła w niej też uderzający smutek, przytłaczającą samotność. Młodzi pacjenci Kate na ogół siedzieli przygarbieni, opierali się o ściany lub pochylali ciała do przodu, jakby zastygli podczas wzruszania ramionami. To dziecko jednak siedziało z wyuczoną wytwornością. Wydawało się, że drobne ciało dziewczynki wyraża doskonałą samotność. Demonstrowała także elegancką

samodyscyplinę, coś niezwykłego w przypadku dziecka w takim wieku. Ale znów – gdzie są rodzice? Może matka poszła do łazienki?

Kate właśnie miała zamiar to sprawdzić, gdy na odział wpadła zdyszana Yvette Rosales. Od progu głośno usprawiedliwiała swoje spóźnienie:

– Przepraszam! Przepraszam! Ten mój głupi autobus znów się spóźnił.

Tamara oparła ręce o biodra.

– Autobus się spóźnił? Czy ty się spóźniłaś?

– Czekałam, czekałam i czekałam.

– Ach tak, jasne. Ale widzę, że znalazłaś czas, żeby kupić sobie pączka.

– Żarty sobie stroisz? Nie potrafię zacząć dnia bez kawy i pączka.

– Kawę mamy tutaj.

– To świństwo? Nie będę tego piła. – Yvette miała ciemnoróżowe spierzchnięte wargi. W jej ustach zawsze tkwił ołówek lub papieros, a podczas przerw wybiegała na dwór, aby go zapalić. – A kim ty nagle jesteś? Moją matką?

– To prawda – odparła Tamara sarkastycznie. – Ja cię szpieguję.

– Tak mi się wydaje, ktoś rzeczywiście mnie obserwuje. Jakby ściany oddychały.

– Czy właśnie powiedziałaś, że ściany cię podglądają?

– A potrafisz udowodnić, że nie?

Tamara wybuchnęła śmiechem. Wszystko zostało wybaczone.

– Mniejsza z tym. Czeka na ciebie pani doktor.

– Kto? – Yvette obróciła się dokoła. – Witam, pani doktor. O mój Boże, Nikki McCormack. Niech Bóg pobłogosławi jej duszę.

– Ciągle jestem w szoku – przyznała Kate, podchodząc do niej.

- To bardzo smutny dzień.

- Możemy chwilę porozmawiać? Mam kilka pytań dotyczących jej przyjęcia.

- Oczywiście. Tylko zdejmę płaszcz i już do pani wracam.

Kate czekała oparta o główne biurko, podczas gdy Yvette rozbierała się i wieszła swoje rzeczy.

- Kim jest ta dziewczynka w kącie?

Yvette obejrzała się.

- Nie wiem. Tamara?

- Co? Aha. Matka ją przywiozła. - Tamara wzruszyła ramionami.

- Była tu minutę temu.

- Siedzę tu z dziesięć minut i nikogo nie widziałam.

- Może któraś z pielęgniarek coś wie. Pójdę i zapytam. - Tamara zniknęła w pokoju pielęgniarek.

Rozległ się dzwonek windy, drzwi się rozsunęły i do środka wkroczył James. Był bardzo oficjalny. Gestem przywołał Kate do siebie.

- Pojedziemy porozmawiać z tym prawnikiem, którego Ira nam polecił - oznajmił. - Umówiłem nas na jedenastą trzydzieści. Chodźmy.

- Poczekaj - odparła Kate zdumiona. - Nie ma potrzeby przesadzać.

- Ja nie przesadzam. Po prostu chcę być pewny, że nikt nie wciągnie cię w tarapaty.

- Nikt tego nie robi - odrzekła z jękiem.

- Ja po prostu cię pilnuję, kochanie. Chodźmy. Nie chcę się spóźnić.

5

Podczas jazdy do Bostonu Kate usiłowała stłumić ataki panicznego płytkiego oddechu, które mogły przerodzić się w coś gorszego. Otulone śniegiem miasto rozmazywało się przed przednią szybą niczym podniszczony czarno-biały film. Zrobiła, co mogła, by tego ranka zachować się jak profesjonalistka – przetłuszczone włosy upięła w kok, starannie się umalowała – ale nerwy miała w strzępach. Czuła się wypalona i wyczerpana.

Do kancelarii prawnej jechali trasą wyznaczoną przez GPS-a. Mieściła się ona na ostatnim piętrze monolitycznego wieżowca w sercu Bostonu. Wjechali do podziemnego garażu i zostawili samochód boyowi, by go zaparkował. Kate nie mogła powstrzymać drżenia, gdy czekali na windę.

- Dobrze się czujesz? – James ścisnął jej rękę.

- A mam wybór?

- Pomogę ci przez to przejść, krok po kroku – zapewnił ją.

Wjechali windą na dwudzieste czwarte piętro. Hol wejściowy kancelarii był fortecą z różowego marmuru. Ściany pokryto drogim murałem, który odzwierciedlał logo firmy. Recepcjonistka była ubrana w kostium marki Dolce & Gabbana.

- Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

- Jesteśmy umówieni z Russellem Cooperem – odparła Kate.

- Chwileczkę. – Podniosła słuchawkę i wbiła numer. – Russ, przyszli państwo umówieni na jedenastą trzydzieści. – Odłożyła słuchawkę. – Proszę wejść. Ostatnie drzwi po lewej.

Russell Cooper był mężczyzną w średnim wieku o bystrych szarych oczach za okularami w metalowych oprawkach. Miał na sobie konserwatywny garnitur i błękitny jedwabny krawat.

- Mam na imię Russell. Siadajcie. - Gestem wskazał dwa wyściełane skórą fotele naprzeciwko biurka.

Przez chwilę Kate podziwiała panoramiczny widok śródmieścia. Widziała stąd błyszczący w dali Prudential, od którego lśniących powierzchni odbijały się jasne promienie słońca.

- James przedstawił mi zarys sytuacji przez telefon - Russell zwrócił się do Kate. - Chętnie wysłucham historii o tym zdarzeniu z pani ust.

Kate odchrząknęła i wygładziła spódnice na kolanach.

- Nikki została przyjęta na Dziecięcy Oddział Psychiatryczny osiem miesięcy temu. Miała skłonności samobójcze. Była pod działaniem narkotyków. Roznosiły ją emocje. Spełniała wszystkie dziewięć kryteriów charakteryzujących ciężki przypadek depresji. Przebywała u nas cztery tygodnie, po czym została wypisana i skierowana na leczenie pozaszpitalne. Raz w tygodniu odbywałam z nią sesję terapii behawioralnej. Od czasu do czasu spotykaliśmy się z jej rodzicami. Kilkakrotnie zmienialiśmy jej leki, ostatnie dawki wydawały się skuteczne. Robiliśmy postępy, kiedy... kiedy to się stało.

- Okej. Mam kilka pytań. - Russell spojrział na notatki leżące na biurku. - Czy wyjaśniła pani potencjalne skutki uboczne leków Nikki i jej rodzicom?

- Tak.

- Czy zignorowała pani jakieś prośby o pomoc?

- Nie. Ale... jest jedna rzecz.

- Tak? - Podniósł wzrok.

- Miałam wyjechać na dwutygodniowe wakacje, co chyba ją zdenerwowało.

- Czy zagroziła, że się zabije, jeśli pani wyjedzie?

- Nie.

- Czy zapewniła jej pani innego lekarza?

- Tak. Namawiałam ją, żeby się spotykała z doktorem Lippencottem, kiedy mnie nie będzie, ale odmówiła. Podałam jej także mój prywatny numer i kazałam dzwonić o każdej porze, w dzień i w nocy.

- Dobrze. Czy zadzwoniła?

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Pomyślała o „numerze prywatnym”, ale telefon od Nikki zawsze ukazywał się pod jej imieniem, a gdyby rodzice Nikki próbowali się z nią skontaktować, rozpoznałyby numer kierunkowy Newton. Pomijając wszystko, „numer prywatny” dobijał się do niej dziesięć minut przed momentem, gdy Ira przekazał jej tę straszną wiadomość.

- Czy podczas ostatnich sesji terapeutycznych Nikki wspominała o chęci popełnienia samobójstwa?

- W ciągu przynajmniej ostatnich dwóch lub trzech miesięcy nie. Ale byliśmy w połowie terapii, rozsądnie byłoby więc założyć, że jeszcze nie wyszła na prostą.

- Czy była stabilna?

- Względnie stabilna, według mnie.

- Jeśli to prawda, to nie muszę zadawać pani więcej pytań.

Na twarzy adwokata Kate zauważyła głębokie zmarszczki cynizmu. O ile wiedziała, Russell Cooper był przyjacielem Iry od początku studiów na Yale, a poza tym wygrał dwa pozwy przeciwko niemu.

- Będziemy utrzymywać, że dopełniła pani standardów opieki - dodał Russell - jeśli do czegoś dojdzie.

- Wątpię, żeby jej rodzina pozwała mnie do sądu - mruknęła Kate.

- Nigdy nie wiadomo. Po pogrzebie, kiedy już opadną pierwsze

emocje, nadchodzi niebezpieczny okres. W każdej chwili, aż do momentu przedawnienia, rodzina może wnieść pozew przeciwko pani i szpitalowi o spowodowanie śmierci w wyniku zaniedbania. Toteż pytanie brzmi: czy odstąpiła pani od przyjętego „standardu opieki” przez zaniechanie oceny jej stanu psychicznego?

Potrząsnęła głową, podczas gdy James odchrząknął i powiedział:

- Kate jest jednym z najlepszych psychiatrów, jakich mają. Otrzymała nagrodę Amerykańskiej Fundacji Psychologicznej APF, co jest wielkim osiągnięciem w naszej dziedzinie. Jest pełna empatii, troskliwa i ściśle przestrzega procedur.

- Jestem tego pewien. - Russell uśmiechnął się i poprawił okulary. - Ira ma o pani bardzo dobrą opinię, doktor Wolfe. Ale zarząd szpitala będzie chciał się upewnić, czy szpital nie naruszył procedur, nie zapobiegając narażeniu pacjenta na utratę zdrowia lub życia. Zarząd musi sprawdzić, czy dziewczynka została właściwie zdiagnozowana, czy przeprowadzono odpowiedni wywiad i czy zastosowano odpowiednie leki.

James pochylił się do przodu.

- Kate zrobiłaby dla pacjentów wszystko.

- James - rzekła z wyrzutem, czerwieniąc się.

Russell Cooper uśmiechnął się.

- Jestem pewien, że to prawda. A co do sądów, to uznały, że lekarz nie może być pociągany do odpowiedzialności za zwykłe błędy w ocenie sytuacji. Musimy jednak wziąć pod uwagę wszystko. Niestety, pozwy o błąd w sztuce stają się coraz częstsze, zwłaszcza kiedy pacjent popełnia samobójstwo.

James spojrział na Kate z niepokojem w oczach.

- A jeśli chodzi o pogrzeb? - zapytała.

- Obecność na pogrzebie jest w porządku - odparł Russell. -

W gruncie rzeczy bardzo bym zachęcał wielu pracowników do uczestniczenia w tej uroczystości. To świetny sposób, aby okazać zainteresowanie ze strony szpitala. Gdyby jednak chciała pani pomóc w organizacji pogrzebu, to radziłbym zachować ostrożność, utrzymywać pewien dystans. Może pani z empatią potraktować pogrążonych w smutku członków rodziny, ale jeśli spytają o leczenie Nikki, proszę im przypomnieć, że jest to tajemnica lekarska.

- Oczywiście.

- Rodzina może nie wpaść na pomysł, żeby wytoczyć pani proces, ale wielu prawników uważa za swoją misję pociągnięcie psychiatrów do odpowiedzialności. Proszę więc koniecznie zorganizować spotkanie z rodziną w sprawie wystąpień pogrzebowych, darów i tak dalej. Proszę szanować ich prośby, ale radzę niczego nie proponować. Niech oni dyktują warunki. Chodzi o to, żeby była pani pomocna bez narażania się na proces. Czy ma pani jeszcze jakieś pytania?

- Co będzie dalej? - zapytała, marszcząc czoło.

- Po pierwsze, szpital przeprowadzi wewnętrzne śledztwo, czasami nazywane autopsją psychologiczną. Będzie ono szczegółowe, ale szybkie. Nikt nie chce otwierać puszek Pandory po to tylko, żeby odkrył ją adwokat powoda. Niemniej Dział Zarządzania Ryzykiem będzie miał na względzie interes szpitala, a nie pani. Radziłbym więc współpracować z nimi w pełni, ale zachować ostrożność. Proszę uważnie dobierać słowa. Chciałbym być obecny na tym przesłuchaniu. Na wszelki wypadek.

- A kiedy odbędzie się to przesłuchanie? - zapytał James.

- Zazwyczaj organizowane jest bardzo szybko. - Prawnik wzruszył ramionami.

Kate odgarnęła za ucho pasmo włosów i powiedziała:

- Od pewnego czasu zastanawiam się, co mogłabym zrobić inaczej...

- Proszę tego nie robić. - Russell potrząsnął głową. - Proszę zachować te myśli dla siebie. Każdemu lekarzowi, który przekracza progi tego gabinetu, mówię zawsze jedno: rodzinę przytłacza poczucie winy. Nikt nie potrzebuje psychiatry, którego także to przytłacza. - Spojrzał na zegarek i wciągnął policzki. - Jeszcze coś?

- Chyba nie. - Kate spojrzała na Jamesa, który potrząsnął głową.

- Dobrze. - Jego uśmiech przypominał grymas. - Proszę mnie zawiadomić, kiedy Dział Zarządzania Ryzykiem się do was odezwie, i wtedy się umówimy.

Wszyscy się podnieśli.

- Doceniam pańską pomoc - powiedział James, potrząsając mocno ręką prawnika.

- Miło było państwa poznać - odparł ciepło Russell, ściskając dłoń Kate.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Czuję się teraz znacznie lepiej.

- Proszę się nie martwić. Może pani na mnie liczyć.

6

Winda do garażu jechała i jechała. Na przyprowadzenie samochodu czekali całą wieczność.

- Gdzie chcesz jeść? - zapytał James.

- Mamy coś w lodówce - odparła Kate, wkładając rękawiczki.

- Okej, posłuchaj. Po lunchu chciałbym zrobić próbę przesłuchania w Dziale Zarządzania Ryzykiem.

- Serio? Chciałbyś to przećwiczyć?

- Nie wolno ci improwizować. Pamiętaj, co mówił Russell. Słowa trzeba dobierać bardzo ostrożnie.

Obojętnie wzruszyła ramionami.

- Wolałabym wrócić do pracy.

- Dziś już nie ma żadnej pracy. Jesteś wyczerpana, ja też jestem wyczerpany. Mieliśmy dzisiaj być w Sedonie, prawda? Wracamy do domu.

- Chciałam po prostu powiedzieć... że dobrze byłoby czymś się zająć - zaprotestowała słabo.

- Nikt nie każe ci iść do pracy oprócz ciebie samej.

- Okej, ale nie oczekuj, że będę z tego powodu szczęśliwa.

- Rozumiem cię, ale dziś ja rządzę. Dla twojego dobra.

Gdy jechali do Cambridge, ciepłe powietrze ogrzewało im nogi. Znowu padał śnieg. Wycieraczki rozgarniały na boki grube białe płatki, które ze zdumiewającą regularnością lądowały na szybie. Przedostali się na drugą stronę zamarznętej rzeki, patrząc na tumany śniegu wirujące w światłach reflektorów. Kate zadrżała, mimo zimowego płaszcza czując chłód.

Nagle granatowy sedan jadący sąsiednim pasem wjechał przed nich i znacznie zmniejszył prędkość. James nacisnął na hamulce,

by w niego nie uderzyć. Lexus wpadł w poślizg, skręcił w stronę bariery i gwałtownie zatrzymał się na pasie awaryjnym.

- Cholera jasna! - zawołał James. Ich głowy podskoczyły, pasy się napięły. Kate ugryzła się w język i poczuła w ustach ciepłą krew. - Widziałaś tego dupka? - zapytał James przez zęby, włączając światła awaryjne.

Granatowy sedan opuścił pas najbliższym zjazdem i zniknął w tumanach śniegu.

- Ten idiota zajechał mi drogę. On mógł nas zabić. Dziwię się, że poduszki nie zadziałały.

Popatrzył na nią i zamrugał, czując, jak wściekłość powoli go opuszcza.

- Kate? Masz krew na ustach. Kate?

Wydawało jej się, że słyszy trzepoczący dźwięk, uświadomiła sobie jednak, że to odgłos jej bijącego głośno serca. Zauważyła, jak poprzez widoczny za oknem śnieg coś się w ich kierunku zbliża, coś dziwnego i zagadkowego, jakby konik morski poruszający się szybko po akwarium. Była to dziewczynka. Zszokowało ją to tak bardzo, że odpięła pas i wysiadła.

- Gdzie idziesz? - zawołał James. - Wracaj do samochodu!

Kate stała na poboczu, wpatrując się w wirujący śnieg. Grube płatki przyklejały się do jej twarzy i włosów. Wbiła wzrok w białą przestrzeń i wyszeptała:

- Savannah? - Wiatr wprowadził płatki śniegu w wir, tworząc nowe kształty, Kate zaś odniosła wrażenie, że została ostrzeżona. Uwaga, czeka cię niebezpieczeństwo.

- Kate? - zawołał James.

Wszystko wokół wirowało. W głowie czuła potworny ból. Czyżby udar? W ułamku sekundy wszystko zniknęło.

James wysiadł z samochodu i ruszył do niej przez zaspy.

- To jest niebezpieczne. Co ty wyprawiasz?

- Coś zobaczyłam.

- Co?

Wzdrygnęła się. Patrząc na jego zaciśnięte usta, stwierdziła, że James przestaje jej ufać. Że się o nią boi.

- Co widziałaś? - Gwałtownym gestem wskazał burzę śnieżną. - Tam nic nie ma.

- Głowa mi pęka.

- Oboje mamy za sobą niewiarygodnie stresujący dzień. Wracajmy do domu. - Próbował ująć ją pod ramię, ale go odepchnęła. - Kate, proszę...

Kiedy już zajęła miejsce w samochodzie, James patrzył w lusterko, wjeżdżając na autostradę, podczas gdy Kate obserwowała zamarzną rzekę. Nad jej powierzchnią wirował śnieg. Kate potarła skronie.

James spojrzał na nią z z troskaniem.

- Czy to początki migreny?

- Tak mi się wydaje.

Miewała je dwa razy w roku. Czasami ból był tak silny, że musiała leżeć przez dwadzieścia cztery godziny. W żołądku jej się wtedy przewracało.

- Dziś wszystko jest do dupy.

Z powagą skinął głową, ale nie potrafił się powstrzymać. W charakterystyczny dla siebie sposób wybuchnął śmiechem. Po chwili śmiali się oboje. Był to napad takiego rodzaju czarnego humoru, który kiedy już dopadnie człowieka, wstrząsa nim i nie odpuszcza. Kate śmiała się tak głośno, że rozboleła ją żołądek. Czuła pulsowanie w skroniach.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział James ze łzami w oczach.

- Tylko dowieź nas do domu w jednym kawałku, ty wariacie.

Podczas burzy śnieżnej rzygacze wyglądały groźnie. Przyczaiły się w rogach budynku, jakby gotowe do skoku na niczego niepodejrzewającego przechodnia. Hol robił wrażenie znacznie mniej eleganckiego niż poprzedniego wieczoru. Kate i James już się nie śmiali. I nie mieli ochoty na żarty.

Drzwi do mieszkania lekko się zacięły, gdy James je otwierał. Kate weszła do salonu o wysokim suficie i opadła na kanapę.

- Kawy? - zapytał James z kuchni.
- Czy zostało trochę wina?
- Jest tylko heineken. Czy mam pójść po wino?
- Nie, kochanie. Zostań ze mną - poprosiła.

James wszedł do salonu i podał jej dwie tabletki aleve oraz butelkę wody.

- Proszę, weź to - odezwał się łagodnie.

Usiadł obok, gotów ją pocieszać, gdy nagle poczuła, że ma dość współczucia Jamesa, i zaczęła w pończochach krążyć po salonie. Dopadło ją poczucie klaustrofobii. Miała ochotę w coś uderzyć.

Śnieg przestał padać. Według prognozy pogody powłoka chmur miała się rozrzedzić do wczesnego popołudnia, Kate jednak nie chciała słońca. Wolała posępny mrok zimy. Miała ochotę skulić się w mroźnej kuli i niczego nikomu nie wyjaśniać.

Stała przed oknem wykuszowym z widokiem na aleję Massachusetts i obserwowała powoli jadące samochody. Słyszała świst ich opon. Kolejna oznaka migreny. Usiadła na kolanach Jamesa i zamknęła oczy.

- To był zły dzień, ale jakoś się z nim uporam. I będę po tym silniejsza.

- Mądra dziewczynka. - Pocałował ją w czoło i pogłaskał po głowie. Pod jego palcami rozsypały się upięte w kok włosy.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i westchnęła.

- Aż się boję ci powiedzieć, co zobaczyłam.

- Nie mam zamiaru cię osądzać, skarbie.

- Zobaczyłam moją siostrę, jak idzie do mnie poprzez śnieg... jakby próbowała mnie ostrzec.

- Wizualna halucynacja wynikająca z migreny.

- Też tak pomyślałam.

- W połączeniu z wirującymi płatkami śniegu wpływającymi na widzenie. W połączeniu z naszą groźną sytuacją na drodze. W połączeniu z bezsennością nocą...

- Kumam.

- Od dawna nie masz już koszmarów związanych z Savannah. Teraz jesteś w stanie silnego stresu, a śmierć Nikki była dla ciebie potwornym szokiem. To oczywiste, że wszystko się w tobie poruszyło.

- A więc nie zwariowałam?

- Nie, bo przecież bym to wiedział. Mam tytuł doktora i tak dalej.

Mimo bólu uśmiechnęła się.

- Słuchaj, Kate, mam pomysł. Po pogrzebie weźmy kilka dni wolnego i pojedźmy na Cape May.

Przewróciła oczami.

- Nie mogę nigdzie jechać. Czeka mnie jeszcze przesłuchanie przed komisją.

- Okej.

- A jeśli rodzice Nikki wystąpią z pozwem?

- Niech szpital się tym zajmie.

- Tak czy owak, nie będę w stanie odpoczywać, zanim wszystko

się nie wyjaśni. Przykro mi, że straciliśmy zaliczkę, James, ale wracam do pracy. Teraz nie mogę wyjechać.

Zmarszczył czoło.

- Posłuchaj, kochanie, jesteś oddanym ludziom lekarzem i to w tobie kocham. Ale nawet superbohaterowie mają swoje ograniczenia, prawda? Całą noc nie spałaś. Jest w tobie dużo napięcia. Nic dziwnego, że masz przywidzenia, bo w którymś momencie tama puszcza i...

- No, no - przerwała mu. - Bez pouczeń.

James westchnął.

- Mówię tylko, że od ponad roku nie byliśmy na wakacjach i że nie możesz tak funkcjonować. Oprócz tego uważam, że twój pracoholizm jest przejawem znacznie poważniejszego problemu...

- Szz... - Przyłożyła palce do jego warg. - Wszystko będzie dobrze.

- Ale...

- Obiecuję. Wszystko się ułoży. Po pogrzebie zarezerwujemy na koniec kwietnia następne dwutygodniowe wakacje. Przysięgam.

- Koniec kwietnia?

- Zrobię wszystko, co się da.

- Umowa stoi. - Pocałował ją. - Zapomnijmy o Sedonie, mieliśmy zbyt skromne plany. Polećmy do Cancún... albo na Kajmany.

Oparła się o Jamesa i słuchała, jak planuje ich wakacje. Było tak ciepło i przyjemnie, tylko oni dwoje. Aż się nie chciało ruszać.

Nagle James przerwał swą tyradę.

- O czym myślisz? - zapytał.

Przytuliła się do niego.

- Myślałam o tym okresie... wiesz, nie chcieli wpuścić mnie do kostnicy, bo byłam za mała. No to tata wszedł sam, ale zostawił

małą szparę w drzwiach i zobaczyłam, jak ona leży na stole okryta prześcieradłem, pamiętam też, że patrzyłam na podeszwy jej stóp. To śmieszne, bo zwykle nikt nie patrzy na stopy. Stopy Savannah były malutkie i sine, pamiętam, że pomyślałam, że to dziwne, ten ich kolor, taki ciemnoniebieski. No a potem pokazał się ten człowiek, patolog, zobaczył mnie i bardzo się rozgniewał. Ojciec musiał zabrać mnie do domu. W samochodzie nie odzywaliśmy się do siebie. A potem nigdy już o tym nie rozmawialiśmy.

Savannah została uprowadzona przez człowieka, który miał długą historię prowadzenia samochodu pod wpływem alkoholu i zatrzymań z powodu przemocy domowej, potwora, który zakopał ją żywą na podwórku na tyłach domu. Żywą. Kate nie mogła tego pojąć. Nawet teraz, po upływie tylu lat, z trudem tę myśl do siebie dopuszczała. *Zakopana żywcem.*

Zabójca Savannah czekał na wykonanie wyroku śmierci. Nazywał się Henry Blackwood. Brzmiało to jak nazwisko seryjnego zabójcy. Pasowało do niego. Kate nie cierpiała myślenia o nim, nie chciała uznać, że w ogóle istniał. Marzyła o tym, by wymazać go z pamięci całkowicie. Tymczasem następowała apelacja za apelacją, a Kate cały czas pragnęła, by to wszystko wreszcie się skończyło. I wkrótce się skończy - w przyszłym tygodniu miała się odbyć egzekucja. Istniała jednak grupa ludzi stojących na bakier z rozsądkiem - narwańców uszczęśliwiających innych na siłę i przeciwników kary śmierci - którzy ślepo wierzyli w jego niewinność. Jakimś cudem znajdowali adresy mejlowe Kate, które nieustannie zmieniała, i wzywali ją, by coś zrobiła i uratowała jego życie. Życie zabójcy jej siostry! Jakie to jest absurdalne! Jakie chore. Czasem marzyła o tym, by ich wszystkich trafił szlag. Trzymała jednak te myśli dla siebie, na półeczce obok sinych stóp Savannah.

Kilka godzin później James siedział przy komputerze w ich wspólnej „powierzchni biurowej”, a wyczerpana Kate przysiadła obok, wpatrując się w milczeniu w PDF nekrologu, jaki otrzymała od matki Nikki. Z tym nowym dylematem łączył się lekki niepokój. Elizabeth McCormack prosiła w mejlu, by na pogrzebie powiedziała kilka słów, a Kate nie miała pojęcia, od czego choćby zacząć. Co mogłaby powiedzieć bez wkraczania na zakazane terytorium? W relacji lekarz-pacjent wszystko jest chronione. Nikki umarłaby ze wstydu, gdyby rodzice usłyszeli choć połowę rzeczy, które o nich mówiła.

Zadzwonił dzwonek u drzwi.

- Otworzę! - zawołała Kate, wybiegając do holu.

W progu stała kobieta w średnim wieku, niska, o platynowych włosach, ubrana w granatową spódniczkę i bluzkę od Ann Taylor. Uśmiechała się przepraszająco.

- Dzień dobry, nazywam się Phyllis Wheaton i mieszkam piętro niżej, w 7D. Przepraszam, że przeszkadzam, ale sufit w łazience mi przecieka i jestem prawie pewna, że to od was.

- O nie! Proszę wejść. Mam na imię Kate. - Podały sobie ręce. - Miło mi panią poznać. Proszę poczekać sekundę, zaraz sprawdzę.

Kate pobiegła do łazienki, gdzie wokół sedesu, na wyłożonej kafelkami podłodze, utworzyła się kałuża. Z sedesu wydobywał się bulgoczący dźwięk.

- James! - zawołała. - Sedes przecieka.

James wybiegł z gabinetu, a Kate pospieszyła z powrotem do Phyllis Wheaton. Obie słyszały, jak James szarpie rączką spłuczki i usuwa jej wieko.

- Bardzo przepraszam - powiedziała Kate. - Zaraz wezwiemy hydraulika.

- Macie państwo kogoś?

- Raczej nie - odparła Kate. - Mieszkamy tu od niedawna. W poprzednim mieszkaniu w przypadku najmniejszej czkawki wzywaliśmy gospodarza.

Phyllis uśmiechnęła się i podała jej karteczkę.

- Pozwoliłam sobie na podanie państwu numeru mojego hydraulika, tak na wszelki wypadek. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu. Jest bardzo dobry.

- Wspaniale.

- Tymczasem trzeba zakręcić główny zawór. Czy wie pani jak?

Kate potrząsnęła głową.

- James - zawołała - czy wiesz, jak zakręcić główny zawór?

- Nie! - odkrzyknął.

Kate uśmiechnęła się przepaszająco.

- Czy można być bardziej bezradnym?

- Pokażę pani. Pod zlewem w kuchni jest zawór odcinający wodę.

Kate ruszyła za sąsiadką do kuchni i patrzyła, jak ta przykłęka i znajduje zawór, wyjaśniając, co robi.

- Gotowe - rzekła Phyllis. - Lada moment woda ze spłuczki powinna przestać lecieć. Czy coś się zniszczyło?

- Chyba nie. I przepraszam. Nie zauważyliśmy.

- Nie ma sprawy. - Phyllis wytarła rękę. - Proszę do mnie w razie potrzeby zadzwonić. Dopisałam tam swój numer.

Kate zerknęła na karteczkę.

- Dziękuję. - Odprowadziła sąsiadkę do drzwi i się z nią pożegnała, po czym zadzwoniła do hydraulika, który obiecał przyjść za godzinę. - Co jeszcze może pójść nie tak? - zapytała cicho.

Popatrzyła na Jamesa, który siedział przy laptopie i pisał jak szalony.

- Zadzwońłam do hydraulika - oznajmiła.
- Mamy hydraulika? - Uniósł głowę.
- Cóż, właściwie jest to hydraulik Phyllis, choć teraz jest nasz.
- Można mu ufać?
- Ufam jej. Potrafiła zakręcić zawór.

Wbrew jej oczekiwaniom James nie zażartował.

- Och, przestań. Zawór? Jestem pełen podziwu. Przepraszam, skarbie - dodał po sekundzie. - Jestem w środku piekła Agathy.

- Co tym razem?

- Zaatakowała Larry'ego Milroya, jednego z najspokojniejszych facetów, jakich znam, całkowity mięczak. Trzymała go jako zakładnika.

- Więc wracasz do pracy?

Z roztargnieniem skinął głową.

- Niedługo. Poproszono mnie o notatki z naszej ostatniej wspólnej sesji, a potem muszę wziąć udział w spotkaniu zespołu. Ale poczekam na naszego nowego hydraulika i może czegoś się od niego nauczę. A ty trochę odpoczniesz.

- Będziesz musiał mi wykręcić rękę.

- Dobrze - mruknął i szybko pisał dalej.

Kate postanowiła wyjąć stary plecak siostry, mimo że James nie lubił, gdy to robiła. Mawiał, że to tylko pobudza wyciąganie na wierzch wszystkich negatywnych emocji, które zdołała zamknąć w swym dorosłym mózgu. Kate jednak uważała, że ta czynność może mieć działanie terapeutyczne, ruszyła więc do sypialni, przyniosła kartonowe pudło z garderoby i uniosła wieko.

W pudełku znajdowały się rzeczy Kate z dzieciństwa: kartki z życzeniami urodzinowymi od matki, staroświeckie lalki, wypchane zwierzątka ze smętnymi uszami. Plecak Savannah leżał na dnie. Został uszyty z różowego płótna i miał skórzane

znoszone rączki o barwie suszonego mięsa.

Nasłuchiwała, czy James tu nie idzie, po czym wyjęła plecak i położyła go na kolanach. Przejrzała śmietnik w jego wnętrzu, rzeczy, które siostra uważała kiedyś za najważniejsze. Był tam duży fioletowy grzebień, paczka zwietrzałej gumy do żucia, lusterko Hello Kitty, notes zatytułowany „Koszmar przed Bożym Narodzeniem” i prawie pusta buteleczka po perfumach cytrusowych. Kate otworzyła buteleczkę i głęboko wciągnęła zapach w płuca: tak pachniała Savannah. Wyobraziła sobie jej twarzyczkę elfa, jej łobuzerskie oczy i skromny uśmiezek. „Ale ze mnie trąba. Beknęłam przy chłopaku, który mi się podoba”.

Uważnie oglądała jedną rzecz po drugiej, jakby tym razem miała odkryć coś nowego. Wyjęła z kieszonki skórzany pamiętnik i przerzuciła kartki. W ciągu minionych lat przeczytała pamiętnik siostry wielokrotnie. Wybrała przypadkowy fragment i studiowała drobne niewyraźne pismo.

„A co, gdybyś podczas wędrowki w lesie znalazła kamyk i okazałoby się, że to jest najcenniejszy kamień w świecie? Może wyglądał jak zwyczajny kamyk, ale nie był zwyczajny. A co, gdyby był Magicznym Kamykiem, który spełniłby twoje trzy życzenia?”

Albo pomyślcie o tym: co by było, gdybyście go zlekceważyli i poszli dalej? Hej, ty głuptasie! Straciłaś właśnie coś niewiarygodnego i chyba zdumiewającego. Wyobraź sobie, jak by wyglądało twoje życie, gdybyś podniosła ten kamyk? Trzy życzenia! Czego byście sobie życzyli? Ja bym chciała, żeby wróciła moja mama, żebym miała kucyka i żeby tatuś był szczęśliwy. Przyjaciele ciągle mnie pytają, dlaczego zbieram takie rzeczy jak kamyki, pióra, liście, muszle, chipsy ziemniaczane, kawałki skał. A ja im mówię: WY TEŻ POWINNIŚCIE TO ROBIĆ. Bo to coś może zmienić wasze życie na zawsze. Nigdy nie wiadomo”.

Kate uśmiechnęła się. Musi przestać się bać. Musi zacząć zbierać zwykłe kamyki, bo nigdy nie wiadomo.

Zadzwonił telefon, który szybko odebrała.

- Halo?

- Przepraszam, że panią niepokoję, ale mamy problem - odparła Tamara.

8

Kate udała się prosto do stanowiska pielęgniarek, gdzie czekała na nią Tamara, opierając ręce o szerokie biodra.

- Wiem, że potrzebne to pani jak dziura w moście, ale ona chce rozmawiać tylko z panią. - Zerknęła na dziewczynkę siedzącą w rogu poczekalni. - Powiedziała, że musi porozmawiać z doktor Wolfe. Pewnie zobaczyła identyfikator.

- Nie ma problemu. O co chodzi?

- Nazywa się Maddie Ward. Dziś rano przywiozła ją do nas matka, ale nie możemy jej znaleźć. Z nikim nie rozmawiała ani nie wypełniła koniecznych dokumentów. Nic.

Kate kiwnęła głową.

- Dobrze. Wyjaśnię to.

Krzyże nadal zdobiły szyję dziewczynki, różańce widniały na nadgarstkach. Gdy Kate się do niej zbliżyła, zauważyła coś, czego przedtem nie dostrzegła: na szyi i rękach Maddie były plastry.

- Cześć, jestem doktor Wolfe. Mogę usiąść?

- Okej - odrzekła cicho dziewczynka.

Kate zajęła miejsce.

- Mogę do ciebie mówić Maddie? Masz coś przeciwko temu?

Maddie nieśmiało kiwnęła głową za znak zgody, a Kate po raz kolejny uderzyło jej podobieństwo do Savannah: takie same zielone oczy, złociste włosy i lekko piegowata twarz. Pod jasną grzywką można było dostrzec wdowi szpic.

- Gdzie są twoi rodzice? - zapytała Kate.

- Mama pojechała.

- Aha. A gdzie pojechała?

- Do domu.

- Czy tu wróci?

- Nie wiem. - Maddie wzruszyła ramionami, bawiąc się swoimi różańcami.

- Po co ci ta biżuteria?

- Mama mówi, że dla ochrony.

- Naprawdę? - Kate zmarszczyła czoło. - Ochrony przed czym?

- Nie wiem - przyznała Maddie.

- No, no. Ona chyba naprawdę chce cię chronić.

Kate odniosła wrażenie, że Maddie posepnieje.

- Nie lubię ich - oznajmiła i zaczęła gorączkowo zdejmować różańce i krzyżyki, jakby za wszelką cenę chciała się ich pozbyć. Potem wręczyła swoją kolekcję Kate.

- Dobrze. Poproszę pielęgniarki, żeby ci to przechowały. Zaraz wrócę. - Zniosła ozdoby do stanowiska pielęgniarek i poprosiła o kopertę. Włożyła wszystko do środka, napisała na kopercie nazwisko Maddie, zakleiła kopertę i poleciła Tamarze, by schowała ją do skrytki razem z innymi rzeczami skonfiskowanymi od pacjentów. Pomyślała przy tym, że matka Maddie jest zapewne fanatyczką religijną, więc reakcję dziewczynki można uznać za całkowicie normalną.

Maddie uśmiechnęła się, gdy Kate usiadła na poprzednim miejscu.

- Jeśli zechcesz je odzyskać, tylko powiedz.

- Nie chcę ich. Nigdy.

- A więc mama przywiozła cię tu rano i wróciła do domu? - Gdy dziewczynka skinęła głową, dodała: - Nie wolno jej tego robić, Maddie. Wszystkich obowiązują przepisy. Nie powinna tak tu ciebie po prostu zostawić. Muszę z nią porozmawiać. Możesz mi podać numer telefonu domowego?

Dziewczynka szybko wyrecytowała numer. Kate rozpoznała

kierunkowy.

- Mieszkasz w Blunt River, w New Hampshire?

- W Wilamette.

- Ojej. To już za rzeką. Daleko jest ten twój dom.

Maddie wzruszyła ramionami.

Wilamette sąsiadowało z rodzinnym miasteczkiem Kate, lecz oba te rejony dzieliła olbrzymia przepaść społeczna i ekonomiczna. Wilamette nadal było tą „brzydszą siostrą” Blunt River.

- Jesteśmy w gruncie rzeczy sąsiadkami - powiedziała Kate. - Ja wychowywałam się w Blunt River.

Maddie uśmiechnęła się.

- Poczekaj tutaj. Zaraz wrócę. - Kate opuściła poczekalnię i zatrzymała się na korytarzu, gdzie sygnał był silniejszy.

Wykręciła domowy numer Maddie.

- Halo? - odezwał się szeleszczący głos kobiety.

- Pani Ward? Tu doktor Wolfe. Dzwonię ze szpitala Tillmanna-Stafforda. Zostawiła pani dzisiaj córkę w naszej izbie przyjęć, więc chciałabym...

Trzask odkładanej słuchawki. Kate popatrzyła na telefon i nacisnęła przycisk ponownego wybierania.

- Halo? - zapytał ten sam głos.

- Przepraszam, coś nas rozłączyło. Czy może to pani odłożyła słuchawkę?

- Czego pani chce? - warknęła kobieta.

Kate była zaskoczona, ale nie po raz pierwszy miała do czynienia z rodzicem, który nie chce współpracować.

- Pani córka cały dzień siedzi u nas w poczekalni. Czy rano to pani ją przywiozła?

- Ona jest chora. Potrzebuje pomocy.

- To jest oddział psychiatryczny. Czy trzeba ją przyjąć na internie?

- Nie. Jest chora na głowę.

- Przepraszam, pani Ward, ale...

- Tak, słucham. - Miała suchy głos palacza.

- Dlaczego nie dopilnowała pani, żeby córka została przyjęta na oddział? Co się dzieje?

- Nie wiem, co powiedzieć.

Kate wyobraziła sobie panią Ward jako jedną z kobiet z jej miasteczka, którym się w życiu nie powiodło, które źle wyszły za mąż albo skończyły edukację z powodu ciąży, które głodziły się, by kupić sobie karton papierosów, ale starały się zaspokoić potrzeby swoich dzieci. Kochały je bez pamięci, ale nie miały pojęcia, jak być dobrymi matkami i dawały im klapsa w sklepie, gdy krzyczały lub marudziły, a potem tylko czekały, by ktoś z klientów lub obsługi zwrócił im uwagę. Niech ten, co jest bez grzechu, pierwszy rzuci kamieniem. Ich życie wymykało się spod kontroli, ponieważ nie potrafiły oderwać się od swej burzliwej przeszłości.

- Nie może pani tak po prostu jej tu zostawić i wracać do domu. Musimy przestrzegać procedur. Wypełnić formularze. Pani i mąż powinniście tu przyjechać i omówić z nami sytuację Maddie. W innym razie musicie zabrać ją do domu. Nie chcę być zmuszona do wzywania służb opieki społecznej, ale...

- Okej - przerwała jej kobieta. - Przyjadę.

- Razem z mężem? - Kate obawiała się, że kobieta może być nieźrównoważona psychicznie, toteż chciała spotkać się z obojgiem.

- Taa, okej.

- Dobrze. O której może pani tu przyjechać?

- Mogę być o czwartej.

- Dobrze, do zobaczenia o czwartej po południu. A ja postaram się, żeby Maddie dostała coś do jedzenia i...

Trzask słuchawki.

- Co do cholery...? - Kate wpatrywała się w telefon. - Co z tobą jest nie tak, moja pani?

Chwilę trwało, zanim zdołała dojść do siebie i przeistoczyć się z powrotem w Kate profesjonalistkę. Czasami okazywało się, że rodzice są w znacznie gorszym stanie psychicznym niż targani wewnętrznym niepokojem pacjenci.

Gdy wróciła do poczekalni, Maddie siedziała na kanapie w tej samej pozycji, tyle że teraz dźgała się ołówkiem. Delikatnie. Nieświadomie. Poprzez materiał dzinsów wbijała ostry koniec ołówka w udo.

Kate nie chciała jej przestraszyć.

- Maddie? Wezmę to od ciebie.

Ręka dziewczynki zawisała w powietrzu.

- Nie przyjadą, prawda?

- Będą tu o czwartej.

- Nie, nie będą. - Maddie dźgnęła trochę mocniej lewe udo. Na dzinsach ukazała się kropelka krwi.

- Daj mi to. Natychmiast.

Dziewczynka znieruchomiała i popatrzyła na ołówek takim wzrokiem, jakby nie miała pojęcia, jakim cudem znalazł się w jej ręce.

- Wezmę go.

Po chwili Maddie wręczyła jej ołówek. Na graficie była krew.

Kate przywołała Yvette. Pielęgniarki czasem wzbudzały nadmierny respekt, ale były nieocenione w pracy z dziećmi.

- Co się dzieje, pani doktor? - zapytała Yvette, zbliżając się.

- Musimy ją przyjąć. Tnie się. - Kate uniosła zakrwawiony ołówek.

Yvette włożyła rękawiczki i zawołała:

- Tamara!

Znajdujące się w pobliżu pielęgniarki wydały zbiorowe westchnienie, choć żaden pacjent by tego nie usłyszał. Aha, zdawały się mówić unisono, znowu cięcie.

Yvette pochyliła się.

- Zraniłaś się, kochana. Krew ci leci. To jest szpital. Pomożemy ci.

Dziewczynka bawiła się nerwowo blond grzywką i długim końskim ogonem. Rzuciła pełne zwątpienia spojrzenie na Kate. Lekko się zaczerwieniła, przypominając w tym rozkwitającą różę.

- Musimy zakleić to plasterkiem, żeby się nie wdało zakażenie - tłumaczyła Yvette. - Dobrze?

- Czy oni naprawdę przyjadą? - Maddie zapytała Kate.

- Twoja mama powiedziała, że będzie tu o czwartej.

- Proszę nie spodziewać się zbyt wiele.

Kate wzdrygnęła się. Tak mówią ludzie już dorośli.

Yvette wyciągnęła rękę.

- Czy pójdziesz ze mną, młoda damo?

Maddie zgarnęła kurtkę i podniosła się z kanapy ruchem skazańca.

9

W ludziach psychicznie chorych można dostrzec coś niepokojąco prawdziwego. Jest w nich coś w rodzaju klarowności, której brakuje większości z nas, posiadają umiejętność lekceważenia bzdur i mówienia dokładnie tego, co mają na myśli, bez względu na to, jak bardzo wypaczona jest ich osobowość i jak bardzo są zdezorientowani. Nawet ich urojenia nie są pozbawione sensu oraz elementów prawdy.

Pokój badań numer cztery był amalgamatem sterylnych odkażonych powierzchni. Nie brakowało w nim materiałów medycznych takich jak depresory języka, patyczki higieniczne, bandaże z gazy, taśmy chirurgiczne.

Maddie siedziała na wyściełanym stole, machając bosymi nogami, z rękami sztywno opartymi o kolana, by utrzymać w miejscu papierową koszulę szpitalną. Sprawiała wrażenie bardziej zaciekawionej niż przestraszonej.

Liczne blizny i strupki na chudym ciele dziewczynki oświetlały ostre lampy fluorescencyjne. Kate naliczyła co najmniej pięćdziesiąt starych ranek i sporo nowych, głównie zadrapań i małych cięć kłutych. Czy Maddie robiła je sama, czy też powstały na skutek przemocy, pozostawało do ustalenia.

Yvette przewróciła oczami z niesmakiem, kończąc bandażowanie świeżych ran.

- Dałam jej tylenol dla dzieci. Umieszczę ją w dwójce do czasu, aż zostanie przyjęta.

- Jeśli w ogóle zostanie przyjęta - poprawiła ją Kate.

- Jeśli to dziecko nie zostanie przyjęte do wieczora, sama wezwę opiekę społeczną. - Yvette opuściła pomieszczenie

naburmuszona.

Gdy zostały same, Maddie zapytała:

- A pani jest lekarzem od czego?
 - Jestem psychiatrą.
 - Aha. - Dziewczynka potarła nos.
 - Dlaczego? Co ci się nie podoba?
 - Nie lubię psychiatrów.
 - Dlaczego? - Kate uśmiechnęła się.
 - Po prostu nie lubię. - Wzruszyła ramionami.
 - U ilu już psychiatrów byłaś, Maddie?
 - Trzech.
 - W Wilamette?
 - W Blunt River. W szpitalu.
 - I żaden psychiatra ci się nie spodobał?
 - Najgorszy był doktor Quillin. Śmiesznie pachniał.
- Kate nie mogła powstrzymać śmiechu.

- No cóż, prawda wygląda tak, że my, lekarze, jesteśmy tylko ludźmi. Mimo białych fartuchów i różnych stopni naukowych wszyscy mamy wady. Na przykład mnie burczy w brzuchu, kiedy jestem głodna. I to czasem... naprawdę głośno.

- Mnie też. - Maddie zachichotała. - Trochę się wtedy wstydzę.
- Mój żołądek ryczy jak lew.
- A mój bardziej jak wkurzony borsuk.

Obie serdecznie się z tego uśmieły.

- W takim razie powiedz mi coś o doktorze Quillinie. Oprócz tego śmiesznego zapachu.

Maddie zmarszczyła nos.

- Nazywał siebie „profesjonalnym słuchaczem”. Gadać miałam tylko ja, ale mama powiedziała: „Nie płacę panu za słuchanie! Płacę, żeby ją naprawić!”. No i zaprowadziła mnie do doktora

Hoanga. On też nie potrafił mnie naprawić. Ani doktor Madison.

- Właściwie - wtrąciła Kate - psychiatrzy nie naprawiają ludzi. Maddie sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Nie?

- Nie mamy takiej mocy. Widzisz? - Wyciągnęła w górę rękę. - Nie mam czarodziejskiej różdżki. Nie mam złotego pyłu. Nie mogę rzucać zaklęć. Nie potrafię cię naprawić sama, ale mogę ci pomóc naprawić siebie. I jestem przekonana, że to działa, bo widziałam to na własne oczy.

Dziewczynka uśmiechnęła się z nadzieją.

- Czy mogę cię o coś zapytać? - odezwała się Kate. - Czy czasem widzisz coś, czego nie widzą inni? Masz jakieś wizje? Widzisz aniołów? Albo coś strasznego?

Maddie potrząsnęła głową.

- A głosy? Słyszysz w głowie głosy?

- Tylko jeden - przyznała dziewczynka.

- Jeden? I co on mówi? - ciągnęła Kate.

- Brzydkie rzeczy.

- Na przykład jakie?

- Mówi mi, że jestem głupia, tępa i paskudna. Coś takiego.

- Aha. - Kate kiwnęła głową. - A jak ten głos brzmi?

- Jak... Uhm...

- Jest męski? Żeński?

Maddie wzruszyła ramionami.

- To głos chłopca? Dziewczynki? Łagodny? Dziecięcy?

Maddie niemo potrząsnęła głową.

- Jest taki bardziej dorosły?

Maddie skinęła głową.

- Dorosły? Okej. Ale nie wiesz, czy jest męski, czy żeński?

Maddie milczała.

- Czy to głos jakiejś postaci z telewizji? - ciągnęła Kate. - Czy może osoby, którą znasz? Nauczyciela lub krewnego? A może ojca?

Maddie nadal milczała. Na jej nogach pojawiła się gęsia skórka. Kate wyczuła, że dziewczynka doskonale wie, jak brzmi głos, ale jeszcze nie jest gotowa tego ujawnić.

- Czy ten głos ci czasem mówi, żebyś się zraniła?

- Zimno mi.

- Maddie...

- Tu jest zimno.

Kate postanowiła nie naciskać. Czasami trzeba z czegoś zrezygnować. Wielu nowych pacjentów łatwo popada w przerażenie i jeśli zostaną przyparci do muru, można stracić ich na zawsze.

Owinęła nogi Maddie szpitalnym pledem.

- Pogadamy o tym kiedy indziej. Możesz się teraz ubrać. Zaraz tu przyjdzie pielęgniarka. Jesteś głodna?

Maddie ożywiła się.

- Burczało mi w żołądku - oznajmiła z podnieceniem, przykładając ręce do brzucha. - Słyszała pani?

Kate wzięła kartę pacjenta i ruszyła w stronę drzwi.

- Pielęgniarka zaprowadzi cię do kafeterii. Mają tam pizzę i różne inne rzeczy.

Odwróciła się i opuściła pokój, notując coś po drodze, i dopiero na korytarzu zdała sobie sprawę ze swojego błędu. Zawiodła pacjentkę. Ich jedyna wspólna sprawa - burczenie w żołądku - nie wywołała w niej reakcji. Nie reagując na ich prywatny dowcip, Kate zareagowała jak typowy lekarz. Co gorsza, zareagowała jak jej ojciec. To odkrycie nią wstrząsnęło.

Jednocześnie jednak nie wolno zbyt zbliżać się do pacjenta,

bo może poczuć się zdezorientowany. Role się zlewają. Granice zacierają. Jak blisko jest już za blisko? Do zadań Kate należało utrzymanie zdrowych relacji lekarz-pacjent i ustalenie granic. Niemniej słyszała, jak w udręczonej głowie Maddie obracają się trybiki. „Dlaczego to nie pani zabierze mnie do kafeterii, doktor Wolfe? Dlaczego opuszcza mnie pani w chwili, kiedy zaczęłam panią lubić?”. Od psychiatry oczekuje się, by wydobył najgłębsze informacje z pacjenta, a jednak ich relacja nie może się stać zbyt osobista. To czysta ekwilibrystyka.

Claire, dyżurująca pielęgniarka, siedziała w pokoju wypoczynkowym, wymieniając ze swym chłopakiem esemesy. Kate poinformowała ją o stanie Maddie i poprosiła, by zaprowadziła nową pacjentkę do kafeterii. Potem poszła do swego gabinetu na pierwszym piętrze i zadzwoniła do Jamesa.

- Wiesz co? Mam nową pacjentkę - oznajmiła. - Tnie się, słyszy głosy. No, co najmniej jeden głos, który brzmi jak głos osoby dorosłej o nieokreślonej płci. Dziś rano przywiozła ją tu matka i zostawiła samą...

- A więc... znów w swoim żywiole, co? - powiedział przytłumionym głosem.

Domyśliła się, że nie jest tym zachwycony.

- Poprosiła o spotkanie ze mną - wyjaśniła. - Widziałyśmy się rano. Okazuje się, że nie lubi psychiatrów facetów. Między innymi mają dziwny zapach. Ale słuchaj, to chyba dobrze, nie? To mi pomoże uwolnić się od kłopotów.

- Chyba tak - mruknął.

- Nie mogę tak po prostu siedzieć i palcami kręcić młynka - powiedziała defensywnym tonem.

- Nikt nie sugeruje ci kręcenia młynków.

- A poza tym ona mnie potrzebuje.

- Oni wszyscy nas potrzebują, Kate. Nie daj się wciągnąć w tę pułapkę. Przepraszam, ale mam ręce pełne roboty. Przyszedł hydraulik.

- Czy wygląda na człowieka, który wie, co robi?

- Więcej niż ja. Już prawie kończy. Potem jadę do szpitala.

- Na spotkanie zespołu?

- Tak. Ciąg dalszy dramatu Agathy. Pogadamy o tym później. Zrób mi jednak przysługę. Kiedy ukierunkujesz tę pacjentkę, wróć do domu. Okej? Obiecuj.

- Obiecuję.

- Kocham cię.

- Nara.

Czekając na panią Ward, Kate uzupełniała zaległości w pracy i przywracała swoje sesje terapeutyczne. Zostały rozdzielone między innych psychiatrów na oddziale, ale ponieważ jej wakacje zostały przełożone, Kate postanowiła od razu podjąć stałe obowiązki. Przeciężeni pracą koledzy byli jej bardziej niż wdzięczni.

Okolo trzeciej po południu zadzwonił telefon.

- Jestem na parkingu - odezwała się pani Ward suchym głosem.

Kate zerknęła na zegarek.

- Myślałam, że umówiliśmy się na czwartą?

- No tak, ale już tu jestem, nie? - warknęła pani Ward.

Kate bezgłośnie westchnęła.

- Mój gabinet jest na pierwszym piętrze. Proszę kierować się znakami do łącznika dla pieszych i...

- Nie, pani mnie nie zrozumiała. Nie pójdę do pani.

- Przepraszam, ale nie rozumiem.

- Nie wejdę do szpitala.

Kate wstała od biurka i podeszła do okna. Po przeciwnej stronie

dobrze utrzymanego dziedzińca wzniesiono wielopiętrowy szpitalny parking. Sześć łączników o szklanych ścianach zapewniało pieszym bezpieczne przejście do zachodniego skrzydła szpitala ze wszystkich poziomów parkingu.

- Pani Ward, proszę. Musimy omówić przypadek Maddie...

- Powiedziałam, że nie wejdę do szpitala! - przerwała jej kobieta podniesionym głosem.

No dobra. Nosokomefobia, czyli lęk przed szpitalami, do tego obsesje religijne. Aj, oj! Weź głęboki oddech.

- Gdzie pani jest? - zapytała Kate.

- Drugi poziom. Od północy. Obok klatki schodowej.

- Już do pani idę.

Matka Maddie siedziała za kierownicą toyoty camry stojącej na jałowym biegu, ozdobionej naklejkami parków rozrywki Six Flags. Samochód z pracującym silnikiem stał zwrócony przodem do wyjazdu, jakby pani Ward była gotowa do ucieczki. Miała na sobie różowe dresy firmy Gap i wyglądała na osobę zagubioną. Siedziała, trzymając się rękami kierownicy. Kate odniosła wrażenie, że skądś ją zna.

- Dzień dobry! - Zastukała w szybę. - Pani Ward?

Kobieta otworzyła okno. Miała trzydzieści kilka lat, krótkie ciemne włosy i nosiła duże okulary przeciwsłoneczne, które zakrywały oczy. Twarz była chuda, a nos wyglądał tak, jakby w przeszłości był złamany. Na szyi kobiety Kate zauważyła kilka małych zielonkawych siniaków. Była w niej suchość - sucha skóra, suche włosy - która uzupełniała niezwykłą szorstkość głosu. W jej sposobie bycia Kate dostrzegła niepewność i lęk maltretowanej kobiety, która zbiera cięgi całe życie.

- Gdzie jest mąż? - zapytała Kate.

- Często wyjeżdża, i to na dłużej. Właśnie wrócił

z trzytygodniowego kursu. Śpi jak zabity na kanapie. Nie chciałam go budzić.

- Nawet z powodu tak ważnego jak ten?

- Z żadnego powodu.

- Dlaczego? Byłby zły?

Pani Ward popatrzyła na Kate.

- Proszę posłuchać. Przyjechałam tu, jak pani chciała. Jestem tylko ja. Koniec historii.

- No dobrze. Możemy porozmawiać w moim gabinecie - odrzekła Kate stanowczym tonem. - Proszę pójść ze mną.

- Nie - odparła pani Ward równie stanowczo i przez okno podała Kate ciężką, zniszczoną torbę na zakupy. - Proszę to wziąć.

Kate się zawahała.

- Co to jest?

- Ubrania. Dla Maddie. Proszę.

Kate nie wyciągnęła ręki, więc pani Ward rzuciła torbę na ziemię. Torba wylądowała w tłustej kałuży.

Kate ją podniosła.

- Nie może pani tak po prostu zostawić tutaj córki. Musimy omówić sytuację i ocenić jej stan. A potem, jeśli zdecydujemy się przyjąć Maddie, będzie pani musiała wypełnić kilka dokumentów...

- Proszę pokazać mi te dokumenty. Zaraz je wypełnię.

Sfrustrowana Kate cofnęła się o krok, walcząc z pokusą, by wrócić do gabinetu, uznała jednak, że ma być może jedyną szansę, by uzyskać podpis matki Maddie. Wyjęła więc telefon, zadzwoniła do stanowiska pielęgniarek i poprosiła Yvette o przyniesienie kwestionariuszy.

Potem pochyliła się w stronę okna i zapytała:

- Co się dzieje, pani Ward?

- Nelly.

- Czy dobrze się pani czuje, Nelly? Czy w domu wszystko jest w porządku?

- Przyjechałam tutaj w sprawie córki.

- Co się dzieje z Maddie? Zauważyliśmy w sali przyjęć, jak się cięła. Kłuła się ołówkiem w udo. Na jej ciele znaleźliśmy dziesiątki blizn.

- Ona tak robi - wyrzuciła z siebie Nelly. - Już mówiłam, że jest chora na głowę. Opętana albo co.

- Maddie może cierpieć na jakieś zaburzenia psychiczne, a samookaleczanie bywa wczesną oznaką załamania - wyjaśniła Kate.

Nelly nacisnęła pedał gazu i samochód skoczył do przodu, a zdumiona Kate szybko się cofnęła w stronę cementowej przegrody. O mały włos się nie wywróciła.

Nelly nacisnęła na hamulec i zawołała:

- Pani myśli, że to dla mnie łatwe, tak?

Wstrząśnięta Kate usiłowała odzyskać równowagę. Ta kobieta omal jej nie potrąciła. Wzięła głęboki oddech i przypomniała sobie, że tu nie chodzi o nią czy panią Ward. Chodzi o Maddie.

- Nie, nie sędzę, żeby to było łatwe - odparła. - Proszę zostać. Zaraz ktoś przyniesie te papiery.

Nelly siedziała za kierownicą, drżąc.

- Czy pani będzie jej lekarzem?

- Nie, jeśli pani sobie tego zażyczy.

- Wręcz przeciwnie. - Nelly patrzyła przed siebie. - Może potrafi pani jej pomóc.

- Czy mogłaby pani powiedzieć mi coś więcej? Potrzebujemy dodatkowych informacji na temat choroby Maddie, opisów

symptomów. Kiedy to się zaczęło? Dlaczego pani uważa, że córka jest opętana?

- Nie słucha rozumu. Zamyka się w pokoju i nie chce wyjść. Nienawidzi swojego ojca i mnie. Gromadzi rzeczy jak chomik. Gryzie i się tnie. Nie chodzi do szkoły. Słyszy rzeczy, których ja nie słyszę, a to mnie śmiertelnie przeraża. Ja już zaczynam wariować. No to przywiozłam ją tutaj, bo wiem, że dobrze się nią zajmiecie.

Na parking wbiegła Yvette. Jej identyfikator na smyczy latał na wszystkie strony. Zasapana przystanęła gwałtownie obok Kate i wcisnęła jej do ręki papiery.

- Czy to wszystko, czego potrzebujesz? - zapytała, ciężko dysząc.

- Tak. Serdeczne dzięki, Yvette.

- To dobrze, bo więcej tego nie zrobię. - Yvette kiwnęła głową Nelly i ruszyła w stronę szpitala majestatycznym władcym krokiem pielęgniarki psychiatrycznej.

- Okej - odezwała się Kate, przerzucając kartki formularza. - Musimy przyjąć Maddie na obserwację. Ona najwyraźniej jest groźna dla samej siebie. Proszę tu wpisać adres domowy i drugi numer telefonu, pod którym w razie konieczności można się z panią skontaktować. I może jednak zdecyduje się pani wejść do mnie do gabinetu, żebyśmy mogły omówić sposoby leczenia. Bardzo by nam pomogło, gdyby...

- Długopis - warknęła Nelly, wyciągnęła przez okno chudą posiniaczoną rękę i zamachała nią z przesadną niecierpliwością. - My mamy tylko jeden telefon. Nie stać nas na komórki czy te wszystkie inne.

- Proszę. - Kate podała jej długopis z odpowiednią kartką i obserwowała, jak Nelly składa podpis na wykropkowanej linii.

- To wszystko?

- Jeszcze dzisiejsza data - odparła Kate. - Potrzebny jest mi także numer ubezpieczenia zdrowotnego. I proszę podpisać. Tutaj. I jeszcze tu. - Przez okno wskazywała Nelly odpowiednie miejsca. - A gdyby mogła pani jeszcze wypełnić jej historię chorób, problemy zdrowotne...

- Maddie była zdrowym dzieckiem. Co jeszcze? Może to już koniec?

- Jeszcze tu - wskazała Kate. - No i HIPAA[3]. Na ostatniej stronie. W dwóch miejscach. Znakomicie.

Nelly skończyła podpisywanie i wręczyła dokumenty Kate.

- No to już? W porządku?

- Tak.

Kate podjęła kolejną próbę - nie by sądziła, że tym razem się powiedzie, lecz aby mogła stwierdzić, że starała się zapewnić Maddie odpowiedni standard opieki.

- A może jednak wejdzie pani do środka? Choć na chwilę? Im więcej informacji będę miała, tym lepiej.

Nelly westchnęła i poprawiła rękę na kierownicy.

- To była dobra dziewczyna. Bystra jakich mało. Ale teraz jest z nią ciężko. Tęsknię za moją małą córeczką. Chcę, żeby wróciła.

- W porządku. Możemy potrzymać ją na obserwacji do tygodnia...

- Ona jest zdrowa. Miała wszystkie szczepienia. Bardzo tego pilnowałam.

- Ten kwestionariusz pozwoli nam przyjąć ją na obserwację na tydzień, góra dziesięć dni, ale chciałabym, żeby jutro pani i mąż przyszli na spotkanie...

- Mogę już jechać?

Kate zaczerpnęła powietrza.

- Może jutro po południu?

Nelly zdjęła okulary i przetarła oczy, po raz pierwszy pokazując twarz. Kate patrzyła na nią zszokowana. Nelly chyba niczego nie zauważyła, bo powiedziała tylko:

- Proszę, zajmijcie się dobrze moją dziewczynką. Pomóżcie jej, bo ja już nie mogę. - Zwolniła hamulec ręczny i ruszyła przed siebie w chmurze pyłu.

- Proszę poczekać!

Samochód zniknął za zakrętem. Kate słyszała tylko pisk opon toyoty na zakrętach dużego parkingu. Potem popatrzyła na krzywy podpis i poczuła, że robi jej się niedobrze. Nelly Ward. Tyle tylko, że tak się nie nazywała, gdy widziała ją po raz ostatni.

W szkole średniej nazywała się Penelope Blackwood i była bratanicą Henry'ego Blackwooda, zabójcy Savannah.

Mimo że kręciło jej się w głowie, Kate ruszyła za toyotą. Szybko pokonała betonowe schody prowadzące na parter, a potem przebiegła przez wybrukowany cegłą dziedziniec. Gdy jednak dotarła do bramy głównej, po Nelly Ward nie było już śladu.

10

Znalazła Jamesa na Oddziale Psychiatrycznym dla Dorosłych, gdzie leczono pacjentów agresywnych. Stał przed drzwiami pokoju time-out, zaglądając do środka przez małe okienko. W pokoju tym pacjenci mogli wrzeszczeć i innymi sposobami wyładowywać wściekłość bez szkody dla siebie, bo ściany zostały wyłożone gąbką.

- Cześć - powiedziała.

James spojrzał na nią roztargniony.

- Kate? Coś się stało?

- Tak. Moglibyśmy porozmawiać?

- Daj mi sekundę. - Powiedział coś do trzymającego notatnik rezydenta na temat pacjenta w pokoju, mężczyzny w średnim wieku, który nigdy się nie uśmiechał i rzadko ruszał, teraz jednak brał odwet na całym świecie.

James zaprowadził Kate do pokoju wypoczynkowego, gdzie przez zbrojone drutem okna przenikało słońce.

Większość pacjentów krążących po sfatygowanym wspólnym pomieszczeniu była pod wpływem dużych dawek leków. Meble były tu przyśrubowane do podłogi, obrazy przyklejone do ścian.

- Co się dzieje? - spytał zaniepokojony.

- Moja nowa pacjentka, chyba ci o niej mówiłam? Otóż jej matka właśnie podpisała formularze przyjęcia. Podpisała się jako Nelly Ward. Początkowo jej nie poznałam, ale kiedy zdjęła ciemne okulary, zdałam sobie sprawę, że chodziłam z nią do szkoły. Bardzo się postarzała i farbuje włosy na ciemno, ale to na pewno ona. Wtedy nazywała się Penelope Blackwood. W skrócie Penny. Jest bratanicą Henry'ego Blackwooda.

- Jesteś pewna?

- Ona mieszka w Wilamette, po drugiej stronie rzeki, dokładnie naprzeciwko miejsca, w którym wyrastałam. A w Blunt River było niewielu Blackwoodów, o których słyszałam. Henry Blackwood i rodzina jego brata.

James potarł policzek.

- Czy pytałaś ją o to?

- Nie. Już jej nie było, kiedy uświadomiłam sobie, kim jest. I w tym rzecz. Tej nocy, kiedy zginęła Savannah, Blackwood przez cały czas był ze swoją bratanicą Penny. To ona zapewniła mu alibi. Jednak podczas rozprawy Penny oświadczyła pod przysięgą, że stryj zniknął na sześć godzin. Musiała też później zmienić imię z Penny na Nelly. - Kate potrząsnęła głową. - Nie rozumiem. Dlaczego jechała taki kawał drogi tylko po to, żeby zostawić córkę w moim szpitalu? Ona wie, kim jestem, prawda? Nie zmieniłam imienia ani nazwiska. Nie staram się ukryć swojej tożsamości. Oprócz tego po drugiej stronie rzeki jest znakomity oddział psychiatryczny i pracuje tam kilka dobrych lekarek psychiatrów, więc dlaczego wybrała mnie? To nie ma sensu.

- Oddychaj głęboko.

Kate wyprostowała się.

- Mam głęboko oddychać?

- Wyglądasz na zdenerwowaną.

- Bo jestem zdenerwowana.

Kilku pacjentów odwróciło się w ich stronę.

- Chodź tutaj - szepnął, prowadząc ją do najdalszego kąta w pomieszczeniu. - Przepraszam, ale musisz się uspokoić. Jest w tobie mnóstwo napięcia, a to nie pomaga.

- To jest absolutnie normalna reakcja na bardzo nieprzyjemne spotkanie.

Popatrzył na nią ze współczuciem.

- Świat jest pełen świrów, Kate. Oboje o tym wiemy. Może ona nie chciała być nieprzyjemna? Może to spotkanie było bardziej niewinne niż okropne? Chciałem przez to powiedzieć, że twoja opinia cię wyprzedza. Nie codziennie dostaje się nagrodę APA. Penny... Nelly... czy jak tam ona się nazywa... pewnie przeczytała w „Globe” artykuł na twój temat i przypomniała sobie, że zna cię ze szkoły. No a teraz ona ma bardzo chore dziecko, które potrzebuje dobrego psychiatry, i jest zdesperowana... więc sobie pomyślała, że okej, zawiezie swoje dziecko do tej lekarki. Czy to jest nieprzekonujące? No i ta kobieta zostawia psychicznie chorą córkę w szpitalu, w którym pracujesz, bo przeczytała w artykule, że osiągasz znakomite rezultaty.

- Jeśli to prawda, to po co ta cała tajemniczość? Dlaczego nie powiedzieć tego wprost?

- Może obawiała się, że nie zechcesz leczyć jej córki, jeśli poznasz prawdę?

Kate zmarszczyła czoło.

- Pewnie bym się nie zgodziła.

- Ooo. Widzisz? To dlatego ci nie powiedziała. - Kate milczała, a James ujął jej rękę. - Nosisz mój pierścionek.

- Nie miałam czasu zastanowić się, czy ten palec swędzi mnie, czy nie.

James uśmiechnął się znacząco.

- Może gdybyśmy nazwali go pierścionkiem zaręczynowym...

- Znow próbujesz mnie wkurzyć?

- Nie, na dziś już wyczerpałem limit. - Na jego twarzy znowu pojawił się ten na poły ironiczny uśmiezek, który zawsze podnosił ją na duchu. - Życie w dziwny sposób nam dowala.

- A więc mam przejebane? To miałeś na myśli?

- Nie, głuptasku. Oboje mamy przejebane.

Uśmiechnęła się lekko.

- Przestań gadać.

- Wstrzyknij sobie w żyły trochę ironii, szybko.

- Przestań gadać, ty idioto.

- Możesz obrażać mnie, ile chcesz. No już, do roboty. Zniosę wszystko.

- Dupek.

- Świetnie. Lepiej ci?

- Chyba tak.

- Polecam się. Tylko spokojnie, dobrze? - Pogłaskał ją po policzku. - Bądź moją bohaterką, Kate. Musisz być dla mnie silna.

- Taa, jestem pieprzoną Larą Croft[4].

- Jesteś Larą Croft. Co oznacza, że ja sypiam z Larą Croft.

- O rany. Mój chłopak jest przezabawny.

- Do zobaczenia wieczorem, skarbie. - Szturchnął ją delikatnie pięścią.

Kate zatrzymała się.

- Muszę przyjąć Maddie, mogę więc się trochę spóźnić.

- Trochę, tak? - Uśmiechnął się cynicznie. - Już to słyszałem.

- Okej. To się spóźnię dużo. - James milczał, więc dodała: - No co, przecież oboje się na to pisaliśmy, prawda?

Kiwnął głową.

- Nie martw się. Tylko uważaj na siebie, Kate.

- Zadzwoń do ciebie później, skarbie.

Kate spędziła resztę popołudnia i część wieczoru z Maddie Ward, która, jak się okazało, miała nie lat dwanaście, jak Kate zakładała, ale ponad czternaście. Maddie wydawała się bardzo infantylna na swój wiek, co Kate zaniepokoiło. W jej głowie zapaliły się ostrzegawcze światełka. Opóźniona dojrzałość płciowa jest dość powszechna i ma wiele przyczyn – genetycznych, hormonalnych i środowiskowych. Czasami gwałtowny wzrost u dziewczynek przypada już na jedenasty lub dopiero osiemnasty rok życia. Maddie jednak była mała na swój wiek, bez rozwojowych cech typowych dla nastolatek. Nie miała jeszcze nawet miesiączki, więc jej niedojrzałość mogła sugerować, że stosowano wobec niej przemoc.

Zabrano Maddie różową koszulkę, džinsy, plecak i kurtkę z gęsiego puchu. Miała na sobie piżamę, którą matka wrzuciła do sfatygowanej torby na zakupy, i szpitalne skarpety z antypoślizgiem, które były w torbie „powitalnej”. Pielęgniarki pozwoliły jej wybrać kolor; Maddie zdecydowała się na intensywny róż.

Siedziała teraz w fotelu na kółkach dla dorosłych i wyglądała na sierotę. Pielęgniarki przychodziły i odchodziły, przewożąc ją z jednego gabinetu do drugiego, monitorując jej czynności życiowe, prześwietlając organy wewnętrzne i dokonując licznych badań, by ustalić jej stan fizyczny.

Od czasu do czasu Kate wychodziła do holu i próbowała skontaktować się z Wardami przez telefon stacjonarny, ale nie odbierali. Musieli także odłączyć sekretarkę, bo Kate nie mogła nawet nagrać wiadomości.

Szpitalny psychiatra sądowy sfotografował wszystkie blizny i ranki na ciele Maddie i teraz przygotowywał profesjonalny opis, a Kate w swym laptopie połączyła się z elektronicznym systemem medycznym i przejrzała opinie oraz diagnozy innych lekarzy. Chciała skompletować historię medyczną Maddie: przebyte choroby wieku dziecięcego, uszkodzenia ciała, przyjmowane leki. Szukała też oznak przemocy i zaniedbań.

Wiele nie znalazła. Złamany palec w wieku pięciu lat, gdy Maddie „przez przypadek” przygniotła sobie rękę drzwiami samochodowymi. W wieku lat ośmiu miała dwa złamane żebra i wstrząśnienie mózgu, kiedy „spadła z drzewa” na podwórku koło domu. Były jeszcze drobne skręcenia i urazy w wieku szkolnym, ale Kate nie znalazła żadnej wzmianki na temat śladów po przypalaniu papierosami czy duszenia. Nie było też objawów niedożywienia. Najbardziej niepokojący w oczach Kate był jednak brak regularnych wizyt u lekarza. W dokumentach znalazła tylko adnotacje z kilku wizyt na oddziale nagłych wypadków i szereg konsultacji psychiatrycznych. To nie byłoby niezwykle, gdyby rodzice nie mieli ubezpieczenia zdrowotnego, ale państwo Wardowie byli dobrze zabezpieczeni. Większość rodziców biegnie do lekarza z dzieckiem, gdy tylko kichnie. Państwo Wardowie tego nie robili. Kate uznała to za mocno podejrzanę. Maddie była ogólnie zdrowa, ale coś zdecydowanie jest z nią nie tak.

Po solidnym posiłku w kafeterii pacjentka Kate wyglądała lepiej. Oczy jej błyszcząły, policzki były zaróżowione. Sprawiała też wrażenie bardziej ożywionej. Kate zawiozła ją na radiologię, ponieważ wszelkie złamania, świeże lub dawniejsze, mogą stanowić dowód na istnienie przemocy w domu. Dzieci, wobec których używa się przemocy, mają skłonność do chronienia swych rodziców. Czasami robią tak z miłości, czasami ze strachu.

Między kolejnymi badaniami Kate zasypywała swą pacjentkę pytaniami, by przebić się przez jej nieustanny lęk. Gdy czekały na technika robiącego prześwietlenia, Kate powiedziała:

- Miałam na podwórku swoje ulubione drzewo, na które ciągle wchodziłam. Taki wielki dąb. Zawsze wspinałam się jak najwyżej, bo... stamtąd, z góry, życie nie wydawało się takie beznadziejne.

Maddie uśmiechnęła się.

- Kiedyś spadłam z drzewa. To naprawdę bolało.

Kate kiwnęła głową. Jaki to dziecięcy sposób mówienia, pomyślała.

- Musiałam pojechać do szpitala.

- Kiedy to było?

- Miałam osiem lat. Uderzyłam się o gałąź, kiedy spadałam, i zламаłam sobie zębra.

- Uuu! - Kate skrzywiła się jakby z bólu.

- Musiałam zostać w szpitalu na całą noc.

- A czy wiesz, dlaczego teraz znalazłaś się w szpitalu?

- Bo jestem chora na głowę? - Maddie wzruszyła ramionami.

- Próbujemy ustalić, co się z tobą dzieje. - Kate wyciągnęła rękę, by odsunąć kosmyk włosów z czoła Maddie, a dziewczynka się wzdrygnęła. Ta reakcja była dość wymowna. - Przepraszam. Nie chciałam cię przestraszyć.

- Nie przestraszyłam się - odparła Maddie defensywnym tonem, bawiąc się swym końskim ogonem.

- A co robi twój tata, Maddie?

- Prowadzi ciężarówkę. Często go nie ma.

Zachowanie Maddie, zarówno z punktu widzenia emocjonalnego, jak i intelektualnego, było typowe dla dziesięcioletniego dziecka. Kate była tym bardzo zaniepokojona.

- Ale teraz jest w domu, prawda? - zapytała.

- Nie. Wróci za kilka dni.

- Naprawdę? - Nelly przecież mówiła, że pan Ward odpoczywa na kanapie. - Jesteś pewna?

Maddie kiwnęła głową.

Kate postanowiła na razie nie drążyć tematu.

- To w domu jesteście tylko ty, twoja mama i tatuś? Masz siostrę albo brata?

- Nie. Jestem tylko ja.

- A masz jakieś zwierzęta? Psa?

Dziewczynka pokręciła głową.

- Kiedyś mieliśmy w szkole chomika.

- Tak? - Kate uśmiechnęła się. - Ja miałam chomika. Nazwałam go Filipem.

Maddie zachichotała.

- Nasz nazywał się Snark[5].

- Tak jak ten szkolny chomik?

Maddie zaśmiała się łagodnie.

- Czy kiedykolwiek chciałaś mieć brata albo siostrę?

- Uhm. Ale mamusia mówi, że dosyć ma roboty ze mną.

„Mamusia”? Większość dzieci w jej wieku nazywa rodziców mamą i tatą.

- Moja najlepsza koleżanka ma dwóch braci i trzy siostry.

- No no, ale pełny dom! Jak nazywa się twoja najlepsza koleżanka?

- Melissa.

- A co lubisz w Melissie najbardziej?

- Jej rodzinę.

- A co w tej rodzinie?

- Są mili.

- Mili jak w... no właśnie, jak są mili?

Maddie zagryzła wargi, szukając słów.

- Nie kłóćą się. Dużo się śmieją. Cały czas robią sobie kawały, i to jest śmieszne. Jedzą piezzonego kurczaka na kolację i lody czekoladowe na deser.

- No no, to jest fajne.

- To jest naprawdę fajne. - Maddie zachichotała.

Kate wykorzystała okazję, by wkroczyć na zakazane terytorium.

- A czy twoi rodzice się kłóćą?

- Tak jakby.

- Czy kiedy się kłóćą, czujesz się nieswojo?

Maddie kiwnęła głową i spuściła oczy na podłogę.

- Czy krzyczą? Mówią podniesionym głosem?

- Jest bardzo dużo krzyku.

- I czego jeszcze? - Maddie milczała. - Czy się popychają?

- Czasem. - Dziewczynka spojrzała na Kate spod długich rzęs. - Tatuś czasem popycha mamusię. Szczególnie kiedy ona nazywa go oferumą.

- Czy coś jej kiedyś zrobił?

- Nie. - Zaprzeczenie.

- Jesteś pewna?

- Nie wiem. - Wahanie.

- Czy tatuś cię czasem popycha? Krzyczy na ciebie?

- Może. - Połowiczne przyznanie się.

A teraz kolej na wielkie pytanie. Jest to jak wkraczanie na psychologiczne pole minowe.

- Czy tatuś kiedykolwiek cię uderzył, Maddie?

- Muszę do łazienki - odparła dziewczynka po namyśle.

- Dobrze. Zawołam pielęgniarkę.

Tego dnia na dyżurze była Susie Potts, dwudziestopięciolatka tak pełna życia i miła, że jej słodka osobowość przypominała

nadzienie z ciasta z malinami. Wyciągnęła do Maddie rękę i powiedziała:

- Cześć, króliczku. Pora na eskortę. Chcesz siusiu? Chodźmy.

Maddie nie było wolno odwiedzać toalety bez opiekunki, bo podejrzewano, że może popełnić samobójstwo. Susie, choć często roztargniona, była urodzoną aktorką i zabawiała dzieci teatrykiem cieni oraz opowiadaniem śmiesznych historii. Natomiast na Kate spoczywał ciężar dotarcia do prawdy.

Gdy Maddie wróciła z łazienki, już mniej chętnie odpowiadała na pytania Kate. Pewnie to ostatnie pytanie wywołało w niej blokadę. „Czy tatuś kiedykolwiek cię uderzył?”. Chyba o jeden most za daleko.

Maddie wierciła się i narzekała, że szpitalny wózek inwalidzki jest niewygodny. Kate zrezygnowała z ostatniego testu, odesłała Susie do pokoju wypoczynkowego i przewiozła Maddie na drugą stronę stanowiska pielęgniarek, gdzie siostry z nocnej zmiany szeptem prowadziły konwersację co chwila przerywaną wybuchami śmiechu. Przydzielony Maddie pokój znajdował się na końcu korytarza, a młoda pacjentka, z którym miała go dzielić, już głęboko spała. Była jedenasta wieczór, a po długim dniu wożenia i robienia badań Maddie w końcu rozkrochmała się i nie można było jej uspokoić.

- Chcę jechać do domu - mówiła, łkając. - Gdzie jest mamusia? Ja chcę do domu!

Kate usiłowała ją pocieszyć, ale dziewczynka osiągnęła już punkt krytyczny. Współlokatorka Maddie obudziła się i zaczęła narzekać na hałas. Kate przepisała Maddie środek uspokajający, a po chwili jedna z pielęgniarek z nocnej zmiany weszła do pokoju i zrobiła dziewczynce zastrzyk. W tym czasie Kate tłumaczyła Maddie, co się dzieje: wyjaśniła, dlaczego zleciła zastrzyk,

przytoczyła słowa matki Maddie, która stwierdziła, że jej córka potrzebuje pomocy, a także wyjaśniła, dlaczego ona sama niepokoi się własnoręcznie zadanyimi ranami Maddie i co personel szpitalny robi, by jej pomóc.

Gdy lek zaczął działać, Maddie zrobiła się senna. Z trudem wypowiadała słowa, ledwo się ruszała. Ale przynajmniej przestała się złościć – biednemu dziecku zabrakło już energii. Jej źrenice były wielkości główki szpilki. Kate nie była zachwycona rozwojem sytuacji, lecz wiele lat doświadczeń mówiło jej, że tak jest najlepiej. W końcu Maddie zamknęła oczy i zapadła w sen.

Kate wyszła na korytarz i po raz kolejny spróbowała połączyć się z Nelly. Odpowiedziała jej cisza.

Monitorowała Maddie przez cały wieczór i z różnymi specjalistami konsultowała wyniki badań. Na zebraniach widniało kilka zgrubień po pęknięciach, które potwierdzały hipotezę, że dziewczynka spadła z drzewa, nie wykluczało to jednak użycia przemocy fizycznej. Ślady po ugryzieniach na przedramionach Maddie odpowiadały odciskowi jej zębów. Strupki i blizny na ramionach, udach i łydkach były powierzchowne i zapewne spowodowane przez nią samą, ponieważ na skórze w miejscach, których Maddie nie mogłaby dosięgnąć, żadnych śladów nie stwierdzono. To także nie wykluczało użycia przemocy, lecz udowodnienie jej nie byłoby proste. Najważniejsze, że nie stwierdzono przemocy seksualnej ani żadnych uszkodzeń narządu rodowego. Dzięki Bogu, pomyślała Kate.

Wyczerpana, lecz zadowolona, że udało się Maddie przyjąć na oddział, Kate zleciła Susie dalszą opiekę nad dziewczynką i poszła do siebie na górę, by zrobić notatki. Gdy nastał świt, zeszła na dół, zwolniła z dyżuru zmęczoną pielęgniarkę i obserwowała, jak w ciągu kilku minut horyzont spektakularnie zmienia barwę

z różowego na ognieście czerwony.

Potem weszła do pokoju, by sprawdzić stan pacjentki. Patrzyła na nabrzmiałe żyły na czole dziewczynki i zastanawiała się, co mogło skłonić ją do tego, by się ciąć i gryźć. Biorąc pod uwagę dramatyczną historię Penny Ward, może nie było w tym nic szczególnego. Oprócz pojedynczego głosu w głowie Maddie, Kate nie stwierdziła żadnych wyraźnych oznak schizofrenii – żadnych omamów wzrokowych, afektów negatywnych, dziwnych lub ekscentrycznych zachowań, braku dbałości o wygląd. Schizofrenia nie jest jednak jedyną opcją.

Samookaleczanie może być także objawem zaburzenia osobowości, zaburzeń dwubiegunowych, nerwicy lękowej lub wielu innych syndromów. Przyczyn zachowań Maddie nie można jednak upatrywać tylko w zaburzeniach chorobowych lub braku równowagi chemicznej. Kate chciała wiedzieć, dlaczego Maddie Ward się tu znalazła i co rodzice mogli jej zrobić.

Okolo szóstej rano dziewczynka się obudziła.

- Jak się czujesz? - zapytała Kate. Właśnie odpowiadała na iPhone na mejle. W głowie jej trzeszczało od przepracowania i braku snu.

Maddie naciągnęła na siebie koce.

- Trochę dziwnie.

- Hm. To chyba dobrze - odrzekła Kate z uśmiechem. - Ja sama czuję się trochę dziwnie. Czujesz jakieś zdrętwienie? Swędzenie?

- Nie.

- Przepraszam za te badania. No i za zastrzyk.

Maddie ścisnęła czubek nosa.

- Ciągle pani za coś przeprasza.

- Naprawdę? - Kate zrobiła zabawny grymas.

- O rany, to ja przepraszam. - Maddie zachichotała.

- No to przepraszam za to, że cały czas przepraszam.
- Okropnie przepraszam za wszystkie przeproszenia.

Obie się roześmiały, po czym Maddie zapytała:

- Co mi jest?
- To właśnie próbujemy ustalić.
- Czy wyzdrowieję?
- Tak, jestem pewna - odparła Kate z przekonaniem.

Dziewczynka przymknęła oczy i w ciągu kilku minut zasnęła.

Wkrótce potem pojawiła się Claire, pielęgniarka z porannej zmiany, świeża i wypoczęta jak skowronek, a Kate poczuła głód nikotyny, który rozsądek kazał jej zignorować. Postanowiła za to zrobić sobie kawę. W pokoju wypoczynkowym natknęła się na Irę.

- Jezu Chryste! - zawołał. - Wyglądasz okropnie.
- Dzięki.
- Wpadnij do mnie na sekundę.

Rozmyte światło poranka wlewało się do środka przez hermetycznie zamknięte okna. Gdy Ira usiadł za biurkiem, z dziedzińca dobiegł skrzypiący dźwięk pługu odśnieżnego.

- Co się dzieje? Miałaś wziąć kilka dni wolnego.

- Przez całą noc byłam z nową pacjentką, Maddie Ward. Matka przywiozła ją wczoraj rano i zostawiła obwieszoną krzyżykami i różańcami. Dziewczyna ma prawie piętnaście lat, ale zachowuje się jak dziesięcioletnie dziecko. Miała omamy słuchowe, a jej matka uważa, że jest opętana.

- Nie żartujesz? - W jego oczach błysnęło zainteresowanie. - Czy są fanatyczkami religijnymi?

- Nie wiem. Może. W każdym razie matka nie zgodziła się wejść do szpitala. Wczoraj podpisała kwestionariusze na naszym parkingu i odjechała. - Kate postanowiła nie wspominać o tym, że znała Nelly, przynajmniej na razie. To tylko skomplikowałoby

sytuację, a poza tym chciała się jeszcze nad tą sprawą głębiej zastanowić.

- Mam dla ciebie wiadomość, Kate - rzekł Ira. - Nie możesz być lekarzem przez dwadzieścia cztery godziny siedem dni w tygodniu. Nie przespałaś nocy właśnie wtedy, kiedy potrzebowałaś tego najbardziej. Co się dzieje?

- Nie mogłam znieść myśli, że ona spędzi tę noc w szpitalu zupełnie sama - wyznała. - Podejrzewam, że w jej domu dochodzi do przemocy. Ze strony ojca. Nie mam jeszcze dowodów, to tylko przeczucie.

- Od kiedy zastępujesz komuś matkę? Nie wolno ci zacierać granic, Kate. Ta sprawa nie dotyczy ciebie. To nie wyciszy w tobie poczucia winy z powodu czegoś, co zrobiłaś albo czego nie zrobiłaś szesnaście lat temu.

Kate spuściła wzrok na swoje ręce.

- O Boże, Ira. Mów dalej.

- Znasz mnie, Kate. Mówię prawdę.

Kate zaczerwieniła się i spojrzała na niego.

- To nie ma nic wspólnego z tym, co stało się szesnaście lat temu, okej? A poza tym masz rację. Jestem marnym substytutem matki, ale przynajmniej byłam przy łóżku Maddie, kiedy się dziś rano obudziła. Jeśli mi zaufa, może się otworzy i powie, co się tam u nich do diabła dzieje.

Ira wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Lubię, kiedy tak się bronisz.

- To miał być sprawdzian?

- Może.

Na twarzy Kate pojawił się grymas niezadowolenia.

- Nie jestem w nastroju, żeby być twoją świnką doświadczalną, Ira.

Wzruszył ramionami.

- W każdym razie wydaje się, że jej rany są zadane przez nią samą, podobnie jak ugryzienia na rękach, bo są zgodne z odciskiem zębów - ciągnęła Kate.

- A więc ona się okalecza.

Kate kiwnęła głową.

- Ale pani Ward myśli, że jest opętana.

- Interesujące. A czy ta dziewczynka też myśli, że jest opętana?

- Trudno mi powiedzieć. Dość szybko pozbyła się krzyżyków i różańców, co by mogło oznaczać, że jest wierząca, bo podobno diabła odrzucają wszystkie symbole religijne. Więc byłby to przypadek „syndromu opętania”.

- Okej - zgodził się. - Na razie się tego trzymajmy. Nie kwestionuj jej wiary. Przyjmijmy to urojenie za podstawę i analizujmy je poprzez oczy pacjentki.

- Dobrze - zgodziła się Kate. - Jeśli Maddie ma ostry epizod, to jest zdezorientowana i łatwowierna, a wtedy matka podsuwa jej odpowiedź.

- Zwariowaną odpowiedź, oczywiście. Ale idźmy dalej i rozmawiajmy o demonach, jeśli Maddie właśnie tego chce - zaproponował.

Kate kiwnęła głową.

- Wykorzystajmy system wierzeń pacjenta, żeby go wyleczyć.

- Właśnie. Jakie są jej wierzenia religijne? Jak była wychowywana? Przyjrzyjmy się rodzinie. Dowiedzmy się czegoś o jej rodzicach. Chciałbym być konsultantem w tej sprawie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Świetnie. Bardzo się cieszę.

Zadzwoił telefon.

- Chwileczkę. - Ira przez chwilę rozmawiał z szefem oddziału,

po czym się rozłączył. – A co z całą resztą, Kate? Jak sobie radzisz z samobójstwem Nikki?

– Chyba nieźle. – Wzruszyła ramionami. – Prawdę powiedziawszy, dobrze jest mieć coś dla odmiany.

Kiwnął głową. I milczał.

– Chciałam powiedzieć, że jakoś sobie radzę, wiesz? – wybuchnęła. – Ale zaczynam kwestionować wszystko, co robiłam przez ostatnie dwa lata. Ile innych błędów popełniłam? Czy któryś z moich pozostałych pacjentów popełni samobójstwo? Czy nie zauważam oznak? Muszę przyznać, że to samobójstwo mocno zachwiało moją wiarą w siebie.

– Opowiem ci pewną historię – oznajmił Ira. – Dziesięć lat temu pewien odnoszący sukcesy człowiek wziął śmiertelną dawkę środków nasennych. Miał wszystko: pieniądze, rodzinę, świetną pracę... ale był w głębokiej depresji. Przyjąłem go na terapię i po kilku latach czuł się znacznie lepiej. Pozbył się myśli samobójczych, został wziętym adwokatem, zszedł się z żoną, z którą był w separacji. Nie posiadałem się ze szczęścia. Aż pewnego dnia... zgadnij, co się stało.

– Popełnił samobójstwo?

– Nie. Zawał. Ironia losu, nie? Wbrew wszelkim oczekiwaniom udało mi się uratować temu człowiekowi życie, ale on i tak umarł. Dlaczego? Bo każdy z nas jest tylko człowiekiem, Kate. Nie Bogiem. Daleko nam do tego.

Zmarszczyła czoło.

– Wydaje mi się, że lepiej sobie radzisz niż ja z ironią losu.

– No cóż, nie możesz walczyć z rzeczywistością. To, że jesteśmy psychiatrami, wcale nie znaczy, że potrafimy pokierować życiem pacjenta lepiej niż naszym własnym. Możemy jedynie pomóc komuś znaleźć drogę w mroku. Jeśli będziemy mieli szczęście.

- A więc jesteście latarkami?

Zaśmiał się.

- Tak, jesteście latarkami.

Kate usłyszała echo dźwięcznego śmiechu Savannah. Szesnaście lat temu, latem, pewnego gorącego wieczoru Kate dała swojej młodszej siostrze latarkę, ale zamiast znaleźć drogę do domu, Savannah zniknęła na zawsze.

Henry Blackwood pogrzebał ją żywcem na swoim podwórku, ale przedtem ogolił jej głowę, nawet brwi. Policja nie odnalazła ściętych włosów. Wśród ciągle przesładujących Kate pytań dominowało jedno: gdzie się podziały długie złote włosy Savannah?

12

Wróciła do domu, by się przygotować do rozmowy z Działem Zarządzania Ryzykiem i wreszcie trochę pospać. James był w pracy. Na kuchennej wyspie znalazła od niego wiadomość:

„Lubię cię. Czy też mnie lubisz? Postaw znak we właściwej kratce: tak lub nie”.

Uśmiechnęła się i odhaczyła „Tak”. Potem zrzuciła buty, nalała sobie kieliszek wina, usiadła wygodnie na kanapie i w notatniku zapisała swoje odpowiedzi na hipotetyczne pytania komisji. Po chwili nie była już w stanie rozszyfrować własnych bazgrołów i odłożyła notatnik.

- *Czy jestem złym człowiekiem?*
- *Nie, Savannah. Jesteś czystą dobrocią.*
- *Ale czasami mam złe myśli.*
- *Wszyscy mamy złe myśli. To się nazywa być ludzkim.*

Następnego dnia po zaginięciu Savannah do miasta ściągnęły dziesiątki reporterów. Podczas pierwszych czterdziestu ośmiu godzin plakaty informujące o zaginionym dziecku wisiały w całym okręgu. Ochotnicy przeszukiwali lasy i pola. Cztery dni później psy tropiące odnalazły zwłoki Savannah zakopane na podwórku domu Henry’ego Blackwooda, niecałe dziesięć metrów od tylnych drzwi. Całymi tygodniami tragedia siostry Kate była w dziennikach wiadomością numer jeden.

Blackwood mieszkał w podmiejskim domu, przy którego froncie zaparkowany był pikap. Rozwiódł się z żoną lata temu. Nie mieli dzieci. Siostry Wolfe rzadko rozmawiały z panem Blackwoodem,

mimo że w drodze do szkoły codziennie mijały jego dom. Miał jasne włosy, piegowatą twarz, szmaragdowe oczy i wdowi szpic nad czołem. Był sąsiadem, który zachowywał dystans. Utrzymywał na swej posesji nieskazitelną czystość, sprzątał śmieci wyrzucone na pobocze drogi i przywiązywał pokrywy pojemników na odpady sznurem, by nie dostały się do nich szopy. Później tym samym sznurem została skrępowana jej siostra.

Przez wiele lat Kate od czasu do czasu dręczył ten sam sen. Znajdowała się z powrotem w chacie w lesie, tyle że nie było tam Savannah, jedynie sześć butów do biegania w jej rozmiarze z dużymi literami N na bokach. W tym śnie coś wyłaniało się z ciemności, chwyciło ją za łydki i bezlitośnie ciągnęło do tyłu. Paznokciami drapała deski pełne drzazg i krzyczała „Savannah!”, bo myślała, że to na pewno siostra ukrywa się w tym mroku. Za każdym razem walczyła, ale nie udawało jej się wyrwać temu upartemu czemuś, a kiedy się budziła, czuła w ustach smak ziemi.

Usiadła gwałtownie, z trudem łapiąc powietrze, wściekła, że to wszystko znowu do niej wraca. Koszmary, ataki niepokoju, zwątpienie. Sądziła, że zdołała pójść do przodu, ale okazuje się, że pewne rzeczy nigdy nie dają nam spokoju.

Sięgnęła po portfel i z ukrytej za kartami kredytowymi przegródki wyjęła sfatygowaną fotografię Savannah. Nalała sobie drugi kieliszek wina i utkwiała wzrok w starym zdjęciu. Jej mała siostrzyczka była jak cukrowa róża, taka słodka i delikatna, że trudno było sobie wyobrazić, że coś złego może jej się przydarzyć. Ich matka mówiła, że Savannah została zrobiona z karmelu i promieni księżyca. Kate chciała tylko ją chronić. Nie miała zamiaru jej skrzywdzić.

Zły los sprawił, że na pogrzebie musiała pożegnać się ze swą martwą siostrzyczką spoczywającą w dziecięcej trumnie. Skóra

Savannah była bezkrwista, przypominała odcieniem zsiadłe mleko, a ponieważ pozbawiono ją włosów, miała na głowie perukę. W zakładzie pogrzebowym domalowano jej brwi, co Savannah bardzo by się spodobało. Peruka dorosłej kobiety i takie same brwi! Super!

Bliska paniki Kate schowała fotografię do portfela i usiłowała pomyśleć o czymś innym. O czymkolwiek. Siedziała na kanapie i patrzyła na ich piękny apartament. Ależ mają szczęście. Miała ochotę zadzwonić do Jamesa po to tylko, by usłyszeć jego głos, lecz na oddziale zamkniętym zawsze coś się działo, więc nie chciała mu przeszkadzać. Poza tym James nie może być jej opoką w każdej sekundzie każdego dnia. Z niektórymi rzeczami musi poradzić sobie sama.

Przypomniały jej się koszmary senne po zabójstwie Savannah. Pamiętała, jak budziła się i krzyczała „Mamo!”. Ale matki już nie było. Nigdy nie krzyczała „Tato!”. Gdy koszmary stały się potworne, wstawiała w środku nocy i krążyła po domu, szukając ojca. Najczęściej go nie znajdowała. Na podjeździe nie było samochodu, musiała więc stawić czoło horrorowi zabójstwa siostry sama. W pustym domu powtarzała szeptem: „Przepraszam, Savannah, czy mi wybaczysz?”. A gdy zasypiała, ten okropny sen z chaty znowu się powtarzał.

Wiele lat trwało, zanim pokonała lęki i przestała się zadręczać. Pewnej nocy, w zupełnie innym śnie, jej siostrzyczka wyłoniła się z mgły, a Kate poczuła, jak drobne zręczne paluszki wsuwają się w jej włosy. W tym wyjątkowo spokojnym śnie Savannah siedziała przy niej i delikatnie splatała w warkocz długie kasztanowe włosy siostry. „Świetnie”, powiedziała, gdy już skończyła. A Kate obudziła się z płaczem.

Ira zinterpretował ten sen jako krystalizację samowybaczenia.

Powiedział, że nie miało to nic wspólnego z duchami, była to tylko metafora uzdrowienia. Kate nie mogła jednak uwolnić się od poczucia, że tej nocy siostra w tej czy innej formie ją odwiedziła. Przekonanie było nieracjonalne, ale się go uczepiła, ponieważ wybaczenie Savannah było dla niej rzeczą najważniejszą w świecie.

Nalała sobie kolejny kieliszek wina. I następny. Wkrótce opróżniła butelkę i świat stał się lekko rozmazany, jakiś taki gumowaty i miękki. Przyjemny i jakby pełen werwy. Wstała z kanapy i stanęła przed panoramicznymi oknami, kołysząc się w rytm oddechu.

James wrócił do domu późnym wieczorem kompletnie wyczerpany. Kate jeszcze nie widziała, żeby był aż tak wypalony. Opadł na ich duże łóżko, nawet się nie rozbierając.

- Hej, mała - mruknął z nosem w poduszce, przysypiając. - Co się dzieje? - zapytał niewyraźnie.

- Witaj, skarbie. - Zdjęła mu buty i położyła się obok niego.

Objął ją i przytulił.

- Jak się masz, kochanie?

- Dobrze. Ale przedtem czułam się podle. Wiele, wiele kieliszków wina temu.

- No, no. A zresztą, jeśli to załatwiło sprawę...

- Czy namawiasz mnie, żebym stała się alkoholiczką?

- Nie. Namawiam cię, żebyś się tak bardzo nie przejmowała.

- Ha, ależ to będzie dzień!

- Popatrz na mnie. Miałem gówniany dzień, nie wypłem ani kropli alkoholu i się nie przejmuję. Widzisz?

- Chyba po prostu jesteś ode mnie silniejszy.

- Silniejszy? Ja?

- Uhm. - Pocałowała go.

Kilka minut później złapał drugi oddech, wstał z łóżka i podniósł swoją torbę.

- Zobacz, co znalazłem w drodze do domu. - Pogrzebał w wewnętrznej kieszeni i wyjął kilka lśniących broszur. Rzucił je na łóżko i usiadł obok Kate. - Jak sądzisz? Cancún czy Kajmany? A może Hawaje? Nie wiem. Byłbym za Cancún.

- No, no - mruknęła, biorąc do ręki jedną z broszur. - Nie musimy decydować w tej sekundzie, prawda?

- Kwiecień nie jest tak daleko, laleczko. Popatrz na to. Nieskazitelnie czyste plaże, kajaki, margarity, ruiny Majów w Cobá. Pływanie z fajką, zachody słońca... Czy wspomniałem margarity? Co tylko zaleci lekarz.

- Taa... - Kate zmarszczyła czoło.

- Co?

- Przepraszam, nie myślę jasno. Nie przygotowałam się do tego, żeby dziś wieczorem zaplanować całą przyszłość.

- Całą przyszłość? To tylko wakacje.

Położyła broszurę na łóżku.

- Ostatnio tyle mam na głowie...

- Okej. Ale popatrz tutaj...

- Nie przed pogrzebem i rozmową z Działem Zarządzania Ryzykiem. Tak się umówiliśmy, prawda?

- Tak, ale zawsze będzie jakiś kryzys, Kate. Zawsze będzie jeszcze jeden pacjent. Daj spokój, zasłużyliśmy na to. Słoneczne niebo, błękitny ocean...?

- Czy muszę decydować w tej sekundzie? - zapytała defensywnym tonem.

Zrobił zawiedzioną minę, zgarnął broszury i wrzucił je do torby.

- Rozumiem, że jesteś bardzo zestresowana. Nie chciałem zachować się jak ostatni łajdak, Kate, ale martwię się o ciebie.

Nie podoba mi się to, co się z tobą dzieje... i jak to na ciebie wpływa.

Cofnęła się.

- Masz na myśli halucynacje?

- Tak jakby - przyznał. - Było to dość niepokojące.

- Ale chyba zgodziliśmy się, że był to objaw migreny?

- To mógł być objaw wielu rzeczy. - Podniosła na niego wzrok. - Posłuchaj, kocham cię. Nie masz we mnie wroga. No więc co powiesz na to, żebyśmy w przyszłym tygodniu pojechali do Cape? Choć na dwa dni.

Poczuła, że jej palec swędzi. Spojrzała na pierścionek.

- Maddie mnie potrzebuje - powiedziała. - Będzie na obserwacji tylko siedem dni...

Westchnął sfrustrowany.

- Masz rację. Przepraszam, skarbie. Rozumiem, jakie to trudne dla ciebie, przecież przeszedłem przez coś podobnego. Pamiętasz Desiree? Połknęła proszek do udrażniania rur, na litość boską. Co za straszny sposób, żeby odejść. Ale kiedy ci mówię, że chcę pomóc, to musisz mi wierzyć. Chcę cię chronić przed twoim okropnym dzieciństwem, Kate. Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo mnie to wszystko przeraża? Mam na myśli to, że w przyszłym tygodniu jest egzekucja. Miało nas tu w tym czasie nie być, prawda? Mieliśmy siedzieć w jacuzzi w Sedonie i popijać margaritę, bez telewizji, bez internetu... tylko ty, ja i gwiazdy.

- Wiem - odparła ze smutkiem. - Ale teraz już nie ma wyjścia.

Otoczył ją ramionami i przytulił. Oparła o niego głowę i słuchała bicia jego serca - biło wolniej niż jej. Potem James ujął jej dłonie i odwrócił je, szukając palcami starych blizn. W dniu swych osiemnastych urodzin próbowała odebrać sobie życie, ale zrobiła wszystko nie tak i nie trafiła w żyłę.

- Słuchaj - podjął - nie potrafię sobie wyobrazić piekła, przez jakie przeszłaś... jak trudne miałaś życie... a teraz musisz przejść przez to jeszcze raz. Ale instynkt każe mi cię chronić. Jestem facetem i tak mam. Rozumiesz, prawda?

Z powagą kiwnęła głową i powiedziała:

- Może nie powinniśmy wprowadzać się tu razem?

Odsunął się od niej.

- Co?

- Może jest na to za wcześnie?

- To taki wniosek wyciągnęłaś z tej rozmowy? Że powinniśmy się rozstać?

Wzruszyła ramionami, w jej oczach pojawiły się łzy.

- Nigdy nie jest za późno.

Zamiast się zezłościć czy obrazić, James się roześmiał.

- To są bardzo, ale to bardzo złe słowa. - Znowu ją przytulił. - Przepraszam, jest już dużo za późno. Jesteś na mnie skazana.

Westchnęła, czując ogromną ulgę.

13

O ósmej pięćdziesiąt w piątek rano Kate zaparkowała samochód na sześciokondygnacyjnym parkingu szpitalnym i powtórzyła w myślach przygotowane oświadczenie. Nie miała ochoty opuścić ciepłego samochodu, by udać się na spotkanie z Działem Zarządzania Ryzykiem, które miało zacząć się o dziewiętej. W końcu ryzykuje tylko ona.

Zdjęła ręce z kierownicy, zgasiła silnik i wysiadła, po czym zatrzymała się na chwilę w rozległym, przypominającym jaskinię garażu. Było to zimne i rozbrzmiewające echem pomieszczenie. Kompletnie anonimowe. Słysząc było nieustanny szum krążących wokół samochodów, dźwięk przypominający szczytowy moment przyływu. Można utonąć w takim nieustannym wirze.

Pod wpływem impulsu, zamiast skręcić w łącznik dla pieszych prowadzący do skrzydła zachodniego, ruszyła schodami w dół i przeszła przez dziedziniec, mijając zamarzną fontannę i podniszczone ławki. Dawno już nie wchodziła do szpitala głównym wejściem.

Ten piękny stary budynek emanował aurą godności. Ściany zostały wzniesione z grubych bloków granitu, a zwieńczone łukiem okna kojarzyły się Kate z nisko opuszczonymi powiekami, jakby szpital miał za chwilę przysnąć. W głównym wejściu mały chłopczyk wkraczał co chwila na automatyczną gumową matę, sprawiając, że drzwi się otwierały i zamykały. Był zachwycony swą nowo odkrytą supermocą. Kate patrzyła na niego z autentycznym rozbawieniem, mimo że wiatr szarpał połami jej płaszcz. W końcu nadeszła matka chłopca i go zabrała.

Gdybym tylko potrafiła w ten sposób kontrolować życie,

pomyślała Kate, stając na wycieraczkę i patrząc, jak drzwi się otwierają. Proste.

W środku pozdrowiła ochroniarza Bruce'a, przyjaźnie nastawionego do świata faceta o porządnie ogolonej twarzy i przepaszającej minie, który z gracją Freda Astaire'a przepuszczał ludzi przez wykrywacze metalu. Pomachał przed Kate swą magiczną różdżką i powiedział:

- Życzę dobrego dnia, pani doktor.

- Ja panu też, Bruce.

Wsiadła do zatłoczonej windy, by dostać się do oddziału psychiatrycznego na piętrze, po czym użyła swego klucza, żeby otworzyć podwójne drzwi na oddział dziecięcy. Po drugiej stronie korytarza, za kolejnymi zamkniętymi drzwiami, znajdowało się centrum leczenia osób nadużywających środków odurzających. Na drugim piętrze znajdował się Oddział Intensywnej Opieki Psychiatrycznej dla Dorosłych, na który można było się dostać prywatną windą lub zamkniętymi schodami przeznaczonymi tylko dla personelu szpitalnego. Przyjęcie na wszystkie oddziały było dobrowolne, lecz drzwi wyjściowe zamykano, by uchronić szpital od odpowiedzialności za ucieczkę pacjenta, który nie został wypisany.

Na dzisiejszą rozmowę została zarezerwowana mniejsza z dwóch sal konferencyjnych. Adwokat Kate był już na miejscu, w sali była także przedstawicielka Działu Zarządzania Ryzykiem, korpulentna kobieta w kaszmirowym spodniem, która siedziała ze splecionymi rękami.

Russell Cooper robił onieśmielające wrażenie w garniturze od Armaniego, z zegarkiem marki Bulgari na ręce i złotymi spinkami w mankietach.

- Kate, to jest Felicia Hamilton z Działu Zarządzania Ryzykiem.

Felicia, to jest doktor Kate Wolfe.

- Mimo mi panią poznać.

- Mnie też.

Panie uścisnęły sobie dłonie.

Kate usiadła na pokrytym sztucznym tworzywem krześle obok Russella i przyjrzała się Felicii Hamilton. Wyglądała na osobę po czterdziestce, miała szare inteligentne oczy i lśniące krótkie włosy. Profesjonalistka o niezmiennie pokerowej twarzy. Felicia otworzyła leżącą na stole teczkę i wyjęła nagrywarke cyfrową, pióro oraz notatnik na podkładce. Ustawiła nagrywarke na stole i zapytała:

- Czy zgadza się pani na rejestrowanie tej rozmowy?

- Tak - odparła Kate i spojrzała na adwokata.

Russell kiwnął głową. Jej serce nie przestawało bić jak szalone.

Na stole stało kilka butelek wody. Russell przesunął jedną z nich w jej kierunku.

- Dziękuję. - Odkręciła nakrętkę i wypila kilka łyków. Nadeszła pora pytań. Kate przypomniała sobie, że ma mówić krótko i zgodnie z prawdą.

- Drugiego czerwca zeszłego roku Nicole McCormack pojawiła się w szpitalu na oddziale nagłych przypadków psychiatrycznych i została przyjęta na obserwację - zaczęła Felicia bezbarwnym tonem. - Dlaczego wypisaliście ją cztery tygodnie później?

- Zazwyczaj pacjenci o mniejszym ryzyku leczeni są w poradni.

- Nie przejawiała już skłonności samobójczych?

- Pracowała nad zdrowszymi sposobami wyrażania negatywnych uczuć. Uznałam, że ryzyko popełnienia samobójstwa nie było wtedy wysokie.

- Kiedy mówi pani „nie było wysokie”, co pani ma na myśli?

- Nikki zaczęła żałować tego, co zrobiła. Jej stan psychiczny

znacznie się poprawił, depresja zanikała. Po czterech tygodniach leczenia uznałam, że ryzyko samookaleczenia w przypadku Nikki zniknęło.

- A jaki był plan leczenia w poradni?

- Miała nadal przyjmować leki i raz w tygodniu przychodzić do mnie na sesję terapeutyczną.

- I jak to przebiegało?

- Bardzo dobrze. Była bez reszty zaangażowana w pracę nad swoimi problemami emocjonalnymi.

- W jakim stanie była przed śmiercią?

- W bardzo dobrym, jak już powiedziałam. Nie popisywała się ani nie opuszczała szkoły. Przez te miesiące ani razu nie skarżyła się na myśli samobójcze. Nie rozdawała swoich rzeczy osobistych, z wyjątkiem... ale to nieważne.

Kątem oka zauważyła, że Russell drgnął. „Proszę nie udzielać niepotrzebnych informacji”.

- Proszę pozwolić to osądzić mnie - rzekła Felicia.

- Dała mi kilka rzeczy, które znalazła na plaży - wyjaśniła Kate.

- Musiałam jej przypomnieć, że nie przyjmujemy prezentów od pacjentów. Taką mamy zasadę.

- Rozumiem. Jakie to były rzeczy?

- Po prostu... - Jak wyjaśnić, czym jest obciążnik do spódnic? - Kilka muszli - skłamała.

- A jak wyglądała jej sytuacja rodzinna?

- Nikki i matka nadal często się kłóciły - odparła Kate. - Nikki uważała, że jej ojczym za bardzo ją kontroluje. Niemniej uczyła się komunikować im swoje potrzeby i niepokoje.

- Czy w jej przeszłości były jakieś próby samobójcze?

- Tylko jedna, co sprawiło, że znalazła się u nas.

- Rozumiem. A jaką wybrała metodę?

- Przedawkowała aspirynę.
- A czy ostatnio piła alkohol lub brała narkotyki?
- Jestem przekonana, że już nie brała narkotyków. Nie wykluczam jednak, że nie była całkowicie szczerą co do picia alkoholu.

- Okej. A czy wykazywała jakieś symptomy uzależnienia?

- Absolutnie żadnych.

- Jakaś historia chorób psychicznych w rodzinie?

- Według matki, nie.

- Czy miała jakieś fobie?

- Bała się języków ludzi.

- Języków ludzi?

Kate kiwnęła głową.

- Drażniły ją koniuszki języków. I bała się też instalacji wodno-kanalizacyjnych... starych rur w domu, hałasu, jaki robiły w nocy.

- Czy w pani opinii należało się tym niepokoić?

- Nie. Mnóstwo ludzi ma dziwne fobie. To były problemy niepowiązane z jej główną chorobą, czyli zaburzeniami dwubiegunowymi.

Przez chwilę rozmawiały o lekach i stanie psychicznym Nikki podczas ostatniej sesji z Kate. Felicia mówiła monotonnym głosem, nie przejawiając żadnych uczuć. Wreszcie zakończyła rozmowę pytaniem:

- Czy jest coś, co chciałaby pani dodać?

- Tylko to, że konsultowałam ten przypadek z moim superwizorem, doktorem Iżą Lippencottem.

Felicia uprzejmie skinęła głową.

- Dziękuję za współpracę, doktor Wolfe. - Spakowała swoje rzeczy i wstała. - Za kilka tygodni dostanie pani od nas wiadomość. A gdyby chciała się pani z nami skontaktować, oto

moja wizytówka.

- Zadzwonimy do pani, jeśli będziemy mieli jakieś pytania - odezwał się Russell.

Gdy tylko za panią Hamilton zamknęły się drzwi, odwrócił się do Kate.

- Znakomicie sobie pani poradziła.

Przeprosiła go i pobiegła do łazienki. Zwalczyła przyływ dezorientacji, gdy patrzyła na swoją twarz w lustrze. Czuła napięcie wzbierające za oczami. Opłukała twarz zimną wodą i wytarła ją ręcznikiem papierowym. Nie znosiła tej swojej słabości.

W psychiatrii główną słabością człowieka jest stan emocjonalny, który najbardziej go przeraża - strach przed zranieniem się, strach przed wstydem, strach przed izolacją. Głównym problemem Kate było to, że nie potrafiła pomóc swojej siostrze i, per procura, swoim młodym pacjentom. To dlatego pracowała do późnych godzin nocnych. Za wszelką cenę chciała stać się lepszym lekarzem. Nie udało jej się uchronić Nikki. Więcej sobie na to nie pozwoli.

14

Maddie Ward była w pokoju sama.

- Dzień dobry - powiedziała Kate. - Jak się czujesz?

Dziewczynka potarła zmęczone oczy.

- Chyba dobrze.

- Wszystkie twoje badania mają wynik negatywny. Co jest dobre.

- Dlaczego negatywne jest dobre?

- Bo to znaczy, że nic złego się nie dzieje i możemy wykluczyć uszkodzenie mózgu lub inne przyczyny neurologiczne. - Kate nie dodała, że nadal pozostaje do ustalenia, skąd się biorą omamy słuchowe, dlaczego Maddie tnie się i gryzie, i jaki rodzaj połączenia patologii rodzinnej, czynników psychicznych i nierównowagi chemicznej powodują jej depresję. - A jak się czujesz ogólnie?

Maddie wzruszyła bezwiednie ramionami.

- Nie wiem.

- To były dwa trudne dni, prawda?

Tego ranka wyglądała inaczej, była jakby starsza. Bardziej przypominała piętnastolatkę niż dwunastolatkę. Pielęgniarki skonfiskowały jej złote kolczyki sztyfty, w płatkach uszu były widoczne małe dziurki. Długie jasne włosy nie były już związane w koński ogon i opadały na ramiona falami. Siedziała na łóżku ze skrzyżowanym nogami i patrzyła ze smutkiem w okno. W jej oczach była tęsknota człowieka dorosłego. Na ogół, gdy się wchodziło na oddział psychiatryczny w godzinach odwiedzin, pokoje były pełne członków rodzin przynoszących prezenty. Ale Maddie Ward przez czterdzieści osiem godzin była sama. Nie

dostała żadnych kartek. Żadnych kwiatów. Nikt do niej nie zadzwonił. Nikt jej nie odwiedził. Według Kate świadczyło to o zaniedbaniu.

- Jesteś w dobrych stosunkach ze współlokatorką?

- Taa.

Łóżko współlokatorki było posłane. Spędzała zapewne czas w pokoju dziennym. Była to szesnastoletnia anorektyczka, jeden z najczęstszych tu przypadków.

- A czy cała reszta jest w porządku? - zapytała Kate, próbując skłonić dziewczynę do rozmowy.

Oczy Maddie przybrały miękki wyraz, i nagle mała dziewczynka znowu się pojawiła.

- Czy ona jest zagrożona samobójstwem tak jak ja?

- Kto? Twoja współlokatorka?

- To dlatego nas ciągle sprawdzają?

- Pielęgniarki po prostu chcą się upewnić, że jesteście bezpieczne.

Nastrój Maddie się zmienił.

- Nie wiedzą, z czym mają do czynienia - stwierdziła złowieszczy tonem.

W umyśle Kate znowu pojawiło się ostrzegawcze światełko. Tak mówią tylko dorośli.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Z czym pielęgniarki mają do czynienia?

- Oni walczą o moją duszę - odparła Maddie konspiracyjnym tonem.

- Kto?

- Moi rodzice.

- Mówisz może o diable? O opętaniu?

Maddie patrzyła przez okno i milczała.

Kate przyciągnęła krzesło i usiadła.

- Maddie, czy z twoim ojcem można się skontaktować pod jakimś numerem telefonu?

Maddie potrząsnęła głową.

- Nie wolno do niego dzwonić, kiedy jest w pracy.

- Aha. W takim razie jak się z nim porozumiewacie w nagłych przypadkach?

- Nie wiem. - Maddie wzruszyła ramionami.

Zmieniając taktykę, Kate wyjęła z kieszeni paczkę gumy do żucia.

- Chcesz? Miętowa.

Maddie uśmiechnęła się.

- Dziękuję.

Kate podała jej gumę i patrzyła, jak dziewczynka rozwija ją z papierka i wkłada do ust. Maddie przyciągnęła kolana do piersi i z przyjemnością żuła gumę. W stronę Kate popłynął zapach mięty.

Postanowiła ponowić próbę.

- Gdyby coś nagle przydarzyło się w szkole, a z twoją matką nie udałoby się skontaktować, do kogo zadzwoniłby dyrektor szkoły? Czy masz w pobliżu jakichś krewnych? Ciotki albo wujów? Kuzynów albo dziadków?

- Nie.

- Nikogo?

Maddie pokręciła głową.

- A gdyby szkoła w nagłym przypadku musiała się skontaktować z twoim ojcem?

- Telefon do niego by mnie nie powstrzymał - odrzekła Maddie szorstko.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Kate po namyśle.

- Kiedy mówię, że chcę się zabić, to mówię prawdę.

Większość czternastolatków czy piętnastolatków nie potrafi wyrazić w ten sposób swojej alienacji, a co dopiero przyznać się do skłonności samobójczych.

- A dlaczego miałabyś chcieć się zabić?

- Nie wiem.

- Czy głos w twojej głowie każe ci się zabić? - Maddie przestała żuć gumę. - Czy kiedy twój ojciec wpada w złość, to czy rani ciebie albo twoją mamę?

- Dlaczego mnie pani ciągle o to pyta?

- Bo jeszcze nie odpowiedziałas na to pytanie.

Twarz dziewczynki poczerwieniała. Patrzyła na Kate tak, jakby była wrogiem, co może było prawdą.

- Raz, kiedy mu zawracałam głowę, to mnie popchnął.

- A o co mu zawracałaś głowę?

- O takie tam rzeczy. - Maddie wymijająco wzruszyła ramionami. - Czasami mam ochotę się z nim podrażnić.

- A on cię wtedy popycha?

- Tylko dlatego, że go denerwuję. O tak. - Delikatnie szturchnęła Kate.

- Nie mocniej?

- Nie.

- Zdarzyło się to więcej niż raz?

- Przecież pani powiedziałam! - Twarz Maddie sposepniała.

W jej oczach pojawiły się łzy.

- Jesteś pewna?

- Dlaczego mnie pani ciągle o to pyta? - Po policzku dziewczynki potoczyły się duże łzy.

- Przepraszam - powiedziała Kate. - Nie chciałam cię denerwować.

Maddie otarła twarz.

- Czy on jest religijny? - ciągnęła Kate.

- Nie wiem. - Dziewczynka westchnęła.

- A czy twoja mama jest religijna?

Maddie pociągnęła nosem, a Kate podała jej pudełko chusteczek.

- Jest katoliczką. Wierzy w Boga. Wierzy w Jezusa, Ducha Świętego, diabła, piekło i klątwy. Tata nie.

- A w co ty wierzysz, Maddie? Wierzysz w diabła?

Maddie otworzyła szeroko oczy. Patrzyła na Kate z coraz większym bólem.

- Mamusia mówi, że chodziła z panią do szkoły, dawno temu, i że któregoś dnia zniknęła pani siostra, i szukało jej całe miasteczko, a kiedy w końcu ją znaleźli, to nie żyła. Została zakopana żywcem. - Serce Kate zabiło mocniej, a Maddie dokończyła: - Mamusia mówi, że małe niegrzeczne dziewczynki tak kończą. Zostają zabite.

Kate siedziała w milczeniu, z wysiłkiem cofając się w przeszłość. Miała szesnaście lat, gdy zaginęła Savannah, a Penny miała lat osiemnaście, była w starszej klasie szkoły średniej. Kate z trudem przypominała sobie nieśmiałą, niezgrabną jasnowłosą dziewczynę, która trzymała się na uboczu. Taka panna nikt o fioletowych włosach, o której zrobiło się głośno w czasie procesu stryja. Nagle wszędzie jej było pełno - w telewizji, w internecie, w gazetach. Penny była głównym świadkiem oskarżenia i to ona posłała Blackwooda do więzienia, ale widać było, że nie cierpi znajdować się w centrum uwagi. Gdy kamery kierowały się w jej stronę, kulila głowę i zakrywała twarz rękami.

- Co jeszcze mama ci mówiła? - zapytała Kate.

Maddie zmarszczyła czoło.

- Mówiła, że pani mnie naprawi.

- To wszystko?

Kolejne wzruszenie ramion i milczenie.

- Przed chwilą powiedziałaś, że nie masz żadnych krewnych.

Czy zapomniałaś o stryju swojej matki? Henrym Blackwoodzie?

Maddie skuliła się w sobie.

- On jest w więzieniu.

- Czy wiesz dlaczego?

- Nie.

- Jesteś pewna?

Dziewczynka zaczynała kluczyć - zapewne chciała ochronić matkę przed dociekliwością Kate.

- Co jeszcze o mnie mówiła? - drążyła Kate. - Oprócz tego, że moja siostra została zabita i że chodziłyśmy do tej samej szkoły?

Maddie popatrzyła na nią z niepokojem.

- Czy pani się na mnie gniewa?

- Nie.

- Ale ma pani czerwoną twarz.

Kate odetchnęła głęboko.

- Jestem po prostu zaskoczona, to wszystko. Byłam zrozpaczona, kiedy straciłam siostrę, i nadal jest to dla mnie bardzo bolesne.

Maddie uroczyście pokiwała głową. Jej policzki zaczerwieniły się z powodu empatii.

Kate poczuła napływającą paranoję, ale w tej sytuacji nie wolno jej było ujawniać złości ani zagubienia. Poradzi sobie z tymi uczuciami później.

- Okej - powiedziała. - Cofnijmy się jeszcze kawałeczek. Mam kilka pytań na temat tego głosu. Kiedy zaczęłaś go słyszeć?

Maddie westchnęła.

- Nie pamiętam. Dawno temu.
- A co jest najgorsze z tego, co ten głos ci mówił?
- Wskocz przez okno.
- Kazał ci wyskoczyć przez okno?
- Byłam na strychu, a on mi powiedział: „Zrób to”. Wiedziałam, o co mu chodzi, i wyskoczyłam.

Zła wiadomość. To oczywisty przejaw psychozy – głos domagający się, by człowiek zrobił coś strasznego, a człowiek spełnia rozkaz.

- Kiedy to było?
- Miałam osiem lat.

Kate potrząsnęła głową.

- A czy nie miałaś ośmiu lat, kiedy spadałaś z drzewa?
- Nie. Wskoczyłam z okna i po drodze uderzyłam w drzewo.
- A więc tak naprawdę to nie spadałaś z drzewa?
- Nie.
- Czy ktoś cię wypchnął z tego okna?

Maddie się skrzywiła.

- Głos powiedział „Zrób to”, więc zrobiłam.
- Czy teraz słyszysz ten głos?

Dziewczynka milczała przez chwilę, po czym potrząsnęła głową.

- Jak mogłabyś opisać swoje relacje z matką i ojcem? – Maddie spojrzała na nią podejrzliwie. – Powiedz po prostu to, co ci przychodzi do głowy.

- Oni się mnie boją.
- Dlaczego?
- No bo mnie nie rozumieją.

- A w jaki sposób ten strach się przejawia? Co oni robią? – Oprócz tego, pomyślała sarkastycznie Kate, że stroją cię w różańce, zostawiają w odległym szpitalu i czmychają do domu?

- Mamusia cały czas się modli.

- O co się modli?

- Żeby mi się polepszyło.

- Czy ona wierzy w opętanie?

- To trochę jakby niedopowiedzenie.

Kolejna dziwnie dorosła odpowiedź jak na infantylną nastolatkę.

- Czy ma na myśli, że jesteś opętana?

- Dużo o tym nie mówi.

- Dlaczego nie?

- Bo tata jej zabronił.

- A więc twój tata nie chce, żeby mama mówiła, że jesteś opętana?

- Jak raz powiedziała, że we mnie jest szatan, to ją uderzył.

Wreszcie.

- Naprawdę?

- Uderzył ją w twarz.

- Tylko raz? Czy może więcej niż raz?

- O tak. - Maddie zamarkowała cios ręką.

- A ciebie, Maddie? Czy ojciec kiedyś cię uderzył?

- Nie. - Dziewczynka przybrała postawę defensywną.

- Na pewno?

- Chyba na to zasłużyłam - stwierdziła zniechęcona.

- Ale przed chwilą mówiłaś, że ciebie nigdy nie uderzył.

- Czasami wymyślam różne rzeczy - przyznała Maddie.

Oho ho. To nowy element w tej mieszance. Ale psychoza i kłamstwa wzajemnie się nie wykluczają. Dzieci, wobec których stosuje się przemoc, czasami kłamią, by ukryć grzechy swych rodziców, i sprawiają, że trudno jest wyłuskać prawdę z urojeń i oczywistych kłamstw.

- Uderzył cię? Dlaczego? Co się stało? Jakie były okoliczności?

- Powiedziałam mu coś, czego nie chciał usłyszeć.
- Co to było?
- Nie pamiętam.
- Spróbuj sobie przypomnieć.
- Niech pani przestanie pytać! Oni mnie kochają.
- Jestem pewna, że cię kochają - zgodziła się Kate.
- Są tylko niepokładani. - Głos dziewczynki stał się wysoki i przenikliwy. - Oni mnie kochają.
- Czy twój ojciec...
- Mój ojczym - warknęła Maddie.
- O! To twój ojczym?

Maddie kiwnęła głową ze wzrokiem utkwionym w punkt za oknem.

- Nie zdawałam sobie sprawy...
- Mój prawdziwy ojciec nie żyje.
- Przykro mi.
- Nie musi pani być przykro.

Kate zmarszczyła czoło.

- Mam zamiar poprosić twoich rodziców, żeby cię dzisiaj odwiedzili.

- Powodzenia. - Kolejna dziwna odpowiedź.
- Dlaczego tak mówisz? - Maddie milczała, Kate dodała więc: - Nie mogę ich zastać w domu. Czy jest jakiś inny numer, pod którym można się z nimi skontaktować?

Dziewczynka potrząsnęła gwałtownie głową.

- Mamusia nie lubi telefonów komórkowych. Mówi, że rząd może podsłuchiwać.

- Podsłuchiwać?
- Jestem zmęczona tym mówieniem.
- Dobrze. No cóż, miejmy nadzieję, że dziś do ciebie przyjadą.

Kate zdawała sobie sprawę, że jej pytania stają się coraz bardziej natarczywe, było więc oczywiste, że Maddie potrzebuje wytchnienia.

Wyszła z pokoju i przystanąła w korytarzu, przez otwarte drzwi obserwując swą udręczoną pacjentkę. Ponownie zadzwoniła do państwa Wardów. Tym razem sekretarka się włączyła i Kate nagrała krótką wiadomość.

Była odwrócona plecami do Maddie tylko przez sekundę, ale gdy zerknęła z powrotem do pokoju, zobaczyła, że dziewczynka wali pięściami w okno, próbując rozbić szybę.

Pospiesznie wróciła do pokoju i chwyciła Maddie za ramiona.

- Ciii, nie bój się.

To jest pogorszenie. Najwyraźniej Maddie nie można zostawić samej nawet na chwilę.

Udała się piętro wyżej, na Oddział Intensywnej Pomocy Psychiatrycznej dla Dorosłych, by porozmawiać z Jamesem. Właśnie kończył grupową sesję terapeutyczną, podczas której siedział w kręgu z dwunastoma pacjentami w pokoju dziennym. Agatha, jego najtrudniejszy przypadek, stała pośrodku grupy, wydając cienki jęk kota w rui. Jej ramiona poruszały się jakby w tańcu shimmy. Próbowwała coś wyjaśnić, ale była w stanie wyprodukować jedynie poczerwiałe od mascary łzy.

Kate usiadła i czekała. Zmiętoszone czasopisma sprzed miesiący leżały rozrzucone po całej poczekalni. Każdy centymetr tapicerki był oblany kawą, a brzydka tapeta do złudzenia przypominała test Rorschacha.

Parę minut później spotkanie grupy się skończyło. Jego uczestnicy patrzyli na siebie mętным nienaturalnym wzrokiem, po czym powoli się rozeszli.

James zbliżył się do Kate i powiedział:

- Mam potworny ból głowy. Chodźmy.

Ruszyli na dół do kafeterii, gdzie dominował zapach smażonych krążków cebulowych i podgrzewanego klopsa. Lekarze specjaliści, rezydenci, goszczący w szpitalu naukowcy i pracownicy kręcili się przy ladzie, nakładając na tace nafaszerowane konserwantami gotowe dania. Na tarasie palacze wchłaniali swoją dawkę nikotyny.

James wyjął dwie tabletki ekscedryny i wziął dwie tace. Wręczył jedną Kate i zamówił dla siebie cheeseburgera, frytki oraz mrożoną herbatę. Kate poprosiła o kawę i smętnie wyglądający kawałek jabłecznika, po czym znaleźli wolny stolik w głębi sali,

obok kubłów do segregowania odpadów. Gdy dotarł do nich lekki smród, Kate zrobiło się niedobrze. Patrzyła, jak James wbija się zębami w cheeseburgera i ociera tłuszcz garścią serwetek, niezrażony cuchnącym aromatem.

- Jak ci idzie z nową pacjentką? - zapytał.

- Bardzo mnie niepokoi jej środowisko. To, co mówi Maddie, jest niespójne, ale skłaniam się ku koncepcji, że przemocy nadużywa ojczym, co by wyjaśniało zachowanie matki. Próbowałam się z nią skontaktować, mam na myśli Nelly, ale nie odbiera telefonu. Najwyraźniej nie ma komórki, mam więc zamiar dziś po południu tam pojechać. Dotrzeć do sedna sprawy.

- Słusznie. Na przykład znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego wybrała właśnie ciebie na lekarza swojego dziecka.

- I dlaczego nie wspomniała, że chodziłyśmy razem do szkoły. I kim jest ten jej przeklęty stryj.

- Wiesz, tak przyszło mi do głowy - wyznał James - że może Nelly stara się uzyskać twoje poparcie dla petycji do gubernatora, żeby przełożyć egzekucję.

- Pomyślałam o tym.

- Jest trochę podejrzaną, dlaczego wybrała właśnie ten moment.

Kate z rezygnacją skinęła głową.

- Chcesz moją szarlotkę? Nie jestem głodna.

James zaprzeczył, ale mimo to sięgnął po widelczyk i zjadł kawałek.

- Nie pozwól jej wywierać na siebie presji, dobrze? Ona może próbować wciągnąć cię w tę całą awanturę przeciwko karze śmierci. Jeśli o tym napomknie, to pamiętaj, nie musisz tam siedzieć i grzecznie tego słuchać. Możesz wyjść z czystym sumieniem. Nie pozwól jej wywołać w sobie poczucia winy.

- Dobrze.

- Grzeczna dziewczynka. - Jego twarz zdradzała ślady trudnego poranka. - Chcesz, żebym z tobą pojechał? - zaproponował.

- Nie. Kiedy cię zobaczy, całkiem zamknie się w sobie.

- Jesteś pewna?

- Jest bardzo nerwowa. Lepiej pojedę sama. - Kate uścisnęła przez stół jego rękę. - Jak z twoją głową? Dobrze?

- Jeśli przez „dobrze” masz na myśli to, że czuję się, jakby ktoś roztarł mnie na miazgę, to tak.

Dotknęła ręką jego czoła. Skórę miał lepką i chłodną, co kontrastowało z czerwonymi wypiekami na policzkach.

- Oddychaj głęboko. Wdech i wydech.

- Zamknij się - rzekł ze śmiechem.

- Och, przestań. Gdzie się podział ten pewny siebie psychiatra, którego znałam?

Machnął ręką od niechcienia.

- No, siedzi tutaj.

- No tak. Ostatnio coś go nie widziałam.

- Pochłonęła go cała ta zespołowa, intensywna, krótkoterminowa terapia dynamiczna.

Popatrzyli na siebie.

- A teraz serio. Dobrze się czujesz?

Uśmiechnął się wyzywająco.

- Och, są takie chwile, kiedy jasno myślę.

- Agatha?

- Czuję się, jakbym żył w środku filmu „Co się zdarzyło Baby Jane?”. Ona z pewnością stara się mnie zniszczyć. Może powinienem wstrzyknąć sobie haldol i pójść spać.

- Czy mam jej w twoim imieniu spuścić łomot?

- Nie. - Wypił łyk mrożonej herbaty. - To jest chyba nielegalne.

Dotknęła jego ramienia.

- Dobija mnie to, że ona jest naprawdę inteligentna i spostrzegawcza - zauważył. - To tragedia. Mogłaby być cennym członkiem społeczeństwa, gdyby tylko nie ta jej osobowość typu borderline... Niechętnie to przyznaję, Kate, ale większość z tych osób, które przychodzą do nas po pomoc, nigdy nie wyzdrowieje. Wypuszczamy ich i staramy się być dobrej myśli, ale wiemy, że wrócą.

- Koniec kwietnia - obiecała. - Cancún. Albo Kajmany.

Oczy mu zabłyśły.

- Naprawdę?

- Chyba że wolałbyś pojechać do Disneylandu?

- Nie, nie, już mi lepiej. - Z radosną miną zaatakował szarlotkę.

W tej samej chwili podszedł do ich stolika Jerry Meinhard.

- Witam, panie i pany. Co się dzieje?

Kate jęknęła w duchu. Jerry był błaznem oddziału psychiatrycznego, z pewnością nie lekarzem, któremu powierzyłaby opiekę nad swym zdrowiem psychicznym.

- Jerry - powiedział James ponurym tonem.

- Nic takiego - mruknęła Kate.

- Mam dla was coś nowego. Psychopaci budują zamki z piasku, a psychiatrzy przejmują je za długi. - Jerry patrzył na nich wyczekująco. - No co? Załapaliście? - Roześmiał się głośno. - Myślałem, że to śmieszne.

Kate spojrzała na niego posępnie.

- Och, panie J. Pana dziewczyna mnie nie lubi.

- Daj nam spokój, Jerry. Rozmawiamy sobie jak dorośli.

- Uh, jacy przewrażliwieni. No dobra, zmykam do stolika dzieciaków - powiedział i odszedł.

- Wiesz co? - szepnął James. - Może to on podrzucił te orzeszki

do twojego gabinetu?

- A niech to - odparła. - Jerry Joker.
- Mam w twoim imieniu spuścić mu łomot?
- Nie. Podejrzewam, że to tylko by go rozbawiło.
- Fakt. Najlepiej ignorować tego fiuta.

Pochyliła się nad stolikiem i zmarszczyła czoło.

- On tego pożałuje.
 - Jak?
 - Jeszcze nie wiem. Ale zorientuje się dopiero po fakcie.
- Na jego twarzy pojawił się ten piękny ironiczny uśmiech.
- Podoba mi się sposób, w jaki pani rozumuje, doktor Wolfe.

16

Po dyżurze Kate skierowała się na szosę 95 na północ od Bostonu. W drodze do Blunt River w New Hampshire minęła kilka minimarketów, parków przemysłowych, lasów i jezior. Było wczesne popołudnie, a zważywszy na to, że był piątek, ruch należało uznać za niewielki.

Szesnaście lat temu Penny Blackwood w sali sądowej w Manchesterze przypieczętowała los swego stryja, mimo że jego obrona utrzymywała, że ową fatalną noc spędził z nią. Penny zaprzeczyła jednak jego złożonemu pod przysięgą oświadczeniu i zeznała, że tego dnia wieczorem stryj opuścił dom na sześć godzin, a wrócił rozczochrany i rozchełstany. Ława przysięgłych uwierzyła jej, a nie jemu.

Materiał dowodowy zgromadzony przez prokuraturę sam w sobie wystarczyłby zapewne na uznanie jego winy, niemniej zeznanie Penny przepełniło czarę i potwór dostał czapę. Kate pamiętała jak przez mgłę, że Penny – nieśmiała blondynka jak z reklamy zmywarek – przewijała się przez szkolne korytarze niczym duch, nigdy nie ściągając na siebie uwagi. Niewidzialne dziecko, jak wielu udreńczonych pacjentów psychiatrycznych Kate.

Chociaż nie wpuszczono jej do sali rozpraw, gdy Penny składała wyjaśnienia, to w wieczornych wiadomościach obejrzała wiele reportaży, które przedstawiały Penny, głównego świadka oskarżenia, jak opuszcza budynek sądu w otoczeniu reporterów i kamerzystów tłoczących się na schodach i głośno zadających jej pytania. Penny narzucała na głowę sweter, by ukryć twarz.

W telewizji Henry Blackwood zawsze wyglądał tak samo. Często marszczył czoło. Na jego twarzy pojawiał się nieprzyjemny

grymas. Kate wyobrażała go sobie wyłącznie tak, jak wyglądał w tych audycjach, jakby poza tymi niewyraźnymi zdjęciami telewizyjnymi w ogóle nie istniał.

Jechała już od ponad godziny. Krajobraz składający się z połąci śniegu i plam słońca sprawił, że zapadła w stan przypominający czujną drzemkę. Zgasła radio i jechała w ciszy po wschodniej stronie rzeki. Była teraz w południowo-zachodnim New Hampshire z jego przesłoniętymi mgłą górami i zimowym krajobrazem przypominającym paletę złota, platyny oraz srebra. Niektóre domy były okazałe, wokół innych podwórka zawałały śmieci.

Miasteczko Blunt River było kiedyś centrum produkcji butów, a jego należący do Ligi Bluszczowej uniwersytet liczył sobie prawie tyle samo lat co Yale. Najbardziej niechlubną instytucją tej miejscowości był nadgryziony zębem czasu ośrodek dla psychicznie chorych, zamknięty w 1996 roku. Obecnie był to zespół niszczących budynków na objętym ochroną terenie, nieopodal nowego, powiązanego z uniwersytetem szpitala Blunt River, mieszczącego nowoczesny i profesjonalny oddział psychiatryczny.

Jej matka została umieszczona w starym szpitalu, gdy Kate miała dziesięć lat, a Savannah sześć. Obie były zbyt małe, by rozumieć, co się stało. W początkach swej choroby Julia Wolfe zaczęła słyszeć głosy. Widziała rzeczy, których nikt inny nie dostrzegał - twarze za oknami, dziwne światła wirujące w powietrzu. Była przekonana, że po całym mieście ktoś za nią chodzi. W szpitalu u Julii leczono chorobę dwubiegunową i poważny atak depresji. Choroba dwubiegunowa, lub psychoza maniako-depresyjna, to zaburzenia chemiczne mózgu, choroba chroniczna odznaczająca się zmianami nastroju ewoluującymi od

zespołów depresyjnych do maniakalnych. W niektórych przypadkach zaburzeniom dwubiegunowym towarzyszą halucynacje wizualne lub słuchowe. Te symptomy psychotyczne były jednak najczęściej utożsamiane ze schizofrenią, i w rezultacie pacjenci o głębokich zmianach nastroju, którzy także miewali halucynacje, często byli źle diagnozowani. Lekarze utrzymywali, że choroba dwubiegunowa Julii przejawiała się w halucynacjach, lecz jej urojenia były tak poważne, że Kate często zastanawiała się, czy w przypadku matki nie postawiono błędnej diagnozy. Kto wie, czy matka nie cierpiała raczej na zaburzenia afektywne dwubiegunowe.

Lekarze wypisali ją po sześciu miesiącach. Kilka tygodni później matka napełniła kieszenie kamieniami i utopiła się w rzece jak jej ulubiona pisarka, Virginia Woolf.

Kate zjechała z autostrady w znaną sobie, biegnącą łukiem drogę do Blunt River. Od trzech lat nie odwiedzała domu, ale ojciec nigdy jej tego nie wypominał. Rzadko się do niej odzywał, przysyłał jedynie obowiązkową kartkę z okazji Bożego Narodzenia lub prezent na urodziny, zawsze książkę. Ze dwa razy w roku do niego dzwoniła, ale za każdym razem włączała się sekretarka. „Mówi doktor Wolfe. Po sygnale proszę zostawić wiadomość”. W końcu przestała się nagrywać, bo niewiele było do powiedzenia.

Teraz poczuła strach okraszony nutą nostalgii. Jej ciekawość została pobudzona. Nic się nie zmieniło, Blunt River nadal wyglądało jak każde typowe dla Nowej Anglii miasteczko – było urocze i senne, z prestiżowym uniwersytetem w samym sercu. Jej miasto rodzinne. Mijała zwykłe domki i domy neogotyckie oraz wiktoriańskie, w których kiedyś mieszkało wiele jej koleżanek i kolegów, ludzi, z którymi straciła kontakt lata temu. W tym

zielonym domu bawiła się w doktora z bratem Ashley Walsh; w tym dwupoziomowym rzygała kiedyś do wanny Dary Bogdanowej; w tej rezydencji w stylu Tudorów została uznana za najgorszego gościa zaproszonego na przyjęcie z nocowaniem, bo próbowała obrzydzić wszystkim wokalistkę Alanis Morissette.

Zwolniła przed migającym żółtym światłem, po czym skręciła w lewo w Three Hills Road. Czuła lekkie napięcie, gdy pokonywała trzy kolejne wzgórza - w górę i w dół, w górę i w dół, jakby siedziała na grzbiecie galopującego smoka.

Prawie w domu.

No, niezupełnie. Nie uprzedziła ojca o dzisiejszej wycieczce i nie miała zamiaru wpadać do niego bez zapowiedzenia. Postanowiła, że przejedzie przez swe stare strony w drodze do Wilamette. Cześć, tato, żegnaj, tato. Przepraszam, tato.

System nawigacyjny podał informację i Kate automatycznie go posłuchała, skręcając w lewo, jadąc prosto dwa i pół kilometra, skręcając w prawo, i tak dalej. Wilamette, w którym mieszkali Wardowie, było miasteczkiem po drugiej stronie rzeki. Sam jego widok napawał obrzydzeniem. Kate przekroczyła łukowy most łączący brzegi zimnej szarej rzeki i minęła znak z napisem WITAJCIE W WILAMETTE - STOLICY PRZEMYSŁU TARTACZNEGO. Kłamstwa, ale kłamstwa.

Krajobraz zmienił się tu drastycznie. Drogi były w strasznym stanie. Połowa sklepów przy ulicy Głównej została zabita deskami, a w witrynie sklepu z narzędziami widniał napis „Obniżka 60%”. Znany sklep odzieżowy Daffy's został zastąpiony przez The Four-Leaf Clover, a Barney's Bar & Grill zmienił się w lokal z fast foodem. Kino zamknięto na dobre. Nieco ponad kilometr dalej ponura ulica handlowa kończyła się ślepo, toteż Kate musiała skręcić w lewo przy torach kolejowych, aby nie

musieć zawracać.

Miejscowość, w której niegdyś kwitł przemysł drzewny, usiłowała przekształcić się w leśną idylliczną atrakcję turystyczną. Powodzenia. Wilamette chwaliło się ścieżkami rowerowymi i szlakami pieszymi, lecz dysponowało mocno zniszczoną infrastrukturą, a drogi były pełne dziur. Znajdowało się tam również zbyt wiele podupadłych kempingów dla przyczep turystycznych i bungalowów pomalowanych na pstrokate barwy, które przechodziły z pokolenia na pokolenie. Tu i ówdzie wyrastały sklepiki ze słodyczami i pamiątkami, wszędzie dominowała jednak bieda. Ludzie walczyli o przetrwanie, burmistrz był skorumpowany, i od dawna nic się nie zmieniało.

Na skrzyżowaniu Kate skręciła w prawo i krętymi drogami jechała całe kilometry w stronę wzgórz, po drodze mijając nielegalne farmy z zabudowaniami - tu przemysłowa hodowla szceniąt, tam hodowla nerek, tu uprawa konopi. Dobrzy ludzie z Wilamette lubili gromadzić części do samochodów i zardzewiałe taczki. Niektórzy z jej kolegów z Wilamette na ogół ironicznie komentowali dziwaczne zachowania swych rodziców, toteż teraz w głowie Kate pojawiło się pytanie, czy ci sami inteligentni, ironiczni i obiecujący członkowie generacji Y nadal tkwią w tym miejscu. Czy też może opuścili ten pierdolnik i przenieśli się do bardziej wyrafinowanych miejscowości? Miała nadzieję, że niektórzy tu zostali i z zapalem próbują przeciągnąć swe rodzinne, opierające się z krzykiem i kopaniem miasto, w dwudziesty pierwszy wiek.

Było już późne popołudnie, gdy dotarła do szarego domu Nelly Ward z lat sześćdziesiątych. Na podjeździe stała granatowa toyota camry. Rezydencja liczyła sobie około sześćdziesięciu lat i była niefachowo zbudowana. Wyglądała, jakby próbowała

rozerwać ją na strzępy zirytowana szwaczka - pęknięcia w sidingu zdradzały osiadanie fundamentów.

Kate zaparkowała na ulicy i wysiadła. Z dachu niczym lameta zwisały sopele lodu. Kate ruszyła przez zaśnieżoną ścieżkę z poczuciem misji. Nacisnęła dzwonek.

Nelly otworzyła drzwi i zapytała ze zdumieniem:

- Co pani tu robi?
- Musimy porozmawiać.
- Trzeba było mnie uprzedzić.
- Próbowałam. Czy odsłuchiwała pani moje wiadomości?

Po kilku sekundach Nelly się poddała.

Gdy Kate weszła do domu, uderzyło w nią bogactwo zapachów - pleśni, śmieci, papierosów. Sądziła, że zobaczy ściany obwieszane krzyżami i innymi symbolami chrześcijańskimi, a tymczasem ujrzała różnorodną kolekcję przedmiotów przynoszących szczęście: totemów indiańskich, amuletów New Age, czterolistnych koniczyn i prymitywnych talizmanów. Były też dwa krucyfiksy przypominające średniowieczne, ale najwięcej było symboli New Age.

Nelly podążyła za wzrokiem Kate, po czym wyciągnęła przed siebie swoje kościste ręce, których nadgarstki obwieszane były dziesiątkami srebrno-turkusowych bransoletek.

- Aztekowie i Majowie wierzyli, że turkus i srebro odpędzają złe duchy. No to pomyślałam sobie, co do cholery. Im więcej, tym weselej. Ale chyba to nie działa - stwierdziła półgłosem. - Już takie parszywe szczęście jak mnie to nikogo nie spotkało.

Kate zadała sobie pytanie, jak się czuła Maddie, dorastając w tym zagraconym domu, gdzie wszystkie ściany jakby chciały cię osaczyć. Ktoś włożył wiele wysiłku w to, by stworzyć miejsce jasne i radosne, lecz żaluzje zostały zamknięte i żaden promień

słońca nie był w stanie przedostać się do środka. Na kominku Kate spostrzegła fotografię w ramce – szczęśliwa para małżeńska w dniu ślubu. Mąż Nelly był wysoki i ubrany w smoking, miał szerokie ramiona i ciemne włosy sięgające kołnierzyka. Panna młoda tryskała radością, lecz na twarzy pana młodego widniał lekki grymas niezadowolenia, co nadawało zdjęciu złowróżbną aurę.

- Czy mogę usiąść? Gdzie?

- Gdzie tam pani chce – odparła Nelly, wzruszając ramionami.

Kate usiadła na brzeжку dużej kanapy z obiciem w szkocką kratę, która zajeżdżała lekko psem. Postanowiła niczego nie ukrywać.

- Jesteś Penny Blackwood, prawda? Bratanica Henry’ego?

- Tak – przyznała Nelly sucho. - Zmieniłam nazwisko z oczywistych powodów.

- Dlaczego mi tego nie powiedziałaś?

- Nie wiem. - Penny miała głębokie worki pod oczami. Trudno było uwierzyć, że różnica wieku między nimi wynosiła tylko dwa lata, bo Nelly wyglądała na znacznie starszą. Miała na sobie różowy sweter z golfem, wąskie brązowe spodnie i kapcie bez pięt z tkaniny frotté, znakomicie nadające się do człapania.

- Nie pojmuję – powiedziała Kate. - Dlaczego wiozłaś swoją córkę taki kawał drogi do Bostonu, kiedy tuż obok masz znakomity oddział psychiatryczny? Po co ta cała kombinacja?

Nelly opadła na obity skajem fotel.

- Nie wiem.

- Posłuchaj – ciągnęła Kate trochę łagodniej – w Blunt River jest mnóstwo znakomitych kobiet psychiatrów. Dlaczego wybrałaś mnie?

- No bo najpierw przeczytałam o tobie artykuł w „Globie”. O tej

nagrodzie. I miałam już po uszy tych tak zwanych ekspertów – warknęła Nelly. – Moim zdaniem oni gównie wiedzą.

- Doktor Quillin oraz inni? Maddie o nich wspominała.

- Doktor Quillin, doktor Madison, doktor Hoang. Przeplacane doktorki, cała zgraja. Cały czas dają ci sprzeczne rady. Ona ma dwubiegunówkę, nie, schizofrenię. A te lekarstwa, co przepisują, to tylko wszystko pogarszają. Nikt nie potrafi dać mi jasnej odpowiedzi. A z nią jest coraz gorzej.

- I dlatego wybrałaś mnie? – zapytała Kate, starając się mówić neutralnym tonem. – Spośród wszystkich lekarzy z Tillmanna-Stafforda? Bo zawiedli cię ci z Blunt River i przeczytałaś o mnie w „Globie”?

- Co mam ci na to odpowiedzieć? – zapytała Nelly z irytacją i wstała.

- Przyjemnie byłoby usłyszeć prawdę.

- Prawdę?! – Nelly lekko drżała, jak pies cofający się na tylnych łapach. – Mój stryj nie zabił twojej siostry – wypaliła takim tonem, jakby już od dawna marzyła o tym, by to wyznać. – Czy taka prawda ci odpowiada?

Kate poczuła skurcz żołądka, a Nelly dokończyła:

- A teraz umrze za coś, czego nie zrobił.

- Naprawdę? To dziwne, bo moja siostra została zakopana na jego podwórku. Jak byś to wyjaśniła? I dlaczego zeznawałaś przeciwko niemu?

- Wiem tylko, że umrze niewinny człowiek – powtórzyła Nelly z uporem.

Kate poczuła złość. Teraz wszystko nabrało sensu. „To dlatego przywiozłaś Maddie do mnie. Wszystko z powodu poczucia winy. Wsypałaś stryja na procesie, a teraz, kiedy ma zostać stracony, postanowiłaś zmienić swą opowieść i pomyślałaś, że mnie w to

wciągniesz. No cóż, masz pecha”.

Kate wstała.

- W rejonie Bostonu jest całe mnóstwo wykwalifikowanych psychiatrów. Poproszę mojego kolegę, doktora Irę Lippencotta, żeby na razie przejął terapię Maddie. Jest uznanym psychiatrą dziecięcym, jednym z najlepszych...

- Nie! - Nelly stanęła przed Kate, drżąc na całym ciele. Była kościstą kobietą o wielkich oczach. - Proszę... Przepraszam, nie chciałam cię zdenerwować. Pamiętam cię ze szkoły. A czy ty pamiętasz mnie?

- Słabo - przyznała Kate, kiwając głową.

- Ty i twoja siostra codziennie w drodze do szkoły mijaliście dom mojego stryja. Czasami machałam do was z okna na górze, przypominasz sobie? W mojej pamięci jesteście jak żywe: śliczny rudzielec i jego mały jasnowłosy cień.

Kate przeżyła szok, zdając sobie sprawę, że Penny/Nelly była przez cały czas świadoma obecności jej i siostry, bo nie pamiętała, by z domu Blackwoodów ktoś ich pozdrowiał. Co istotniejsze, nie chciała z tą kobietą rozmawiać o swej zmarłej siostrze, bo nawet jeśli Nelly Ward jest niewinna, została skazana okrucieństwem swego stryja.

W pewnym sensie Kate chciała ją ukarać.

- Jak to możliwe, że nie byłaś jeszcze w szpitalu? Maddie potrzebuje cię bardziej niż dotąd.

- Nie wiem. - Nelly ukryła twarz w dłoniach.

- Co się dzieje? Masz problemy w domu? Chodzi o twojego męża?

- O Jezusie, nie.

- No dobrze, to posłuchaj. Mogę ci polecić kilka świetnych kobiet psychiatrów...

- Nie! - krzyknęła Nelly ze łzami w oczach.

- Chcesz, żebym to ja ją leczyła? Dlaczego?

Nelly potrząsnęła głową.

- Wiesz, śledziłam cię przez wiele lat... Nie jestem stalkerką, ale z takim żalem myślałam zawsze o twojej siostrze... to okropna historia... ale widzisz, mój stryj tego nie zrobił. Mam pewność, że jest niewinny. No i pomyślałam sobie... ale bo ja wiem, może wcale nie myślałam? Może jestem po prostu głupia? - zakończyła z niespodziewaną zaciekłością.

Kate zrozumiała, skąd pochodził głos w głowie Maddie.

- Słuchaj - powiedziała miękko - nie jesteś głupia. Jesteś po prostu zagubiona, jak my wszyscy.

- Zagubiona? Na pewno tak. Pechowa? Jasne. Nie wszystkim powodzi się idealnie - stwierdziła Nelly gorzko.

To było jak cios w żołądek.

- Czy uważasz, że moje życie jest idealne? - zapytała Kate, starając się ukryć złość.

- Nie, nie - wycofała się Nelly. - Nie idealne. Ale na pewno uprzywilejowane.

- Uprzywilejowane? Moja mama popełniła samobójstwo. Moja siostrzyczka została uprowadzona i zamordowana w potworny sposób...

- Wiem, wiem. Przepraszam! Nie to miałam na myśli. - Nelly zamachała chudymi rękami, jakby usiłując odepchnąć od siebie słuszne oburzenie Kate. - Słuchaj... błagam cię... Mój stryj tego nie zrobił. Przysięgam na Boga, on tego nie zrobił.

- Przestań to powtarzać.

- Tej nocy nie wychodził z domu. Przez cały czas był ze mną.

- A więc w sali sądowej skłamałaś?

- Ześwirowałam! Myślałam, że tak będzie najlepiej.

- Ale powiedziałaś sędziemu, że stryj opuścił dom na sześć godzin. Dlaczego miałabyś w tej sprawie skłamać?

- Bo się wstydziłam.

- Czego?

Nelly zacisnęła palce.

- Czegoś.

- Ale czego?

- Czy muszę się do tego przyznać? - W jej głosie zabrzmiał ból.

- Najwyraźniej.

Nelly chwyciła z kominka paczkę marlboro, walczyła chwilę z pudełkiem zapalek, po czym zapaliła papierosa i wypuściła z ust kłęb dymu.

- Mój stryj mnie molestował.

Kate znieruchomiała, choć nie miała pojęcia, dlaczego ją to zaskoczyło.

- Przez wiele lat. - Nelly drgnęła z bólu. - Proszę.

Po raz pierwsze słowa Nelly miały sens. Bo jeśli to prawda, to wstyd i poczucie winy prześladują ofiarę do końca życia.

- A więc nie było tych sześciu godzin nieobecności? - zapytała Kate. - Czy właśnie to chcesz mi powiedzieć?

Nelly westchnęła ciężko.

- Byliśmy sami w domu rodziców. Wyjechali z miasta. A kiedy wyjeżdżali, prosili stryja Henry'ego, żeby się mną opiekował. Ha. Jasne, opiekował się. Robił to przez całe lata. Uwielbiał to. Mój ojciec tak się o mnie martwił. Uważał, że nie może zostawić Penny samej w domu, bo zaprosi chłopaków i zaczną się kłopoty... Ja zaproszę chłopaków? Dziewczyna podpierająca ściany na imprezach w Roosevelt High? Ale Henry'emu ufali... Robił to ze mną, potem jedliśmy kolację i oglądaliśmy telewizję, a potem opowiadał o sobie. I znów mi to robił, i znów oglądaliśmy

telewizję. I tak bez końca. W jego porąbanej głowie byliśmy nieszczęśliwymi kochankami. Ja byłam jego sekretną dziewczyną. A tak naprawdę byłam przerażona.

Oczy Nelly wypełniły się łzami.

- To policja zmusiła mnie do kłamstwa. Trzymali mnie na komisariacie godzinami i zadawali ciągle te same pytania. „Co robił, kiedy był z tobą w domu? Co to znaczy, że oglądaliście telewizję? Czy to wszystko? Nie wychodził po piwo? Czy w ogóle nie wychodził z domu? Dlaczego kłamiesz? Nie wierzymy ci. Zostaniesz oskarżona o krzywoprzysięstwo. Przecież on musiał czasem wyjść”.

Otarła nos wierzchem dłoni.

- Nie chcieli żadnej prawdy. Trzymali mnie zamkniętą w takim malutkim pokoiku, nie dawali nic do picia, nie mogłam pójść do toalety, nie dali mi prawnika. Czułam się jak przestępca. Byłam śmiertelnie przerażona. Złamali mnie. Marzyłam o tym, żeby pójść do domu. „Co to znaczy, że był z tobą przez cały czas? Przecież musiał czasem wyjść. Wychodził czasem, prawda?”. Byli tak pewni jego winy, że pomyślałam... że jak im powiem to, co chcą usłyszeć, wtedy zamkną go na zawsze, a ja już nie będę musiała o tym myśleć. Wiesz? Naprawdę miałam główkowanie.

- W porządku - rzekła miękko Kate. - Ale jeśli to nie on, to kto zabił moją siostrę? Kto ją pogrzebał na jego podwórku?

- Nie wiem. Henry miał pełno wrogów. Był po uszy w długach. - Nelly potrząsnęła głową. - Ale mówię ci... nie spuszczał mnie z oczu. Ciągle mnie obmacywał, byłam w zasięgu jego ręki. Nigdy by mnie nie zostawił samej.

- Dowody przeciwko niemu były jednak przytłaczające - zaoponowała Kate. - Odciski palców na łopacie. Jego włosy w sznurze. - Zamilkła na chwilę, zastanawiając się, jak to

wytłumaczyć. – Wiesz, rozumiem cię. Ale nasza pamięć bywa zawodna. Skąd wiesz, że nie płaczą ci się wydarzenia, daty, miejsca? Istnieje coś takiego jak syndrom fałszywej pamięci. Może gdzieś w głębi duszy nie chcesz być odpowiedzialna za egzekucję stryja?

Nelly zacisnęła usta i spojrzała na Kate ze złością. W pewnych momentach terapii wszyscy pacjenci patrzyli na nią wściekłym wzrokiem.

– Proszę mnie wysłuchać, doktor Wolfe. Ja nie kłamię. Mój stryj był brutalnym człowiekiem. Nienawidzę go za to, co mi zrobił, ale nie zabił Savannah. Nie mam pojęcia, kto to zrobił, ale ten człowiek... jest ciągle na wolności.

Pięć godzin później Kate siedziała ze skrzyżowanymi nogami na podłodze sypialni, czując, jak robi jej się niedobrze. Ponownie spróbowała połączyć się z Jamesem, ale natychmiast odzywała się poczta głosowa.

Na dywanie naprzeciwko niej stała pusta butelka po winie i talerzyk pełen niedopałków. Był tam także album ze zdjęciami, które przeglądała, wyblakłymi kolorowymi fotografiami z urodzin i wakacji rodzinnych. Kate czuła, jak znów za oczami narasta jej napięcie. Z trudem przełykała ślinę. Wszędzie jest tyle smutku. Tak blisko. Jej emocje były w stanie krytycznym, postanowiła jednak, że się nie rozpłaczę. Trzeba poradzić sobie z tym profesjonalnie. Musi się trzymać.

Drzwi wejściowe otworzyły się głośno i zamknęły.

- Kochanie? - zawołał James z holu.

- O mój Boże, James! Gdzie byłeś? Dlaczego wyłączyłeś telefon? Od kilku godzin próbuję się do ciebie dodzwonić!

Stanął w progu, trzymając w dłoni papierową torbę od Safeway'a.

- Przepraszam, skarbie. Nie wziąłem ładowarki. Co się stało? Złe się czujesz?

- Nelly Ward powiedziała mi, że Henry Blackwood nie zabił mojej siostry... że zabójca jest nadal na wolności. Nelly utrzymuje, że policja zmusiła ją do kłamstwa, że przed sądem nie powiedziała prawdy, i że Henry wcale nie wyszedł z domu na sześć godzin. Nelly mówi, że nie zostawił jej samej nawet na sekundę.

- Hola, hola, zwolnij. - James wszedł do pokoju, rzucił torbę

z zakupami na łóżko i usiadł na podłodze obok niej. - No dobrze, najpierw... - Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją z czułością.

Odsunęła się od niego.

- A jeśli to prawda? Jeśli on rzeczywiście tego nie zrobił? Jeśli wkrótce stracą niewinnego człowieka?

Spojrzał na nią sceptycznie.

- Naprawdę w to wierzysz?

Potrząsnęła głową.

- Już sama nie wiem, w co wierzyć. Ale jestem właściwie przekonana, że Nelly tym razem nie skłamała. Mówiła, że stryj przez wiele lat ją molestował. To może być prawda. Ale jeśli tamtego dnia nie zostawił jej nawet na chwilę, znaczy to...

- Chwileczkę. Mamy tu do czynienia z klasycznym zachowaniem człowieka dręczonego poczuciem winy. Ona zapewne nie jest przekonana co do słuszności tej egzekucji. Molestował ją? Okej. Ale ława przysięgłych nie miała wątpliwości, Kate. W tej sprawie był solidny materiał dowodowy. Z zeznaniem Nelly czy bez niego.

- Ale to, co mówiła, było tak przekonujące...

- Zapewne w to uwierzyła. Ale to nie znaczy, że taka jest prawda.

- Okej. - Niechętnie pokiwała głową. - Syndrom fałszywej pamięci. Nie pomyślałam o tym.

- A poza tym dlaczego nie udała się z tą informacją do obrońców? To byłaby właściwa droga. Dlaczego powiedziała o tym tylko tobie?

- Te wyznania są dla niej krępujące...

- Kate.

- Masz rację - mruknęła z ciężkim westchnieniem i spojrzała na niego przez zmrużone oczy. - Nie mogłam się do ciebie dodzwonić. Gdzie byłeś? Podobno opuściłeś szpital wiele godzin

temu.

- Zamieniłem się dyżurami z Peterem i wziąłem trochę wolnego.

- Wcześniej wyszedłeś z pracy?

- Musiałem się wyciszyć. Wypiłem kilka drinków. Spędziłem trochę czasu w Best Buy. Wiesz, takie męskie sprawy. - Wziął do ręki pustą butelkę. - A niech to. Mogliśmy się narąbać razem.

- Co jest w torbie od Safewaya?

Pomógł jej podnieść się na nogi, po czym razem usiedli na brzegu łóżka. Gdy James odwrócił torbę, wypadło z niej duże opakowanie pianek cukrowych w kształcie Piankowych Marynarzyków.

- Marshmallows? - zawołała. - Naprawdę?

- Robiłem zakupy po pijaku.

- Myślałam, że wyzionę ducha, kiedy nie odbierałeś telefonu.

- Przepraszam, kochanie. To już się nie powtórzy. Obiecuję. - Rozerwał opakowanie z piankami. - Chcesz? To jak lekarstwo.

- Nie, dziękuję.

- Ale proszę. Nie dasz się skusić? - Wrzucił piankę do ust. - Mniam mniam.

- A więc byłeś w barze? Wypiłeś kilka drinków?

- Wiesz, ostatnio dużo o nas myślę. O naszej przyszłości. Nie jestem w stanie nawet sobie wyobrazić, przez co przeszłaś, Kate... ten cały koszmar z Nikki i ta egzekucja... toteż mam propozycję.

- Jaką?

- Nie bądź na mnie zła, dobrze?

- No mów.

- Może nie jesteś właściwą osobą, żeby leczyć Maddie Ward?

- James...

- Popatrzmy na to obiektywnie. Zobacz, jak skomplikowane się

to staje.

- Masz rację. To jest skomplikowane. Siedziałam tutaj i myślałam o tym samym. Ale w końcu doszłam do wniosku, że nie powinnam podejmować decyzji w oparciu o zachowanie Nelly. Maddie dopiero zaczyna mi ufać. Wytworzyła się między nami więź. Wiem, że potrafię jej pomóc.

- Jeżeli uważasz, że przeżyjesz jedną z tych chwil typu „eureka”, to gwarantuję, że złamiesz sobie serce. Wiesz równie dobrze jak ja, że jeśli chodzi o naszych pacjentów, jesteśmy tylko częścią procesu. Większość z nich spędzi resztę życia na zmianę w placówkach psychiatrycznych lub poza nimi. Sami nie jesteśmy w stanie ich ustawić. Nikt z nas nie jest cudotwórcą.

- Zostało jej tylko pięć dni. Góra osiem. Nie można zmieniać koni w środku brodu.

- Kate...

- Nie pozwolę, żeby cokolwiek zaburzało mój profesjonalny osąd, okej? - Zauważyła, że się poddał, bo jak zwykle w takich sytuacjach ramiona mu opadły. Zerknęła na leżące na łożku pianki. - To jest twoja kolacja?

Zrzucił buty.

- Połóż się przy mnie.

- James...

- Połóż się. - Poklepał materac.

Westchnęła głęboko i położyła się obok niego. Gdy otoczył ją ramionami, ich oddech się uspokoił.

- Już się nie spierajmy - poprosiła.

- Przepraszam, a czy się spieraliśmy?

- Tak jakby.

- Aha. Mam więc propozycję. - Sięgnął po torbę z piankami. - Nie możemy się kłócić, kiedy mamy usta pełne pianek. No już.

Przyłącz się do mnie w tym słodkim rozpasaniu.

Zaśmiała się krótko.

- Twój śmiech jest nieprawdopodobny.

Wsunęła rękę do torby, po czym zajęli się jedzeniem pianek, patrząc, jak światło dnia przechodzi w mrok.

Ból towarzyszył jej zawsze, był stałym elementem jej życia. Gdy była małą dziewczynką, świat stanowił bezpieczne i przyjazne miejsce, ponieważ ograniczał się do jej domu, lalek, rodziców i nieznośnej siostrzyczki. Kojarzył się z popcornem, zabawami z dziećmi i tatusiem śpiewającym głupekowatym głosem piosenki grupy Devo. Później jednak Kate musiała zaakceptować fakt, że życie nie jest ciepłe i przyjemne. We wrażliwym okresie około szesnastu lat wszystko stało się mroczne i złowrogie. Przestała ufać ludziom. Przestała wierzyć w nieomyślność ojca. Już nie przenosiła się płynnie w jasną przyszłość, nie obawiając się, że coś ją zrani. Czasami raniło, i to bardzo.

W dniu pogrzebu matki, który miał miejsce dwadzieścia dwa lata temu, padał ulewny deszcz. Kate była chudziutką dziesięciolatką i nie mogła dostać się do kościoła. Napierała z całej siły na drzwi po prawej stronie, ale nie ustępowały. Czyżby kościół był zamknięty? Razem z Savannah starały się otworzyć lewe drzwi, ale także bezskutecznie. W końcu obie wpadły w panikę i zaczęły szarpać drzwiami.

- Wpuście nas! Wpuście nas!

Potem ojciec pokazał im, jak je otworzyć.

- Trzeba ciągnąć, nie pchać.

Może to jest metafora życia?

Wewnątrz pełnego ludzi kościoła usiadły obok siebie w przedniej ławce. Ojciec był tak pozbawiony życia, jakby stał się już trupem. Kate pomyślała wtedy, że matka jest bardziej żywa

w swojej śmierci niż ojciec w swym istnieniu. A później, na cmentarzu, gdy opuszczano do grobu trumnę z Julią, Savannah osunęła się w ramiona Kate. Po upływie kilku lat, gdy chowano Savannah, Kate nie miała się do kogo przytulić.

Teraz miała Jamesa.

Objęła go mocniej i zamknęła oczy.

18

W poniedziałek rano obudziła się i spod przymrużonych powiek zerknęła na budzik.

- O Boże. Zaspałam!

James stał przed lustrem świeżo ogolony, po prysznicu, gotowy do pracy.

- Uspokój się. Masz jeszcze czas.

- Ale pogrzeb jest o dziesiątej!

- Moim zdaniem mówiłaś, że w południe.

- O cholera. Dziś rano przy kawie miałam coś napisać. - Wyskoczyła z łóżka. - Matka Nikki prosiła mnie, żebym powiedziała kilka słów.

- A więc co? Plan B?

- To właśnie był plan B.

James włożył krawat, fachowo wiążąc go pod szyją.

- Jak mógłbym ci pomóc?

- Nie wiem. Ogarnęła mnie niemoc twórcza. Po głowie krążą mi same banały.

- Po prostu wyraż swoje uczucia. Bez względu na to, czy są banalne, czy nie. Napisz to, co masz w sercu.

Utkwiła wzrok w jego twarzy.

- No nie. Nigdy nie przyszłoby mi to na myśl.

Uśmiechnął się szeroko.

- Zamknij się.

- Czy mogę cię zacytować? „Pozwól sobie czuć. Wyraż to, co masz w sercu”.

- No już dobra, jasne. Jestem pompatycznym durniem.

- No cóż, masz tytuł PD z Harvardu, prawda?

- Pompatyczny Dureń? Nie bądź niedorzeczna. Z Yale. - Pocałował ją na pożegnanie. - Odpręż się. Świetnie sobie poradzisz, jak zawsze.

Gdy wyszedł, Kate zaczęła się przygotowywać do wyjścia, tracąc cenny czas na zastanawianie się, czy wybrać szarość, czerń czy granat. Jak dziś ludzie ubierają się na pogrzeby? Niechcący rozerwała rajstopy i następne pięć minut spędziła, szukając pary, w której nie poszły oczka. W końcu wybrała kostium o barwie gołębiej. Nie miała czasu zrobić kawy.

Kiedy wyjeżdżała z miasta, próbowała w głowie ułożyć sobie wystąpienie, lecz wczorajsza rozmowa z Nelly wypierała wszystkie myśli. Rozbolał ją żołądek. A jeśli James się myli? Jeśli Nelly mówiła prawdę? Słowa Jamesa ją uspokoiły, bo stanowił jej opokę i pragnęła mu wierzyć. Nie podobała jej się myśl, że zabójca Savannah jest na wolności i porywa inne dziewczynki.

W ciągu ostatniego dziesięciolecia w Blunt River były dwa podobne wydarzenia, a doszło do nich, gdy Henry Blackwood siedział w celi śmierci. Niemniej ten fakt wiele nie znaczył, bo nastoletnie dziewczynki często padają ofiarą złoczyńców.

Stukała palcem w kierownicę, usiłując przypomnieć sobie te przypadki. Dziesięć lat temu turysta natknął się na zwłoki nastolatki zamordowanej w Balsams, gęsto zalesionym regionie na zachód od miasta. Jak się okazało, czternastoletnia Hannah Lloyd została uduszona. Sensacyjna sprawa tego zabójstwa na jakiś czas zdominowała media. Oskarżony, sąsiad Hannah skazywany już za pedofilię, został ostatecznie zwolniony, ponieważ ława przysięgłych nie była w stanie uzgodnić orzeczenia. Zanim prokurator okręgowy zdążył zarządzić drugą rozprawę, podejrzany strzelił sobie w głowę.

Później, około rok temu, zaginęła piętnastoletnia Makayla

Brayden. Dotąd jej nie znaleziono. Za informację prowadzącą do aresztowania sprawcy oferowano nagrodę w wysokości piętnastu tysięcy dolarów. Nie było żadnego powodu, by łączyć obie sprawy – zabójca Hannah Lloyd był znany, a jeśli wierzyć doniesieniom prasowym, Makayla Brayden brała narkotyki i uciekła z domu, stając się łatwym celem dla złoczyńców.

Ten tok rozumowania nie doprowadził Kate do żadnych wniosków. Zauważyła Dunkin' Donuts i zaparkowała. Pospiesznie weszła do środka i kupiła pączka oraz dużą kawę. Gdy usiadła z powrotem za kierownicą, otworzyła kołnotatnik, wygrzebała z torebki długopis i wbiła wzrok w pustą kartkę. „Pisz prosto z serca”.

Utrata. Smutek. Kate rozumiała, co to znaczy stracić kogoś, kogo się kochało. Człowiek się zamyka, czasami się załamuje, czasem krzyczy. Staje się zły na siebie, wścieka się na Boga. Grozi, że przestanie w niego wierzyć, mimo że nie potrafi się zdecydować. Przeklina Boga, błaga, naprawdę mu odbija. Traci też apetyt. Użala się nad sobą. Użala się nad stanem tego świata. Dlaczego? To słowo dźwięczy ci w głowie jak katedralny dzwon. Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Dlaczego ta piękna osoba odeszła? Dlaczego wszechświat się na to zgodził? Nienawidzisz poczucia pustki. Nie cierpisz słońca za to, że wschodzi. Zachód słońca wywołuje w tobie płacz. Noce są trudne. Mijają tygodnie, a ból wcale się nie zmniejsza.

Kate zerknęła na zegar na desce rozdzielczej. Pora jechać. Zapisała dwie stronice ledwie czytelnym pismem i wrzuciła notatnik do torby. Nie tknęła pączka. Nakryła kawę przykrywką i ruszyła.

Dziesięć minut później w zamożnej dzielnicy Bostonu, w której mieszkali państwo McCormackowie, rozległo się bicie dzwonów.

Był piękny lutowy poranek, słoneczny i wietrzny. Na parkingu pod kościołem samochody paliwożerne walczyły o miejsce z hybrydami. Przed kościołem zebrał się duży tłum – przybyli tam rodzina Nikki i jej przyjaciele, sąsiedzi i koledzy z klasy. Wielu dla dodania sobie otuchy tuliło się do siebie. Kate zaparkowała i przyłączyła się do tłumy, niepokojąc się tym, co ludzie o niej pomyślą, kiedy się przedstawi. „Aha, to ty jesteś tą lekarką, która nie umiała uratować Nikki”.

W pogrzebie Savannah uczestniczyło wiele obcych osób – reporterów i kamerzystów tłoczących się za barierkami, ludzi z różnych miejscowości poruszonych tą śmiercią. Policja z Blunt River zrobiła, co mogła, by chronić Kate oraz jej ojca od wścibskości mediów, ale dobry news zawsze jest na wagę złota. Ich stężone twarze zostały ukazane we wszystkich wiadomościach wieczornych. Robiono im zdjęcia na schodach, gdy pośpiesznie wchodzili do kościoła i gdy prowadzili orszak pogrzebowy. Na tych ziarnistych fotografiach Kate wyglądała jak dziecko doświadczające po raz pierwszy bólu człowieka dorosłego.

Teraz jej nerwy były w strzępach. Notatki do wystąpienia leżały zgniecione na dnie torby. Z tłumy wysunął się biologiczny ojciec Nikki i przywitał ją serdecznie.

- Dziękuję za przyście, pani doktor. - Przytulił ją do siebie. - Nikki panią uwielbiała. Na tych sesjach z panią dużo się o sobie dowiedziała. - Miał krótkie rude włosy i orzechowe przekrwione oczy. Był trochę starszy od Kate, ale dostrzegła w nim tyle szacunku i dobrej woli, że przy nim poczuła się bardzo stara.

Dokonano jeszcze kilku prezentacji, padły kolejne uprzejme słowa, po czym Kate ruszyła z resztą żałobników do kościoła. Przed ołtarzem, pod instalacją z baloników, stała ozdobiona różami trumna z drewna wiśniowego, przy której widniało duże

błyszczące zdjęcie Nikki z czasów szkoły średniej. Kate dowiedziała się przypadkiem, że Nikki nie cierpiała tej fotografii, bo jej zdaniem wyglądała na niej sztucznie.

Usiadła obok kuzynów Nikki, a pastor zajął miejsce za rzeźbionym mahoniowym pulpitem i powiedział:

- Zebraliśmy się tu dziś, aby uczcić cenne życie, które zbyt wcześnie zostało przerwane i odeszło z tego świata...

Przemawiał przez dwadzieścia minut, podnosząc żałobników na duchu, po czym przedstawił zebrany nauczycielkę angielskiego, kobietę w średnim wieku, która mówiła o tym, że Nikki miała wielki talent literacki. Potem wystąpiła najlepsza przyjaciółka Nikki ze szkoły średniej, różowowłosa dziewczyna z czarnymi obwódkami wokół oczu, i opowiedziała kilka historii demonstrujących skłonność Nikki do zabawnych psot. Po wystąpieniach jeszcze kilku przyjaciół i krewnych nadeszła kolej Kate.

W drodze do podium myślała o tym, że Nikki bardzo lubiła żelki z lukrecji i grę Minecrafta. Lubiała mówić „fuck-a-duck”. Lubiała ubierać się na biało i wkładać do uszu czerwone kolczyki w kształcie kropli krwi, jak żona Drakuli. Kate wiedziała kilka rzeczy na temat Nikki, którymi nie mogła podzielić się ze słuchaczami - Nikki niejednemu raz próbowała ecstasy, nazwała swoją matkę zimną i nieczułą suką, oskarżała ojczyma o nadmierne picie alkoholu. Kochała ich oboje, ale oni nie pozwalali jej być sobą. Przez połowę czasu czuła się ofiarą losu. Przez drugą połowę była Miss Universe. Cierpiała na niszczące zmiany nastroju. W jednym tygodniu potrafiła umieścić na Instagramie setkę selfie, a w następnym tygodniu kasowała konto.

Kate nie mogła ujawnić, co osiem miesięcy temu spowodowało

w Nikki zerwanie kontaktu z rzeczywistością. W zeszłym roku zadurzyła się w chłopaku ze szkoły, który nie odwzajemniał jej miłości. Całymi miesiącami Kate sklejała zrujnowaną psychikę dziewczyny, tłumacząc, że czasami nasza miłość pozostaje nieodwzajemniona.

Gdy stanęła na podium i powiodła wzrokiem po zgromadzonych, w głowie poczuła pustkę. Chwila była pełna napięcia. Ponad dwieście osób czekało, że Kate im coś wyjaśni. „Wreszcie mamy do czynienia z ekspertem, który nam powie, co poszło nie tak. W końcu stoi przed nami ktoś, kto potrafi odpowiedzieć na pytania”.

Szczerze jednak powiedziawszy, co mogła im wyjaśnić? Nie miała pojęcia, dlaczego Nikki postanowiła zakończyć swe życie w tym momencie, i to w taki właśnie sposób.

Zaczerpnęła w płuca powietrze.

- Najgorszą rzeczą, jaką mogę powiedzieć o Nikki, jest to, że jej choroba w końcu wygrała. A najlepszą rzeczą, jaką mogę o niej powiedzieć... no cóż, wiele jest tych najlepszych rzeczy. Jej uśmiech rozjaśniał pół planety. Emanowała cudowną spokojną energią. Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy pojawiła się w moim gabinecie przemoczona do nitki. Był początek września, ciepły dzień babiego lata, a ona zapomniała wziąć parasol. Zaproponowałam jej mój sweter, ale go nie wzięła. Wyjaśniła mi, że uwielbia znaleźć się tak blisko natury, że może się w niej zanurzyć. Tego dnia rozmawialiśmy o jej przyszłości... była bardzo przejęta tym, że ma przed sobą niezliczone możliwości. Zrobiliśmy mnóstwo planów. Oszłomiła mnie swoim entuzjazmem. Jednym z czynników, które sprawiały, że Nikki była osobą tak wyjątkową, było to samo, co ją zniszczyło - choroba. Miała wizje, dobre i złe. Miała dni lepsze i gorsze. Gorsze dni były

trudne. Ale dni lepsze były niezwykle. Niedawno weszła do mojego gabinetu, tuląc wymyślonego kotka. A pod koniec sesji ten kotek znalazł się na moich kolanach. – Kate uśmiechnęła się. – Oczywiście musiałam go jej oddać. Ale zrobiłam to niechętnie.

Wśród zebranych rozległ się cichy śmiech. W głębi kościoła stał starszy mężczyzna, który kiwnął głową, gdy spojrzała w jego stronę. Odniosła wrażenie, że go dobrze zna, ale nie potrafiła z niczym go skojarzyć.

– Pewnego dnia Nikki przyszła do mnie z tematem pracy domowej. Uczniowie jej klasy mieli napisać epitafium na swój grób. Nikki już swą pracę odrobiła. „Tutaj leży Nikki McCormack – nikt nie był tak dzielny jak ona”. I to prawda. Była dzielna. Zabawna. Nieustraszona. Śmiała. Inteligentna. Wrażliwa. Dociekliwa. Odważna. Może więc dziś uczcijmy wszyscy jej pamięć, wykazując jej odwagę. Ja spróbuję.

Czuła się emocjonalnie wyczerpana, gdy pozbierała swoje pogniecione notatki i wróciła na miejsce. Grupa kolegów Kate podniosła się, by odśpiewać „Anioła” Sarah McLachlan. Gdy skończyli, oczy zebranych były mokre od łez.

Pastor podziękował wszystkim za przybycie. Uroczystość dobiegła końca. Balony w kształcie serca zostały wyniesione na zewnątrz i wypuszczone w powietrze. Kate zrobiła wszystko, co było w jej mocy. I miała nadzieję, że to wystarczy.

19

Tłum na zewnątrz rozrzedził się, zebrani wsiadali do samochodów i ruszali w stronę cmentarza. Szybko nadchodziła zimowa burza. Chmury kłębiły się na horyzoncie niczym stado bizonów.

Sam pochówek był głęboko poruszający. Zebrani śpiewali pieśni i recytowali wiersze. Wkrótce zaczął padać śnieg – to płaczą anioły, stwierdzili zgodnie kuzyni Nikki. Pod koniec ceremonii matka Nikki się załamała, ze skrzyżowanymi nogami usiadła w śniegu i rozplakała się na cały głos. Ojciec oraz ojczym Nikki oddali ją pod opiekę innych członków rodziny, którzy ją przytulili i uspokoili.

Lunch przywieziony przez catering został podany w postmodernistycznym domu państwa McCormacków w ich ekskluzywnej dzielnicy Newton. Kate nie potrafiła zignorować solidnej cedrowej belki biegnącej w salonie przez sufit, na której Nikki się powiesiła. Jak oni mają zamiar żyć pod tą belką?

Przeszła się po domu. W swej wędrówce znalazła wiele dowodów świadczących o tym, że rodzice hołubili córkę – rysunki z dzieciństwa oprawione w drogie ramki, fotografie rodzinne uwięzione w pleksiglasowych sześcianach, półki eksponujące jej wyróżnienia i nagrody, wstęgi za brak nieobecności i dyplomy za różne osiągnięcia, nagrody za wyniki w grze w piłkę i lekkoatletyce. Na wieszaku w przedpokoju wisiała winylowa kurtka Nikki, a pod ławką w stylu szejkersów stały jej zniszczone conversy, związane sznurowadłami jak stara para małżeńska.

Ojczym Nikki, George, był doradcą podatkowym i nie skąpił pieniędzy na swą jedyną pasierbicę. Stało się boleśnie oczywiste,

że rodzice – cała trójka cierpiących teraz osób – bardzo troszczyli się o Nikki, mimo że matka miała za sobą nieprzyjemny rozwód.

Za oknami śnieg unosił się w powietrzu, jakby uczestniczył w tej uroczystości. Zebrani w środku ludzie łączyli się w grupki i cicho rozmawiali. Kate została wciągnięta w powtarzającą się rozmowę o utracie i smutku. Dostosowała się do rady prawnika i pozwoliła McCormackom przejąć inicjatywę.

W końcu znalazła się w pokoju rodzinnym okupowanym przez nastolatków, którzy wysyłali esemesy i grali w gry wideo. Jeden z chłopców wziął do ręki czerwoną gumową piłeczkę tak popękaną ze starości, że wyglądała jak przekrwiona gałka oczna, i rzucił ją do jednej z dziewcząt. Młodzi zignorowali Kate, toteż opuściła pokój i ruszyła korytarzem obwieszonym zdjęciami Nikki z różnych okresów życia. Były na nich pulchne, uczące się chodzić dziecko, potem chudy urwis, niezgrabna nastolatka i wreszcie piękny łabędź.

Wyjęła telefon i napisała do Jamesa:

Bardzo to smutne. Uroczy ludzie. Wspaniałe wystąpienia. Zrobiłam, co mogłam. Mówiłam z serca.

Podano lunch. Ludzie stali, jedząc małe kanapki oraz sałatkę z rukoli, ostrożnie manewrując kieliszkami z winem i plastikowymi sztućcami.

Tutaj dom wariatów. Tęsknię, odpowiedział James.

Kate patrzyła przez przeszklone drzwi, jak przyjaciele Nikki wspominali ją na swój sposób, na zmianę śmiejąc się i płacząc, pojedynkując się na obłoczki pary wydobywające się z ust w powietrze, obrzucając się śnieżkami i wcielając we wrogie armie. Kate uznała, że ich hałaśliwy smutek jest znacznie bardziej autentyczny niż ten malujący się na twarzach w salonie.

Po chwili poczuła, że ktoś ją obserwuje, a gdy się odwróciła,

w odległości jakichś dwóch metrów dostrzegła starszego mężczyznę, którego widziała już w kościele. Miał sześćdziesiąt parę lat i ogorzałą skórę, z którą było mu do twarzy. Był wysoki, podobnie jak jej ojciec, ale bardziej muskularny, miał kwadratową szczękę i wzbudzał respekt. Demonstrował szorstki oldskulowy styl, który przypominał jej o aktorze charakterystycznym z czarno-białego westernu. Silny, dumny, pewny siebie. Nie wstydzi się tego, że jest inny. Miał na sobie kurtkę z cielecej skóry z frędzlami i krawat bolo. Wyróżniał się w tłumie, ale mimo to emanował powściągliwym profesjonalizmem.

- Dzień dobry, doktor Wolfe - powiedział.

- Przepraszam, ale czy my się znamy?

- Palmer Dyson. - Wyciągnął do niej rękę. Jego uścisk był mocny. - Pracowałem przy sprawie pani siostry.

Kate poczuła bezbrzeżne zdumienie. Poznała go szesnaście lat temu, tyle że był wtedy młodszy, szczuplejszy, miał krótkie ciemne włosy i brzydkie długie bokobrody. Nosił błyszczące garnitury, w niczym niepodobne do obecnego kowbojskiego stylu.

Detektyw Palmer Dyson był jednym z wielu oficerów śledczych pracujących nad sprawą jej siostry - człowiekiem uprzejmym, pełnym szacunku i spostrzegawczym, który trzymał się głównie z tyłu. W przeciwieństwie do niego dobrze pamiętała głównego detektywa, Raya Matthews, groźnie wyglądającego starszego mężczyznę o jasnorudych włosach i potrądzikowych bliznach, który zmarł kilka lat temu. Był jeszcze detektyw złotodziób, Cody Dunmeyer, obecnie szef policji, przystojny młody mężczyzna, który poprzez swe dociekliwe pytania zdołał uspokoić zszargane nerwy Kate. I ostatni, ale nie mniej niż pozostali ważny, był Quade Pickler, lekarz sądowy z niemodną fryzurą o włosach dłuższych z tyłu i cynicznych nieufnych oczach, ten sam, który tak

się zirytował, gdy zerknęła do środka przez lekko uchylone drzwi kostnicy.

Sprawę tę prowadziło tylu profesjonalistów, że trudno było ich wszystkich zapamiętać. Najpierw zajęło się tym FBI z powodu motywu porwania, potem policja z Blunt River, ale także funkcjonariusze policji stanowej, pracownicy socjalni, członkowie biura lekarza medycyny sądowej, ochotnicy z organizacji poszukujących zaginionych, prawnicy z prokuratury, detektywi prywatni oraz media. W zamieszaniu, jakie nastąpiło po śmierci Savannah, Kate większość z nich zapomniała.

Zapomniałaby też Dysona, lecz jej na to nie pozwolił. W ciągu minionych lat dostała od niego dziesiątki listów z prośbą o spotkanie, by przedyskutować ważną sprawę związaną ze śmiercią siostry. Podpisywał je imieniem - Palmer - z zawijasem. Wyrzuciła jego listy wraz z setką innych od ludzi, którzy pragnęli „porozmawiać” z nią o sprawie: od dziennikarzy, którym mijał termin oddania artykułu, od autorów proponujących napisanie książki, od psychopatów z wizjami, przeciwników kary śmierci z misją, blogerów rozpisujących się na temat przestępczości, fanatyków morderców seryjnych oraz rozmaitej maści wariatów zbyt odrażających, by o nich wspominać. Nie chciała się kontaktować z żadnym z nich. Nie miała ochoty na rozmowę z Dysonem.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie poznałam pana.
- Minęło wiele czasu.
- Nosił pan bokobrody.
- Ach tak, bokobrody. - Zaśmiał się. - Pozostałość z lat siedemdziesiątych. Nie wyrzucam rzeczy po upływie terminu ich ważności.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Co pan tu robi?

- Wuj Nikki. - Wskazał siwowłosego mężczyznę stojącego po przeciwnej stronie pokoju. - Pracował kiedyś w biurze prokuratora okręgowego w Concord.

- Aha.

- Nelly Ward mówiła mi, że teraz leczy pani Maddie?

Kate była zszokowana.

- Naprawdę to panu powiedziała?

- Nasz kącik w New Hampshire to mały świat. Zapewne jest to jeden z powodów, dla którego go pani opuściła. Każdy tam wszystko o wszystkich wie. Dla niektórych jest to klaustrofobiczne. Dla innych raj. - Uśmiechnął się. - Jak już wspomniałem, mam tendencję do zatrzymywania pewnych rzeczy. Na przykład sprawy pani siostry.

Kate wbiła w niego wzrok. Być może tak właśnie działają detektywi policyjni, zwłaszcza ci, którzy nie zapominają o zabójstwie sprzed szesnastu lat. Wsadzają nos w cudze sprawy i piszą listy, zapraszając cię na spotkania, na które nigdy nie przyjdiesz. Proszą o powrót do tematu, który w twojej pamięci, jeśli nie w sercu, został głęboko zakopany. Mają swoje ukryte motywy.

- Doktor Wolfe, przepraszam, że panią nagabuję. - Położył rękę na jej ramieniu, a Kate odniosła wrażenie, że umizguje się do niej cywilizowany niedźwiedź. - Nie wiem, czy przeczytała pani któryś z moich listów, więc oznajmiam, że badam nierozwiązane sprawy dotyczące zagubionych dziewcząt z naszego rejonu. O niektórych zapewne pani słyszała. Na przykład o Makayli Brayden z Blunt River. Ale jest jeszcze kilka innych przypadków, mniej znanych, z pobliskich miast... W każdym razie wydaje mi się, że dostrzegam w tym wszystkim jakiś schemat.

- Muszę już iść - powiedziała Kate nieco histerycznym tonem, bo poczuła się osaczona. Sama niedawno myślała o tej sprawie, dziwne więc było usłyszeć o Makayli właśnie teraz. Rozejrzała się, szukając wyjścia.

- Okej. Rozumiem.

- Słucham?

- Nie chce pani mieć z tym do czynienia.

- Nie wiem, jak mam na to zareagować - odparła ze złością. - Jeśli chodzi o pana listy, to je wyrzuciłam. Próbuję ułożyć sobie życie.

- W porządku.

- A teraz, jeśli pan pozwoli...

- Nie chciałem pani obrazić. - Ponownie położył rękę na jej ramieniu. - Proszę dać mi chwilę. Chodzi o to, że w ciągu ostatnich lat Nelly zwierzyła mi się z paru rzeczy. A niedawno wyznała, że szesnaście lat temu przed sądem skłamała. Utrzymuje, że zamknięto niewłaściwego człowieka.

Kate poczuła galopadę serca.

- Jak może pan coś takiego mówić!

Kilka osób odwróciło się w ich stronę. Kate wybiegła z pokoju w poszukiwaniu płaszcza, detektyw jednak ruszył za nią na werandę, gdzie na beżowej kanapie leżał stos okryć wierzchnich.

- Proszę pozwolić mi wyjaśnić - ciągnął, podczas gdy Kate odrzucała na bok puchowe i wełniane kurtki w poszukiwaniu swego płaszcza z wielbłądziej wełny od Hugo Bossa, który kosztował ją fortunę. - Nie mam zamiaru nadużywać pani uprzejmości - dodał miękko tonem - ale gdybym mógł zająć pani minutę...

- Wykorzystał pan już wszystkie minuty, jakie miałam. - Wreszcie znalazła płaszcz.

- Jeśli pani pozwoli, pomogę. - Usiłował wyjąć z jej rąk okrycie.
- Dziękuję, poradzę sobie. - Wyszarpnęła płaszcz i włożyła go na siebie. - Pan wybaczy - dodała, ruszając w stronę wyjścia, by jak najszybciej opuścić ten duszny dom.

Detektyw dogonił ją na końcu podjazdu.

- Ostatnia rzecz, pani doktor. Chciałbym wyjaśnić, jak bardzo pani siostra zmieniła moje życie.

Kate znieruchomiała. To straszne mówić coś takiego.

- Czy pan ją do tego namówił?

- Przepraszam, nie rozumiem.

- Nelly Ward. Czy namówił ją pan, żeby przywiozła córkę do Bostonu na leczenie?

- Nie. - Cofnął się, sprawiając wrażenie głęboko urażonego. - Ależ skąd. Wczoraj przypadkiem wpadłem na Nelly i wtedy powiedziała mi, co się dzieje. Ja jestem detektywem. Jestem wścibski. To błogosławieństwo lub przekleństwo, zależy od punktu widzenia. Jak pani sądzi, czy moglibyśmy porozmawiać o tym przy kawie?

- Naprawdę muszę iść - oświadczyła sztywno.

- Tak dla jasności, nie miałem nic wspólnego z decyzją Nelly, żeby pojechać do Bostonu - oświadczył z naciskiem. - To nie jest moja sprawa. Maddie to słodkie dziecko, które z jakichś powodów często zadaje sobie rany. To wszystko, co na ten temat wiem. Nie chciałem pani zdenerwować. Z pewnością nie taki był mój zamiar. Chyba niezbyt dobrze radzę sobie w kontaktach z ludźmi.

Kate wsiadła do samochodu, zatrzasnęła drzwi i zapięła pas. Gdy detektyw zapukał w szybę, otworzyła okno.

- Proszę wziąć moją wizytówkę.

Przyjęła ją bez słowa, mając nadzieję, że wreszcie się od niego uwolni.

- Wiem, na czym polega zło, doktor Wolfe. Miałem z nim do czynienia. Tropiłem je. I niech mi pani wierzy... gdzieś tam jest zabójca. Nieznany, o nic niepodejrzewany, nieujęty. Proszę do mnie zadzwonić, jeśli zmieni pani zdanie.

Psych 101[6]. Większość ludzi ucieka, kiedy ma do czynienia z nieprzyjemną prawdą, z którą nie potrafi się uporać. Kate stwierdziła, że właśnie ucieka do domu w Blunt River w stanie New Hampshire. Poczwała bardzo silne pragnienie, by odwiedzić ojca, ponieważ był jedynym człowiekiem, który rozumiał jej stratę tak głęboko jak ona.

Centrum Blunt River było tętniącą życiem dzielnicą pełną restauracji, kawiarni i butików oraz kłębiących się wszędzie pieszych, głównie studentów i urzędników. Ulice były prostopadłe, ich siatka wyglądała tak porządnie jak plansza gry w monopol. Wiele z historycznych fabryk obuwia przekształcono w luksusowe mieszkania i kompleksy biurowe, ale mimo nowoczesnego sznytu, w ciągu ostatnich dziesięcioleci niewiele się zmieniło. Stoned Café była tak samo popularna jak zawsze. W kinie retro pokazywano klasyki Felliniego. Thyme-to-Eat, dekadenska knajpka oferująca tłuste dania, w której kelnerka zwracała się do ciebie per „laluniu”, działała w najlepsze.

Kate opuściła główną arterię i mijiała teraz rodzinne sklepiki, gdzie wraz z koleżankami spędzała czas po szkole: były wśród nich zabytkowy butik z odzieżą, sklep z płytami, przytulna księgarnia feministyczna, gdzie z najlepszą przyjaciółką Heather piły kawę organiczną, sądząc, że dzięki temu wyglądają na obyte i dorosłe.

Wyjechała z centrum i ruszyła krętą, liczącą pięć kilometrów drogą w stronę swego dawnego osiedla. Jej oczom ukazał się dom pogrzebowy z żółtej cegły, w którym odbierali prochy Julii. Poczwała bolesny skurcz żołądka. W drodze do domu Savannah

upierała się, by trzymać tekturowe pudełko na kolanach. Potrząsała nim, by przekonać się, że zawiera prochy matki, a może nawet kilka kawałków kości. Słyszysz, Kate? Słyszysz to? Savannah nie przestawała potrząsać pudełkiem. Kate była tym nieco skrępowana, ale jednocześnie zafascynowana, co tłumaczyło jej niezdecydowane próby powstrzymania siostry. Ojciec nie odezwał się ani słowem. Savannah potrząsała pudełkiem, usiłując sprowokować go do reakcji. Bezskutecznie. Wszystko byłoby lepsze od tego kamiennego milczenia, nawet gniewne warknięcie.

Teraz droga prowadziła przez zaśnieżone pola i gęste lasy, na wietrze kołysały się platan i drzewa iglaste, płatki śniegu spływały z gałęzi niczym woale z Salome w „Tańcu siedmiu zasłon”. Prawie w domu. Napięcie Kate rosło z każdym mijanym znajomym obiektem.

Te obawy nasiliły się, gdy minęła trzy wzgórza. Dom ojca był klejnotem, odnowioną drewnianą konstrukcją pomalowaną na głęboki zielony kolor z kamiennoszarym wykończeniem. To połączenie barw imitowało harmonię lasu i wywoływało wrażenie przytulności oraz ciepła. Dom wyglądał jakby żywcem przeniesiony z magazynu „Country Living”, ale wrażenie, jakie sprawiał, nie odpowiadało prawdzie. Ojciec mieszkał sam. Jego rodzina stąd umknęła.

Kate wjechała na rozmokły od śniegu podjazd i zaparkowała za fordem rangerem ojca. Odetchnęła głęboko i wysiadła. Chłodne zimowe powietrze miało cudowny świeży zapach. Nad szmaragdowymi rzędami wiecznie zielonych drzew widniał zarys białych wzgórz.

Bram Wolfe podszedł do drzwi z przyklejonym do ust uśmiechem, który ją zaskoczył. Nigdy nie wiedziała, w jakim

ojciec będzie nastroju. Dziś sprawiał wrażenie zadowolonego, że ją widzi. Może coś się zmieni? Po ostatniej wizycie była w depresji przez wiele dni. Wtedy jej znajomość z Jamesem była jeszcze całkiem świeża, ale pamiętała, jak mu się żaliła:

- Ciągle czekam, żeby moje stosunki z ojcem się poprawiły, ale nic się nie zmienia.

- Jeśli nieustannie robisz to samo i oczekujesz, że rezultaty będą inne, to znaczy, że jesteś umyślowo chora - zażartował James. Nie chciał, by potraktowała jego słowa serio, niemniej nie odwiedzała ojca przez trzy lata.

Dziś był ubrany w wełniany sweter, tweedowe spodnie i eleganckie mokasyny. Miał błyszczącą od potu twarz i wydatny arystokratyczny nos. Jego długie do ramion włosy całkowicie posiwiały; zakładał je za dosyć duże uszy. Był wysoki i jak większość wysokich mężczyzn miał skłonność do garbienia się. Kate nigdy nie była w stanie odnaleźć w nim podobieństwa do siebie - była podobna do Julii, dzięki Bogu. Obie z Savannah miały twarz matki w kształcie serca, jej szczupłą budowę ciała, wdzięk baletnicy i dźwięczny śmiech.

- Cześć, tato - powiedziała, robiąc powitalny gest ręką. - Jak się miewasz?

- Dobrze. A ty?

- Dobrze.

- Jak ci się jechało?

- Nie narzekam.

Jego nieśmiałość była zaraźliwa. Skrzyżował ramiona, a potem je rozłożył, podczas gdy Kate pokonała chwiejnym krokiem ostatnie metry w śniegu i potknęła się na jednym ze schodków prowadzących na ganek, gdzie miała zamiar powitać ojca uściskiem. Ale ją uprzedził, chwytając za łokieć i zataczając się,

po czym przyciągnął ją do siebie i niewinnie cmoknął w policzek – tyle że oboje w tym samym czasie zwrócili do siebie głowy i przypadkowo dotknęli się ustami.

- A niech to – mruknęła. – Udawajmy, że nic się nie stało. – Zaśmiała się i wytarła usta. O mój Boże, jestem w domu, pomyślała. Wargi ojca były suche jak papier. – James chciał przyjechać ze mną – skłamała – ale miał problem w szpitalu.

- Aha. Miejmy nadzieję, że już jest okej.

Wzruszyła ramionami.

- Oddział zamknięty to róg obfitości rzeczywistości alternatywnych.

Albo nie zauważył ironii, albo ją zignorował.

- Ale nie widzę jeszcze pierścionka.

Zdjęła pierścionek podarowany jej w dzień urodzin w nadziei, że uniknie tego pytania.

- Nie – odrzekła ze wzruszeniem ramion. – Powiedziałabym ci, gdybym brała ślub, tato.

Wolno pokiwał głową.

- Rozumiem.

Co rozumiał? Co o niej wie? Co wiedział o niej kiedykolwiek?

- Może następnym razem przyjedziesz z Jamesem – powiedział Bram.

- Ależ oczywiście. On chce cię poznać.

- Ja też chciałbym go poznać.

Poczuła się niezręcznie. Czy to koniec? Czyżby już więcej nie mieli sobie nic do powiedzenia?

- Wejdz do środka – poprosił.

Przedpokój był czysty, panował w nim porządek. Na żelaznym wieszaku wisiał zimowy płaszcz ojca, jego ocieplane buty stały pod sosnową ławką niczym zaprawieni w walce żołnierze

czekający na rozkazy. W plecionym koszyku Indian Nawaho leżała dzisiejsza poczta. Ceramiczna chińska miseczka służyła do przechowywania kluczyków samochodowych i drobnych pieniędzy.

Kate otupała śnieg z butów, zdjęła płaszcz i powiesiła go obok okrycia ojca. Potem ruszyła za nim do salonu, gdzie lekkie jak mgiełka firanki skojarzyły jej się z duchami oświetlonymi srebrnym zimowym światłem dnia. Dom był duży i przewiewny, stało w nim wiele ciemnych kolonialnych mebli, na większości z nich piętrzyły się coraz wyższe stosy książek i magazynów.

- Dobrze wyglądasz, Kate.

- Ty też, tato.

Okej. Jak długo jeszcze będą wymieniać nijakie uprzejmości? Musi przebić się przez ten mur uników, jeśli jej to przeszkadza.

- No cóż, tato, mam wrażenie, że nie widzieliśmy się przez parę lat.

- Trzy lata.

- No właśnie. Trzy. To szmat czasu.

- Kieliszek wina? - zaproponował uprzejmie.

- Bardzo proszę. - Opadła na fotel z bocznymi oparciami, jej ulubiony mebel w tym pokoju. Savannah wolała mościć się na kanapie stojącej obok przeszklonych drzwi, gdzie w nienagłym świetle dnia odrabiała lekcje.

- Zaraz wrócę. - Zniknął w kuchni, a Kate słyszała, jak otwiera butelkę z winem i z szafki z porcelaną wyjmuje kieliszki na długiej nóżce. - Jak ci minęła podróż? - zapytał ponownie przez otwarte drzwi.

- Bez przygód.

- To dobrze.

Zaraz zaczną rozmawiać o pogodzie.

W domu panowała cisza. Żadnej muzyki, zwierzątek. Tylko ojciec i jego ukochana samotność. Kate wstała i utkwiała wzrok w portrecie rodzinnym na kominku. Była na nim dziesięcioletnia Kate, jeszcze zanim matka się zabiła. Jakie beztroskie dziecko. Żadnych samobójczych cięć. Żadnych oznak samookaleczenia. Na portrecie rodzice się uśmiechali, a ręka Kate opiekuńczo otaczała ramiona Savannah. Miała ochotę krzyknąć: „Pilnujcie jej lepiej! Ona jest taka delikatna!”.

- Podano lunch - oznajmił Bram.

Kate przyłączyła się do niego w jadalni, gdzie stół został nakryty dobrą porcelaną. Na lunch był łosoś na zimno i sałatka z karczochów.

- No, no. Tego się nie spodziewałam - oświadczyła zadowolona, że ojciec się wysilił. Zazwyczaj zjadali resztki z lodówki. - Dzięki, tato.

- Wiesz, dziś jest specjalna okazja. - Podał jej kieliszek z winem.

- Specjalna?

- Jak wspomniałaś, nie widzieliśmy się sporo czasu. Na zdrowie.

Stuknęli się kieliszkami i rozmawiali o niewymagających myślenia rzeczach. Nadrabiali zaległości. Mówili o tym, co się działo. Ojciec obserwował ją uważnie, kiedy rozmowa schodziła na znane tematy: przyjaciół, krewnych, lokalne firmy zmieniające właścicieli, nekrologi. W końcu tematy się skończyły.

Kate poczuła napięcie, nie wiedząc, od czego zacząć, jak poruszyć tę kwestię. Toteż oznajmiła prosto z mostu:

- Wkrótce zostanie stracony Henry Blackwood.

Bram poważnie skinął głową.

- W przyszłym tygodniu.

- Czy dostałeś zaproszenie z Wydziału Penitencjarnego?

- Wyrzuciłem je.

- Ja też.

- Wystarczy mi, kiedy usłyszę o tym w wiadomościach.

- Tato? - zaczęła oględnie. - Czy twoim zdaniem jest możliwe, że nie on to zrobił?

Ojciec wbił w nią wzrok. Odłożył na stół widelec. Ogarnęło go przytłaczające znużenie.

- Z kim rozmawiałaś? Z tymi wszystkimi przeciwnikami kary śmierci? Oni są nieugięci. Dlatego sprawdzam, kto dzwoni.

- Nie o to chodzi - odrzekła półgłosem. - Rzecz w tym, że w ciągu wielu lat kilka innych dziewczynek z tej okolicy zaginęło... albo, jak się później okazało, zginęło. Hannah Lloyd, Makayla Brayden... Zastanawiam się, czy przyszło ci do głowy, że jest możliwe...

- Nie - odrzekł sztywno. - Nie jest możliwe.

- Ale tato...

- Nie chcę o tym mówić, Kate.

Jego złość podziałała na nią niczym kubeł zimnej wody.

- Z tego powodu przyjechałaś do domu? Bo jeśli tak, to tracisz czas.

- Tracę czas? - powtórzyła.

James ma rację. Niektóre rzeczy się nie zmieniają.

Resztę posiłku spożyli w posępnym milczeniu. Między wkładaniem kęsów do ust ojciec patrzył w okno. Gdy milczenie przedłużało się, zaczął powoli się odprężyć. Z ramion zniknęło napięcie. Twarz się rozpogodziła. Kate odniosła wrażenie, że ojciec czerpie ulgę z faktu, że dystans między nimi rośnie.

Poczuła rozgoryczenie. W Bostonie jest lekarzem. Tutaj jest córką lekarza. W Bostonie leczy chore dzieci. Tutaj jej chorej matki nikt nie wyleczył. Była obiektem współczucia. Nikim. Niczym.

Po lunchu poszła na górę umyć się. Gdy zbliżała się do sypialni Savannah w końcu korytarza, deski podłogowe zaskrzypiały w tym samym miejscu co dawniej. Przystanęła w progu sypialni i przypomniała sobie wieczór, w którym straciła swój mały cień.

- *Gdzie idziemy, Kate? Co to za ważna sprawa?*
- *Cii. Obiecuj, że nikomu nie powiesz.*
- *Nie powiem. Obiecuję.*
- *Będziemy miały problem, jak tatuś się dowie.*
- *Nie pisnę ani słówka! To gdzie idziemy?*

Savannah tryskała entuzjazmem, zachwycona perspektywą wieczornej przejażdżki samochodem. „Hurra, świetnie!”. Była gotowa na wszystko. Ojciec pracował tego dnia do późna, a Kate właśnie dostała prawo jazdy.

- *Czy potrafisz dochować tajemnicy?*
- *Tak!*
- *To nie może wyjść na jaw.*
- *Usta mam zamknięte. Widzisz? Już ich nie otworzę.*

Kate podeszła do biurka, na którym Savannah trzymała magiczną ósemkę. Kula była pokryta kurzem. Kate wzięła ją do ręki i okręciła. „Odpowiedź niejasna. Spróbuj ponownie”. Zniszczona deskorolka Savannah stała w kącie pokoju na przedniej krawędzi. Na staromodnym łóżku z baldachimem leżał stos lalek Barbie i Kapustek. Na szafce nocnej leżał jej ukochany plecaczek Hello Kitty z przyczepionym do paska emblematem Nickelodeonu. Od szesnastu lat w pokoju nic się nie zmieniło. Dziś Savannah miałaby dwadzieścia osiem lat. Piękny łąbędź.

Kate odłożyła magiczną ósemkę i otworzyła zakurzone pudełko

po cygarach, pełne przedmiotów zbieranych przez siostrę. Były tam kamyki, pióra, owady w plastikowej osłonie, lalka bez głowy. Ta chińska lalka należała kiedyś do niej, ale pewnego dnia zniknęła. Dopiero po śmierci Savannah Kate odkryła, co się z nią stało. Lalka pozbawiona głowy należała teraz do Savannah.

Podeszła do nieszczelnych staromodnych okien wychodzących na podwórze. Poprzez pęknięcia grubości włosa w szybach ujrzała swoje ulubione drzewo – masywny dąb z grubymi gałęziami. Była tam też stara szopa, w której obie chowały rowery oraz wrotki. Nic się nie zmieniło, a mimo wszystko nieobecność siostry była wstrząsająca.

Poczuła, jak robi jej się zimno, gdy pospiesznie zbiegała na dół.

- Tato?

- W salonie. - Rozsiadł się w swym ulubionym fotelu, monstrum z popękaną skórą. Jego wyczyszczone mokasyny zaparkowały na wytartym dywaniku, stopy spoczywały na dopasowanej do fotela otomanie. Skarpetki miał brązowe. Oparł ciężkie sekcje „New York Timesa” na kolanach i patrzył na nią ponad okularami do czytania. Wyglądał na człowieka, który uprzejmiem stawia opór – w końcu naruszyła jego rutynę.

- Czy możemy porozmawiać? - zapytała. - Ale porozmawiać naprawdę.

Ojciec potrząsnął głową.

- Tylko nie o tym.

- Nie, tato - zgodziła się. - Nie o tym.

- Bo nie mam zamiaru rozgrzebywać starych ran.

- Okej. Żadnego rozgrzebywania. Obiecuję.

- W porządku. - Odłożył gazetę na bok. - Zamieniam się w słuch. - W czasie tych trzech lat wyraźnie się postarzał. Włosy nad czołem mu się przerzedziły, brzuch był nieco wydatniejszy,

policzki trochę obwisły. Zwyciężała siła przyciągania.

Opadła na swój fotel i wyznała:

- Było mi bardzo ciężko wrócić do domu, straciwszy tak wiele w tak młodym wieku... Nie jest łatwo się z tym pogodzić.

- Nie - przytaknął poważnie. - To nie może być łatwe.

- Ale mam kilka pytań dotyczących tego okresu. Mogę je zadać?

Wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewien, czy potrafię odpowiedzieć, ale proszę.

- Pamiętam, jak między tobą a mamą było jakieś ukryte napięcie.

- Kochałem twoją matkę.

- Wiem. Ale nie zawsze była szczęśliwa, prawda?

Wzruszył ramionami.

- Nikt nie jest przez cały czas szczęśliwy.

- To prawda. Ale odnosiłam wrażenie, że nie była szczęśliwa w małżeństwie.

Położył swą pokrytą cętkami dłoń na drugą.

- Bywam trudny - przyznał.

- Zdaję sobie sprawę, że jej choroba musiała być dla ciebie ciężka...

- Sądzę, że z tego właśnie powodu zostałam psychiatrą, Kate. Chciałaś dociec, co się stało.

- Może - odparła wykrętnie. - Ale także chciałam być lekarzem, tak jak ty.

- Aha. - Kiwnął głową, jakby coś takiego nie przyszło mu do głowy. Mimo faktu, że na swe piąte urodziny poprosiła o stetoskop. Rok później poprosiła o mikroskop, żeby mogła zacząć przygotowywać się do studiów medycznych. - O czym jeszcze chciałabyś porozmawiać? Masz moją całkowitą uwagę.

Spojrzała na niego sceptycznie.

- Całkowitą?

- A co? Nie sądzisz, że cię słucham?

- Słuchasz mnie połową siebie. Druga nie może się doczekać, aż wróci do lektury recenzji książki.

Położył ręce na gazecie, jakby chcąc wykazać, że nie zależy mu na lekturze, oboje jednak wiedzieli, że to nieprawda.

- Słucham cię, Kate. - W jego głosie pojawiła się jakaś twarda nuta.

Z ust Kate wydobyło się westchnienie frustracji.

- Może i mnie słuchasz, tato, ale chyba dobrze się nie rozumiemy, prawda?

Spojrzał na nią spod przymrużonych powiek.

- Czy to moja wina?

- Musisz przyznać, że nie tak łatwo było się z tobą dogadać.

- To prawda.

- A to chyba jest najdłuższa konwersacja, jaką mamy od... nie wiem, od ilu lat.

Wzruszył ramionami.

- Jestem zajęтым facetem. A ty zapracowaną dziewczyną.

Kate oparła się wygodniej w fotelu.

- Nie ożeniłeś się po raz drugi - stwierdziła. - Dlaczego?

- Nigdy nie czułem takiej potrzeby, tak mi się wydaje.

Kochałem twoją matkę. To mi wystarczało.

- Pamiętam, że często się kłóciliście.

- Nie kłóciliśmy się.

- Ale były sprzeczki. Konflikty. Częste różnice zdań.

- „Częste” to termin względny - odparł. - Dziecku mogło się tak wydawać. Nasze spory były zapewne przeciętne.

- To prawda.

- Dzięki, Kate. Cieszę się, że czasem miewam rację.

- Przepraszam, ale czy cię krytykowałam?
- Nie. Jesteś po prostu wymagająca. Jak ja. - Uśmiechnął się lekko.

- Co przyspieszyło załamanie mamy?
- Nie pamiętasz? Popadła w depresję tak głęboką, że zaczęła słyszeć głosy nakazujące jej mnie opuścić. Nas opuścić. - Wzdrygnął się. - Czuję się jak na krześle elektrycznym.

- Ale zgodziłeś się porozmawiać...

- Odpręż się. Żartowałem.

- Skąd mam wiedzieć, kiedy żartujesz?

- Nie wiesz? - zapytał, patrząc na nią zawiedzionym wzrokiem.

- Nie. Zawsze jesteś bardzo poważny.

Ramiona mu opadły.

- Sądziłem, że znasz mnie trochę lepiej.

- Nigdy nie wiem, kiedy żartujesz - oznajmiła.

- Nigdy? To dość kategoryczne.

Poczuła się pokonana.

- No cóż. Tak czy owak, dziękuję, tato. Naprawdę to doceniam. Wyglądasz na zmęczonego. Może powinniśmy na tym skończyć?

- Jesteś pewna?

- Taa.

- Poczekaj tutaj. Mam coś dla ciebie.

Odłożył gazetę i wstał. Wzrost ojca zawsze ją zdumiewał, przypominał jej diabełka wyskakującego nagle z pudełka. Niezdarnym krokiem ruszył w stronę łukowego przejścia oddzielającego salon od jadalni, i skierował się w głąb domu.

Mniej więcej dziesięć lat temu Bram przerobił staromodny salonik w sypialnię i przeniósł tam wszystkie swoje rzeczy, żeby nie musieć wchodzić na górę. Tłumaczył, że oszczędza na ogrzewaniu, lecz Kate uważała, że było to jedno z tych jego

ekscentrycznych zachowań, które ją zaskakiwały. Nawet jeśli czasem myślała, że już go dobrze zna, zawsze udawało mu się wprawić ją w zakłopotanie. „Sypialnia” na parterze nie miała drzwi i panował w niej bałagan, co uważała za dowód dystansowania się i odosobnienia. Dowód, że nie przyjmował gości. Ktoś tak ceniący sobie prywatność jak jej ojciec nigdy nie urządziłby sypialni na parterze bez zamontowania w niej drzwi, gdyby miał zapraszać gości na kolację.

Słyszała, jak ojciec przewraca do góry nogami swą prowizoryczną sypialnię. Otwierał i zamykał szuflady komody. Przeciągnął przez pokój drewniane krzesło. Coś spadło na dywanik i potoczyło się po podłodze.

Po kilku kolejnych chrząknięciach i odgłosach łoskotu wrócił do pokoju i wyciągnął do Kate prawą rękę.

- Proszę, weź - powiedział. - Należało to do twojej matki. Jestem pewien, że chciałaby to przekazać tobie.

Kate wyciągnęła rękę i poczuła, że coś w nią wpadło. Była to obrączka ślubna matki. Skromny brylant osadzony w prostej złotej obrączce.

- Och, tato - wyszeptała.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Patrzyła na obrączkę w zagłębieniu dłoni i przypomniała sobie, że matka często narzekała na swędzenie palców. Czasami stawało się to tak nieznośne, że Julia wrzucała obrączkę do szkatułki na biżuterię i szeptała:

- Ciii. Nie mów tatusiowi.

Chciała mu okazać, jak bardzo poruszył ją ten gest - ojciec bardzo rzadko dawał jej coś osobistego. Początkowo zareagowała jednak zgodnie z głęboko zakorzenionym w niej cynizmem - ojciec na pewno stroi sobie żarty. Poważnie, obrączka ślubna?

„Proszę bardzo, ty i James możecie się teraz chajtnąć”. I tak dalej. Potem jej cynizm przeszedł w zadawnioną urazę. Bram Wolfe nie należał do subtelnych osób. Było jasne, że nie pochwalał tego, że Kate i James mieszkają razem bez ślubu. Jej uczucia znowu zmieniły się nieprzyjemnie. Jako psychiatra musiała zauważyć podświadome kazirodcze podstawy takiego aktu. Mówiąc metaforycznie, ojciec wręcza córce obrączkę ślubną.

Ale nie, to śmieszne. Wreszcie pozwoliła sobie na wzruszenie wywołane tą rzadką demonstracją emocjonalnej wrażliwości ojca. „Jest coś, co mogę ci dać, bo moim zdaniem może ci się to spodobać – to było własnością twojej matki”.

- Coś ci opowiem – powiedział, wracając na swoje miejsce. - Kiedy poznałem twoją matkę, właśnie zaczynałem pracę. Mój mentor, w owym czasie jeden z niewielu lekarzy rodzinnych w mieście, poprosił mnie o przejęcie jego praktyki. Odchodził na emeryturę, więc przeprowadziłem się tutaj z Maine. Nie było to łatwe. Musiałem wziąć dużą pożyczkę, ledwo mnie było stać na przyjęcie sekretarki, ale jakoś sobie poradziłem. W każdym razie pewnego dnia przyszła do mnie piękna młoda kobieta. Skarżyła się na okropne przeziębienie. Przepisałem jej syrop na kaszel i oświadczyłem, że nie będę jej więcej leczył. Obrażona zapytała, dlaczego. „Bo chciałbym panią zaprosić na randkę”, odpowiedziałem. - Kate uśmiechnęła się, mimo że słyszała to już milion razy. - Sześć miesięcy później kupiłem twojej matce tę obrączkę.

Spojrzała na zmatowiały klejnocik.

- A więc kiedy pytasz, dlaczego nie ożeniłem się po raz drugi, może odpowiedź brzmi, że taka miłość zdarza się bardzo rzadko.

Nastąpiła długa chwila ciszy, tykanie stojącego zegara przeciągało się, a w umyśle Kate wszystko zaczęło pękać niczym

lód. Przecież ojciec nie jest pozbawiony serca. Dlaczego trzeba jej o tym ciągle przypominać?

- Tutaj jest tak spokojnie - wyszeptała po chwili.

- Lubię ciszę. Przyzwyczałem się do niej.

- Nie czujesz się czasem samotny?

Wzruszył ramionami.

- Nie myślę o tym.

- Tam gdzieś jest wielki świat, tato.

Zmrużył oczy, jakby obraz przed nim stracił ostrość.

- Kate, mam paszport. Byłem w Rzymie, w Paryżu, na Wyspach Dziewiczych. Oglądam HBO i Showtime. A to, że nigdy nie wyprowadziłem się z Blunt River, wcale nie znaczy, że jestem burakiem.

- Nie to miałam na myśli...

- Mam pełne i pracowite życie - dodał defensywnym tonem.

- Chciałam powiedzieć... Przykro mi, że tak długo się nie kontaktowaliśmy.

- Mnie też. - Ostentacyjnie wziął do ręki gazetę i ją otworzył. - Domyślam się, że niedługo musisz wracać do Bostonu?

- Tak. - W tej chwili właśnie coś zrozumiała.

Przez całe lata rozpaczliwie pragnęła, by ojciec kochał ją i akceptował, a przecież sama nie w pełni go akceptowała i kochała. Kiedyś, jeszcze zanim matka popełniła samobójstwo, było inaczej. Później jednak, gdy ojciec stopniowo się od niej odsuwał, ona oddalała się od niego także.

Z wielką niechęcią wstała z fotela. Ojciec poszedł z nią do holu, gdzie patrzył, jak wkłada płaszcz i buty. Z kieszeni wyjęła kluczyki i powiedziała:

- Zadzwoń do mnie czasem, dobrze?

- Nigdy nie odbierasz.

- Nagraj wiadomość. Oddzwonię.
 - Może linie komunikacji nie tyle są zerwane, co zatkane. Jak arterie w kiepskim stanie.
 - No cóż, jesteś lekarzem. - Uśmiechnęła się złośliwie. - Nie ma na to jakiejś pigułki?
 - Bardzo bym chciał, żeby była. - Uśmiechnął się do niej z wyraźną ulgą. - Do zobaczenia, kochanie.
 - Do zobaczenia, tato. - Pocałowała go w policzek. - Kocham cię.
 - Ja ciebie też.
- Wyjątkowość tej wymiany zdań wstrząsnęła nią do głębi.

21

Siedziała w samochodzie z zapalonym silnikiem, czując, że jeszcze nie jest gotowa opuścić Blunt River. Wszystko w jej życiu wydarzyło się w tym miejscu - pierwsza miłość, pierwszy pocałunek, pierwszy bal. Nazwiska połowy koleżanek i kolegów z dzieciństwa nadal znajdowały się w lokalnej książce telefonicznej. Jej koleżanka z przedszkola, Marigold Hotchkiss, mieszkała w tym odrapanym gotyckim domu z plastikowym mikołajem zdobiącym podwórko od strony wejścia. Jej najlepsza przyjaciółka ze szkoły średniej, Heather, odnosiła wielkie sukcesy w handlu nieruchomościami, lecz tragedia Kate wcale jej nie przeszkodziła w zgarnięciu hojnej prowizji za „dom śmierci” Henry’ego Blackwooda. Główna rywalka Kate z piątej klasy, Jewel Curtis, prowadziła zajęcia z samoobrony dla dziewcząt i wykorzystwała historię Savannah w swej strategii marketingowej. Pierwszy chłopak, z którym Kate się pocałowała i którego pocałunki długo przechowywała w pamięci, był teraz skarbnikiem miasta.

Zabawne są koleje losu.

Wycofała się z podjazdu i zatrąbiła na pożegnanie. Pod wpływem impulsu na żółtym pulsującym świetle skręciła w lewo zamiast w prawo i skierowała się do gęsto zalesionego obszaru na zachód od miasta zwanego Balsams. Był to rezerwat przyrody chełpiący się ponad trzema tysiącami hektarów wiekowych drzew, strumykami rojącymi się od pstrągów i szlakami turystycznymi.

Piętnaście minut później odnalazła starą drogę do wywozu dłużycy i przez jakieś dwa kilometry jechała zwirowym traktem,

słyszając, jak pod kołami pękają z trzaskiem oblodzone łąchy ziemi, aż wreszcie zahamowała. Potem siedziała w samochodzie, drżąc i słuchając cichnącego silnika, nie mogąc uwierzyć, że tu jest. Chata w lesie. Dlaczego tutaj przyjechała?

Nie była tu od *tamtego* wieczoru. Wysiadła z samochodu i ruszyła przez las na północ, gdzie w niektórych miejscach zasy sięgały prawie pół metra. Zimą ludzie rzadko zapuszczali się w te strony, ale w ciepłych miesiącach to zupełnie inna sprawa. Ta stara leśna droga stanowiła kiedyś aleję kochanków, a chata cieszyła się popularnością wśród uczniów szkoły średniej, którzy po ważnym meczu szukali miejsca do zabawy. Teraz to było ulubione miejsce spotkań z okazji Halloween. Miejscowe dzieciaki organizowały w starej chacie seanse w nadziei, że wywołają ducha zmarłych. W tym miejscu Savannah Wolfe stała się legendą – dla jednych rozrywką, dla innych tematem gawędy przy ognisku. Chata w lesie była prawie tak samo dobra jak Nawiedzony Dwór przy Route 27. Jej mała siostrzyczka została zredukowana do postaci wzbudzającej niezdrowe podniecenie. Już sama myśl o tym była druzgocąca.

Brnąc poprzez śnieg do kolan i lawirując między bezładnie rozrzuconymi pniami drzew, Kate pokonała kolejne dwadzieścia wyczerpujących metrów. Gdy dotarła do chaty, pod zimową odzieżą była cała mokra. Weszła na rozchwierutany ganek i czekała, aż jej szybko bijące serce się uspokoi. Zniszczone drzwi były otwarte, jakby ktoś jej oczekiwał.

Z drzeniem przekroczyła próg. Jedna z desek głośno zatrzeszczała, przypominając wystrzał z broni. Ściany były zabazgrane graffiti. Podłogę pokrywały zgniecione puszki po piwie i zamarznięte prezerwatywy. Dach, który przeciekał od lat, był upstrzony dziurami tak dużymi, że do środka wtargnęła przez

nie winorośl. Zrudziałe kępy martwych liści kołysały się pod sufitem niczym połamane kandelabry. Więcej pnączy wdarło się do wnętrza przez zniszczone okna i rozpełzło po podłodze. Odnosiło się wrażenie, że trzymają one w uścisku pudełka po papierosach i puste puszki po piwie niczym uparci pijaczkowie, którzy nie chcą opuścić baru nawet po zamknięciu.

We wnętrzu panował taki mrok, że Kate z kieszeni płaszcza wyjęła kluczyki, włączyła halogenową latarkę w kształcie długopisu i skierowała mały promyk na graffiti. Imiona. Daty. Obelgi. Dostrzegła znaki pokoju i penisy, czterolistne koniczyny i środkowe palce, słowa miłości oraz nienawiści. Skapująca z sufitu lodowata woda opadała na zamrożone kałuże na podłodze. Uderzenie każdej kropli odbijało się głośnym echem. Miejscowe dzieci próbowały przywołać tu Savannah świeczkami i tablicami spirytystycznymi, lecz Kate chciała ją uwolnić.

W tygodniu, w którym została zabita, miasteczko zaroilo się od dziennikarzy. Oferowali oni mieszkańcom Blunt River rozmaite profity za każdy okrucieństwo informacji na temat zmarłej dziewczynki. Wpadli w trans, kiedy dowiedzieli się o tragicznej śmierci Julii, i żywili się jej samobójstwem całymi tygodniami. Wiedzieli, ile czasu zajmuje człowiekowi utonięcie oraz to, co Julia miała na sobie tego wieczoru, gdy skoczyła do rzeki. Dowiedzieli się, z kim Kate i Savannah się przyjaźniły, jakie dostawały oceny, odkryli także, że codziennie w drodze do szkoły dziewczynki mijały dom Henry'ego Blackwooda. Kate marzyła, by ich wszystkich trafił szlag. No oczywiście, łatwiej jest zabić posłańca niż mordercę z wyrokiem śmierci.

Gdy przypominała sobie tamten sierpniowy wieczór, przeszył ją dreszcz grozy. Pamiętała sylwetki drzew rysujących się na ciemniejącym letnim niebie, przejmującą ostateczność tego dnia.

Zaparkowała wtedy samochód na wąskiej nieutwardzonej drodze i obie z Savannah weszły do lasu razem, dzieląc się niewielką latarką. Gryzły komary. Po kilku minutach drapania się Savannah zaczęła jęczeć. Wcześniej bardzo chciała powłóczyć się z siostrą, teraz jednak była już tym znudzona i obolała.

Śmierząca wilgocią chata była w lepszym stanie niż obecnie – dach nie przeciekał, nie wszystkie okna były uszkodzone. Większość dzieciaków zebrała się nad jeziorem, które tego lata było ulubionym miejscem spotkań. Chata należała do przeszłości. Nadawała się jeszcze do straszenia w Halloween i nocnych męskich spotkań ćpunów, którzy nie zdołali wejść do towarzystwa, lecz niewiele więcej.

Zbliżała się ósma, gdy Kate i Savannah dotarły do chaty. Starsze dzieciaki przybywały tu dopiero po północy, by pić piwo, palić trawkę i przeklinać. Teraz byli tutaj tylko Kate i jej siostra, a także pewien atrakcyjny chłopak, który na nią czekał. Był zdziwiony, gdy zobaczył Savannah.

- Co ona tu robi? - zapytał urażonym tonem.

Kate próbowała mu wyjaśnić, że ich ojciec czasem znika bez uprzedzenia i że nie mogła zostawić siostry samej w domu. I że złamała wszelkie zasady, by się z nim dzisiaj spotkać.

Zachodzące słońce zmieniało barwę z pomarańczowej na purpurową, a atrakcyjny chłopak namawiał ją, by poszła z nim na polanę w lesie niedaleko chaty, gdzie mogliby pobyć sami. Miał czarujący uśmiech. Kate poprosiła siostrę, by zaczekała na nią w chacie i obiecała, że niedługo wrócą.

- *Jak długo cię nie będzie?*

- *Tylko kilka minut.*

- *Dlaczego nie mogę pójść z wami?*

- *Bo... muszę z nim prywatnie porozmawiać.*
- *O czym?*

Kate uśmiechnęła się wtedy i pogładziła złote włosy Savannah.

- *Będę kawaleczek dalej, malutka. Widzisz te drzewa? To około... dziesięciu metrów. Nic wielkiego.*

Było trochę więcej niż dziesięć metrów.

- *Nie bój się. Będę blisko.*
- *Nie boję się.*

Szesnaście lat później Kate stanęła w tym samym miejscu, w którym rozstała się z siostrą. Tylko na kilka minut. A może tych minut było więcej? Może minęło dziesięć minut? Albo piętnaście? Lub pięćdziesiąt? Nie pamiętała. Jej oczy wypełniły piekące łzy.

Żyła z konsekwencjami tej decyzji każdego dnia swego życia - trwały w jej psychice migocące i żywe, niczym drut pozbawiony izolacji. Uznała, że musi w końcu rozładować trochę ten ciężar. Zaczęła grzebać w kieszeni w poszukiwaniu wizytówki detektywa Dysona. Wyjęła telefon i wystukała numer.

- Halo?
- Dzień dobry, to ja. Kate Wolfe. - Zamilkła. - Czy nadal chce pan porozmawiać?

Bez wahania zapytał:

- Kiedy możemy się spotkać?
- Jestem w Blunt River.
- Okej, znam tam wspaniałe miejsce.

Spotkali się w jednej z tych wyłożonych boazerią restauracji w mieście. Kate usiadła w łoży z tyłu sali i zamówiła kawę. Widziała, jak detektyw Dyson parkuje pod restauracją zabytkowym białym pikapem i wchodzi do środka. Rozległ się odgłos staroświeckiego dzwonka nad drzwiami. Detektyw zauważył Kate i ruszył w jej stronę, zatrzymując się po drodze, by zamienić kilka zdań z innymi gośćmi. Najwyraźniej był tu znany. Zdjął kowbojski kapelusz i przygładził szpakowate włosy, naelektryzowane, bo cicho potrzaskiwały. Pachniał dymem cygar i wilgotną wełną. W końcu zdjął kurtkę zimową i powiedział:

- Nawiedzam to miejsce. Ale jestem spokojnym duchem.

Uśmiechnęła się. Było to zabawne, nawet jeśli nic nie rozumiała.

Usiadł naprzeciwko niej i wziął do ręki zatłuszczone menu.

- Robią tu rewelacyjne kanapki z grillowanym serem, jeśli to panią interesuje - oznajmił. - Z gruyère'em i wędzonym bekonem.

- Miał orzechowe oczy i ciemne rzęsy. - Ma pani ochotę?

- Nie, dziękuję, już zamówiłam. - Wskazała swoją filiżankę z kawą.

Detektyw zamówił colę i kanapkę z grillowanym serem, po czym skupił się na Kate.

- Okej. Ja to widzę tak. Henry Blackwood od pierwszego dnia utrzymuje, że jest niewinny. Przeszedł też pozytywnie test wykrywaczem kłamstw, a to nie w kij dmuchał. A teraz jego bratanica, główny świadek oskarżenia, odwołuje swoje zeznania. A więc jeśli Blackwood był z nią przez cały czas, to narzuca się pytanie: kto zabił Savannah Wolfe?

Kate potrząsnęła głową.

- Nelly ma problemy. Może kłamać, może coś jej się mieszać albo ma urojenia. Moja siostra została zakopana na podwórku Blackwooda. Na łopacie znaleziono jego odciski palców. W sznurze były jego włosy.

- To prawda.

- A ława przysięgłych widziała te wszystkie dowody i na ich podstawie go skazała.

- Nie wszystkie. - Kelnerka przyniosła zamówioną kanapkę z serem, a detektyw bez zwłoki zabrał się za jedzenie.

- Nie wszystkie? Co pan ma na myśli?

- Zamknij dwóch prawników w pokoju, a zaraz zaczną swoje gierki.

- Czy mógłby pan mówić jaśniej?

- Dwa oświadczenia świadków, a także inne możliwe tropy, nie zostały podczas procesu poruszone. Owego feralnego dnia zauważono czerwonego vana, który podejrzenie kręcił się po okolicy. Drugi ze świadków widział, jak dziewczynka odpowiadająca rysopisowi pani siostry wsiada do zielonego pikapa na Route 27, która łączy się z drogą leśną.

- A więc myśli pan, że jakiś przypadkowy facet w czerwonym vanie czy zielonym pikapie porwał moją siostrę i zakopał ją na podwórku Blackwooda? Dlaczego? Kto mógłby coś takiego zrobić?

Dyson zamilkł, by wytrzeć usta papierową serwetką.

- Jeszcze chwila. Dopiero zacząłem.

- Proszę mnie posłuchać. Nie mam wątpliwości, że Nelly mówi prawdę o swoim stryju. Potrafię rozpoznać ofiarę molestowania seksualnego. To jednak moim zdaniem potęguje jego winę, bo od molestowania dziecka do zabójstwa dziecka jest tylko jeden krok.

- A jeśli powiem, że wszystko, co pani wie o tej sprawie, jest błędne, to co pani na to?

- Poprosiłabym, żeby mi to pan udowodnił.

- Okej - odparł. - Zostawmy na chwilę pani siostrę. Słyszała pani o przypadku Hannah Lloyd? Było to brutalne morderstwo. Część materiału dowodowego wskazywała na najbliższego sąsiada, skazanego wcześniej za pedofilię. Aresztowaliśmy go, ale prokurator okręgowy nie potrafił tego udowodnić w sądzie, i rozprawa skończyła się uniewinnieniem. Wyszedł na wolność. A potem skończył z sobą, jeszcze zanim prokurator wznowił sprawę. Bardzo dziwna śmierć.

Kate zamrugła.

- Sugeruje pan, że ktoś go zabił?

Odchrząknął.

- Wydaje mi się, że pani siostrę i Hannah Lloyd spotkał ten sam los: ten sam zabójca, podobny *modus operandi*. Obie zmarły w wyniku niedotlenienia - udusiły się albo zostały uduszone - obie miały ostrzyżone włosy. Uważam, że za tymi dwoma zabójstwami, a także za kilkoma innymi zaginięciami w tym rejonie, stoi ten sam psychopata.

Kate z dezaprobatą pokręciła głową.

- Czy mówi pan o Makayli Brayden? Ona się narkotyzowała. Jeździła autostopem i pochodziła z rozbitego domu. To są trzy czynniki, które wystawiły ją na ryzyko wiktylizacji przez obcego.

- Kate - rzekł miękkim głosem. - Przepraszam, mogę zwracać się do pani po imieniu?

Kiwnęła głową.

- Ja mam na imię Palmer. A oto moja hipoteza. Na pewno to bardzo kuszące przyjąć postawę: „Nie chcę o tym myśleć”, prawda? Za kilka dni on straci życie. Ale jeśli choć trochę jesteś

podobna do mnie, musisz połączyć te wszystkie elementy i dojść do wniosku, że to nie trzyma się kupy. Że ktoś inny stoi za tym, co w ciągu ponad dwudziestu lat wydarzyło się w okręgu Blunt River, łącznie z zabójstwem twojej siostry.

Przeniknął ją chłód. Palmer prosi ją, by całkowicie zmieniła tok rozumowania. Przez połowę swego życia była przekonana, że jej siostrzyczkę zamordował Henry Blackwood. Potrząsnęła głową.

- W takim razie Henry Blackwood został wrobiony. Czy właśnie to mi mówisz?

Detektyw wzruszył ramionami.

- Jest to godne uwagi założenie.

- Ale to szaleństwo. To oznaczałoby, że ten, kto to zrobił, zadał sobie wiele trudu, żeby zrzucić na Henry'ego winę. Byłoby to niesamowicie skomplikowane i ogromnie ryzykowne. Jakie masz dowody?

- Dowody przeanalizujemy później. W domu mam ich pełne pudła. Ale są inne ofiary. Dziewięć, o ile się orientuję. - Starł tłuszcz z podbródka. - Posłuchaj, w zeszłym roku przeszedłem na emeryturę. A tak między nami... mogę ci się zwierzyć, Kate?

Z rezerwą skinęła głową.

- Jasne.

- Mam raka. Był w remisji, ale wrócił.

- Przykro mi to słyszeć - powiedziała ze współczuciem.

- Rozwijający się powoli chłoniak Hodgkina. Dziesięć lat temu leczono mnie chemio- i radioterapią, choroba przeszła w stan remisji, ale pięć lat temu nastąpił nawrót. Dalsze leczenie. Znowu remisja. Teraz podobno są przerzuty. Powiedziano mi, że jestem oporny na terapię. Zapisalem się więc na eksperyment medyczny, immunoterapię, w Nowym Jorku, ale lista oczekujących jest długa.

Kate nie miała pojęcia, jak zareagować.

- W każdym razie znalazłem klinikę w Tijuanie, która specjalizuje się w tej samej immunoterapii. No tak, wiem, o czym myślisz: turystyka medyczna. Ale dużo na ten temat czytałem. Terapia jest nietoksyczna, w najgorszym razie nieszkodliwa. Dla mnie to pestka.

Kate kiwnęła głową, nadal zaskoczona tym wyznaniem.

- Słuchaj, jestem z tym pogodzony. Jeśli przejdiesz przez tyle serii chemio- i radioterapii, zacznasz sobie robić z tego jaja. Ale właściwie chodzi mi o to, że moja misja staje się pilniejsza. Niewiele osób wie o nawrocie, więc proszę...

- Oczywiście. Nikomu nie pisnę słowa.

Lekceważąco machnął ręką.

- W każdym razie, wracając do tego, co mówiłem wcześniej. Kiedy w lesie znaleziono ciało Hannah, okazało się, że jej głowa została ogolona, jak twojej siostry. I obie dziewczynki zmarły na skutek odcięcia dopływu powietrza, w ten czy inny sposób. Dlatego uważam, że te dwa przypadki są z sobą powiązane.

Kate popatrzyła na Palmera uważnie.

- A więc nie kupujesz tego, że Hannah została zamordowana przez sąsiada?

Spojrzał na nią spod przymrużonych powiek.

- Nie. Uważam, że kryje się za tym coś więcej.

Poczuła, jak ogarnia ją przenikliwy smutek.

- Zawsze zastanawiałam się, dlaczego Blackwood ogolił głowę Savannah.

- A co o tym sądzisz... jako psychiatra i tak dalej? - zapytał. - Co to mogłoby oznaczać?

- W tym właśnie rzecz, to nie ma sensu. Savannah była małą dziewczynką, bardzo drobną jak na swój wiek. Zrozumiałabym,

gdyby zabójca ogolił głowę dorosłej kobiety, ale dziecka...

- Co masz na myśli, mówiąc „dorosłej kobiety”?

- Ogolić głowę kobiecie to ją poniżyć. Pozbawić ją kobiecości, atrakcyjności seksualnej.

Palmer pogroził jej palcem.

- Jesteś dobra. Trafiaś w sedno sprawy. Bez żadnego owijania w bawełnę. Podoba mi się to.

- To jest Psych 101.

- Wręcz przeciwnie. A ja o tym dobrze wiem. Kiedyś zapłaciłem mnóstwo kasy za profilowanie behawioralne. Chciałbym, żebyś się zainteresowała innymi zaginionymi dziewczętami, sprawdziła, czy między nimi a przypadkiem twojej siostry są jakieś inne podobieństwa niż te, które wymieniłem.

Nad drzwiami ponownie rozległ się dzwonek. Do środka weszło dwóch policjantów w średnim wieku. Pomachali Palmerowi, on odpowiedział im tym samym gestem. Potem skończył kanapkę i wypił resztkę coli. Kate słuchała dźwięku pobrzękujących w szklance kostek lodu.

- Moi koledzy mówią, że zwariowałem - wyznał. - Ale już dawno temu zauważyłem związek między tymi sprawami i jestem przekonany, że znamy tylko część całej tej historii. Chcę udowodnić, że te gryziopórki za biurkiem nie mają racji.

Kate pomyślała, że zabrzmiało to zuchwale.

- Czy masz dzieci, Palmer?

Potrząsnął głową.

- Tylko byłą żonę. Wskaźnik rozwodów wśród policjantów jest dość wysoki. Moja żona narzekała, że cały czas spędzam w pracy. Stwierdziła, że jestem zimny i daleki, co jest zabawne, bo w istocie jestem ciepłym i przyjemnym facetem. Ale spędzałem kiedyś całe dni na polowaniu na zabójców, złodziei i gwałcicieli.

To człowieka zmienia. Oddaliliśmy się od siebie. Nie winię jej. Nie mogłem przestać myśleć o tych sprawach, łącznie z przypadkiem twojej siostry. – Wyciągnął następną serwetkę z pojemnika i otarł twarz. – Dalej nie mogę przestać badać tych spraw, mimo że jestem na emeryturze. Raz wprowadzonej w ruch maszyny łatwo nie zatrzymasz.

– Czy któraś z pozostałych dziewcząt została pogrzebana żywcem? – zapytała Kate, zaciekawiona i jednocześnie wstrząśnięta. Nie chciała w to uwierzyć. Nie chciała dać się wciągnąć w obsesję Palmera. A poza tym w jakim świetle stawia to system sprawiedliwości? A Henry Blackwood? Czy to możliwe, żeby był niewinny? Po upływie tylu lat? Kate wiedziała sporo o przestępcach wzorujących się na innych. W college’u uczęszczała na kursy zajmujące się psychiką przestępców.

– Tego nie wiemy. Niektóre z tych dziewcząt są nadal zaginione. Reszta udusiła się albo została uduszona, zanim dokonano inscenizacji.

– Inszenizacji?

Palmer odchrząknął.

– Żeby to wyglądało na wypadek – wyjaśnił. – Jak już powiedziałem, możemy przyjrzeć się dowodom...

Kate dotknęła swojej filiżanki. Kawa była zimna.

– Sposób, w jaki umarła, ciągle mnie prześladowuje – wyznała. – Zakopana żywcem. Ludzie mówią denerwujące rzeczy bez złych intencji, jak w tym filmie... o rozgarnianiu ziemi palcami, sześć stóp pod ziemią, wygrzebywaniu się stamtąd pazurami.... To takie nieszkodliwe banały, prawda? – Potrząsnęła głową. – Mnie to przeraża.

Popatrzył na nią ze współczuciem, a potem puknął palcem wskazującym w stół i zapytał:

- Czy byłabyś w stanie przejrzeć dla mnie tych kilka przerażających spraw? Może znajdziesz jakieś szczegóły, które pasowałyby do sprawy twojej siostry? Coś, o czym zapomniałaś?

Kate rozpaczliwie szukała pretekstu, by odmówić. Odrzucała ten pomysł każdym nerwem ciała. Wie przecież, kto zabił Savannah, przeczuwała to... a jednak... kto wie? Nie miała dotąd pojęcia, że włosy Hannah Lloyd zostały ścięte. Może nie zaszkodziłoby przynajmniej zerknąć na te inne sprawy?

- Jeśli przejrzę te akta i dojdę do wniosku, że się mylisz... to ci to powiem. Bez ogródek. Bo jeśli nie będziesz potrafił mi tego udowodnić, jeśli nie zdołasz mnie przekonać, że on jest w stu procentach niewinny, to zapomnę o tym. Niech się smaży w piekle.

Palmer kiwnął głową.

- Może nie mam racji. Ale z drugiej strony może moglibyśmy rozwiązać tę zagadkę razem?

- Zbyttno się jednak nie podniecaj. Orzeczenie ławy przysięgłych ma dla mnie wielką rangę.

- Tego właśnie mi potrzeba - odparł. - Sceptycznego spojrzenia drugiej pary oczu.

23

Przed powrotem do Bostonu Kate skierowała się do miasta i po raz ostatni odwiedziła swoje rodzinne strony. Wieczór był zimny, świeciły gwiazdy. Zaparkowała przed domem Henry'ego Blackwooda w stylu neoklasycznym - na skrzynce pocztowej widniało teraz nazwisko „Dennison”. Posiadłość otaczał wysoki płot, a długi podjazd prowadził do zabudowanego garażu. Od najbliższego sąsiada dzieliło ją dobre dwieście metrów, wokół domu rósł gęsty las. Kilka przecznic dalej, za rogiem i za wzgórzem, stał dom jej ojca. Poczowała dreszcz.

Wysiadła z samochodu i pokonała zaśnieżone podwórko od frontu, mozolnie wspięła się na ganek i zapukała do drzwi. Potem nacisnęła dzwonek. Żadnej reakcji. Przytknęła złączone dłonie do okna i zajrzała do środka. Widziała schody na górę i korytarz prowadzący na tyły posesji. Reszta domu była pogrążona w mroku i ciszy.

Pod wpływem impulsu zaczęła iść wokół domu. W drodze do zaśnieżonego podwórka na tyłach coraz silniejsze stawało się uczucie, że narusza cudzą własność. Była tutaj tylko raz, wiele lat temu, wkrótce po tym, gdy Henry Blackwood został aresztowany pod zarzutem zabójstwa. Szesnastoletnia wówczas Kate chyłkiem przeszła przez las i minęła pole minowe chorągiewek policyjnych, aby wchłonąć w siebie ostatnie chwile Savannah na ziemi i pogrzebać je głęboko w sercu. I tam przechować.

Teraz znalazła się tu ponownie. Szukała grobu siostry. Ale minęło już tyle czasu, no i w śniegu nie mogła go odnaleźć. Zapamiętała lekkie wgłębienie w ziemi, gdzie koparka zostawiła ślad. Zapamiętała starą huśtawkę z opony i opuszczoną budę dla

psa oraz zardzewiały łańcuch w trawie. Przypomniała sobie żółtą taśmę policyjną i kilka drewnianych słupków stojących bliżej psiej budy niż ogrodu. Tutaj. Pod platanem.

Przemarznięta do szpiku kości zatrzymała się na skraju nieoficjalnego grobu siostry. Był dla niej bardziej rzeczywisty niż miejsce na cmentarzu. To tutaj Savannah błagała o życie. Tutaj wydała swe ostatnie tchnienie. Ten mały kawałek ziemi stanowił prawdziwe miejsce jej pochówku.

Ledwo wyobrażała sobie przerażenie, jakie jej siostra musiała tego wieczoru przeżyć. Szok młodziutkiego ciała padającego ofiarą muskularnego mężczyzny. Otwarte oczy patrzące na osypującą się na nią ziemię. A potem... nic.

Kate zastanowiła się, czy ludzie obecnie mieszkający w tym domu mają pojęcie, co się tu wydarzyło. Oczywiście o wszystkim można przeczytać w internecie. Według Heather, przyjaciółki Kate, kilku kolejnych właścicieli opuściło ten dom z powodu zjaw. Czyżby niespokojny duch Savannah nawiedzał to miejsce? Czy Dennisonowie zbyt późno zdali sobie sprawę z tego, że mieszkają w domu, w którym straszy? Czy sprowadzili ekipę lokalnych łowców duchów, by pozbyć się z tego miejsca siostrzyczki Kate? Heather zapewniła ją, że następnym razem dom sprzeda się za bezcen. A kolejna sprzedaż będzie katorgą. Za dużo historii. Zbyt wielu lokatorów. Zbyt wiele pogłosek, którym trzeba by zaprzeczać.

No i jeszcze to istotne pytanie: jeśli na skutek jakiejś niewiarygodnej przewrotności losu wszystko, w co wierzyła, nie jest prawdą... to czy Savannah kiedykolwiek będzie mogła odpoczywać w spokoju? Czy trwa na tym podwórku, czekając na sprawiedliwość? A co, jeśli ona, Kate, pomoże Palmerowi znaleźć prawdziwego zabójcę? Czy Savannah będzie w stanie przejść na

stronę światła?

Umysł Kate się wyciszył. Wszystkie modlitwy zostały wypowiedziane. Emocje się wypaliły. Żadne myśli ani uczynki nie przywrócą Savannah życia.

Obejrzała miejsce po raz ostatni. Już nigdy tu nie wróci.

24

James sprawił jej niespodziankę. Stół w jadalni był nakryty, świece zapalone, w kominku trzaskały polana marki Duraflame. Z chińskich pojemników na wynos unosiła się para.

- Tadam! - powiedział James.

Uśmiechała się do niego promiennie już od progu.

- Od Mary Chung?

- Sam podgrzałem. - Wyciągnął dla niej krzesło.

Otoczyła go ramionami. Jak cudownie znaleźć się znów tak blisko niego. Poczuć jego oddech na twarzy. Wszystko dzięki temu stało się lepsze.

- Jak było na pogrzebie? - zapytał.

- Serce się krajało.

- Przykro mi, dziecinko - powiedział, całując ją w czoło. Potem popatrzył na nią z niepokojem. - Masz gorączkę.

- To był długi dzień.

- Chodźmy zjeść. Może poczujesz się lepiej.

- Wolałabym się z tobą pieprzyć. Aż do upadłego.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się. - To się da załatwić.

Wzięła go za rękę i poprowadziła do sypialni, zdejmując jego sweter, rozpinając swą spódniczkę, ściągając rajstopy. Jej serce biło jak szalone, gdy wylądowała na łóżku, a James na nią opadł. Rozsunął jej uda i ją pocałował.

Zawładnęły nią niecierpliwość i rozpacz. Wyciągnęła rękę i pokierowała nim. Proszę, wygoń ze mnie smutek, Kochaj się ze mną, aż zostanie we mnie pustka. Jej oddech stał się ciężki, gdy do życia obudziła się zwierzęca część jej natury, emocje w niej narastały, aż wybuchły w serii dreszczy podobnych do konfetti.

Potem przytuliła się do Jamesa, wyczerpana i zaspokojona.

- No no no - powiedział, kładąc się obok niej.

Posłała mu krótki uśmiech.

- Nie jesteś taki zły.

- Jak się trzymasz?

- Okej - odparła, zastanawiając się, ile mu powiedzieć.

- Jesteś pewna? Wszystko jest okej?

- Tak, w porządku - skłamała, ponieważ pojawiła się w niej nowa emocja. Gniew. Była wściekła na detektywa Dysona za wciągnięcie jej w zasadzkę, za sugerowanie, że jej najgorsze obawy - dotyczące tego, że zabójca Savannah jest nadal na wolności - mogą się sprawdzić. Za to, że poparł wersję Nelly.

James uśmiechnął się do niej smutno. Uświadomiła sobie, że nie myślała o nim tyle, ile trzeba, że ignorowała jego uczucia. Po prostu założyła, że jest tak silny jak zawsze, że nie potrzebuje jej uwagi.

- A co u ciebie? - zapytała. - Jak ci minął dzień?

- Do niczego, dziękuję, że spytałaś.

- Agatha?

- Znowu porzuciła grupę.

- Jaki był tym razem powód?

- Kompletnie mi odbiło, Kate. Nie powinniśmy tego robić, prawda? Czy nie ma o tym mowy w „Poradniku psychiatry” czy w czymś podobnym? „Nigdy nie trać głowy”.

- Właśnie tak. Co się więc stało?

- Chyba pod nosem ją przekląłem. Nie mogłem się powstrzymać. Ona naciska wszystkie guziki dotyczące mojej matki. Nienawidzę faktu, że jestem tylko człowiekiem. To mnie wkurwia.

- Ty? Człowiekiem? Z pewnością nie.

Roześmiał się.

- Już mi lepiej. Ale wróćmy do ciebie. Co się dzieje pod tą teflonową powierzchnią?

Zawahała się.

- Radzę sobie - oznajmiła.

Ujął jej rękę.

- Gdzie jest pierścionek?

Popatrzyła na swój nagi palec.

- Nie chciałam, żeby ojciec pomyślał, że to pierścionek zaręczynowy, więc go zdjęłam. Po co otwierać tę puszkę Pandory?

- Widziałas się z nim dzisiaj?

- Po pogrzebie. Ni z tego, ni z owego pojechałam go odwiedzić.

- I jak było?

- Tak sobie.

- Hm. Powinienem poznać tego takiego sobie faceta. Moglibyśmy pokonwersować.

Zaśmiała się.

- Absolutnie nie jestem na to gotowa.

- Nigdy nie wiadomo. Możemy zostać wspaniałymi kumplami.

- No jasne. Tak jak ja i Vanessa.

- Mama cię kocha. Ona jest narcyzem honorującym zasadę równouprawnienia.

Kate spojrzała na okna sypialni. Księżyc w pełni oświetlał miasto łagodnym blaskiem. Zimny wiatr gwizdał nad dachami. James nasunął na nich pikowaną narzutę, zakrywając ich nagość, i przytulił Kate do siebie.

- Mm. Jak przyjemnie - wyszeptała. - Niech już tak zostanie na zawsze...

- Okej.

- ...pod tymi wyrzutami...

- Co?

Popatrzyła na niego uważnie.

- Co powiedziałam?

- Wyrzuty. - Uśmiechnął się krótko. - Powiedziałaś „wyrzuty”.

To jakieś freudowskie przejęzyczenie.

- Narzuty. Miałam na myśli narzutę.

- Twoje wyrzuty zapewne przetrwają tę narzutę, mimo dużej liczby wątków.

- Jesteś bardzo śmieszny.

Uśmiechnął się ironicznie.

- Wiem. To wyczerpujące być takim bezgranicznym źródłem radości. - Odgarnął włosy z jej twarzy i pocałował ją delikatnie. - Przysięgnij, że sobie poradzisz, Kate.

- Jasne.

- No właśnie, ty masz do czynienia z tymi wszystkimi pierdołami, a ja dowcipkuję. - Ścisnął jej rękę. - Więc to już koniec z tym pierścionkiem?

- Nie, głupolku. Bardzo mi się podoba. Jutro go znowu włożę.

- Nie swędzi cię?

- Nic a nic - skłamała. - Czy możesz już uwolnić moją rękę?

- Chyba nie.

- Chyba tak.

Puścił jej dłoń i podparł się na łokciu.

- No to wszystko mi opowiedz.

Zdała mu relację z pogrzebu. Po czym dodała:

- A potem spotkałam tego faceta...

W salonie zadzwonił telefon.

- Faceta? Jakiego faceta?

Roześmiała się.

- To nie jest to, o czym myślisz. On jest starszy.

- O ile starszy? Wiekowy? Niedołężny? Nie taki młody i przystojny jak ja, prawda?

- Nikt nie jest tak przystojny jak ty.

- Ani młody.

Telefon dalej dzwonił niecierpliwie.

James przewrócił oczami i wstał z łóżka.

- Przepraszam. Jeśli będziesz ignorować moją matkę, pokaże ci pazurki. Naprawdę chciałbym posłuchać o tym wiekowym, niedołężnym, brzydkim i starym facecie, którego poznałaś.

- Dobrze - powiedziała. - Pozdrów ode mnie mamę.

Z wdziękiem wskoczył w dzinsy i szybko przeszedł do salonu. Kate słyszała, jak odbiera telefon i mówi:

- Cześć, mamó.

Nie była pewna, co mu powtórzyć z konwersacji z detektywem Palmerem Dysonem. Odnosiła wrażenie, jakby otworzyła puszkę Pandory i wyrwały się z niej wszystkie potwory świata, których nie uda się wepchnąć tam z powrotem. Potrzebowała czasu, by wyciszyć myśli. Powie mu o tym jutro. Dziś niech tak pozostanie. Czowała się bezpiecznie i przytulnie ze swymi wyrzutami.

25

Podczas weekendu stan Maddie się pogorszył. W poniedziałek wcześniej rano Kate ruszyła do szpitala, wiedząc, że nagły spadek formy może przyspieszyć całkowite załamanie psychiczne. W szpitalu szybkim krokiem wyminęła ochronę i niecierpliwie czekała na windę.

Na oddziale Yvette poinformowała ją o stanie Maddie w drodze do pokoju 212.

- Nie chce wstać z łóżka. Odmawia przyjscia na śniadanie. Nawet Tamara nie potrafiła jej do tego namówić.

Kate zapukała w drzwi pokoju Maddie.

- Proszę wejść.

Przez okna wnikały do środka promienie słońca tak słabe jak herbata z trawy cytrynowej. Pośród skłębionego stosu pledów i poduszek leżała Madeline Autumn Ward, dziewczynka z wstępną diagnozą schizoidalnego zaburzenia osobowości. Wyglądała jak mała jasnowłosa plama.

Kate uwolniła pilnującą dziewczynki asystentkę pielęgniarstwa, która z chęcią wyszła na krótką przerwę, po czym przejrzała kartę Maddie i zapytała:

- Jak się dziś czujesz?

- Boli mnie szyja.

- W którym miejscu?

Maddie dotknęła palcem bolącego miejsca. Kate zbadała delikatną szyję dziewczynki.

- Czy jeszcze jedna poduszka by pomogła?

- Tak, ale nie chcą mi jej dać.

- Okej. Zobaczą, co da się zrobić - obiecała Kate.

Maddie usiadła. Oczy miała przekrwione. Na jej ramionach widniały świeże zadrapania – niedobry znak. Przytuliła do siebie kilka pluszowych zabawek, prezentów od Tamary i Yvette, które często wydawały swe ciężko zarobione grosze w szpitalnym sklepiu. Zakazane akty współczucia.

- Nie lubię jej – oznajmiła Maddie.

- Kogo? Asystentki pielęgniarek? Susie?

- Ona mnie szpieguje.

- To się nazywa tryb indywidualny. Ona cię pilnuje dla twojego bezpieczeństwa.

- Oni wszyscy mnie szpiegują.

- Taką mamy politykę szpitalną.

- Dlaczego? Bo jestem zła?

- Nie, Maddie. Nikt nie uważa, że jesteś zła.

Dziewczynka zaczęła cicho płakać.

- Ale może jestem.

- Kto powiedział, że jesteś zła?

Maddie popatrzyła na Kate spod swych mokrych jasnych rzęs.

- Czy ojczym ci to mówi?

- Nie.

- To dlaczego myślisz, że jesteś zła?

- Czasami mam złe myśli.

- Na przykład?

- Na przykład że chcę się zranić.

- Okej. Ale dlaczego skłania cię to do myślenia, że jesteś zła?

Maddie zamrugała.

- Nie mam siostry. Jak to jest mieć siostrę?

Kate poczuła się zakłopotana.

- Było przyjemnie – odparła zgodnie z prawdą. – Bardzo ją kochałam.

- Ale ona umarła.

- Tak.

- Jak to się stało?

- Nie mogę teraz o tym mówić, Maddie. Jest to dla mnie zbyt smutne.

- Dlaczego ludzie muszą umrzeć?

- Nie wiem. Ale taka jest okrutna prawda.

- Nie chcę, żeby mamusia umarła - rzekła dziewczynka cicho.

- Bardzo ją kochasz, prawda?

Maddie pokiwała głową.

- Pani mama utonęła w rzece, prawda?

Kate poczuła skurcz żołądka, ale próbowała zachować opanowanie.

- Kto ci to powiedział? - Dziewczynka milczała, a Kate zdała sobie sprawę, że nie ma sensu ukrywać przed nią prawdy, toteż zaczerpnęła powietrza i dodała: - Moja mama umarła, kiedy miałam dziesięć lat. A sześć lat później umarła moja siostra.

W oczach Maddie ukazały się łzy.

- To smutne.

- Tak, to smutne.

- Czy tonięcie boli?

- Nie wiem. Czytałam o tym różne rzeczy.

- Słyszałam, że najpierw to bardzo boli... ale potem już jest lepiej, bo w łonie była woda. - Maddie przytuliła jedną z włochatych zabawek do piersi, jakby chciała się połączyć z jej miękkością. - Niedługo umrę - wyszeptała.

Kate się wzdrygnęła.

- Dlaczego tak mówisz?

- To było głupie - rzekła Maddie cicho.

- Co?

- Nie powinnam mówić tego o pani matce.

- W porządku. Nie mam nic przeciwko temu, żeby odpowiadać na twoje pytania.

- O Boże. - Zakrztusiła się. - Ale jestem głupia.

- Jesteś po prostu ciekawa. Każdy jest ciekawy.

Gdy po policzkach Maddie potoczyły się łzy, Kate podała jej pudełko z chusteczkami.

- Nie powinnam tego mówić - dodała Maddie bez zastanowienia. - Głupia. Umrzeć. Ja niedługo umrę.

- Dlaczego tak myślisz?

- Umrę. Umrę. Jakie to głupie tak mówić. Co to znaczy? Umrę. Umrę. Jak zaczniesz powtarzać w kółko jakieś słowo, to ono straci znaczenie, prawda? Umrzeć. Jestem taka głupia.

- Nie jesteś głupia - zaprotestowała Kate uspokajającym tonem.

- Nic a nic.

- Jestem! - wrzasnęła Maddie. - Jestem głupia!

Kate zawahała się, czy to powiedzieć, po czym zebrała się na odwagę.

- Twoja mama mówi, że jest głupia. Czy dlatego ty tak o sobie mówisz? Czy ten głos w twojej głowie jest podobny do głosu twojej mamy? Czy to jest głos mamy? A może ojczyma?

Dziewczynka wyglądała na obolałą. Osoba będąca w trakcie załamania psychicznego ma skłonność do widzenia wszystkiego w krzywym zwierciadle. Rzeczywistość traci wszelkie znaczenie i staje się wypaczona. Ludzie zaczynają się bać. Czują się pozbawieni ciała. Maddie znalazła się właśnie na granicy utraty kontaktu z rzeczywistością.

- Czasem karzemy samych siebie - ciągnęła szybko Kate, gładząc rękę dziewczynki, by przytrzymać ją na łóżku. - Karzemy siebie, przyjmując złość innych ludzi, pozwalając, żeby w nas

utkwiała. Na przykład jeśli twój ojczym nazywa cię głupią, możesz zacząć mu wierzyć. Możesz zacząć nazywać siebie głupią.

Maddie przekrzywiła głowę, jakby słuchała, lecz w jej oczach coś się zmieniło.

- Boli mnie głowa - jęknęła. - Boję się.

- Jestem z tobą. Nigdzie nie idę.

Nagle dziewczynka wbiła paznokcie w skórę głowy i pojawiła się krew.

- Nie! - Kate próbowała chwycić dłonie Maddie, ale dziewczynka walczyła, krzycząc i machając rękami, skopując z łóżka koce i pluszaki.

By odzyskać równowagę, Kate wyprostowała się i rzuciła podkładkę do pisania na podłogę, a wtedy Maddie kopnęła ją w brzuch. Stało się to bardzo szybko, Kate nie spodziewała się tego ciosu. Zgięła się wół. Kiedy się prostowała, Maddie błyskawicznym ruchem ręki uderzyła ją w twarz. Zszokowana Kate przez chwilę stała nieruchomo, po czym nacisnęła przycisk do stanowiska pielęgniarek.

Kilka minut później do pokoju wpadła Tamara ze strzykawką w ręce. Przepisy nakazywały w takiej sytuacji dać dziecku wybór - igła czy tabletki. Maddie jednak na nic się nie godziła. Straciła kontakt z rzeczywistością.

Kate podjęła decyzję za nią, a Tamara wstrzyknęła środek uspokajający w pośladek Maddie, mimo że dziewczynka nadal walczyła. Lata doświadczenia i szkoleń nauczyły Kate, że byłoby znacznie gorsze, a nawet absurdalne, dopuścić do tego, by histeria się rozwinęła i wypaliła.

Tamara obejrzała głowę Maddie i wtarła w zranione miejsca maść antybakteryjną, po czym opuściła pokój. Kate usiadła przy łóżku, czekając, aż zastrzyk zacznie działać. Po kilku minutach

źrenice Maddie rozszerzyły się, a jej serce zwolniło rytm. Serce Kate wciąż waliło.

- Przepraszam - wyszeptała dziewczynka ze swego legowiska.

- Nie martw się tym. To jest ta niezbyt przyjemna część choroby.

- Głowa mnie boli - wyszeptała Maddie.

- Czy to jest typowy ból głowy?

- Nie. Boli mnie od myślenia. Myślenia za dużo.

- To jest w porządku. - Kate odłożyła stetoskop. - Będzie bolała.

- Dlaczego?

- Bo zaczynasz czuć. A uczucia czasem bolą.

- Czy może pani coś zrobić, żeby przestały?

- Boleć? Nie. Nie chcę, żeby uczucia cię opuściły.

- Dlaczego nie?

- Bo jeśli je stłumisz, staną się tylko silniejsze - wyjaśniła Kate.

- Uczucia są ważną częścią siebie i dobrze jest je wyrażać.

W końcu uczucia, dobre czy złe, ci pomogą.

- Ale chyba pani mówiła, że bolą.

- Bolą i pomagają.

Maddie zakopała się głębiej pod koce.

- Mój stryj niedługo umrze. Widziałam to w telewizji w pokoju dziennym. Inne dzieci się zastanawiały... co będzie szybsze, śmiertelny zastrzyk czy krzesło elektryczne?

- Czy go w ogóle znasz?

- Kilka razy się z nim widziałam. W więzieniu. Mamusia mnie zabrała. Powiedziała, że ja śmieję się tak jak on. Ona nie lubi, jak się śmieję. To staram się nie śmiać.

Nagle Kate olśniło: wdowi szpic, jasna piegowata cera, szmaragdowe oczy. Kiedy Henry Blackwood nie miał na głowie którejś ze swych bejsbolówek czy zniszczonego kapelusza

filcowego, widać było jego krótkie, obcięte po wojskowemu jasne włosy z wyraźnym wdowim szpicem. Gdyby niespełna szesnaście lat temu Penny Blackwood zaszła w ciążę, dziewięć miesięcy później urodziłaby dziecko. A dziś to dziecko miałoby tyle samo lat co Maddie.

26

Kate skierowała się w stronę wind, starając się uspokoić. To szokujące zdać sobie sprawę, że być może leczy córkę człowieka, który zabił jej siostrę. Musi porozmawiać o tym z Irą.

Winda nadjechała, gdy nacisnęła guzik, i z kabiny wysiadła Elizabeth McCormack, matka Nikki.

- Doktor Wolfe?

- Elizabeth - odrzekła Kate zaskoczona. - Czy mogę w czymś pomóc?

- Nie mogę jeść. Nie mogę spać. Nie mogę przestać myśleć o Nikki.

Kate poczuła bijący od niej ostry zapach, jakby od dawna się nie myła. Tego rodzaju zaniedbanie zupełnie nie pasowało do drogiego, szytego na miarę płaszcza, brylantowych kolczyków i najmodniejszych skórzanych butów do kolan. Jej włosy o barwie miodu opadały na ramiona w tłustych strąkach, oczy były czerwone od łez.

- Cały czas mam gonitwę myśli. I nieustannie myślę: a co gdyby? Gdybyśmy inaczej postąpili? Może by żyła?

Kate poczuła ucisk w żołądku.

- Chodźmy do mojego gabinetu, tam możemy mieć trochę prywatności.

- Moja córka przyszła do pani w bardzo kruchym stanie ducha - ciągnęła Elizabeth. - Te tabletki, które jej pani przepisała, leki psychotropowe, no to właśnie niedawno przeczytałam, że czasami mogą zrobić więcej złego niż dobrego. Czy wiedziała pani o tym?

- Przepisałam jej najmniejszą dawkę leku przeciwłękowego.

- Niektórzy z jej przyjaciół mówią mi teraz, że Nikki była

w głębokiej depresji. Dlaczego mi pani o tym nie powiedziała?

- Wiedziała pani, że leczymy u niej depresję. - Kate starała się mówić tym spokojniej, im bardziej Elizabeth stawiała się wzburzona.

- Nie, mam na myśli ostatnie dwa tygodnie. Czy miała myśli samobójcze?

- Nikki robiła postępy w terapii, ale przed nami była jeszcze długa droga.

Elizabeth zeszywniała.

- Jak pani może coś takiego mówić? Robiła postępy?

- Elizabeth, proszę, chodźmy do mojego gabinetu.

- Nie! - wykrzyknęła Elizabeth ze złością. - Chcę wyjaśnić. Dlaczego się zabiła? Wróciliśmy do domu, a ona wisiała pod sufitem. A ja stałam, patrzyłam na moją córkę i nic nie rozumiałam. Było tak, jakby świat przewrócił się do góry nogami. Ale pani jest lekarką. Powinna pani nas ostrzec, że Nikki ma myśli samobójcze! - krzyczała. - Jak mogła pani do tego dopuścić? Jak mogła pani nie zauważyć wszystkich oznak?

- Zapewniam panią, Elizabeth, że niczego nie przeoczyłam.

- Aha! I dlatego moja córka nie żyje, tak? Bo pani niczego nie przeoczyła. Nie zrobiła pani absolutnie nic złego.

- Ja nie o tym mówię. Elizabeth, proszę...

- Proszę nie mówić do mnie Elizabeth! Dosyć! - Nagle obiema rękami pchnęła Kate. Kate straciła równowagę, zamachała rękami i z pozbawionym wdzięku hukiem upadła na podłogę.

Po chwili usiadła zszokowana, a Elizabeth przyłożyła rękę w rękawiczce do ust i szepnęła:

- O nie...

- Nic nie szkodzi - zapewniła ją Kate.

- Przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło...

W korytarzu przystanęło kilka osób. Ktoś musiał o tej konfrontacji powiadomić Jamesa, bo szybko zmierzał w ich stronę.

- Kate? Nic ci nie jest? - Pomógł jej stanąć na nogi. - Co się stało? Co się tutaj dzieje?

- Nic się nie stało. Jestem tylko trochę wstrząśnięta. - Spojrzała na Elizabeth. - To jest matka Nikki.

James odwrócił się twarzą do Elizabeth McCormack.

- Czy to pani ją popchnęła? Czy pani ją za to wini?

- James, proszę. - Kate czuła się zażenowana.

- Nie, to jest nonsensowne, Kate. Zrzucają na nas winę zawsze wtedy, kiedy stanie się coś złego, ale nie słyszą tych okropnych rzeczy, które dzieci mają do powiedzenia o nich.

- To bez znaczenia - wtrąciła Kate. - Ona straciła córkę.

- Nikki nie żyje, a ja chcę wiedzieć dlaczego. - Elizabeth się rozplakała.

- Kate zrobiła wszystko, co mogła - oznajmił James.

- James, przestań. Już jest w porządku.

- Nie, nie jest. To się nazywa napaść.

Jedna z wind dźwiękiem oznajmiła przybycie, Elizabeth wsiadła do kabiny i patrzyła na nich, gdy aluminiowe drzwi się zamykały. James troskliwie otoczył Kate ramionami, a ona pozwoliła mu się przytulić. W ciągu jednego dnia uderzyły ją dwie osoby. To na pewno rekord.

James zaprowadził ją do stanowiska pielęgniarek, gdzie zmusił ją, by usiadła, i znalazł skaleczenie na łokciu. Pielęgniarki przyniosły plasterki i jodynę.

- Nic mi nie jest - mówiła każdemu, kto się pojawiał, ale wszyscy to ignorowali.

- Niektórzy z tych ludzi to prawdziwy powód, dla którego ich

bezczenne pocięchy się tu znalazły - mruknął James.

- Niepotrzebnie tak na nią napadłeś - zauważyła Kate.
- Niepotrzebnie? Nagle jej napaść na ciebie jest w porządku?
- Nie. Ale spróbuj znaleźć w sobie trochę współczucia.
- A może już się cały wywspółczułem? - warknął.

Położyła rękę na jego ramieniu.

- Słuchaj, tak mi przykro z powodu tych wakacji...
- Nie, nie - odparł jakby z roztargnieniem. - W tej sprawie zachowałem się jak głupek. Po prostu zależało nam na tym, żebyś przez cały przyszły tydzień była od tego jak najdalej.

Kiwnęła głową. Od miesiący planowali, co będą robić w wieczór po egzekucji Henry'ego. Mieli rozkoszować się pobytem w luksusowym hotelu w Sedonie, próbując wina z winnicy Verde Valley i ignorując wiadomości.

- A jakby tego było za mało, właśnie się dowiedziałem, że mama pośliznęła się na lodzie i złamała nogę w kostce.

- No nie. Kiedy to się stało?
- Pół godziny temu. Muszę jechać do Massachusetts General i pogadać z lekarzami. To podobno wyjątkowo paskudne złamanie. Będą musieli ją operować.

- Uściskaj ją ode mnie. Mam nadzieję, że poza tym czuje się nieźle. - Przytuliła go. - I nie przejmuj się następną środą. Spędzimy wieczór w łóżku i będziemy udawali, że jesteśmy w Sedonie. Zrobimy sobie takie małe prywatne przyjęcie z winem.

Uśmiechnął się.

- No to jesteśmy umówieni.
- Zawiadom mnie, jak czuje się Vanessa, dobrze?

Pocałował ją i odszedł.

Kate zapukała do drzwi gabinetu Iry.

- Proszę - usłyszała.

- Masz minutę?

- Dla ciebie nawet więcej. - Odłożył papiery na bok. - Usiądź.

Zamknęła drzwi i mruknęła do siebie:

- Od czego by tu zacząć?

- Co się dzieje?

- Elizabeth McCormack właśnie mnie popchnęła.

- Popchnęła cię?

- Przy windach. Dziesięć minut temu.

- Jak się czujesz?

- Po prostu mam zranione ego.

- Przepraszam na sekundę. - Podniósł słuchawkę i poprosił sekretarkę, by go z nikim nie łączyła. Po czym dodał: - Okej. Siadaj. I mów.

Zajęła miejsce i powiedziała:

- Ona obwinia mnie o samobójstwo Nikki.

- A więc spełnia się twój najgorszy koszmar.

Kiwnęła głową.

- To uruchamia całą tę bezsensowną maszynę.

- Właśnie, jakby to była twoja wina. A oboje wiemy, że to absurd.

- Ostatnio wiele rzeczy wygląda tak, jakby to była moja wina - zauważyła.

- Na przykład?

Potarła pulsujące skronie.

- To skomplikowane.

- Mam cały dzień.

- Nie, nie masz, ale dziękuję ci, Ira.

- Kate - rzekł z westchnieniem. - Co się stało?

- Na pogrzebie Nikki spotkałam pewnego faceta... emerytowanego detektywa, który usiłuje mnie przekonać, że Henry Blackwood jest niewinny.

- Co? - Ira zmarszczył czoło.

- Wiem. To szaleńczy pomysł, prawda?

- Do egzekucji pozostało jeszcze tylko kilka dni.

Pokiwała głową.

- Środa wieczór.

- Trochę za późno na zmianę zdania, nie sądzisz?

- Wczoraj wieczorem James powiedział to samo.

- No cóż, może ma rację?

Kate westchnęła.

- Od lat ludzie próbują mnie przekonać o niewinności Blackwooda, więc to oczywiste, że tuż przed egzekucją ta akcja przybiera na sile.

- No właśnie - odparł. - A jak twoja nowa pacjentka?

- Robimy postępy. Podejrzewam, że ojczym Maddie może stosować wobec niej przemoc.

- Seksualną?

- Nie ma na to dowodów. Ale chyba słowną i psychiczną.

- Czy skonfrontowałaś tę możliwość z pacjentką?

- Na razie temu zaprzecza.

Zmarszczył czoło.

- Czy rozmawiałaś z tym ojczymem?

- Jeszcze nie. Z Wardami nie jest tak łatwo się skontaktować. Najwyraźniej nie mają telefonów komórkowych, tylko stacjonarny, i na ogół sekretarka jest wyłączona. Martwię się

jednak o Nelly Ward. Wygląda mi na maltretowaną żonę.

Ira zdjął okulary i potarł grzbiet nosa.

- Okej, dwie rzeczy. Po pierwsze, musimy postępować ostrożnie. Jak wiesz, w szpitalu obowiązują specyficzne wymagania, jeśli chodzi o wykorzystywane dzieci.

- Wszystko udokumentuję.

- Powinnaś także jak najszybciej spotkać się z ojczymem dziewczynki.

- Okej.

- Kiedy dokonasz oceny, kiedy zaczniesz podejrzewać, że w tym domu dochodzi do przemocy, włączymy w sprawę opiekę społeczną.

Kate skinęła głową. W szpitalu specjalistką w tej dziedzinie była Ursula O'Keefe. Przeprowadzała własne śledztwa - przeglądała archiwa państwowe, doniesienia policyjne, rejestry sporów rodzinnych. Jeśli podejrzenia psychiatry się potwierdzały, Ursula kontaktowała się z Departamentem Spraw Socjalnych, by uzyskać wyrok sądowy nakazujący odebranie dziecka rodzinie. Maddie zostałyby wówczas umieszczona w rodzinie zastępczej. Niektóre dzieci, wyrwane z toksycznego środowiska rodzinnego, kwitły; inne nie czuły się tak dobrze. To są rzeczy nie do przewidzenia.

Teraz Kate zmarszczyła czoło.

- W takim razie wolałabym się nie spieszyć.

Ira skinął głową.

- To właśnie bym ci sugerował.

- Chciałabym się upewnić, że zrobimy to, co jest dla Maddie najlepsze, zważywszy na alternatywy.

- Zgadza się. Jeszcze coś?

Zawahała się, zadając sobie pytanie, czy ma Irze wspomnieć o tym, że zauważyła podobieństwo między Maddie a Henrym

Blackwoodem. Ale to przecież naturalne, że Maddie i jej stryj mają część genów wspólnych. Być może podobieństwo na tym się kończyło.

- Informuj mnie na bieżąco. I jeszcze jedno, Kate. - Pochylił się nad biurkiem. - Nie daj się więcej wciągnąć w rozmowy o niewinności Blackwooda. Zostawmy sprawy własnemu biegowi.

Tego wieczoru James wisiał na telefonie, omawiając z lekarzami plan leczenia matki. Vanessa przeszła operację i przez kilka miesięcy będzie skazana na gips. Zamiast zgodnie z planem wrócić do pracy, James wziął na resztę tygodnia wolne, by spędzić więcej czasu w szpitalu Massachusetts General i przygotować matkę do rekonwalescencji.

Spać poszli późno. Kate otoczyła Jamesa ramionami i przytuliła się do niego mocno.

- Kocham cię - wyszeptała.

- Ja też cię kocham. - James ściągnął brwi. - Mówią, że nieszczęścia chodzą trójkami.

- Nam nic nie jest. Po prostu zajmij się matką. Ona cię potrzebuje.

Następnego dnia rano Kate pojechała do Wilamette, by spotkać się z ojczymem Maddie. Dotarła na miejsce w rekordowo krótkim czasie i zaparkowała na podjeździe za granatową toyotą camry Nelly.

Nelly powitała ją w drzwiach z grymasem niezadowolenia. W jasnym świetle poranka jej twarz wyglądała na lekko zniekształconą, jakby przez lata służyła komuś za worek treningowy.

- Czy twój mąż jest w domu? - zapytała Kate.

- Nie.

- A kiedy wróci?

- Wieczorem.

- Muszę z nim koniecznie porozmawiać. Czy mogę wejść?

- Chyba tak.

W kuchni panował straszny bałagan. Wszystkie powierzchnie zagracały kiczowate starocie.

- Kawy? - zaproponowała Nelly.

- Dzięki.

Wiele rozbitych ceramicznych skorup zostało posklejanych. Patrząc na to w specyficzny sposób, można by je uznać za dowód małżeńskich dysonansów. Kate usiłowała wykrzesać z siebie trochę współczucia dla tej kobiety. Przecież to nie jej wina. Dysfunkcyjność Nelly brała się z mechanizmu przetrwania, skutku ubocznego nadwrażliwości na krytykę, zresztą podobnie jak u Kate. Lecz osobiste tragedie pchnęły każdą z nich w zupełnie innym kierunku.

Kate najbardziej jednak niepokoiły decyzje dotyczące córki. Z pewnością Nelly instynktownie powinna chronić Maddie od przemocy, zważywszy na własne doświadczenia. Mogła wybierać między wieloma organizacjami i schroniskami. Jeśli to prawda, że mąż znęcał się słownie, a także nawet fizycznie, nad nią oraz Maddie, powinna bardziej skutecznie i z większą determinacją chronić dziecko.

- Gdzie jest twój mąż? - zapytała Kate.

- W Pittsburghu - odparła Nelly, stawiając kawę na stole. - Coś się tam opóźniło albo zepsuło. Wróci później.

Kate zmarszczyła czoło.

- Ale wydawało mi się, że mówiłaś, że jest w domu. Czyżby nagle wrócił do pracy?

- Jeden pies. - Nelly ją splawiła. Została przyłapana na kłamstwie, ale nie miała zamiaru się tłumaczyć. - Wróci późnym wieczorem.

Kate odpuściła.

- Kiedy przyjedziesz do szpitala?

- Niedługo - odparła Nelly wymijająco.

- Niedługo, czyli...

- Nie wiem. - Nastroszyła się w poczuciu zranionej dumy. - Nie masz prawa patrzeć na mnie z góry. Nic o mnie nie wiesz.

- Masz rację - odrzekła Kate sztywno. - Nie wiem. Więc mnie oświeć.

- Kocham tę małą dziewczynkę. Trzymam jej wszystkie ubranka z dzieciństwa. Wszystkie rysunki. Każdą pracę domową. Wszystkie świadectwa szkolne. Wiem, co lubi, a czego nie lubi. Ona nie zje nawet odrobinki majonezu czy ketchupu. No to już wiesz.

Kate pomyślała, że musi ustalić, jak wygląda życie w domu Wardów, jeśli naprawdę ma pomóc Maddie. Jednocześnie nie chciała być wobec tych ludzi niesprawiedliwa. Z wielką chęcią wysłuchałaby ich wersji całej tej historii, zanim podejmie kroki, które mogą zniszczyć ich życie. Czasu jednak było coraz mniej.

Postanowiła więc zaatakować.

- Czy twój mąż cię bije?

- Co?

- Czy cię bije?

- Nie!

W oczach Nelly Kate dostrzegła strach i chęć ucieczki, co mogło świadczyć o tym, że skłamała.

- Derrick nie tknąłby mnie nawet palcem.

- Posłuchaj - rzekła Kate ze znużeniem. - To ważne, żebyś powiedziała mi prawdę, bo może zostanę zmuszona do podjęcia pewnych decyzji, które dotkną całą twoją rodzinę, i dlatego chcę poznać tę sprawę z twojego punktu widzenia.

Z paczki leżącej na stole Nelly wyjęła papierosa i zachrypniętym głosem powiedziała:

- Pytasz, czy mój mąż daje mi ostry wpierdol? Więc nie. On na nas pracuje. Jest dobrym ojcem. Pytasz, czy uderzył Maddie? Nigdy. Nawet by jej nie dotknął. Maddie sama siebie krzywdzi.

- A więc twój mąż nie bije ciebie ani Maddie?

- Miałam trzech. - Zapaliła papierosa i głęboko się zaciągnęła.

- Nie rozumiem.

- Trzech mężów. - Nelly prychnęła pogardliwie. - Pierwszy tłukł mnie dosyć regularnie. Czy go zaaresztujesz? Będziesz miała szczęście, jak go znajdziesz.

- Nie zdawałam sobie sprawy...

- W dzieciństwie miałam przechlapane. Niektórzy nigdy po tym nie dochodzą do siebie. Ja myślałam, że mi się uda. A potem wyszłam za tego drania. Najpierw był w porządku. Wydawał się słodziutki. Ale jak minęło parę miesięcy, zobaczyłam, jaki z niego oprych. Drogo zapłaciłam za swój błąd. No to się z nim rozwiodłam i wzięłam ślub z moim drugim mężem. On też był słodziutki. Supersympatyczny facet. Ale wiesz co? Taka sama cholera. Przysięgam, chyba mam na czole wypisane „ofiara”. „Jestem wycieraczką, możesz po mnie chodzić”. - Potarła czoło i zaśmiała się. - O kurczę, subtelny to on nie był. Najpierw trzepnął mnie pięścią z miłości. A potem to były już zapasy. No i pomyśl sobie: on tak po prostu się wygłupia, nie? Ale potem cię uderza. I to robi się śmiertelnie poważne. I już nie jest śmiesznie. I zanim sobie uświadomisz, siedzisz w tym po uszy.

- Czy któryś z twoich mężów uderzył kiedyś Maddie?

- Pierwszy odszedł, kiedy miała sześć miesięcy. Nie miał szansy jej zranić, chyba żeby wziąć pod uwagę te parę razy, jak walnął mnie w brzuch, kiedy byłam w ciąży.

Kate się wzdrygnęła. To się liczy.

- Mój drugi mąż nie chciał mieć z Maddie nic wspólnego.

Prawie jej nie zauważał. A teraz mam Derricka. Dobry facet, ma dobrą pracę. Kocha Maddie jak prawdziwy tatuś. Ale widzisz... jest sukinsyn i sukinsyn.

- Co masz na myśli?

Nelly przesunęła ręką po ciemnych krótkich włosach.

- Ciągłe by cię krytykował. Ciągłe słyszysz jakieś ostre słowa. Jedno parszywe małżeństwo za drugim. Dlatego zaczęłam zbierać amulety. - Zadzwoiła turkusowo-srebrnymi bransoletami na nadgarstkach. - Ale teraz podejrzewam, że to ja. Że jakoś to przyciągam. Czy jest gen ofiary? Często się nad tym zastanawiam.

- To są tylko ostre słowa? Nigdy cię fizycznie nie zranił?

Nelly dotknęła siniaków na szyi. Zbladły od czasu, kiedy Kate dostrzegła je po raz pierwszy.

- Tylko kiedy go wkurzę. - Miała śmiech podpitego bibliotekarza, który ciągle sobie przypomina, że się ma uciszyć. - Czasem to robię - przyznała. - Wkurzam go.

- Ale właśnie powiedziałaś...

- Wiem, co powiedziałam.

- Ale to przeczy twojemu twierdzeniu...

- Twierdzeniu? Co to, przesłuchanie? Jestem aresztowana?

- Nie.

- Często sobie przeczę. A ty nie?

To prawda. Większość ludzi sobie przeczy. Kate zachowała jednak kamienną twarz i się nie poddała.

- A więc przyznajesz, że on cię bije?

- To nie to samo - wyjaśniła Nelly. - Moi dwaj pierwsi mężowie tłukli mnie do nieprzytomności. Derrick wkurza się tylko czasem. Raz na jakiś czas, w środku awantury, potrafi mnie rąbnąć. Ale tylko jak go sprowokuję. Zasadniczo mnie nie bije. On jest wyjątkowo krytyczny, a ja potrafię mu odpyskować, powiedzieć

coś paskudnego. Ale popatrz. To u nas jest wzajemne. Ja nie kulę się ze strachu w kącie, bo on skacze mi po głowie, tak jak było przedtem.

- Okej - powiedziała Kate. - I przysięgniesz, że nigdy nie zdenerwował się na Maddie?

- Mówię ci, nie dotknął jej nawet palcem.

- Trudno mi w to uwierzyć, zważywszy na historię samookaleczeń Maddie. - Kate miała z tym często do czynienia: dziecko naśladowujące zachowanie osoby używającej przemocy i uczące się ranić siebie.

- Derrick był dla niej dobry - powtórzyła Nelly, z wyczerpaniem kręcąc głową. - Łapy przy sobie, jeśli chodzi o moje dziecko.

- Ale w końcu przyznałaś, że cię uderzył, mimo że wcześniej przysięgałaś, że cię nie bił.

- Ale on Maddie kocha. Ona go nie wkurza tak jak ja.

- Jak często on cię bije?

- Nie wiem. Ze dwa razy do roku. Wierz mi, w porównaniu z tamtymi dwoma to jest miódowy miesiąc.

Kate nie potrafiła ocenić, czy Nelly kłamie, czy nie. Cały problem polega na oddzieleniu fałszu od prawdy. Rozsupłaniu wątków zagmatwanego, pełnego sprzeczności życia.

Przygotowała się do następnego pytania, tym razem podstępnego.

- Muszę cię o coś zapytać, ale nie czuj się urażona. To obowiązkowe w takich sytuacjach. Czy któryś z twoich mężów molestował seksualnie Maddie, o ile ci wiadomo? Czy to możliwe? Czasami zaprzeczamy rzeczom, które są dla nas bardzo bolesne...

- Nie! Nie mam zamiaru się wypierać - warknęła Nelly, gasząc papierosa w zamaszysty sposób. - Wiem, co się dzieje w moim domu. Czy skończyliśmy?

Kate nie ustępowała pola.

- Dotąd nie odwiedziłaś Maddie w szpitalu. Mogę zapytać, dlaczego? Jestem pewna, że ona bardzo chce cię zobaczyć.

- Nie wiem - prychnęła Nelly. - Może się boję?

- Czego?

- A jak jej się nie poprawi?

- Ale twoja obecność pomoże jej odzyskać zdrowie - argumentowała Kate.

- Nie, nie pomoże.

- Dlaczego tak mówisz?

- Martwię się... - Jej oczy wypełniły się łzami. - A jak ona jest chora przez tego mojego pecha? To znaczy, może to jest zaraźliwe? Ten mój okropny pech. Tym razem powiedziałam sobie, że będę się trzymać z daleka...

- Ale to jest... - Kate ugryzła się w język.

- Absurdalne? Zabobonne bzdury? To właśnie chciałaś powiedzieć? - Nelly zrobiła grymas, jakby coś ją zabolalo. - Po prostu się nią zajmij. Proszę. Błagam cię. Wylecz moją małą dziewczynkę. Niczego więcej nie chcę.

- Rozumiem. Ale musisz ją odwiedzić - upierała się Kate. - Jeśli nie przyjdiesz, postawisz się w złym świetle. Proszę, zrozum... Próbuję ci pomóc.

Nelly się zaczerwieniła. Stłumiła szloch.

- Okej.

- Obiecujesz?

- Tak. - W głosie Nelly zabrzmiała panika.

- Dzięki za kawę. - Kate podniosła się, po czym przystanąła. - Już ostatnia rzecz. Kto jest ojcem Maddie?

Oczy Nelly zrobiły się okrągłe.

- Czy to ważne?

- Tak, chyba tak.

Nelly potrząsnęła głową.

- Kogo to obchodzi? On i tak jutro umrze!

Kate się cofnęła. Poczowała się, jakby ją ktoś uderzył w brzuch.

- Czy masz na myśli Henry'ego Blackwooda?

Nelly przeszedł dreszcz.

- Idź już. Proszę.

Kate skinęła głową. Jej najgorsze podejrzenia się potwierdziły.

Położyła rękę na ramieniu Nelly i poczuła, jak drży.

- Proszę, przyjdź do Maddie.

- Obiecuję.

29

Kate wróciła do domu. Mieszkanie było puste. Usiadła na brzegu łóżka i zdjęła pierścioneł. Palec ją swędział, więc potarła podrażnioną skórę. Potem zamknęła oczy i usłyszała odgłos zaciskającej się pętli. Przed jej oczami pojawiła się twarz siostry.

Wzięła prysznic i zaczęła przygotowywać kolację. Gdy kroila warzywa, zadzwonił dzwonek u drzwi. Kurier z UPS trzymał w rękach duże kartonowe pudło.

Przesyłka pochodziła od detektywa Dysona. Kate przecięła taśmę klejącą i otworzyła pudło pełne kartotek policyjnych, grubych ciężkich teczek zawierających setki skserowanych stronic.

Najpierw spróbowowała je zignorować. Zjadła kolację przed telewizorem, oglądając wiadomości, lecz stwierdziła, że są zbyt przygnębiające. Włożyła naczynia do zmywarki, nastawiła kawę, zapaliła papierosa i usiadła na podłodze w salonie. Potem otworzyła pudło i rozłożyła dokumenty przed sobą, zawstydzona swą chorobliwą ciekawością.

Było dziewięć ofiar w przedziale wieku od sześciu do szesnastu lat. Na szczęście nie było tam akt Savannah, lecz Kate dodała ją do listy. Dwie dziewczynki zostały zamordowane, cztery zaginęły, dwie zostały uznane za samobójczynie, jedna zginęła przez przypadek. Ta przypadkowa śmierć wydarzyła się osiemnaście lat temu w Blunt River, kiedy to sześciolatnia Susie Gafford wpadła do nieoznakowanej studni na posesji sąsiada. Kate nie była pewna, dlaczego Palmer włączył te akta do sprawy, więc odłożyła je na bok.

Drugi wypadek miał miejsce siedemnaście lat temu, gdy

kilkunastoletnia Emera Mason postanowiła dotrzeć autostopem na koncert rockowy w Bostonie. Zaginęła bez śladu.

Szesnaście lat temu została brutalnie zamordowana Savannah Wolfe.

Czternaście lat temu zaginęła ośmioletnia Vicky Koffman, mieszkanka małej społeczności na północ od Blunt River.

Dwanaście lat temu kilkunastolatka z Wilamette popełniła samobójstwo, skacząc ze skały. Za zabójstwo aresztowano kuzyna dziewczynki, ale stawiane mu zarzuty okazały się funta kłaków warte, i w efekcie śmierć Lizbeth Howell została uznana za samobójstwo.

Dziesięć lat temu czternastoletnia Hannah Lloyd zniknęła z domu. Pół roku później w Balsams znaleziono jej szczątki. Głowę miała ogoloną. Do akt wciśnięto kilka makabrycznych zdjęć szczątków dziewczynki. Kate nie mogła oderwać od nich wzroku. Hannah Lloyd nie wyglądała już jak człowiek. Pierwszym podejrzanym był pulchny łysiejący dwudziestolatek, którego otaczała aura nikczemności. Do akt załączono artykuły prasowe mówiące o tym, że rozprawa zakończyła się uniewinnieniem, oraz o rzekomym samobójstwie byłego podejrzanego, które miało się wydarzyć kilka lat później.

Osiem lat temu zaginęła inna dziewczynka z tego okręgu. Dziewięcioletnia Maggie Witt bawiła się w parku. W pewnym momencie opuściła swoje towarzystwo i nigdy więcej już jej nie widziano.

Sześć lat temu jedenastoletnia Tabitha Davidowitz zginęła w dziwnym wypadku, który można by uznać za samobójstwo. Spadła albo skoczyła z opuszczonego budynku w starej dzielnicy przemysłowej i wylądowała na karoserii samochodu. Dziewczynka nie mogła ważyć więcej niż trzydzieści kilogramów, ale

zmiądzzyła maskę auta i miała połamane wszystkie kości. Wypadek ten miał miejsce w środku nocy w odległej dzielnicy miasta, a zwłoki Tabithy znaleziono dopiero czterdzieści osiem godzin później.

I w końcu, zaledwie rok temu, Makayla Brayden zaginęła po przyjęciu urodzinowym swej najlepszej przyjaciółki. Miała piętnaście lat. W aktach było zdjęcie ślicznej nastolatki o szczerym spojrzeniu i szerokim uśmiechu.

Kate skończyła w college'u kilka kursów z psychologii kryminalistycznej i wiedziała, że większość pedofilów wykazuje pewne predylekcje co do wieku, płci i wyglądu fizycznego. Z wyjątkiem płci, charakterystyka tych ofiar obejmowała całe spektrum - były one niskie, wysokie, szczupłe, grube, różniły się wiekiem, cerą, kolorem włosów i oczu. Jeśli jakimś dziwnym przypadkiem Palmer Dyson ma rację, utrzymując, że wszystkie dziewięć dziewcząt zabił ten sam przestępca, oznaczałoby to, że przy wyborze ofiar nie kierował się ich wyglądem.

Gdy zadzwonił telefon, odebrała go, nie spojrzawszy na wyświetlacz.

- James? - odezwała się bez tchu.

- Palmer Dyson. Przepraszam, że przeszkadzam. To chyba nie jest dobra chwila?

- Nie - odparła rozczarowana. - Dosłałam tę twoją paczkę.

- A więc co o tym myślisz?

- Na razie nic. Cztery dziewczynki zaginęły, trzy zginęły w wyniku samobójstw lub wypadków. Tylko śmierci Savannah i Hannah Lloyd wydają się trochę z sobą powiązane.

- Okej, prosiłaś o dowody. Popatrzmy na te trzy dziewczynki, których ciała znaleziono, ale których śmierć, jak stwierdzono, nie była wynikiem zabójstwa. Susie Gafford wpadła do studni

i zostało to uznane za wypadek. Spierano się, co ostatecznie spowodowało śmierć, a ja uważam, że została zabita przed wrzuceniem do studni. Co jeszcze bardziej znamienne, nie miała wszystkich włosów. Lekarz sądowy przypisał utratę włosów faktowi, że przyczepiły się do ściany studni i zostały wyrwane, gdy Susie spadała. Ja jednak uważam, że zabójca wziął sobie pasmo włosów na pamiątkę.

Kate przejrzała stos folderów i znalazła akta Susie Gafford. Oglądała zdjęcia policyjne ciała dziewczynki, czując dławienie w gardle.

- Właśnie patrzę na zdjęcia z sekcji.
- Przyjrzyj się lewej stronie, tuż pod uchem.

Kate kiwnęła głową.

- Trudno mi coś stwierdzić - powiedziała.

- Przejdźmy do następnej sprawy. Lizbeth Howell. Skoczyła ze skały, no i uznano to za samobójstwo. I znowu są dowody, że już nie żyła, kiedy jej ciało dotknęło ziemi. Podejrzenie uduszenia. Miała złamaną kość gnykową. Kiedy prowadziłem tę sprawę, matka Lizbeth wspomniała, że włosy córki były krótsze niż przed śmiercią, i nie mogła tego pojąć.

- Krótsze?

- Zostały skrócone o jakieś pięć centymetrów. Ale ponieważ nie było zdjęć dziewczynki robionych tuż przed śmiercią, tę hipotezę przypisano rozpachy matki.

- A ostatnia?

- Tabitha Davidowitz. Skoczyła lub spadła z dachu, podejrzenie samobójstwa. Ale także w tym przypadku pojawiły się poszlaki wskazujące na to, że przed wypadkiem została uduszona, niestety bardzo trudne do udowodnienia. Sugerowano również, że w którymś momencie, zanim weszła na ten dach, obcięła sobie

włosy. Po prostu cięła całe pasma, choć nigdzie nie znaleźliśmy nożyczek. Była dzieckiem z problemami, więc ponownie... lekarz sądowy miał swoje zdanie, a ja swoje. Można by długo wyliczać przykłady świadczące o niekompetencji w biurze lekarza sądowego. Od dziesięcioleci. Ale lekarz sądowy miał poparcie szefa, no to zgadnij, czyja opinia przeważała?

- Jak on się nazywa? - zapytała Kate.

- Quade Pickler.

A więc człowiek, który prowadził sprawę Savannah, nadal jest na swoim stanowisku.

- I właśnie Pickler nie zgodził się z twoimi ustaleniami?

- On lubi, żeby wszystko było uporządkowane, a moja hipoteza jest trochę zawiła. Quade to zwierzę polityczne. Ja nie bardzo.

- Czy ktoś z wydziału policyjnego się z tobą zgadza?

- Mam swoich sojuszników, ale jak mówiłem, jestem już na emeryturze, a z powodu kryzysu opioidowego i wzrastającej fali przestępczości chłopaki mają ręce pełne roboty. Nikt nie ma czasu ani chęci rozgrzebywać starych spraw.

- To jest ciekawe - rzekła Kate wymijająco - ale mimo wszystko wydaje się trochę naciągane.

- Ja widzę pewien schemat. On odcina im dopływ powietrza, obcina także włosy.

Kate poczuła przenikliwy chłód.

- Naprawdę nie wiem - odparła. - Potrzebuję więcej czasu, żeby to przetrwać.

- No cóż, może zastanowisz się nad jeszcze jedną rzeczą. Czy dostałaś już mejl od Blackwooda? Wysłał go przez prawnika. Do mnie też.

Czuła, jak ciarki przebiegają jej po krzyżu, gdy sięgała po komputer, żeby sprawdzić pocztę.

- Nie idę tam, Palmer. Wyrzuciłam już zaproszenie z Wydziału Penitencjarnego.

- To nie dotyczy samej egzekucji, tylko wcześniejszej wizyty. Ma to być coś w rodzaju przyjęcia pożegnane.

- Do czego jestem mu tam potrzebna?

- Chciałby z tobą porozmawiać. Ostatnie życzenie.

Przez okna salonu Kate popatrzyła na nocne niebo. Za światłami miasta majaczyła gęsta zimna ciemność.

- Wybierasz się? - zapytała.

- Tak.

- Jak dobrze go znasz?

- Znam go od lat, od czasu śmierci twojej siostry, oczywiście. On chce z tobą porozmawiać, Kate. Chyba chce się z tym uporać.

Wstrząsnęła nią ta myśl.

- Przyjdą przyjaciele i krewni Blackwooda, a także parę innych osób, które były związane ze sprawą.

- A Nelly?

- Nie - odrzekł Palmer. - Ona nie chce mieć z nim do czynienia.

- Mądra kobieta.

- No cóż, rób, co chcesz - powiedział. - Nikt cię do niczego nie zmusza.

30

Kate zadzwoniła do Jamesa, by przedyskutować z nim za i przeciw. W końcu zdecydowała, że po tych wszystkich latach spotkanie z Blackwoodem mogłoby być uzdrawiające. Początkowo James próbował wybić jej to z głowy, ostatecznie jednak się z nią zgodził.

- Jak się czuje mama? - zapytała Kate.

- Powstały komplikacje. Musi mieć drugą operację.

- O Boże, to przykre.

- Jest w dobrych rękach. Ma najlepszego ortopedę w Nowej Anglii. Ale posiedzę z nią, dobrze? A jeśli chodzi o ciebie, zrobisz, co uznasz za stosowne. Ale pamiętaj, zawsze możesz zmienić zdanie.

Następnego dnia około szóstej wieczorem Kate przybyła do więzienia o zastrzonym rygorze. Ogromny kompleks betonowych budynków, usytuowany ponad sto kilometrów na północ od Blunt River, otaczała forteca z wież strażniczych i drutu kolczastego. Kate znalazła miejsce na rozległym parkingu i mruknęła do siebie:

- Chyba zwariowałam.

Wnętrze robiło równie przytłaczające wrażenie. Kate przeszła przez ochronę, a po drugiej stronie powitał ją uzbrojony strażnik mający zaprowadzić ją do skrzydła, w którym przebywali najgorsi z najgorszych. Członkowie gangów, zabójcy, szczególnie niebezpieczni przestępcy. Im głębiej znajdowała się w czeluściach więzienia, tym bardziej żałowała swej decyzji. A gdy dotarła do oddziału skazanych na śmierć, ponurego łuku zawilgoconych cel strzeżonych przez uzbrojonych strażników w kuloodpornych

boksach, zmiękły jej kolana. Powietrze było tu przesycone lękiem i napięciem. Strażnik połączył się z dyspozytornią i poprosił o otwarcie elektronicznie blokowanych drzwi. Dziesięć kroków dalej stalowe drzwi zamknęły się za nimi z donośnym trzaskiem.

Pokój dla gości o wymiarach dziewięć na dwanaście metrów wyglądał jak prowizoryczna zagroda dla owiec. Wszystko zostało tu pomalowane na biało, nawet zakratowane drzwi, które zamykały się za gościem idącym na spotkanie z więźniem umieszczonym w oddzielnym segmencie, w klatce z pleksiglasu wbudowanej w betonową ścianę, przypominającej klatkę dla zwierząt w zoo. Za grubą kuloodporną ścianą było kolejne pomieszczenie, wielkości dwa metry na dwa, gdzie znajdowały się krzesło i telefon. Po drugiej stronie ściany stało kilka plastikowych krzeseł dla gości, na ścianie wisiał telefon.

W sali odwiedzin tłoczyło się kilkadziesiąt osób. Przy stojącym w kącie stole z jedzeniem ustawiała się kolejka. Kate była zszokowana tym, że w takim momencie w ogóle można myśleć o jedzeniu.

- Kate? - Z tłumu wyłonił się Palmer. - Cieszę się, że jesteś.

Powitała go z ulgą.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Denerwuję się jak diabli. Omal nie stchórzyłam.

- Nie ma się czym przejmować. On za chwilę wyjdzie.

- O co chodzi z tym jedzeniem? - zapytała.

- Jak już mówiłem, jest to spotkanie pożegnalne. Większość tych ludzi przyszła się z nim pożegnać. Mogę ci coś przynieść?

- Jakiś alkohol?

- Przykro mi. - Uśmiechnął się przelotnie.

- Wobec tego nic, dziękuję. - Żołądek miała ściśnięty.

- Ci dwaj tam to jego adwokaci - wyjaśnił Palmer. - Ta dama

o niebieskich włosach jest jego przewodniczką duchową. Ci faceci są z Wydziału Penitencjarnego i uważają Blackwooda za przyjaciela. Tamta trójka to jego kuzyni. A ta grupa z tyłu jest z ruchu przeciwników kary śmierci, zapomniałem którego. Wykorzystują go do celów politycznych...

- Tego faceta sobie przypominam - przerwała mu, wskazując mężczyznę po sześćdziesiątce o przenikliwych niebieskich oczach. - Czy to nie lekarz sądowy?

- Quade Pickler - odparł cicho Palmer. - Znasz go?

- Widziałam go w kostnicy, kiedy mój ojciec poszedł zidentyfikować Savannah.

Quade zauważył ich i kiwnął głową, Palmer mu się odklonił. Wśród tłumu nastąpiło poruszenie.

- Aha. To on - powiedział Palmer, patrząc na obraz za plecami Kate.

Odwróciła się. Uzbrojony strażnik prowadził Blackwooda do zamkniętej klatki z pleksiglasu. Patrzyła na niego zszokowana - nie przypominał już nieprzyjemnego sąsiada o zmartwionych oczach i wojskowej fryzurze, który nawiedzał ją w snach. Ten liczący pięćdziesiąt pięć lat mężczyzna był starszy, szczuplejszy, twardszy. Miał sięgające kołnierzyka siwe włosy i pozbawioną wyrazu twarz. Jego przedramiona i szyję pokrywały więzienne tatuaże. Ubrany był w pomarańczowy kombinezon, ale jego ręce nie zostały skute kajdankami. W jednej trzymał puszkę diet coke, w drugiej zapalonego papierosa. Gdy usiadł i uśmiechnął się do swych gości, w jego oczach nie dostrzegła strachu. Pomachał ręką Palmerowi, ale kiedy dostrzegł Kate, odwrócił wzrok.

Trzej kuzyni Blackwooda podeszli do niego jako pierwsi. Wybuchali serdecznym śmiechem i pięściami stukali w kuloodporne szkło. Po nich nadeszła kolej na Palmera. Dziesięć

minut później Palmer wstał i dał Kate znak, by się zbliżyła.

Czuła się jak cheerleaderka. Kiedy przechodziła przez dużą, rozbrzmiewającą echem salę, wszystkie oczy były skierowane na nią. Gdy zajmowała miejsce na krześle, nadal ogrzane ciepłem ciała Palmera, starała się nie potknąć.

- Będę nieopodal - rzekł półgłosem detektyw - gdybyś mnie potrzebowała.

Skinęła głową i podniosła słuchawkę.

Blackwood odstawił puszkę z colą i przyłożył słuchawkę do ucha.

- Witam - powiedział.

Odezwały się w niej dawne lęki. Mimo bariery ochronnej nie czuła się bezpieczna.

- Doceniam to, że pani dzisiaj przyszła, pani doktor - odezwał się powolnym głosem, jakby był przyzwyczajony do tego, że ludzie go nie rozumieją. - Chciałem to pani powiedzieć osobiście. Sprawa wygląda tak. - Przełknął nerwowo ślinę. - Nie zabiłem pani siostry. Nie mam pojęcia, kto to zrobił. Ale przysięgam na Boga, jestem niewinny. - Zaciągnął się głęboko papierosem, odchylił na krześle i dodał: - Gdyby chciała mnie pani o coś zapytać, proszę bardzo.

Przewyciężyła w sobie odrazę i powiedziała:

- Jestem tutaj, bo detektyw Dyson mnie namówił. On wierzy w pana niewinność, ale mimo to mam kilka pytań.

Z szacunkiem kiwnął głową.

- Słucham.

- Jeśli nie zabił pan mojej siostry, to jakim cudem znalazła się na pana podwórku?

- Sam zadawałem sobie to pytanie. Do diabła, nie mam pojęcia. Ktoś mnie musiał wrobić. Bóg wie dlaczego. To nie ma sensu.

- Ale kto mógłby to zrobić?

Spojrzał na nią beznamiętnie.

- Ten sam człowiek, który załatwił pozostałe dziewczyny.

A więc Palmer musiał podzielić się swoją hipotezą z Blackwoodem. Najwyraźniej był po stronie więźnia.

- A dlaczego Nelly nie ujawniła prawdy wcześniej? - zapytała. - Dlaczego podjęcie tej decyzji zajęło jej całe szesnaście lat?

- Myślę, że odezwało się w niej sumienie.

- A co z sumieniem pana?

Jego oczy zabłyśły. Przez chwilę czuła na sobie jego intensywną wściekłość, co potwierdzało jej najgorsze obawy: to jest gwałtowny i bardzo niebezpieczny człowiek. Ale stłumił jakoś wzburzenie i spokojnym głosem powiedział:

- Moje sumienie jest czyste, jeśli chodzi o pani siostrę.

W tej chwili Kate coś zrozumiała. Nie ma znaczenia, czy mu wierzy, czy nie, ponieważ w jej psychice dokonał spustoszeń. Dla niej Henry Blackwood zawsze pozostanie uosobieniem zła, bez względu na to, jak wygląda prawda.

Pochylił się w jej kierunku.

- Proszę posłuchać, pani doktor. To, co zrobiłem Penny, było złe, i zostałem za to ukarany. Ale zamknęli mnie za morderstwo, którego nie popełniłem, a teraz chcą mnie za to stracić. Za cztery godziny nie będę żył.

Otarł pot z twarzy i z trudem przełknął ślinę.

- Moi adwokaci przedstawili gubernatorowi nowe dowody, łącznie z oświadczeniem Penny, i miałem nadzieję... no, bardzo by mi pomogło, gdyby poprosiła pani gubernatora o nowy proces. Byłbym za to bardzo wdzięczny, proszę pani. Przysięgam - dodał suchym jak wiór głosem - nie zrobiłem tych okropnych rzeczy pani siostrze.

Kate odebrała te słowa jako wyćwiczone przemówienie. Spojrzała na niego. Nie było w niej nic oprócz pragnienia ucieczki.

- Jeśli dzisiaj umrę... jeśli gubernator nie powstrzyma egzekucji... czy zrobi mi pani uprzejmość? Czy powie pani Penny, że ją kocham? I Maddie też?

- Maddie? - powtórzyła Kate ledwie słyszalnym głosem.

Przytaknął.

- Naprawdę mam nadzieję, że pani ją wyleczy.

- Pan wie, że ją leczę?

- Od detektywa. Strasznie mi na niej zależy. - Po raz pierwszy dostrzegła w nim jakąś ludzką cechę. - To wspaniałe dziecko. Bystra, jak jej mama.

Kate nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Ponownie pochylił się w jej stronę.

- Tamtego wieczoru, kiedy to się stało, Penny i ja oglądaliśmy telewizję... przysięgam na Boga. Byłem z Penny przez cały wieczór. Pomagałem jej z pracą domową. Zamówiliśmy pizzę. Przez cały czas byliśmy razem. Policja ją zmusiła, żeby na rozprawie skłamała. Ale teraz Penny mówi prawdę.

Mało brakowało, a Kate by mu uwierzyła.

- Pamiętam, jak pani w drodze do szkoły mijiała mój dom, a pani siostra szła z tyłu i gadała jak najęta. Ćwierkała jak ptaszek. Zrywała kwiaty na moim podwórku. Dlaczego miałbym skrzywdzić kogoś takiego jak ona?

Kate zmieniła układ palców na słuchawce.

- Przekażę Nelly pana wiadomość. Ale pozostawię jej decyzji, czy zechce się nią podzielić z Maddie.

- Okej. Dzięki. - Zaciągnął się papierosem, a ona pozazdrościła mu tych paru sztachów. - W każdym razie proszę posłuchać.

Jestem właściwie pogodzony z losem. Jeśli moi adwokaci nie załatwią jakimś cudem apelacji... będzie po mnie.

Kate pokiwała głową. Miała już odwiesić słuchawkę, ale się zawahała.

- Okej, dobrze - powiedziała zachrypniętym głosem. - Zadzwoń do gubernatora i mu powiem, że nie jestem przekonana o pana winie. Przynajmniej należy się panu nowa rozprawa.

Opuścił rękę z papierosem.

- Dziękuję.

- Proszę mi nie dziękować.

- Nie, nie - odrzekł z emfazą. - Niech Bóg panią błogosławi, doktor Wolfe. Ja to doceniam. To dla mnie bardzo wiele znaczy.

Odłożyła słuchawkę i niepewnie stanęła na nogach, zastanawiając się, czy nie upadnie. W głowie jej dudniło, jakby znalazła się pod wodą. I tonęła.

31

Spędziła następną godzinę w spokojnym kącie sali dla gości w części dla skazanych na śmierć, próbując z telefonu komórkowego dodzwonić się do gubernatora. W końcu jeden z jego asystentów zgodził się z nią porozmawiać i zanotował jej oświadczenie. Obiecał, że o wszystkim zaraz zawiadomi gubernatora, zapewniając, że jej telefon jest bardzo ważny.

- No tak, zrobiliśmy wszystko, co się dało - stwierdził Palmer.

Podszedł do nich lekarz sądowy Quade Pickler. Przedstawił się Kate, a potem z Palmerem odbył krótką rozmowę. Gdy Quade odwrócił się w jej stronę, Kate poczuła ten sam dreszcz, jakiego doznała szesnaście lat temu w kostnicy.

- Właśnie się dowiedziałem, że dzwoniła pani do gubernatora? - powiedział z lekko kpiącym uśmiechem.

Kiwnęła głową.

- Blackwood nieźle gra, ale byłem świadkiem, jak przegrywał apelację za apelacją, mimo że próbował manipulować ludźmi, żeby mu uwierzyli. Przykro mi, że dała się pani nabrać, i szczerze wątpię, czy gubernator zmieni zdanie. - Odwrócił się do Palmera i dodał: - A tak przy okazji, to na schodach parlamentu stanowego widziałem dziś grupę twoich koleżków protestujących przeciwko karze śmierci. Przypadkowy tłumek różnych wariatów i fanatyków.

- To nie są moi koledzy - odparł Palmer.

- Zabawne. Bo odnoszę wrażenie, że pracujesz dla tej samej strony.

- Dlaczego? Bo nie lubię patrzeć, jak niewinnych ludzi pakuje się do więzienia?

- Oj, nie gadaj. Nie sądzisz, Palmer, że pora sobie odpuścić? Zająć się golfem czy czymś takim?

- Ja tylko słucham swojego sumienia.

Quade potrząsnął głową.

- A ja patrzę na dowody. Co roku w tym cholernym kraju giną tysiące dzieci. Od dwudziestu lat w stanie New Hampshire mamy sporą liczbę spraw dotyczących zaginionych. Tak to właśnie wygląda. Szczególnie jeśli chodzi o nastolatków i uciekinierów, dzieciaków biorących narkotyki albo z problemami psychicznymi.

- Odwołanie zeznania Nelly to chyba dość dobry argument przemawiający za wznowieniem procesu, nie sądzisz?

- Coś ci powiem - odrzekł Quade. - Moja matka bardzo się kiedyś bała publicznych toalet, wolała zmoczyć majtki niż tam wejść. Któregoś dnia, a byliśmy wtedy w galerii handlowej, mamę tak przypiliło, że poddała się i poszła do łazienki. Dwie sekundy później wybiegła z niej z krzykiem, że w damskiej toalecie jest mężczyzna i się masturbuje. Kierownictwo sklepu wezwało policję i co się okazało? Nikogo tam nie było. To, co zobaczyła moja mama, nie było rzeczywiste. Jej fobia pokonała rozum. Ludzie kłamią cały czas. To tylko życie. Niechętnie to mówię, przyjacielu, ale jesteś na emeryturze. Pewnie powinieneś z tym skończyć. Szef mi mówił, że czasami o trzeciej w nocy do niego dzwonisz.

Zaśmiał się i zwrócił do Kate.

- Myślę, że przygotowali już sądowy zakaz zbliżania się do niego. No cóż, nie będę czekał na główne wydarzenie. Wpadłem tylko się upewnić, że sprawiedliwości stało się zadość. - Kiwnął im głową i wyszedł.

- No, no. Przyjemniaczek - stwierdziła Kate sarkastycznie.

- Taa - mruknął Palmer. - Jak go widzę, dostaję wysypki.

Tłum się przerzedzał. Część gości już opuściła salę. Czy ona też

powinna wyjść? Wystąpił na nią zimny pot. Nie mogła uwierzyć, że ma zamiar to powiedzieć:

- Palmer, czy już za późno, żeby zostać świadkiem?

Popatrzył na nią uważnie.

- Wypełniłaś swoje zadanie, Kate. Możesz iść.

- A jeśli gubernator będzie chciał o coś zapytać? Na wszelki wypadek powinnam zostać.

- Szansa, że wstrzyma egzekucję, jest mniejsza niż pięćdziesiąt procent.

- Nie obchodzi mnie to - odparła odważnie. - Chcę zostać.

- Jesteś pewna?

Skinęła głową.

- Okej, chodźmy do naczelnika.

Wszystko potoczyło się szybko. Kate dostała specjalne zezwolenie na to, by zostać świadkiem, w końcu była jedynym przedstawicielem ofiary. O dwudziestej piętnaście więzień został odprowadzony na oddział oczekujących na egzekucję, gdzie, według Palmera, otrzyma zgodę, by przejść od celi do celi i pożegnać się z kolegami więźniami. Potem naczelnik i kapelan zaczęły przygotowania do egzekucji.

O dwudziestej czterdzieści pięć zebrani w sali dla gości zostali przeszukani i przewiezieni do małego ceglanego budynku odległego o sto metrów od głównego więzienia. W grupie dwudziestu czterech świadków byli krewni skazanego, przedstawiciele władz, mediów, adwokaci Blackwooda, przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości i oskarżyciel publiczny.

Weszli do małego budynku, gdzie minęli kilka punktów kontroli oraz wykrywaczy metalu, po czym ruszyli korytarzem wiodącym do sali dla obserwatorów. Połowa grupy została skierowana do głównego pomieszczenia, a drugą połowę zaprowadzono do sali

rezerwowej.

Kate i Palmer zostali posadzeni obok siebie w sali głównej. Były tam dwa rzędy tapicerowanych krzeseł, jak w małym multipleksie, lecz zamiast ekranu zamontowano duże okno do komory śmierci. Siedzieli w pierwszym rzędzie. Na zegarze cyfrowym była godzina 9.15.

- Pokój rezerwowy jest dla mediów i funkcjonariuszy więziennych - wyjaśnił Palmer. - Oni będą oglądać egzekucję na ekranie telewizji przemysłowej, a my możemy ją oglądać z bliska i na własne oczy.

Komora śmierci była dobrze oświetloną betonową celą, w której znajdowały się łóżko na kółkach i wyposażenie medyczne. Komora miała dwa wejścia - niebieskie drzwi z lewej strony i czerwone z prawej. Czerwone drzwi były zamknięte, ale z niebieskich nieustannie korzystał personel medyczny, który wchodził i wychodził, sprawdzając aparaturę i odhaczając kolejne punkty na podkładkach do pisania.

- Co jest za czerwonymi drzwiami? - zapytała Kate.

- Strażnik z telefonem - odrzekł Palmer. - Jeśli gubernator zadzwoni, strażnik zawiadomi o tym naczelnika i egzekucja zostanie przerwana.

O dwudziestej pierwszej trzydzięci do komory śmierci wszedł mężczyzna w stroju chirurga i zasunął kurtyнки, żeby nic nie było widać.

- W tej chwili wprowadzają więźnia do komory i kładą go na łóżku - ciągnął Palmer. - Kiedy wszystko będzie gotowe, odsuną zasłony ponownie.

I rzeczywiście piętnaście minut później zasłony zostały rozsunięte. Napięcie w sali obserwacyjnej stało się wyczuwalne. Blackwood leżał na łóżku, skrępowany skórzanymi pasami

w nadgarstkach, na ramionach, brzuchu i w kostkach. Był podłączony do monitora serca i dwóch kroplówek.

Leżał bardzo spokojnie, ze wzrokiem wbitym w sufit. Kate zastanawiała się, o czym myślał. O ucieczce? O zawieszeniu wyroku w ostatniej chwili? O niebie? Piekło? Był złym człowiekiem, przez wiele lat wykorzystywał seksualnie swoją bratanicę. Był łajdakiem. Despotą i pedofilem. A jednak nie potrafiła mu nie współczuć, tak jak współczułaby każdej ludzkiej istocie, która miałaby wyzionąć ducha na jej oczach. Nie chciała patrzeć, jak Blackwood umiera. Miała nadzieję, że telefon zadzwoni. Powinna się odbyć jeszcze co najmniej jedna rozprawa. I może Palmer ma rację. Może za chwilę zostanie świadkiem rażącej niesprawiedliwości.

Ekipa medyczna weszła do komory i szybko oraz skutecznie wykonywała swe zadania. Jej członkowie posuwali się lotem ślizgowym to w przód, to w tył, jakby zgodnie z opracowaną choreografią, Blackwood zaś sprawiał wrażenie rozbawionego tym całym zamieszaniem. Ktoś z personelu położył prześcieradło na dolnej części jego ciała, podczas gdy inny asystent przez stetoskop osłuchiwał jego serce, a trzeci sprawdzał źrenice. Rozległo się pikanie aparatu EKG. Potem cała trójka opuściła salkę.

Wszystko to sprawiało wrażenie, jakby działo się we śnie. Kate słyszała każde odkaszlnięcie i niespokojny szept pozostałych świadków. Palmer zerkał na zegarek - długa wskazówka wędrowała wokół tarczy, bezlitośnie odliczając czas. Osiem minut. Jeszcze osiem minut, zanim państwo odbierze temu człowiekowi życie.

Chyba że za czerwonymi drzwiami zadzwoni telefon.

W powietrzu wyczuło się dziwne podniecenie, gdy do komory

weszli naczelnik i kapelan. Kapelan szeptał coś do ucha więźnia, podczas gdy naczelnik otworzył czerwone drzwi i zamienił kilka słów ze strażnikiem.

Kate zdrętwiała.

Ostatnia szansa.

Naczelnik zamknął drzwi i potrząsnął głową. Telefon nie zadzwonił.

Palmer pochylił się w jej stronę i wyszeptał:

- Widzisz te dwie kroplówki? Widzisz, jak rurki idą od jego rąk do otworu w ścianie? To dlatego, że za komorą jest pokoik, w którym siedzi ekipa przeprowadzająca egzekucję. Pilnują kroplówki i odmierzają dawki. To są ci, co go zabiją, dlatego pozostają anonimowi.

Kate zadała sobie pytanie, czy członkowie ekipy egzekucyjnej są ubrani w fartuchy laboratoryjne, garnitury biznesowe czy mundury strażników. Ilu ich tam jest? Czy są lekarzami? Czy dostają za to wynagrodzenie? Wysokie czy niskie? Ile osób złożyło podanie o tę pracę?

Oczami wyobraźni ujrzała samotnego strażnika siedzącego za czerwonymi drzwiami, czekającego na dzwonek telefonu. Czy od czasu do czasu podnosił słuchawkę i słuchał sygnału, by sprawdzić, czy telefon działa? Czy jest znudzony? Niespokojny? Czy zawiadomił żonę, że dziś będzie pracował do późna? Czy wyjaśnił jej dlaczego?

- Co się stanie, jeśli gubernator nie zadzwoni? - zapytała Palmera.

- Wtedy postąpią zgodnie z planem. Na znak dany przez naczelnika ekipa egzekucyjna zacznie wstrzykiwać substancje. Najpierw środek znieczulający, który zacznie działać za mniej więcej pół minuty. Więzień może trochę walczyć, ale szybko

zamknie oczy i zapadnie w głęboki sen. Potem przez kroplówki popłynie sól fizjologiczna. W końcu środek zwiotczający mięśnie zatrzyma oddech. Działa to poprzez wywołanie paraliżu przepony i płuc. To potrwa około trzech minut. On nie zareaguje. W końcu zostanie wywołane zatrzymanie akcji serca. Cały ten proces powinien się skończyć bardzo szybko. Od początku do końca może minąć od pięciu do ośmiu minut.

Od pięciu do ośmiu minut.

To jakby cała wieczność.

Henry Blackwood podniósł głowę i spojrzał na grupę zebraną w pomieszczeniu obserwacyjnym. Kiwnął głową swym krewnym, którzy pomachali mu rękami.

- Modlimy się za ciebie, brachu! Niech Bóg cię błogosławi!

Blackwood uśmiechnął się do swych adwokatów, dwóch mężczyzn w średnim wieku, którzy w odpowiedzi poważnie skinęli głową. Potem wypowiedział coś bezgłośnie w stronę swej przewodniczki duchowej, pani o niebieskich włosach, która trzymała w górze optymistycznie skrzyżowane palce. Na koniec uśmiechnął się do Palmera i Kate. Palmer kiwnął głową, Kate się nie poruszyła. Z trudem oddychała.

O dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt sześć naczelnik ogłosił, że egzekucja odbędzie się zgodnie z planem.

- Czy na telefon od gubernatora zostało jeszcze trochę czasu? - zapytała Palmera.

- Do chwili, kiedy zostanie wstrzyknięty środek zwiotczający mięśnie - odparł. - Potem będzie już za późno.

Pozostały cztery minuty.

Trzy.

Dwie.

Jedna.

Gubernator nie zadzwonił. Nie będzie odroczenia wyroku w ostatniej chwili.

Dziesiąta wieczór.

Blackwood nie ma już szansy.

Naczelnik zapytał więźnia, czy ma ostatnie życzenie.

Blackwood kiwnął głową i zwrócił się do zebranych:

- Skrzywdziłem w życiu mnóstwo ludzi i bardzo mi z tego powodu przykro. Przepraszam za ból i smutek, jakich przysporzyłem mojej matce, kiedy żyła. Niech Bóg ją błogosławi, a także moją bratanicę Penny. Oraz resztę mojej rodziny, a także wszystkich przyjaciół, którzy mnie nie opuścili. Dzięki, chłopcy. Mam nadzieję, że któregoś dnia będziecie potrafili mi przebaczyć.

- Z trudem przełknął ślinę. - Ale nie zabiłem Savannah Wolfe. To nie moja sprawa. Mam jednak nadzieję, i o to się modlę, że Bóg wybaczy mi grzechy, że dziś mnie obejmie i przyjmie do swojego królestwa. - Głowa Blackwooda opadła na poduszkę. Spojrzał na naczelnika i powiedział: - To już chyba wszystko.

Naczelnik skinął głową.

- Dziękuję, Henry.

Po raz pierwszy, odkąd wprowadzono go do komory śmierci, więzień się odprężył. Sprawiał wrażenie zadowolonego, że to koniec.

Kapelan wyszeptał kilka ostatnich słów pocieszenia i uczynił znak krzyża. Akcję przejął personel medyczny, sprawdzając parametry i poprawiając aparaturę, po czym naczelnik dał znak katom siedzącym za komorą, i wstrzykiwanie śmiertelnych dawek się zaczęło.

Kate patrzyła na kroplówki, mając nadzieję wbrew wszystkiemu, że gubernator zadzwoni - i odbędzie się przynajmniej jedna rozprawa po zmianie zeznań Nelly. Sekundy

mijały.

Blackwood zaczął mrugać, gdy środek znieczulający wpływał w jego żyły, walcząc przeciwko temu, co nieuchronne. Jego wyćwiczone w więzieniu mięśnie napięły się w agonii. Potem opadł na łóżko i leżał już nieruchomo.

Te pięć do ośmiu minut wydawały się Kate, której szybko biło serce, jak godzina. Cisza była przytłaczająca, napierała na błony bębenkowe uszu niczym kosmiczna próżnia. Było to dziwaczne, przypominało jej niedobry performance, gdzie każdy robił swoje i recytował wyćwiczone teksty, ale samo przedstawienie było pozbawione życia. Nikt nie zaprotestował, nikt nie krzyczał, nikt nie zapłakał. Panowała cisza – wszyscy siedzieli, patrząc na agonię człowieka leżącego za szklaną taflą.

W końcu na monitorze EKG ukazała się linia prosta, a ekipa lekarska stwierdziła śmierć Blackwooda o 22.05.

Trwało to pięć minut.

Asystent medyczny zasunął kurtynę. Przedstawienie się skończyło.

Kate siedziała zszokowana. Palmer dotknął jej ręki, po czym oboje wstali i powłócząc nogami, opuścili salę. Kate bezmyślnie szła za tłumem do sali konferencyjnej, gdzie podpisali dokument potwierdzający fakt, że byli świadkami egzekucji. Potem strażnicy więzienni wyprowadzili ich na zewnątrz, gdzie czekali na przyjazd więziennego mikrobusu.

- Co teraz? - zapytała Palmera. Była w stanie głębokiego szoku.

- Urzędnicy więzienni zorganizowali konferencję prasową, jeśli cię to interesuje.

- Nie, dziękuję.

- Ja też. Dosyć tej rządowej biurokracji jak na jeden wieczór. Wracam do domu. - Spojrzał na nią z z troskaniem. - Nic ci nie

jest? Jak się czujesz?

- Nie wiem.

- A ja jestem z ciebie dumny. Poradziłaś sobie z tym jak zawodowa.

Wsiadli do mikrobusu, który przewiózł ich przez bramy więzienia, wyminął hałaśliwy tłum przeciwników kary śmierci i wysadził pośrodku olbrzymiego parkingu. Palmer odprowadził ją do samochodu. Stali przez chwilę pod rozgwieżdżonym niebem, nie mogąc znaleźć słów.

- Zadzwoń do mnie jutro - odezwał się w końcu Palmer. - Porozmawiamy o tym.

- Okej. - Kate trzymała kluczyki w ręce, samochód stał tuż obok, nie mogła jednak pozbyć się uczucia, że się zagubiła.

- Jedź ostrożnie. - Uniósł kapelusz i odwrócił się.

Wsiadła do samochodu i zapaliła silnik. Włączyła ogrzewanie i patrzyła, jak Palmer znajduje swojego pikapa i odjeżdża. Wszyscy opuszczali parking tak szybko jak on.

Włączyła telefon i sprawdziła wiadomości. Znalazła dwie od Jamesa. Odetchnęła głęboko kilka razy i do niego zadzwoniła.

- Halo?

- James, to ja.

- Cześć, skarbie. - Najwyraźniej był szczęśliwy, słysząc jej głos.

- Jak ci minął wieczór?

- Po pierwsze, jak Vanessa? Radzi sobie jakoś?

- Jest trochę przymulona, ale operacja poszła dobrze.

- Cudownie. Co za ulga. Ucałuj ją ode mnie, dobrze?

James zakrył mikrofon, przekazując matce wiadomość, a potem zapytał:

- Co się działo, Kate? Rozmawiałaś z nim? Co powiedział?

- Przysięga, że tego nie zrobił. Próbował przekonać mnie

o swojej niewinności. I muszę przyznać... James, widziałam egzekucję.

- Co? Dlaczego? - W jego głosie brzmiał niepokój.

- Zadzwoiłam do biura gubernatora i poprosiłam o wstrzymanie egzekucji. Chciałam, żeby przynajmniej wzięli pod uwagę zmianę zeznania Nelly.

- Jezu, gdzie ty jesteś?

- W więzieniu. Zaraz ruszam do domu.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś. Dobrze się czujesz?

- Tak mi się wydaje.

- Zadzwoń, kiedy wrócisz do Bostonu. I później, jeśli nie będziesz mogła zasnąć. Możesz do mnie dzwonić o każdej porze, dziecinko. Jestem tutaj cały czas. Wiesz o tym, prawda?

CZEŚĆ DRUGA

Gdy wracała do domu, wiatr na autostradzie miotał tumanami śniegu. Tego wieczoru nie włączyła radia ani muzyki – w samochodzie panowała cisza. Po powrocie do domu wzięła gorący prysznic i zjadła lekką kolację. Potem nalała sobie kieliszek wina, skuliła się na kanapie i otworzyła pudło z dokumentami policyjnymi. Następne dwie godziny spędziła na przeglądaniu raportów pierwszego oficera, zaświadczeń o złożeniu dowodów, przesłuchań podejrzanych oraz oświadczeń świadków.

Napełniła kolejny kieliszek winem i zaczęła przeglądać akta Hannah Lloyd. Były tam dziesiątki fotografii, spośród których wyróżniały się dwie. Jedną stanowiło zdjęcie drobnej czternastoletniej dziewczynki do kroniki szkolnej. Miała szeroką niewinną twarz, długie rude włosy i nieśmiały uśmiech. Druga fotografia ukazywała nieregularne kształty wystające z poszycia leśnego. Wierzchnia warstwa ziemi została usunięta, ukazując częściowo zmumifikowane szczątki: fragment klatki piersiowej i dwa szkielety palców ściskających kawałek zbutwiałego materiału. Z ziemi wystawała także ogolona czaszka Hannah Lloyd. Czyżby zabójca kolekcjonował pamiątki? Był to akt agresji czy rodzaj kultu?

Oparła się o poduszkę i zamknęła oczy. Wróciła myślami do balsamicznego powietrza letniej nocy, kiedy to zostawiła siostrę w chacie i poszła z atrakcyjnym chłopakiem na polanę. Ulokowali się na kawałku trawy w zagajniku wiecznie zielonych drzew i całowali się pod sierpniowym światłem księżyca. Zalana falą hormonów, tego dnia wieczorem nie zauważyła niczego

nadzwyczajnego - nie słyszała żadnych samochodów jadących leśną drogą, żadnych wrzasków ani krzyków. Słyszała jedynie ciężki oddech chłopaka i stłumione bicie swego lubieżnego serca.

Tego jednak wieczoru rozległ się w lesie dziwny odgłos, niski, tuż nad ziemią. Było to pięć złowieszczych pohukiwań. Hu-hu, huuuu, hu-hu.

- To duch - zażartował chłopak, ale Kate rozpoznała dźwięki wydawane przez dużego puchacza. Były to największe ptaki w New Hampshire, rude o białych jak śnieg gardłach i czubatych, porośniętych piórami różkach. Puchacze miały przenikliwe żółte oczy, a ich pohukiwania zawsze były pięciokrotne. Hu-hu, huuuu, hu-hu.

Chłopak wsunął rękę pod jej majtki i gorączkowym ruchem rozpiął jej biustonosz. Jak przez mgłę pamiętała dochodzące z okolicy chaty błyski światła, ale pomyślała, że to jej siostra ogląda otoczenie, świecąc wokół latarką, tak jak zwykle. Savannah była Ciekawskim George'em wśród dziewczynek.

Kate nie była kompletnie nieodpowiedzialna - w pewnym momencie usiłowała wstać i pójść sprawdzić, co się dzieje z siostrą, ale chłopak pociągnął ją na ziemię i zaczął całować po całym ciele, wprawiając w stan uniesienia. W końcu leżała na kłującej ziemi, zauroczona tym, co robił z jej ciałem.

- Poczekaj - szepnęła.

- Co?

- Czy to słyszysz?

Hu-hu, huuuu, hu-hu.

- Pocałuj mnie - zażądał.

Spełniła jego prośbę. Zrobiła wszystko, czego żądał. Tego wieczoru straciła dziewictwo. Tego wieczoru straciła wszystko.

Westchnęła z uczuciem porażki i włożyła akta z powrotem do

pułta. Nie miała Palmerowi niczego nowego do powiedzenia. Jej relacja została zapisana w raporcie policyjnym. Opowiedziała wszystko detektywowi Dunmeyerowi, z tymi wszystkimi trudnymi do ujawnienia detalami włącznie - o krwi w majtkach, lepkości między nogami, o tym, jak potem chłopak niezdarnie usiłował ją pocieszyć - a także o najgorszym, o tym, jak się ubrała w słodkim rozleniwieniu, wróciła do chaty i stwierdziła, że jest pusta.

Zadzwoił telefon.

- Halo?

- Czy cię obudziłem? - Poznała głos Palmera Dysona.

- Nie mogę spać - przyznała znużonym tonem. - Przeglądałam te akta, które mi przysłałeś.

- Tak? No i co sądzisz?

- Mam pewne przemyślenia, ale nic przełomowego. - Przeszył ją chłód, więc przytuliła kolana do piersi. - Chcesz je usłyszeć?

- Nie. Porozmawiajmy jutro. Właśnie wziąłem dwie tabletki ambienu.

- Właściwie to mogłabym rano wpaść do ciebie. Która godzina jest najlepsza?

- Obojętne.

- Naprawdę? - zażartowała. - Nie masz nic w kalendarzu?

- Moje życie towarzyskie jest równe zeru.

- To może dziewiąta?

- Bardzo dobrze. Poza tym jest coś, co chętnie powiedziałbym ci w cztery oczy.

Zmarszczyła czoło.

- Co?

- Jutro - odparł Palmer i się rozłączył.

Zdjęcia Hannah Lloyd ze sceny zbrodni wdarły się w jej sny, toteż w czwartek rano obudziła się spanikowana, z trudem łapiąc powietrze. Usiadła na łóżku, czując pulsowanie w skroniach i czekając, aż koszmar się rozplynie. Były w nim szkieleciki palców wykopujących garściami pająki.

Minęła zaledwie piąta rano, strona Jamesa w łóżku była pusta. Tęskniła za nim aż do bólu. Wstała, otworzyła okno i wciągnęła zimny haust arktycznego powietrza. Jej płuca odebrały to jak dotyk lodem. Próbowwała strząsnąć z siebie resztki smutku, który powinien się skończyć wraz ze śmiercią Blackwooda, i mimo wczesnej pory zadzwoniła do Nelly, lecz rozłączyła się po dziesiątym dzwonku.

Wardowie zapewne bronią się przed gradem telefonów z mediów, a czy można ich za to winić? Kate nie odbierała telefonu z tych samych powodów - starzy przyjaciele dzwonili, by wyrazić współczucie, dziennikarze prosili o wywiady, blogerzy polowali na kliknięcia. Savannah Wolfe na Twitterze była popularna. Jedyne, co Kate mogła zrobić, to poczekać, aż szaleństwo mediów się uspokoi. Można tylko zgadywać, ile to potrwa.

Wzięła prysznic i ubrała się, po czym chwyciła kluczyki i ruszyła do New Hampshire. Gdy obszar metropolitalny Bostonu został za nią, jazda stała się łatwiejsza, na ulicach było mniej pojazdów. Po drodze minęła dziesiątki wiosek Nowej Anglii, wtulonych w pokryte śniegiem doliny. Te widoki przypominające kartki bożonarodzeniowe koły jej nerwy.

Detektyw Dyson mieszkał po wschodniej stronie Blunt River,

przy końcu krętej wiejskiej drogi. Zaparkowała przed jego zniszczonym domem w stylu królowej Anny, ruszyła odśnieżoną ścieżką do koślawego ganku i zapukała w drzwi.

Uścisnęli sobie ręce. Palmer sprawiał wrażenie w pełni rozbudzonego i tryskającego energią.

- Proszę, wejdz. I uważaj na próg. Powinienem go naprawić.

Dom był słoneczny i przestronny, miał staromodne nieszczelne okna i wspaniałą stolarkę. Umeblowanie stanowiło mieszankę współczesnych mebli z przeceny i dziedzictwa rodzinnego. Wokół ścian salonu stały dziesiątki kartonów, nadając wnętrzu aurę sprzedaży garażowej. Wszystkie powierzchnie pokrywały stare raporty policyjne, brudne naczynia i książki na temat kryminalistyki. Stojąca w rogu pokoju biała tablica była zapisana nazwiskami, datami i osiami czasowymi. Na ścianie wisiała mapa okręgu Blunt River. Kolorowe pinezki oznaczały miejsca uprowadzeń.

- Widzisz, co się dzieje, kiedy opętają cię obsesje? - zażartował.

- Rozrastają się jak kudzu. Siadaj. Kawy?

- Chętnie.

- Jak ci się jechało?

- Nieźle.

- Zaraz wracam. - Zniknął w kuchni.

Kate obejrzała salon, przyjrzała się podłodze z twardego drewna i kominkowi z otoczków. Po obu stronach mahoniowego biurka ze starym komputerem i faksem stały przeszklone regały wypełnione książkami w skórzanej oprawie. W końcu zajęła miejsce w fotelu obitym tkaniną w szkocką kratę, stojącym naprzeciwko rozkładanej kanapy pokrytej brązowym sztruksem.

- No tak - powiedział Palmer, gdy wrócił, niosąc tacę z dwoma parującymi kubkami. Podał jej mleko oraz cukier i usiadł na

kanapie. - A więc porozmawiajmy.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Mówiłeś, że masz mi coś do powiedzenia?

- Najpierw - podniósł palec - jaki jest twój profil? Co widzisz w tych aktach?

Zrozumiała, czego szukał: chłodnej opinii psychologa.

- Moje pierwsze wrażenie? No cóż, nic nie wiemy o losie czterech zaginionych dziewczynek, więc trudno coś prognozować.

- A co z resztą?

- Jeśli przyjąć hipotezę, że zabójstwa były inscenizowanymi samobójstwami i wypadkami - zaczęła Kate - i że morderca ma obsesję na punkcie włosów... to powinniśmy poszukać wspólnych cech tych ofiar. Na pierwszy rzut oka ich wiek i wygląd zewnętrzny są bardzo różne. Ale dwie rzeczy, które łączą ofiary, to płeć i mimo wszystko podobny wiek.

- Młodsze i starsze dziewczynki?

- Tak. Nie widziałam jednak w aktach niczego, co by sugerowało, że zostały zgwałcone, pewnie więc nie mamy do czynienia z dewiantem seksualnym. Tutaj chodzi o coś innego. To złoczyńca, którego kręca włosy młodziutkich kobiet.

- Dlaczego? Co to oznacza w sensie psychologicznym?

- To może być rezultat traumy z dzieciństwa.

- A więc on powtarza coś w rodzaju gehenny psychicznej z przeszłości?

- To możliwe. Ogolone głowy i strzyżenie włosów mają dla niego duże znaczenie. Akt pozbawiania włosów jest wysoce symboliczny.

- Symboliczny w jakim sensie?

- Tak konkretnie to nie wiem. Może w ten sposób wymierza karę? - Nie umknęło jej uwadze, że rozmawiali, jakby

zaakceptowała to założenie. – Po drugiej wojnie światowej alianci upokarzali kobiety współpracujące z nazistami, golili im głowy i zmuszali do paradowania przed nienawistnym tłumem. Jest to metoda defeminizacji. Albo też zabójca infantylizował swe ofiary. Po zgoleniu włosów stawały się bezradnymi niemowlętami i nie zagrażały już jego męskości.

– A więc bał się dziewczyn? Czy to chciałaś mi powiedzieć?

Kate uśmiechnęła się.

– Są inne możliwości. Na przykład buddyjscy mnisi i mniszki golą głowy jako akt oczyszczenia przed wstąpieniem do klasztoru.

Z namysłem pokiwał głową.

– Rezygnacja z ziemskich rozkoszy.

– Odnoszę jednak wrażenie, że jest to bardziej osobiste. W dzieciństwie mógł coś widzieć, przeżyć jakieś traumatyczne wydarzenie, które nim poruszyło. Być może matka albo inna ważna w jego życiu kobieta zapadła na jakąś wyniszczającą chorobę, w efekcie której na przykład straciła włosy. Albo była psychicznie niezrównoważona i zgoliła głowę w ataku psychozy. Choroba psychiczna to silny zawodnik, przechodzi z pokolenia na pokolenie. Bez względu na przyczynę, zabójca wypala na nich piętno. Te dziewczynki są jego. Naznacza je, i stają się nietykalne.

– Nietykalne?

– Należą tylko do niego. Na zawsze.

Palmer pochylił się do przodu.

– Okej, zajmijmy się tym wątkiem. Powiedzmy, że jego matka postradała zmysły, a on to po niej odziedziczył. Jaka jest twoja diagnoza?

Wzruszyła ramionami.

– Te zbrodnie są zbyt metodyczne i za dobrze zorganizowane, żeby miały być dziełem chorego na schizofrenię paranoidalną. On

panuje nad impulsami. Nie jest dwubiegunowy, ponieważ megalomania skłoniłaby go do chełpienia się swoimi wyczynami. Pisałby listy do gazet albo naigrawałby się z nieudolności policji. Są jeszcze dwa inne możliwe zaburzenia... ale ja bym postawiła na socjopatię. Socjopaci potrafią normalnie funkcjonować w społeczeństwie. Często są sprytni, znakomicie oszukują i manipulują. Nie obchodzi ich ból, jaki sprawiają innym, nie obchodzą ich zniszczenia ani chaos, jaki po sobie zostawiają. Nie potrafią przeżywać uczuć w taki sposób jak inni ludzie. Toteż zachowania przestępcze przychodzą im łatwo.

- I dlatego w ogóle nie zwrócił na siebie uwagi.

Kiwnęła głową.

- Inaczej już by go złapano.

- Okej - powiedział. - A jakie są jego słabości?

- Upodobanie do dziewczynek - odparła Kate. - Traumatyczne dzieciństwo. On poluje. Jeśli prawdą jest to, co mówisz, wypracował schemat uprowadzania bezbronnych dzieci i zawożenia ich w miejsce, gdzie może im obciąć włosy i pozbyć się ciał, na przykład w lesie, jak w przypadku Hannah Lloyd. Czasem inscenizuje samobójstwo, żeby się przekonać, czy ujdzie mu to na sucho. To jest dla niego ekscytujące. Wątpię, żeby przerwał to z własnej woli, co oznacza, że ten człowiek prowadzi drugie życie. Ukrywa przed światem swoje drugie ja. I przez to kiedyś wpadnie.

Palmer podniósł brwi.

- Jakie ma motywacje?

- Jeśli nie zabija z pożądania, to chodzi mu o władzę. Starannie dobiera ofiary. Czeką na właściwy moment. W tych przestępstwach nie ma nic pospiesznego, czego dowodzi inscenizacja zabójstw Susie Gafford, Lizbeth Howell i Tabithy

Davidowitz. A to oznacza, że jest metodyczny i świetnie zorganizowany. Wie, co robi. Polowanie go podnieca. Jest przebiegły. Uwielbia manipulować. Ale chyba bardzo się boi, że zostanie złapany. Sedno sprawy polega na tym, że nie cierpi przegrywać. To jego najsłabszy punkt.

Twarz Palmera powoli rozjaśnił uśmiech.

- Chciałbym, żebyś na coś spojrziała. - Zaczął grzebać w stosie zdjęć na stoliku. - Powiedz mi, jeśli będziesz miała dosyć. - Wręczył jej błyszczące duże zdjęcie dziewczynki z siniakiem na szyi w kształcie półksiężyca. Kate rozpoznała Susie Gafford, dziewczynkę, która wpadła do studni. - Widzisz ten siniak? To ślad po ucisku. - Wskazał na zdjęcie. - To się stało *ante mortem*, tuż przed śmiercią. Jakież wnioski?

Kate przyjrzała się fotografii. Powieki Susie były zamknięte, usta sine, a szyja przechylona na bok. Lśniące włosy były zaplecione w warkoczyki i przewiązane na końcach satynowymi wstążkami. Widok był przerażający, jednak Kate nie mogła oderwać od niego wzroku. Na ciele Susie widniały rany i zadrapania będące niewątpliwie skutkiem upadku na dno piętnastometrowej studni, niemniej Kate wiedziała, o czym mówił detektyw: na szyi ofiary był wyraźny ślad w kształcie półksiężyca długi na pięć centymetrów i szeroki na niewiele ponad centymetr.

- Wygląda to jak półksiężyc - stwierdziła. - Jakby coś zostało przyciśnięte do jej skóry.

- Właśnie - zgodził się.

W tym siniaku było coś dziwnie znajomego.

Oddała Palmerowi fotografię i zadrzała. Ten człowiek wciąga ją na bardzo ciemną ścieżkę.

- Co to znaczy?

- Moim zdaniem została uduszona czymś miękkim, jak szalik

albo bluzka. Zabójca owinął tym gardło i stopniowo zaciskał. Ten materiał był przytrzymywany dwiema rękami, każda ciągnęła za jeden koniec. Kość gnykowa pozostała nienaruszona, co oznacza, że ofiara nie została uduszona skórzanym paskiem, sznurem lub dwiema rękami. Na szyi nie znaleźliśmy śladów palców, co mogłoby wskazywać na uduszenie jakimś materiałem. Tylko ten jeden ślad po ucisku, spowodowany tuż przed ustaniem bicia serca ofiary.

- A więc została uduszona?

- To się nazywa miękkie duszenie - wyjaśnił. - Kawałek materiału, jeśli użyje się go prawidłowo, nie zostawi na ciele ofiary żadnych wyraźnych śladów.

- Trochę się w tym pogubiłam. Dlaczego lekarz sądowy nazwał to wypadkiem?

Palmer przejechał palcem po brzegu kubka z kawą.

- Między Quade'em a mną zawsze iskrzyło. W tej sprawie zaprotestowałam przeciwko jego orzeczeniu, ale takie duszenie jak to nie pozostawia żadnych śladów.

- Chyba że zabójca popełni błąd, prawda? - zauważyła. - Bo do kawałka materiału, którym ją udusił, coś było przyczepione. Coś, co zostawiło ten ślad?

- Właśnie - odparł ze skinieniem głowy. - Może jakaś biżuteria, może szpilka albo broszka. Popełnił kardynalny błąd i nie zauważył tego, aż zrobiło się za późno. Wrzucił więc ciało do studni, żeby zatuszować przyczynę śmierci.

- Dalej nie rozumiem. Dlaczego lekarz sądowy tego nie zauważył?

Palmer z rezygnacją wzruszył ramionami.

- Jej twarz nie była przekrwiona ani spuchnięta, nie było podskórnych wybroczyn, żadnych czerwonych plamek ani żyłek

w oczach, żadnych śladów po ucisku, a zważywszy na nietkniętą kość gnykową... Quade uznał, że zraniła sobie szyję podczas upadku na dno studni. Nie można jednak wykluczyć urazu na skutek ucisku, zwłaszcza kiedy w karku powstał mały krwiak, niewielki, ale wystarczający. Dowód, że ofiara umierała, leżąc na ziemi, a nie skulona na dnie studni. Jeśli Susie Gafford była jego pierwszą ofiarą, to nic dziwnego, że musiał popełnić kilka błędów.

Kate z trudem przełknęła ślinę. Rozmawiali o prawdziwych wydarzeniach i prawdziwych ludziach. Prawdziwych małych dziewczynkach. Ta dyskusja nie była już teoretyczna, i to ją przeraziło. Postanowiła stawić opór. Bo jeśli Palmer się myli, a anatomopatolog ma rację?

- Nie pojmuję - oznajmiła. - Dlaczego policja nie prześwietla tego z każdej strony?

- Mówisz o sprytnym psychopacie. Nawet jeśli nazywasz go socjopata, to mówimy o tym samym. Zapewne ma on niezłą posadę - jest nauczycielem, duchownym, pracownikiem społecznym - a to jest obszar jego działania: Blunt River County. Czuje się tu bezpiecznie i może zaatakować w każdym momencie albo miejscu, jakie wybierze. Inaczej tyle czasu nie pozostawałby bezkarny.

- A policja nie dostrzega związku? - zapytała z niedowierzaniem.

- Po pierwsze, te dziewięć spraw prowadzą cztery komendy policji, a one niekoniecznie się z sobą komunikują. Wszystkie mają swoje gorące linie, policjanci zasypywani są tysiącami informacji. Nie wolno im spuszczać z oka setek świadków i podejrzanych. Oficer śledczy może łatwo w tym ugrzęznąć. Jak już mówiłem, ja i Quade mieliśmy krańcowo odmienne zdania w wielu sprawach, ale jego słowo znacznie bardziej się liczyło.

Tak jest do dziś.

- To żałosne.

- Nie zrozum mnie źle. Mówię o wspaniałej gromadzie facetów. Oni wypruwają z siebie żyły. Chcą sprawiedliwości tak jak ja. Ale mają huk roboty, wiele spraw do odhaczenia, a nietrudno o bałagan. Jest mnóstwo walk wewnętrznych, są względy budżetowe. Okręg Blunt River jest w dużym stopniu uzależniony od turystów i władze chcą mieć święty spokój, chyba że policja jest w stu procentach pewna swych ustaleń. - Wzruszył ramionami. - A więc zwycięża rozważa. Niech to szlag.

- A co z Quade'em Picklerem?

- W jakim sensie?

- Nie sądzisz, że jest dziwny? Odrzucił twój pomysł kategorycznie?

Palmer potrząsnął głową.

- Jak już powiedziałem, on nie jest najbystrzejszy. Można go oszukać jak ich wszystkich.

- A więc dałeś spokój?

- Nie, nie zostawiłem tego. Biorąc pod uwagę wiek ofiar, przesłuchałem wszystkich znanych pedofilów w tym rejonie, członków ich rodzin, sąsiadów, nauczycieli. Dopiero wiele lat później dowiedziałem się... - Podniósł na nią wzrok. - Jest coś, co muszę ci powiedzieć. - Powoli pokiwała głową. - Mam już podejrzanego.

Cofnęła się, zszokowana jego rewelacją.

- Pasuje do profilu zabójcy, jaki zbudowałem. To samotnik na stanowisku. Jest profesorem na Uniwersytecie Wellingtona, tutaj, w Blunt River. Wydaje mi się, że go znasz.

Jej serce na moment zamarło.

- William Stigler - oznajmił Palmer.

Potrząsnęła głową zdezorientowana.

- Profesor William Stigler - powtórzył, po czym zmarszczył czoło. - Nie znasz go?

- Nie, nigdy o nim nie słyszałam. - Nagle poczuła złość. - Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej, Palmer? Dlaczego tyle czasu to wałkujemy? Czuję się jak idiotka.

- Nie, nie. Nie myśl tak o sobie. Chciałem usłyszeć twoją bezstronną opinię. Wszystko, co mówiłaś, ma głęboki sens. Tylko potwierdza to, nad czym pracowałem.

- Mogłeś mi o tym powiedzieć na samym początku. Zaoszczędziłbyś nam obojgu mnóstwo czasu.

- Czy jesteś pewna, że go nie pamiętasz?

Z irytacją potrząsnęła głową.

- Dlaczego miałabym go pamiętać?

- To profesor socjologii grubo po pięćdziesiątce. Ponad dwadzieścia lat temu był rezydentem w szpitalu psychiatrycznym, w którym przebywała twoja mama. Jak mówiłem, wydawało mi się, że o tym wiedziałaś. Pisał pracę podoktorancką na temat dynamiki rodziny i chorób psychicznych. Poprosił o wolontariuszy. Twoja mama była jedną z osób, które się zgłosiły. Stali się sobie... bliscy.

- Co?!

- W takim razie nie wiesz pewnie także o tym - dodał bez ogródek - że twoja mama i Stigler zamieszkali razem wkrótce po tym, gdy wypisano ją ze szpitala.

- Żarty sobie ze mnie stroisz?

Oparł się wygodniej.

- Może pora, żebym przestał.

Patrzyła na niego z pełną gniewu intensywnością.

- Co do diabła, Palmer?

- Powinnaś porozmawiać o tym z ojcem.

- Pamiętam, jak odwiedzałam ją w szpitalu - dodała martwym głosem. - Sprawiała wrażenie takiej zagubionej. Kiedy w końcu pół roku później wróciła do domu, była zupełnie innym człowiekiem. Promieniała. Wszyscy myśleliśmy, że czuła się lepiej. Ale potem rodzice znów zaczęli się kłócić, a po kilku tygodniach mama spakowała walizki i zniknęła. Savannah i ja nie miałyśmy pojęcia, dokąd się wyprowadziła, ale tata nam wyjaśnił, że wróciła do szpitala na dalsze leczenie.

- Nigdy nie powiedział wam prawdy?

Kate potrząsnęła głową.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że kogoś miała. Jak on się nazywał? Sigler?

- William Stigler. Przepraszam, Kate.

- I uważasz, że można go o to podejrzewać?

- Jest moim głównym podejrzanym.

- Skąd wiesz? Jakie masz dowody?

- To się stało w zeszłym roku, podczas śledztwa w sprawie Makayli Brayden - wyjaśnił. - Ni z tego, ni z owego Stigler do nas przyszedł i zaproponował pomoc w śledztwie, co było wysoce podejrzane. - Pochylił się do przodu. - To jest ściśle tajne, Kate. Nikomu nie wolno ci o tym pisać.

- Jestem psychiatrą. Potrafię zachować sekret.

- Nie możesz o tym mówić nawet z Jamesem - ostrzegł.

Posepnie skinęła głową, a on odchrząknął.

- Stigler przyszedł do nas nieproszony, utrzymując, że chce pomóc. Zrobił także kilka innych rzeczy.

- Na przykład?

- Teraz nie mogę w to wnikać. Musisz mi zaufać.

Znowu poczuła irytację.

- A może już ci nie ufam, Palmer? Może gdybyś powiedział mi wcześniej...

- Kate - przerwał jej - ostatnia rzecz, jaką chcę stracić, to twoje zaufanie.

Trochę się uspokoiła. Pamiętała wizyty u Julii w szpitalu w Godwin Valley, dziwacznej gotyckiej twierdzy po drugiej stronie miasta. Miejsce zsyłki dla wariatów. Pamiętała jej bladą nieobecną twarz. Podczas tych rzadkich wizyt Julia krążyła po korytarzach niczym duch, patrząc na coś, co znajdowało się poza jej przerażonymi córkami.

- Jestem tutaj z powodu nerwów - tłumaczyła im niejasno. - Moje nerwy potrzebują wymiany.

Palmer złączył razem końce palców.

- Przy każdej zbrodni, którą rozpracowujesz, tworzysz listę podejrzanych. Psychicznie chorzy pacjenci, byli więźniowie, krewni, sąsiedzi... wszyscy, którzy w jakiś sposób odpowiadają profilowi. Więc stopniowo tworzysz listę, a potem jednego po drugim wykreślasz. Moja lista jest teraz bardzo krótka. A Stigler jest na samej górze.

- Dlaczego go nie aresztowałeś?

- Po pierwsze, jestem na emeryturze. Nikogo nie mogę aresztować.

- Ale on jest twoim głównym podejrzanym, prawda? Czy nie możesz sprawić, żeby któryś z twoich kolegów policyjnych go aresztował?

- Moich kolegów? - Lekko się uśmiechnął. - Wierz mi albo nie, Kate, ale nie mam aż takich możliwości.

- Okej, a więc w zeszłym roku zaproponował wam pomoc przy sprawie. Jakim cudem stał się podejrzanym?

- Miałaś rację, jeśli chodzi o ofiary. Bardzo się od siebie różnią.

Ale z pewnością łączy je jedno: pochodzą z rozbitych domów. Rozwody, przemoc domowa, alkoholizm, narkotyki. To nie były szczęśliwe rodziny.

- Ale co Stigler ma z tym wspólnego?

- Jest profesorem socjologii. Jedne z zajęć, jakie prowadzi, nazywają się „Wiktymologia a dzieci z niepełnych rodzin”. W ciągu dwudziestu lat on oraz jego zespół naukowców wysłał tysiące kwestionariuszy do rodzin zagrożonych. Jego podwładni dokonali selekcji i przeprowadzili rozmowy wstępne, ale dalsze wybrane rozmowy prowadził sam Stigler. Zgadnij, z którymi rodzinami rozmawiał osobiście?

Połknęła przynętę.

- Wszystkimi?

- Nie. Według mnie siedem z tych dziewięciu spraw coś łączy. Nie dotyczy to twojej rodziny, a także rodziny Emery Mason, ale wszystkich pozostałych. Uważam, że je wybrał, bo spełniały następujące kryteria: były to domy, w których istniały takie problemy jak przemoc, choroby psychiczne, alkohol i narkotyki. Wybierał dziewczynki stanowiące łatwy cel. Czy jest lepszy sposób na znalezienie kolejnej ofiary?

Milczała.

- Posłuchaj - rzekł łagodnie. - Nie miałbym pretensji, gdybyś postanowiła to przerwać. Czasami prawda bywa bardzo brzydka.

Potrząsnęła głową.

- Nie sądzisz, że o tym wiem?

- Chciałem tylko powiedzieć... że możesz się wycofać.

Zagryzła wargi.

- Po śmierci mojej siostry błagałam, żeby jej nie kremowali. Nie chciałam, żeby skończyła w pudełku jak nasza matka. Ojciec się na to zgodził, więc razem wybraliśmy trumnę. Poszłam do pokoju

i odszukałam jej ulubioną sukienkę. Była liliowa, wcięta w tali. Znalazłam także jej ulubioną lalkę. Zmieniła ją całkowicie: pomalowała mazakiem usta, obcięła na punka włosy. Pamiętam, jak siedziałam tam cały wieczór i płakałam, trzymając tę brzydką lalkę na kolanach.

Palmer pokiwał głową.

- W każdym razie bucik lalki odpadł i potoczył się pod łóżko. I kiedy schyliłam się, żeby go podnieść, zobaczyłam największy w życiu kłęb gumy do żucia. Ważył chyba ze dwa funty. Savannah żuła gumę, aż straciła smak, a potem przyklejała ją pod łóżkiem, żeby nikt nie widział. Musiały tam być sklezione setki gum. Nigdy nie śmiałam się tak głośno. Taka była moja siostra, najzabawniejszy dzieciak pod słońcem. I moja najlepsza przyjaciółka. Więc jeśli mi mówisz, że prawda może być brzydka, to odpowiem, że może być także piękna.

Między nimi zaległa łagodna cisza. Kate wstała.

- Muszę porozmawiać z ojcem.

Odprowadził ją do drzwi. Na progu przystanęli, Kate wyciągnęła z torebki kluczyki.

- Czy naprawdę myślisz, że nie żyją? - zapytała. - Te zaginione dziewczynki.

Skinął głową.

- Co do jednej.

34

Jechała przez miasto, czując mdłości i dezorientację. Ojca nie było w domu. Jego ford ranger zniknął z podjazdu. Zegarek wskazywał godzinę dziesiątą trzydzieści. Ojciec był na częściowej emeryturze, miał wtorki i czwartki wolne. Gdzie się więc podziewał?

Postanowiła na niego poczekać. Pod doniczką w ogrodzie leżał zapasowy klucz. Weszła do środka i nastawiła kawę. Potem usiadła przy okrągłym stoliku i słuchała bulgotania kawiarki. Promienie porannego słońca padały na kuchenne linoleum. Kiedyś ten dom był pełen ludzi. Teraz wszystko w nim skrzypiało i jęczało.

Pralka stojąca w piwnicy wydawała dziwny terkoczący dźwięk, toteż Kate zeszła na dół. Z sufitu zwisały pajęczyny, w odległym kącie burczał grzejnik elektryczny. Na dużej drewnianej tablicy wisiały według wielkości i funkcji narzędzia majstra Brama: klucze do nakrętek, piłki do metalu, piły taśmowe, młotki, śrubokręty. Jego warsztat zawałały puszki z farbą i plastikowe pojemniki z przegródkami. Gwoździe, bolce i śruby leżały posegregowane w szufladkach. Zapasowe klucze wisiały na mniejszym wieszaku; były tam klucze do domu, pilot do garażu, dodatkowe klucze do gabinetu ojca w mieście, do magazynu na Carriage Road i w końcu klucze do domu na farmie Four Oaks w stanie Maine, gdzie mieszkali kiedyś dziadkowie Kate. Ojciec jakoś nie mógł się rozstać z tą podupadłą farmą.

Światełko w pralce zaczęło mrugać. Kate uniosła pokrywę i zaczęła rozplątywać ubrania poskręcane wokół wirnika, aż światełko zgasło. Potem zamknęła pokrywę i pralka zaczęła znów

wirować. Koniec chugga-chugga. Żadnego trzaskania ani stukania przywodzącego na myśl złe duchy.

Kate ruszyła na górę, czując lekkie drżenie całego ciała. Nadal była wstrząśnięta odkryciem, że matka miała romans. A jeśli Palmer ma rację? Jeśli matka zakochała się w seryjnym mordercy? Czy naprawdę znamy ludzi, których kochamy? - zadawała sobie pytanie.

Weszła do salonu, usiadła w fotelu pluszaku, po czym włączyła iPoda i wygooglowała profesora Stiglera. Wyskoczył jego profil uniwersytecki. Facet był przystojny, podobny nieco do George'a Clooneya, i miał imponujący życiorys.

Usłyszała jakiś hałas i podskoczyła. Podeszła do okna, ale nie dostrzegła samochodu ojca. Gdzie jeździł w wolne dni i co robił? Nie mogła po prostu do niego zadzwonić i go o to zapytać, bo nie miał komórki, ten technofob. Nie dawał się przekonać do smartfona, nie mówiąc o Facebooku, Instagramie, Twitterze czy Skypie. Miał jedynie telefon stacjonarny i staroświecki pager, przez który pozwalał kontaktować się z sobą jedynie pacjentom, i to w nagłych przypadkach.

Kate nie miała problemu ze zrozumieniem, dlaczego Julia go opuściła. Jego plan dnia był sztywny co do minuty. Każdy zegar w domu musiał chodzić punktualnie. Nieustannie mył ręce, co jest typowe dla lekarza. Jego toaleta poranna stanowiła skomplikowany rytuał i nie wolno mu było w tym przeszkadzać. Lubił wszystko kontrolować i nie znosił, gdy ktoś mu się sprzeciwiał. Wszystko musiało być perfekcyjnie wyrównane, prostopadłe albo równoległe. Jego światopogląd potrzebował ładu i porządku.

Kiedy mieszkasz z lekarzem, przyzwyczajasz się do codziennych wykładów na temat mycia rąk i zębów. Kate wychowała się, nie

łamiąc ani jednej kości. Nigdy poważnie nie zachorowała. Ojcu udało się ją uchronić przed zagrożeniami codziennego życia, ale co warte są czyste ręce, gdy umiera matka? Jakie znaczenie mają same piątki, kiedy ginie siostra?

Kate знаła zdjęcia Brama jako młodego chłopca, chudego niczym tyczka, dominującego wzrostem nad kolegami. Matka powiedziała jej kiedyś, że Bram wychowywał się w wiosce pełnej nieokrzęsanych chłopaków, którzy znęcali się nad nim bezlitośnie, obrzucając go najwymyślniejszymi wyzwiskami. Nic dziwnego, że nie czuł się w swej własnej skórze dobrze. Dziadek Wolfe był wymagający i kontrolujący w stosunku do syna, ale nie wobec wnuków. Gdy dziewczynki odwiedzały farmę, dziadek wyglądał już jak przerażający dyrektor szkoły o gołębiim sercu. Szczekał, ale nie gryzł.

Wypiła kawę i czekała na powrót ojca, zdecydowana na konfrontację. Poruszy temat Williama Stiglera i zapyta Brama, dlaczego skłamał, mówiąc im, że Julia wróciła do szpitala psychiatrycznego. Zerknęła na zegarek i zaczęła się niecierpliwić. Wstała i przeszła się po domu, przystając w salonie, by przyjrzeć się starym prezentom, jakie razem z Savannah podarowały ojcu: były wśród nich otoczaki pomalowane na pomarańczowo i zielono, ceramiczne popielniczki, na których wycisnęły odciski swoich palców, kukielki z papiermâché, które wyglądały jak wymięte szczury.

Kate okrążyła całe piętro, aż wreszcie przekroczyła próg zakazanego miejsca – wyłożonego ciemną boazerią gabinetu ojca. Właściwie nie powinna nawet tu zaglądać, ale ciekawość wzięła górę. Może nadeszła pora, by zignorować miliony jego drobnych zasad.

W masywnych dębowych szafach stały cenne medyczne książki

ojca, a fotel o spękanej skórze liczył sobie więcej lat, niż miała Kate. Chromowana lampa na biurku oświetlała promieniście leżące na blacie papiery. Sześć stalowych szafek aż pękało od medycznych teczek zbieranych przez dziesięciolecia. Ojciec nie musiał przechowywać kart wszystkich pacjentów, ale bał się pozwów o błędy w sztuce. Gdyby zniszczył kartę choroby, obrona byłaby trudna, jeśli nie niemożliwa.

Kate nie potrafiła opanować chęci, by powęszyć.

Podeszła do szafki oznaczonej literami A-F, otworzyła górną szufladę i przemknęła wzrokiem po małych plastikowych zakładkach, aż jej oczy zatrzymały się na nazwisku „Blackwood”.

Serce jej zamarło. Wyciągnęła ze skoroszytu kartę choroby Penny Blackwood i przerzuciła kartki. Przejrzała ręcznie pisane, skrupulatne notatki ojca. Bram był lekarzem ogólnym Penny od urodzenia aż do końca szkoły średniej. Przestała przychodzić na wizyty mniej więcej wtedy, gdy zamordowano Savannah.

Przez cały czas ojciec starannie dokumentował wszystkie choroby i kontuzje Penny. W wieku około jedenastu lat zaczęła się skarżyć na brak energii. Miała koszmary i cierpiała na bezsenność. W wieku około dwunastu lat była kilkakrotnie leczona na drożdżycę i stany zapalne pochwy. Na górnej części ud miała siniaki niewyjaśnionego pochodzenia oraz inne oznaki możliwego molestowania seksualnego. Rzeczą, która zdumiała Kate, była reakcja ojca na te wszystkie zapalające się światełka. Sumiennie zapisywał szczegóły, ale nie wyciągał żadnych wniosków ani nie wzywał rodziców, by poinformować ich o możliwości molestowania w domu.

Frontowe drzwi szybko otworzyły się i zamknęły. Kate usłyszała dobiegające z salonu kroki. Poczowała strach. Zorientowała się za późno. Znieruchomiała z kartą choroby w ręce.

W progu stanął ojciec.

- Kate? Co tu robisz?

Jej twarz poczerwieniała. Zdawała sobie sprawę, że nabroila. Ojciec jest osobą prywatną, a jej zachowanie to wtargnięcie na cudze terytorium. Niemniej karta choroby leżała otwarta na jej kolanach, i nie było sensu niczemu zaprzeczać.

- Penny Blackwood była twoją pacjentką?

Bram wyrwał z jej rąk kartę.

- Nie masz prawa. Co tu robisz?

Kate się nie przestraszyła.

- Stan zapalny pochwy? W wieku trzynastu lat? No wiesz, tato! Musiałeś wiedzieć, co się dzieje. Wiele wskazywało na to, że mogła być wykorzystywana seksualnie, a jednak to zignorowałeś.

Ojciec nie potrafił ukryć furii i zażenowania. Wcisnął akta do teczki, zatrzasnął metalową szufladę i powiedział:

- Nie masz prawa grzebać w moich rzeczach, Kate. Co ty sobie, do diabła, myślisz?

- Nie zauważyłeś, że była molestowana? - zapytała jęklwym tonem, pragnąc, by się bronił. Może istnieje jakieś sensowne wyjaśnienie? Jakaś informacja, o której nie miała pojęcia?

- To była skomplikowana sytuacja.

- Skomplikowana? Po prostu Penny była gwałcona!

- Miałem swoje podejrzenia - odparł zaczerwieniony Bram. - Ale gdybym złożył oficjalną skargę, opieka społeczna zabrałaby dziecko rodzinie na zawsze. Musiałem mieć pewność. Kiedy zapytałem Penny o te objawy, zaprzeczyła, żeby działo się coś złego. Nie chciała o tym mówić. Niektóre dziewczęta dojrzewają wcześniej i zaczynają eksperymentować z przyjaciółmi. Niczego nie wiedziałem na pewno.

- Drożdżyca? Siniaki na udach?

- Czy sądzisz, Kate, że nie rozmawiałem o tym z jej matką? I to nieraz? Kilkakrotnie też rozmawiałem z samą Penny, pytałem, czy w domu wszystko jest w porządku. Powtarzała, że nic złego się nie dzieje. Jej matka sugerowała, że może winien jest nowy proszek z detergentem do prania albo alergia. Penny miała wrażliwą skórę. W dzieciństwie leczyłem ją na kontaktowe zapalenie skóry. Przyszło mi też do głowy, że może miała chłopaka i go kryła. Jej ojciec wyglądał na przyzwoitego faceta, nie na jakieś zwierzę, które krzywdziłoby własną córkę.

- Bo to nie jej ojciec! - rzekła Kate podniesionym głosem. - To był jej stryj, Henry Blackwood.

Bram wyglądał, jakby go uderzyła.

- To Henry ją molestował. Sama niedawno to odkryłam. Ale może gdybyś wtedy coś z tym zrobił, gdybyś podrażył trochę głębiej, zamiast zamiatać wszystko pod dywan... wtedy może... - Urwała. - Muszę iść.

- O co właściwie mnie obwiniasz?

- Tato... wychodzę.

Pozwolił jej opuścić pokój. Bała się dotknąć ojca, nie chciała na niego patrzeć. Czuła, jak z jego ciała falami emanują smutek i wściekłość.

W holu włożyła swe wilgotne zimowe buty, płaszcz oraz rękawiczki i opuściła dom bez pożegnania.

Gdy znalazła się w samochodzie, poczuła ucisk w piersi. Rodziny z problemami nigdy nie są łatwe, wiedziała o tym z doświadczenia. Bram miał jednak rację - lata temu wszystko było inne. Nikt nie wkładał kasku do jazdy na rowerze. Ludzie rzadko zapinali pasy bezpieczeństwa. Dzieci wychodziły na dwór bawić się i wracały dopiero na kolację. Ojciec zapewne próbował robić, co należy, tak jak teraz ona walczyła o to, by zrobić, co należy, w przypadku Maddie Ward.

Krążyła po mieście bez celu. Jechała wzdłuż lśniącej rzeki, przemknęła pod starym mostem kolejowym, po czym skręciła w odludne rejony na południu miasta, gdzie stał nieczynny od dawna szpital dla psychicznie chorych. Dziesięć minut później las się skończył i oczom Kate ukazało się osiedle pocięte regularną siatką ulic, pełne zagród z lat sześćdziesiątych pomalowanych na pastelowe kolory.

W domku o barwie mięty mieszkała jej przyjaciółka Jeanette Lamont, a nieładnie pachnąca Shannon Maguire chowała się w domku o kolorze wyblakłej brzoskwini. W okresie świąt Bożego Narodzenia kolorowe lampki nadawały tym identycznym domkom z prefabrykatów magicznego blasku.

Wjechała na opuszczony parking szpitala Godwin Valley i zgasiła silnik. Ascetyczne kamienne budynki przeżyły tysiące burz, lecz w 1996 roku szpital został zamknięty na dobre. Wszystko pozostawiono własnemu losowi. Teren opanowały chwasty - spod śniegu wystawały martwe kruche łodygi.

Kate wysiadła z samochodu i wsłuchiwała się w oszalały świergot kosów, które tutaj zamieszkały. Dwadzieścia dwa lata temu Julia

Wolfe została umieszczona w tej instytucji na sześć długich miesięcy. Córki okropnie za nią tęskniły.

Z trudem brnęła przez śnieg, omijając zniszczony płot z drutu kolczastego, który i tak nie spełniał swojej funkcji, i skierowała się w stronę żeńskiego budynku dla rekonwalescentów, wzniesionego w 1878 roku. Wyniosła kamienna budowla z oknami zabitymi deskami i szczytami dachu z obłazącą farbą naprawdę wyglądała na siedzibę duchów. Kate pokonała obludzone granitowe stopnie bez upadku na siedzenie, ale wielkie drzwi frontowe były zamknięte na kłódkę. Na szczęście ktoś włamał się do budynku przez jedno z okien na parterze, podważając deski i wrzucając rozbite szkło do środka, a potem zakrywając cały ten bałagan torbami na śmieci i taśmą klejącą.

Znalazła betonową cegłę i stanęła na niej, po czym odkleiła plastikowe torby, wspięła się na parapet i nieelegancko opadła w środku na podłogę. Było tam zimno jak w grobowcu. Otrzepała z rąk brud i przebiegła wzrokiem po wielkim holu o wysokim suficie. Jej ciężki oddech wracał do niej echem. Każdy centymetr ścian został zamalowany graffiti, a podłoga była usiana puszkami po piwie, niedopałkami i prezerwatywami.

Przypomniała sobie ze wszystkimi szczegółami chwilę, kiedy matka postradała zmysły. Kate odrabiała właśnie w salonie lekcje, gdy Julia włączyła odkurzacz i zaczęła nim przesuwając tam i z powrotem po dywanie. Dziesięć minut później nadal odkurzała to samo miejsce. Sprawiała wrażenie zrozpaczonej i wzburzonej, ale Kate bała się zapytać, co się stało. Potem Julia zmieniła końcówkę odkurzacza i skierowała ją w kąt salonu, gdzie pajęczyny mnożyły się jak szalone. Mieli w domu pająki. Także myszy. W nocy słyszało się, jak paradują po ścianach, biegały też po zardzewiałych rurach, a kiedy uderzyło się pięścią w ścianę,

przystawały na chwilę, lecz wkrótce podejmowały swą wędrówkę. Ojciec stawiał w piwnicy pułapki, Julia jednak nie mogła znieść myśli o półmartwej myszy wijącej się w konwulsjach, ubłagała więc ojca, by zostawił je w spokoju. W konsekwencji myszy mnożyły się nieprzytomnie.

Owego dnia Julia zdjęła szczotkę z rury odkurzacza i szorowała nią po twardej podłodze, usiłując wessać do środka cały brud. Hoover szumiał pracowicie, a Julia uparcie czyściła ten sam kawałek. Miała na sobie cienką, niemal przezroczystą sukienkę i sprawiała wrażenie lekko z jakiegoś powodu wściekłej – miała już dosyć dywanu, pajęczyn, myszy, domu, Kate albo całego swojego życia. Jej wypowiedziane z gniewem słowa zatrzeszczały niczym lód. „Mam już dość tego gówna”. Szorowała podłogę coraz mocniej i powtarzała: „Mam już dość tego gówna”, aż plastikowa końcówka przełamała się na pół. Potem Julia przyniosła z piwnicy śrubokręt i na lakierowanym drewnie zaczęła wydrapywać nieprzyzwoite słowa: „pieprzona cipa”. Nadal można je tam gdzieś odnaleźć, ukryte pod wytartym dywanem.

Kate ruszyła poprzez hol, czując, jak boleśnie atakują ją wspomnienia. Kąty opuszczonego szpitala były ciemne i brudne. Wyminęła wielkie schody i skierowała się na oszkloną werandę, na podłodze której leżało kilka przewróconych wózków inwalidzkich i stała pianola z połową klawiszy. Pielęgniarki spędzały tutaj dużo czasu, nakłaniając niesfornych pacjentów do zajęcia się grami planszowymi. Witrażowe okna były zniszczone, rośliny w doniczkach zwiędły.

Julia często narzekała na niesmaczne zupy i nierówne materace. Nie mogła jeść. Nie mogła spać. Powłócząc nogami, przemieszczała się po korytarzach w swych jedwabnych

piżamach, ledwo witając się z córkami. Po lekach jej spojrzenie było przerażająco nieobecne, jakby została porwana przez istoty pozaziemskie i zastąpiona przez istotę nic. Niemniej była ich piękną matką – najbardziej atrakcyjną kobietą na oddziale. Płynęła w aurze piękna, a wokół niej wirował chaos.

William Stigler.

Kate nie mogła sobie przypomnieć żadnego przystojnego mężczyzny kręcącego się wokół matki, żadnego oczarowanego nią lekarza czy też naukowca w okularach. Pamiętała tylko krępych sanitariuszy, którzy ruszali do akcji, gdy dochodziło do aktów agresji, a potem kręcili się wokół ze splecionymi dłońmi, czekając na następne zagrożenie.

Dotknęła zaśniedziałej tabliczki z napisem GODZINY WIZYT i pomyślała o psychiatrze matki, doktorze Jonasie Holleyu, ekscentrycznym starym lekarzu, który nosił skarpetki nie do pary, czasami zieloną i brązową, innym razem niebieską i czerwoną. Przed każdą wizytą Kate i Savannah zakładały się, jaki zestaw kolorów lekarz tego dnia będzie miał na stopach. Mówiono, że jest daltonistą. W gabinecie miał miskę z lizakami Tootsie Pops. Savannah zawsze wybierała kolor zielony.

Usłyszała jakiś hałas i się obróciła. Coś przemknęło w stronę starej choinki ozdobionej pajęczynami. Prezenty zostały zastąpione ptasimi odchodami. Tutaj nie znajdzie żadnej odpowiedzi.

36

Usiadła w samochodzie i zaczęła szukać w internecie wiadomości na temat doktora Jonasa Holleya. Był już na emeryturze, ale nadal mieszkał w tym rejonie. Znalazła jego adres i telefon, po czym wybrała numer. Wyjaśniła, kim jest i co tu robi, a on, ku jej zdumieniu, zaprosił ją do siebie. Oznajmił, że chętnie z nią porozmawia.

Doktor Holley mieszkał w błękitnym domu w stylu gotyckim z ażurowym obramowaniem, na ulicy nieopodal szpitala, przy której stały domki jednorodzinne. Pokonała wyłożoną kamieniami chodnikowymi ścieżkę i zastukała do drzwi grubą mosiężną kołatką.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Doktor Holley, chudy i przygarbiony, miał dobrze ponad siedemdziesiąt lat. Ubrany był w wyblakły kasztanowy sweter, ciemne spodnie i lśniące sznurowane półbuty.

- Dzień dobry - powiedziała. - Jestem Kate.

- *Bienvenue*, witam. Proszę wejść, Kate. I to szybko. Mój dom nie lubi zimna. - Wprowadził ją do środka.

- Dziękuję, że zechciał się pan ze mną zobaczyć właściwie od razu - powiedziała, idąc za nim korytarzem wyłożonym sękatymi sosnowymi panelami do małej kuchni z wiszącymi krzywo żaluzjami.

- Proszę usiąść. Czy ma pani ochotę na herbatę?

- Nie, dziękuję.

- Kawę? Wodę? Nie?

Kate zdjęła płaszcz oraz rękawiczki i ułożyła je na drewnianym krześle, po czym usiadła we wnęce jadalnej zaśmiecanej

gazetami.

- Jestem zdziwiona, że pamięta pan moją matkę.

- Julia była niezapomniana. Jedyna w swoim rodzaju. - Doktor Holley usiadł naprzeciwko niej z uśmiechem.

- Mój ojciec nigdy nawet nie zająknął się o Williamie Stiglerze, toteż było dla mnie szokiem, kiedy dowiedziałam się, że on i matka mieli romans. Mam nadzieję, że rzuci pan na tę sprawę jakieś światło.

- Po pierwsze muszę coś wyznać - oświadczył. - Kilka minut temu poszukałem o pani informacji w internecie, po prostu żeby się upewnić, czy jest pani osobą, za jaką się podaje. I muszę przyznać, Kate, że matka byłaby z pani bardzo dumna.

- Dziękuję - odrzekła z uśmiechem.

- Ale zważywszy na pani zawód, rozumie pani moją sytuację. Tajemnica lekarska obowiązuje też po śmierci.

- Jednak nie w przypadku osób bliskich - zaprotestowała uprzejmie. - I nie wtedy, kiedy pan uważa, że pacjent zaaprobowałby ujawnienie tej tajemnicy.

Kiwnął głową.

- Nie mam żadnego powodu, aby uważać, że pani matka nie chciałaby, żeby się pani dowiedziała o niej kilku rzeczy. Niemniej było... parę sytuacji, które wolałaby zachować w tajemnicy, a ja muszę to uszanować.

- Będę wdzięczna za wszystko, co może mi pan powiedzieć.

Doktor Holley powoli pokiwał głową.

- Julia przybyła do nas z kilkoma dolegliwościami. Wyraźnie cierpiała z powodu depresji i miała epizody paranoidalne. Miała także problemy ze snem. W domu leczyła się sama - alkoholem i marihuaną. Słyszała głosy i prześladowały ją okropne halucynacje wzrokowe. Była także przekonana, że złapała

chorobę weneryczną, co okazało się prawdą.

- Chorobę weneryczną? - powtórzyła Kate.

- Wyleczyliśmy ją antybiotykami.

Kate zamrugła powiekami.

- Zaraził ją mój ojciec?

- Nie, to nie on - odparł łagodnym głosem Jonas Holley. - Według Julii, pani rodzice nie sypiali wtedy z sobą. Nie chciała, żeby mąż dowiedział się o tej infekcji. A ponieważ przyczyna jej depresji była niejasna, no i ponieważ pani ojciec nie mógł zarazić się tą chorobą, przystałem na jej prośbę, żeby utrzymać sprawę w tajemnicy. Prawo było wtedy inne. Nie musieliśmy stawiać kropki nad każdym i.

Kate oburzyła się w imieniu ojca.

- Ale to było, zanim poznała Stiglera?

Doktor Holley kiwnął głową.

- Więc kim był ten wariat, który uwiódł moją matkę?

Jonas Holley uśmiechnął się pobłaźliwie i wzruszył ramionami.

- Julia była wolnym duchem. Jej partner mieszkał w innym stanie. Nie pamiętam, jak się nazywał, ale wątpię, żeby ta wiadomość pani w czymś pomogła.

Kate została zmuszona do uporządkowania swej wiedzy na temat rodziców. Matka nie była ojcu wierna, puszczała się na prawo i lewo. Przez cały czas to Bram był ofiarą.

- Jej życie stawało się coraz bardziej chaotyczne - ciągnął doktor Holley. - Miała słabą kontrolę nad odruchami i skłonności samobójcze. Wyobrażała sobie, że cały czas osaczają ją ludzie z „cienia”. Była przekonana, że skradziono część jej biżuterii. I przeświadczona, że zabito jej kotkę.

- Phoebe. Nasz długowłosa pers - potwierdziła Kate. - Została otruta.

- Nie. - Doktor Holley pokręcił głową. - Julia była o tym przekonana, ale zdaniem waszego ojca kotka zachorowała i najprawdopodobniej zmarła na skutek wirusa.

Kolejny mit rozwiany. „Otruta kotka” była jedną z wielu legend z okresu dzieciństwa, które zostały głęboko zakorzenione w psychice Kate. Obie z Savannah często się zastanawiały, który z sąsiadów otruł kotkę. Podejrzewały Henry’ego Blackwooda.

- Jej małżeńskie problemy nie ograniczały się do seksu - ciągnął doktor Holley. - Julia narzekała na obsesyjne zachowania twojego ojca, jego skłonność do kontrolowania. Bram nie lubił, kiedy bawiła się bez niego lub odwiedzała starych przyjaciół. Czuła, że nie jest w stanie sprostać jego rygorystycznym wymaganiom. W każdym razie pojawiła się z objawami depresji psychotycznej, a ja przepisałem jej leki razem z regularną terapią psychologiczną. Zmienialiśmy dawkowanie leków i po sześciu miesiącach powolnej, lecz systematycznej poprawy wypisaliśmy ją do domu. Z perspektywy czasu sędzę, że było to nieco przedwcześnie, ale Julia sprawiała wrażenie osoby zdolnej do podjęcia normalnego życia. Nie miałem pojęcia, że podczas pobytu w szpitalu zakochała się. Dowiedziałem się o tym później.

- Więc moja matka nigdy nie mówiła panu o Stiglerze?

- Nie. Oczywiście krążyły różne pogłoski, ale ja z zasady nie słucham bezpodstawnych plotek.

- Co mógłby pan mi o nim powiedzieć?

- O profesorze Stiglerze? Pisał pracę podoktorancką. Był to bystry i ambitny młody człowiek, który szukał kandydatów do udziału w badaniu na temat dzieci z rodzin zagrożonych. Julia zgłosiła się na ochotnika.

- Nie bał się pan, że to może kolidować z jej terapią?

- Wręcz przeciwnie. Widziałem w tym pożyteczne uzupełnienie.

- I nie zdawał pan sobie sprawy, że się w sobie zakochali?

- Ukrywali to przed wszystkimi.

- Ale, jak pan wspomniał, krążyły jakieś plotki.

- Przecież wie pani, jak to jest, Kate. Pielęgniarki uwielbiają plotkować, a ja zawsze miałem do tego lekki dystans. Kiedy dowiedziałem się o tym romansie, pani mama już nie żyła, a Stigler podjął pracę na uniwersytecie. Czasem spotykamy się w kręgach zawodowych, ale on jest większym niż ja zwierzęciem politycznym.

Kiedy Julia wróciła ze szpitala do domu, Kate uznała, że bardzo się zmieniła. Nie przestawała się uśmiechać. Jej skóra promieniała. Oczy lśniły. Jednak po kilku tygodniach małżeńskie zgrzyty zaczęły się ujawniać i pewnego dnia Julia się wyprowadziła. Kilka tygodni później już nie żyła.

Doktor Holley uśmiechnął się ze smutkiem.

- Podczas krótkiego pobytu Julii w Godwin Valley zobaczyłem malutki kawałek bogatego i skomplikowanego życia. Niech mnie sobie pani wyobrazi jako jednego z siedmiu niewidomych opisujących słonia, kiedy trzymają go za ogon. Nic bym nie mógł pani powiedzieć o trąbie, uszach ani ciosach. Życie pani matki było znacznie bogatsze niż mój opis jej choroby. Rozumie pani?

- Oczywiście.

- Mam nadzieję, że ta rozmowa pani pomogła.

- Dziękuję za to, że poświęcił mi pan czas. - Kate wstała, kierując się do wyjścia.

Doktor Holley odprowadził ją do drzwi.

- Nie powiedziałem pani wszystkiego, ale dosyć.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Co pan ma na myśli?

- Obawiam się, że reszty musi pani dociec sama.

Dwadzieścia minut później Kate zaparkowała przed pochodzącym z połowy dwudziestego wieku domem Nelly w Wilamette. Mimo że była przygnębiona z powodu rewelacji, które dziś rano usłyszała, musiała zachowywać się profesjonalnie. Yvette przysłała jej esemesa z informacją, że Maddie stała się agresywna, ponieważ Nelly znów złamała obietnicę i nie dotarła do szpitala. Kate z obowiązku zawodowego postanowiła złożyć wizytę państwu Wardom i skłonić Nelly do odwiedzin u córki.

Wokół panowała cisza. Sople lodu skrzyły się w świetle słońca. Toyota Camry stała na podjeździe. Kate poczuła ochotę, by zapalić. Pogrzebała w torebce i zadowolona się tym.

Odpięła pas i ruszyła przez podwórko. Dostrzegła tam ślady opon sporego pojazdu, półciężarówki albo terenówki, odcisnięte ostrym łukiem w śniegu, jakby ktoś się bardzo spieszył. Szyby pokrywały namalowane przez mróz kwiaty. Drzwi frontowe stały otworem. To było dziwne.

Rozejrzała się wokół. Na krawężnikach przybywało śniegu. Był to typowy dzień na przedmieściu, kiedy większość dzieci siedzi w szkole, a rodzice są w pracy. Kate weszła po schodkach na werandę i wytarła buty na wycieraczce.

- Halo? - zawołała przez otwarte drzwi. - Czy ktoś tam jest?

Cisza.

Nacisnęła dzwonek.

- Nelly? To ja, Kate Wolfe.

Włosy stanęły jej na karku. Miała ochotę zadzwonić pod 911, ale jeśli się okaże, że histeryzuje? Może państwo Wardowie lubią czasem zostawić otwarte drzwi? A może się pokłócili, Derrick

wypadł jak burza z domu, a Nelly poszła na dół zrobić pranie? Byłaby wściekła, gdyby Kate wezwała policję. Czy ona, Kate, ma pojęcie, jak naprawdę wygląda życie Nelly?

Postanowiła wejść do środka na sekundę, tylko by się zorientować w sytuacji. Na wszelki wypadek trzymała w ręce telefon.

- Halo? Czy ktoś tu jest?

Rozejrzała się po holu wejściowym, którego cechą charakterystyczną była chaotyczna kolekcja parasoli i zimowych butów, kilka kartonów ze sklepu internetowego QVC i zabłocona wycieraczka z napisem „Witamy”.

- Nelly? To ja, Kate Wolfe.

Nadal żadnej odpowiedzi.

Przeszła przez przedpokój i nieśmiało zajrzała do salonu, omiatając wzrokiem puste opakowania po gotowych kolacjach i płaski telewizor.

- Halo?

Odniosła wrażenie, że usłyszała jakiś hałas, i odwróciła się w stronę holu. Prowadziło z niego kilkoro drzwi do różnych pomieszczeń. Na jednych z nich widniała przyklejona taśmą kartka z dużymi, napisanymi dziecięcą ręką literami: MOŻESZ WEJŚĆ NA WŁASNE RYZYKO. Było to zarówno zabawne, jak i niepokojące, bo „ryzyko” to śmiertelnie poważna sprawa.

Kate zapukała.

- Halo?

Kiedy nie usłyszała odpowiedzi, otworzyła drzwi i weszła do pokoju dziecięcego. Wszystko w tym pomieszczeniu było zbyt infantylne jak na niespełna piętnastolatkę: różowe ściany, na dywaniku śmiejąca się twarz kłowna, na komodzie naklejki z tęczą. Była tam też lalka przedstawiająca Małą Syrenkę. Na

ścianie imię mieszkanki tego pokoju zostało zapisane literami wyciętymi z papieru do wycinanek: M-A-D-D-I-E.

Kate przeszła po zagraconej zabawkami podłodze do komody, na której stało pudełko na biżuterię Hello Kitty, pełne srebrnych krzyżyków i różańców. Na podłodze u jej stóp wały się dziesiątki okaleczonych pluszaków; jedne były pozbawione uszu, inne kępek futra. Najbardziej przerażające było łóżko z baldachimem: do każdego słupa przywiązany był męski krawat. Kate wyciągnęła rękę i dotknęła jednego z nich. Pognieciony materiał był sztywny od potu drobnych nadgarstków oraz kostek. Serce Kate zamarło.

Niezdarnymi ruchami palców wybrała numer Iry, rozpaczliwie pragnąc jego rady, ale nie miała sygnału. Wybiegła z pokoju i przez hol skierowała się do kuchni, mając nadzieję, że tam sygnał będzie lepszy. Tuż za rogiem pośliznęła się o coś na podłodze i wylądowała na plecach. Telefon wypadł jej z ręki. Uderzyła głową o podłogę i ugryzła się w język. Poczula zbierającą się w ustach krew.

Ogłuszona leżała przez chwilę, zerkając na sufit. To dziwne. Sufit był upstrzony sosem do spaghetti. Z wysiłkiem próbowała usiąść, lecz jej dłonie o coś się ślizgały. Wreszcie chwiejnie podniosła się na nogi i znalazła telefon, który wylądował obok kuchennej wyspy. Na podłodze dostrzegła przewrócone pudełko chrupek cheerios. Na blatach widniały smugi krwi. Lodówkę znaczyły czerwone odciski zakrwawionych dłoni. Za wyspą oczom Kate ukazała się poszerzająca się kałuża krwi. Zobaczyła pełne siniaków chude ramię i dłoń ściśniętą w pięść, o pobielających palcach.

W tej kałuży krwi leżała Nelly. Miała otwarte niewidzące oczy, nos był złamany, brakowało kilku zębów. Obok jej głowy leżał zakrwawiony młotek. Miała na sobie turkusową zakrwawioną

koszulkę bez rękawów i dżinsy rurki, jej gołe stopy były także zakrwawione. Na pewno próbowała uciekać, bo podłogę kuchenną znaczyły purpurowe zygzaki stóp.

Kate poczuła zawrót głowy. Wypadła z domu i zamknęła się w samochodzie, po czym drżącymi palcami wystukała 911. Zawładnęła nią panika. Jedyne, co widziała, to twarz Nelly.

Detektyw Ramsey Johnson był krępyim człowiekiem o głębokim głosie i silnym uścisku dłoni. Zadał Kate sporo pytań. Opowiedziała mu o śladach opon w śniegu, otwartych drzwiach wejściowych oraz krawatach na słupach łóżka Maddie. Detektyw zapisał to wszystko w notesie zabazgranym nieczytelnymi literami.

Stali pośrodku salonu, podczas gdy grupa funkcjonariuszy rozproszyła się po domu w poszukiwaniu dowodów. Policja z Wilamette wpisała pikapa Derricka Warda na listę poszukiwanych pojazdów. Ratownicy medyczni stwierdzili śmierć Nelly i czekali na lekarza sądowego, by uzyskać zgodę na przewiezienie ciała do kostnicy.

- Potrzebujemy pani ubrania w celu zbadania krwi - poinformował ją detektyw.

- Całego ubrania? - spytała zaskoczona.

- Płaszcz. Buty. Co się da.

Gdy szok ustąpił, do żył Kate napłynęła adrenalina. Na plecach jej zimowego płaszcza widniała zaschnięta krew, która pokrywała także buty. No i nigdy już nie włoży tej granatowej spódnicy.

- Okej - powiedziała z ociąganiem. - W samochodzie mam tenisówki i dresy.

- Chwileczkę. Santos? - Detektyw przywołał gestem funkcjonariuszkę. - Proszę, jesteśmy gotowi.

Maria Santos była kobietą średniego wzrostu, miała szeroką klatkę piersiową i chłopięcą twarz. Była bardzo zasadnicza i od razu przystąpiła do rzeczy.

- Proszę stanąć tutaj. Teraz proszę się odwrócić. O, tak jest

dobrze. – Zrobiła kilka zdjęć Kate w zakrwawionym ubraniu, po czym ruszyła do bagażnika jej auta, by przynieść sportowe buty oraz dresy. Gdy wróciła, nakazała Kate przebrać się w małym pokoiku. – Tylko proszę niczego nie dotykać!

Pokoik był pełen szkolnych trofeów Derricka z meczów piłkarskich i mebli ze sztucznej skóry. Policjantka wręczyła Kate kilka nasączonych alkoholem chusteczek, by mogła wytrzeć z rąk resztki krwi, po czym wyciągnęła torbę na śmieci, do której Kate wrzuciła swą garderobę. Potem Kate włożyła dresy oraz adidas, a policjantka zamknęła torbę i wypełniła protokół przyjęcia garderoby do depozytu.

– Czy już mogę iść? – zapytała Kate z lekkim niepokojem.

– Po pierwsze, musi pani jeszcze raz zademonstrować nam przebieg wypadków.

Kate odtworzyła swą trasę od chwili wejścia do domu, detektyw Johnson na bieżąco tworzył jej szkic i zapisywał relację Kate, a funkcjonariuszka Santos robiła zdjęcia salonu, holu i sypialni Maddie. Kate wskazała miejsce w kuchni, w którym się wywróciła, i z przerażeniem patrzyła na zakrwawionego orzełka, jakiego robi się w śniegu.

– Czy teraz mogę jechać? – zapytała błagalnym tonem, usiłując nie wyglądać na wstrząśniętą.

Detektyw sprawdził notatki.

– Zadzwonimy, jeśli będziemy mieli jakieś pytania.

Opuszczając dom, Kate podziękowała policjantce, ale ta tylko obojętnie skinęła głową, jakby już zapomniała, kim jest Kate.

Na zewnątrz podwórko zostało otoczone żółtą taśmą jako miejsce zbrodni. Kate stwierdziła, że trzech lub czterech funkcjonariuszy leży w śniegu, dokumentując ślady opon oraz stóp. Zostawiali za sobą małe pomarańczowe flagi. Gdy Kate

zbliżyła się do samochodu, podjechał van lekarza sądowego i wysiadł z niego Quade Pickler.

- Witam ponownie - powiedział, ruszając w jej kierunku. W powietrzu unosiły się obłoczki jego oddechu. - Podobno znalazła pani ciało?

Kate skinęła głową.

- Policja już spisała moje zeznania. Właśnie miałam odjeżdżać. Stuknięciem wysunął z paczki papierosa i ją poczęstował.

- Zapali pani?

- Dzięki. - Wzięła papierosa, Pickler go zapalił, a potem przytknął płomień do swojego.

- To panią zabije.

- Fakt. - Nie lubiła go.

Stali obok siebie na ścieżce, wydmuchując kłęby dymu. Jeśli pominąć te jego oceniające oczy, Picklera można by uznać za przystojnego na mdły sposób. Był dobrze po pięćdziesiątce, miał krótkie potargane siwe włosy, które sterczały w różne strony, kwadratową szczękę i kozią bródkę. Pachniał tak samo jak jej ojciec. Old spice'em.

- Dlaczego nie wierzy pan Palmerowi Dysonowi? - zapytała. - W kwestii Susie Gafford?

Uśmiechnął się.

- Pani najwyraźniej uwierzyła już w te brednie.

- Tak? Nie jest pan tym zainteresowany? A jeśli się pan myli?

Pickler patrzył na nią uważnie, jego nozdrza się rozszerzały.

- Nie można kwestionować faktów. Sam dokonałem autopsji. Ofiary uduszenia często przygryzają sobie język, drapią się w szyję i twarz, próbując się uwolnić. Na rękach i ramionach mają rany od prób odpierania ataku napastnika. Nawet mała dziewczynka zacznie walczyć o życie, jeśli odetnie się jej dopływ

powietrza. Nie znaleźliśmy żadnych ran świadczących o próbie obrony, żadnych śladów za paznokciami. Ona nie drapała ani nie gryzła napastnika.

Zamilkł i głęboko się zaciągnął, po czym mówił dalej:

- Kiedy zniknęła, przeszukaliśmy olbrzymi obszar. W końcu psy zaczęły szczekać przy otworze opuszczonej studni; kilka z zakrywających ją desek się złamało. Pojawiła się policja lokalna i stanowa, wozy strażackie, karetki. Po kolei próbowaliśmy ją wyciągnąć, ale było bardzo ciasno. W końcu opuściliśmy w dół szybu kamerę i na monitorze zobaczyliśmy małe warkoczyki Susie i koszulkę w dinozaury. Nienaturalnie skrzycone ciało leżało na dnie studni. Mieliśmy nadzieję na szczęśliwe zakończenie. Ale nie wszystko kończy się tak, jak byśmy chcieli.

- A skąd się wzięła blizna w kształcie półksiężyca na jej szyi?

- Rany na skutek uderzenia mogą wywoływać na skórze stłuczenia i otarcia. W ścianie szybu było wiele wystających kawałków skał i kamieni. Proszę posłuchać - dodał Pickler - nie mam nic przeciwko Dysonowi. Kiedyś był dobrym gliniarzem. Ale ta jego pięta achillesowa to przekleństwo. Mógłbym omówić z panią wszystkie przypadki, ale... - Rzucił niedopałek na ziemię i zdusił go butem. - W każdym razie Palmer jest już na emeryturze. Powinien cieszyć się życiem, zamiast koncentrować się na swoich głupich hipotezach. Miłego dnia, pani doktor. - Lekarz sądowy ruszył w stronę domu.

Kate usłyszała dzwonek telefonu i spojrzała na ekran.

- James?

- Tylko się melduję. Jak się miewasz?

- Nie za dobrze. - Potarła czoło, usiłując wymazać sprzed oczu obraz krwi. - Jestem w New Hampshire - wykrztusiła. - Stało się coś złego...

- Kate, co się dzieje?
- Nelly Ward nie żyje. Prawie potknęłam się o jej ciało.
- Co? - W głosie Jamesa zabrzmiała panika. - Jak to się stało?
- Pojechałam, żeby się z nimi zobaczyć, drzwi były otwarte, weszłam do środka i...

- Jezu! - syknął James. - Nic ci się nie stało?
- Nie, fizycznie nie. Ale policja zabrała mi ubranie.
- Co? Dlaczego?
- Bo pośliznęłam się w kałuży krwi - odparła ze szlochem. - Miałam ją wszędzie. - Kilka razy głęboko odetchnęła. - To było okropne, James. Ktoś uderzył ją młotkiem. Wszystko było zalane krwią.

- Okej. Posłuchaj, jadę do domu.
- Nie rób tego... - poprosiła automatycznie.
- Gdzie teraz jesteś?
- W Wilamette. Ale policja pozwoliła mi odjechać.
- Jesteś w stanie prowadzić?
- Tak, oczywiście. - Jej ręce drżały.
- Muszę jeszcze załatwić kilka spraw, a potem ruszam do domu.
- Jak się czuje Vanessa? - Przypomniała sobie o matce Jamesa.
- Nieźle. Znaleźliśmy dobrego rehabilitanta i prowadzimy rozmowy z kilkoma pielęgniarkami do opieki w domu. Wiesz, Kate?

- Co?
- Kocham cię.
- Ja też cię kocham. Do zobaczenia - powiedziała i się rozłączyła.

Czterdzieści minut później, w połowie drogi między Blunt River a Bostonem, wjechała na parking przy szosie i zadzwoniła do Palmera.

- Właśnie się o tym dowiedziałem - oznajmił. - Od mojego kolegi Ramseya. Trzymasz się jakoś?

- Tak sobie. - Przełknęła ślinę, czując palenie w gardle. - Ciągle mam ten obraz przed oczami. Biedna Nelly.

- Z czasem zblednie, uwierz mi.

- Policja uważa, że to zrobił Derrick. Szukają go. Rozesłali list gończy w całym stanie.

- O tym nie wiem.

- Ale policja mówi, że zostawił ślady.

- Nie sądzę, żeby on ją zabił, Kate.

- Poważnie? To powinieneś zobaczyć pokój Maddie. Na łóżku znalazłam pasy do wiązania, to ohydne. Myślę, że ją molestował i zapewne dlatego ona sama siebie rani. To klasyczna projekcja...

- Nie. Te zabezpieczenia w łóżku są dla jej dobra. Nelly wyjaśniła mi to lata temu. Jeśli na noc jej nie przywiążą, wstaje z łóżka i się rani.

- O Boże. - Kate zamrugwała. - Ale mnie Nelly mówiła, że Derrick ją bije, a Maddie właściwie przyznała, że ją też bije. I przychodzi mi na myśl tylko to, że Nelly musiała oskarżyć go o molestowanie córki, i dlatego ją zabił.

- Nie, Kate. To do niego niepodobne.

Zamilkła na chwilę sfrustrowana.

- Policjanci byli o tym przekonani.

- W takim razie powinienem go znaleźć przed nimi. Derrick trzyma w samochodzie broń. Oni najpierw będą do niego strzelać, a pytania zaczną zadawać później.

Zapadła chwila wymownej ciszy.

- Palmer - rzekła miękko Kate. - Chyba się do tego nie nadaję.

- Ale Kate...

- Przykro mi. To dla mnie zbyt przerażające.

- Rozumiem - odparł zachrypniętym głosem. - Słuchaj, gdybyś kiedyś czegoś potrzebowała...

- Do widzenia, Palmer. Życzę powodzenia.

39

Było już późne popołudnie, gdy dotarła do domu w Cambridge. Czuła się obnażona i podatna na zranienia. Usiadła na brzegu łóżka, zrzuciła buty i przyjrzała się zaschłej krwi za paznokciami. Potem zamknęła oczy i odmówiła krótką modlitwę. Szkoda, pomyślała, że Nelly miała tak ciężkie życie. Obiecała sobie dopilnować, by życie Maddie potoczyło się inaczej.

Ale teraz musi coś zrobić. Wzięła długi prysznic, ubrała się, włożyła ciepłą kurtkę i zeszłoroczne kozaki, złapała kluczyki i pojechała do szpitala.

Pielęgniarki powitały ją bojowym okrzykiem.

- Cześć, pani doktor! Wiele pani straciła. Dziś mamy dzień dramatów.

- Odetchnijcie głęboko, drogie panie. Jakież wiadomości?

Yvette podała jej plik różowych karteczek.

- Obawiam się, że pani ulubiona pacjentka znowu się pocięła.

Kate włożyła karteczki do kurtki i ruszyła na oddział dziecięcy. Pokój socjalny był pełen dzieci powyżej ośmiu lat i nastolatków kłócących się przy grach w boggle'a, tryktraka i wideo. Dwa razy dziennie dzieciaki ustawiały się w kolejce po leki, a większość z nich po prostu chciała wracać do domu.

Kate znalazła Maddie w jej pokoju. Asystentka siedziała ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, zapisując w tablecie postępy osiągnięte tego dnia, Maddie zaś siedziała w łóżku, tuląc do siebie nowiutkiego pluszaka. Był to różowy pudel ze zwisającymi uszami.

Kate dała Claire parę chwil wolnego i przysunęła sobie krzesło.

- Jak się czujesz?

Dziewczynka milczała. Chmury za oknami rozproszyły się, przepuszczając promień słońca, który na moment oświetlił twarz i złote rzęsy Maddie. Kate po raz kolejny uderzyło niesamowite podobieństwo dziewczynki do Savannah – taki sam zadarty nosek i dziwnie jasna skóra oraz włosy. Na ramieniu Maddie był nowy opatrunek. Słońce znowu zniknęło za chmurami.

- Gdzie pani dzisiaj była? – zapytała Maddie, patrząc na nią z zaciekawieniem.

- U twoich rodziców. – Kate nie miała pojęcia, jak mogłaby inaczej to powiedzieć. – I niestety mam złe wieści. – Gdy Maddie patrzyła na nią wyczekująco, oznajmiła: – Kochanie, twoja mama odeszła.

- Odeszła? – Dziewczynka zamrugła, nic nie rozumiejąc. – Dokąd?

Twoja mama nie żyje. Cztery proste słowa. A jednak całe lata praktyki nie przygotowały jej do tego. Nie przygotowały jej do tego także własne okropne dramaty. Jak się mówi dziecku, że jego mama nie żyje? Jak złagodzić ten cios? Prawdę powiedziawszy, nie istnieje żadne miękkie lądowanie. Rzeczywistość jest bezkompromisowa i bezlitosna. Doświadczenia Kate ze śmiercią nie sprawiły, że potrafiła lepiej niż inni przekazywać tego rodzaju wiadomość. Śmierć to koszmar, z którego człowiek po prostu nigdy się nie budzi.

- Dziś rano twoja mama odeszła z tego świata, Maddie.

Oczy dziewczynki zwęziły się niebezpiecznie.

- Nie, nie odeszła.

- Tak mi przykro. – Kate czekała, aż informacja dotrze do jej świadomości.

- Nie wiem, czy dobrze panią usłyszałam – rzekła Maddie z uporem.

- Wiem, trudno jest to zrozumieć. Dziś rano odeszła twoja mama.

Maddie zaczęła się kołysać w przód i w tył.

- Nie wierzę pani! To pomyłka. Ona nie może umrzeć!

- Bardzo mi przykro, Maddie. - Jedynym pocieszeniem, jakie przyszło Kate do głowy, było to, że smutek z czasem osłabnie, choć jest to parszywa nagroda pocieszenia.

- Co się stało? - zapytała z płaczem Maddie. - Jak mama umarła?

- Ktoś bardzo ją zranił. Policja stara się ustalić, kto jest za to odpowiedzialny.

Rozpacz Maddie wzrosła.

- Ktoś ją zabił?

- Tak, Maddie. Strasznie mi przykro.

- Gdzie jest mój ojciec?

- Nie wiadomo.

- To po mnie nie przyjedzie?

- Nie.

W jej oczach zabłyśł strach.

- Co oni mu zrobią?

- Nie wiem. Pracują teraz nad szczegółami. Z tego powodu jutro przyjdzie do szpitala policjant. Oni chcą z tobą porozmawiać.

- Porozmawiać o czym?

- O twojej mamie i ojczymie - odparła Kate. - Chcą ci zadać kilka pytań dotyczących twojego życia w domu. Czy sobie z tym poradzisz? Bo zawsze możemy przełożyć to o kilka dni.

Gdy detektyw Johnson zawiadomił ją o swej wizycie, zaprotestowała, wyjaśniając, że Maddie źle się czuje, ale nie widziała sposobu, by uniknąć tej rozmowy.

Maddie znów zamilkła. Już się nie kiwała, tylko w oszołomieniu tuliła do siebie różowego pudła. Kate wiedziała, że zaraz znajdzie się w stanie szoku.

Delikatnie wyjęła pudła z rąk Maddie i osłuchiwała jej serce. Zbadała źrenice i puls. Znalazła zapasowy koc, otuliła nim drżące nogi dziewczynki i skłoniła ją do wypicia wody. W końcu zapytała:

- Czy mogę coś zrobić, żeby ci pomóc? Chciałabyś o tym porozmawiać?

Maddie złapała szybko pudła i znów zaczęła się kołysać. A potem zaczęła krzyczeć.

Gdy Kate nacisnęła dzwonek, Yvette natychmiast przybiegła z zastrzykiem i tabletkami. Maddie połknęła dwie tabletki i popiła je wodą, po czym znów zaczęła histerycznie krzyczeć. W końcu jej krzyk przeszedł w coś w rodzaju rytmicznego łkania.

Kate siedziała przy niej, aż leki zadziałały i szloch ucichł. Dziesięć minut później puls odzyskał swój normalny rytm, a dziewczynka się uspokoiła.

Kate zachęcała Maddie do rozmowy o codziennych rzeczach, by skierować jej myśli na inne tory.

Dotknęła uszu pudła i zapytała:

- Czy jest nowy?

Maddie kiwnęła głową.

- Doktor Ira mi go dał.

- Doktor Lippencott?

- Przyszedł dzisiaj do mnie. Pogadaliśmy sobie.

- Rozmawiałaś z nim?

- Bardzo go lubię. A pani też go lubi?

- Bardzo.

- On mówi, że teraz będziemy rozmawiać już codziennie.

- Ty i doktor Ira?

Maddie sennie pokiwała głową i zamknęła oczy, odcinając się od świata.

40

Kate wpadła do gabinetu Iry. Siedział za biurkiem i przeglądał dokumenty.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że przejmujesz prowadzenie Maddie?

Podniósł głowę i westchnął z rezygnacją.

- Usiądź, Kate.

- Dlaczego nie skonsultowałaś tego ze mną?

- Siadaj - powtórzył.

Posłuchała go.

W gabinecie pachniało pastą do podłogi. Stos papierów w skrzynce spraw do załatwienia sięgał pół metra. Ira odłożył długopis i oparł złożone ręce na blacie biurka.

- Czy przekazałaś tę smutną wiadomość naszej pacjentce?

Kate skinęła głową.

- Przed chwilą.

W drodze powrotnej z Bostonu zawiadomiła Irę o egzekucji Blackwooda i śmierci Nelly. Oboje się zgodzili, że to Kate przekaże tę wiadomość Maddie.

- Jak to przyjęła?

- Teraz odpoczywa.

- Okej - powiedział Ira. - Właśnie skończyłem rozmowę z prawnikiem McCormacków. Postanowili wnieść pozew. Miejmy nadzieję, że sprawa szybko się zakończy. Ktoś z Działu Zarządzania Ryzykiem teraz z nimi rozmawia, omawiając możliwość ugody. - Kate potarła nos. - A co do sedna sprawy... chcę, żebyś wzięła trochę wolnego. To polecenie.

Zamrugła.

- A więc przejmujesz przypadek Maddie?

- Chwilowo. Do czasu, aż wszystko się ułoży. Pora skonfrontować się z faktami, Kate. Jesteś teraz pod ogromną presją i właśnie z tego powodu mamy urlopy i zwolnienia chorobowe. Rozumiesz?

Kate zrozumiała tylko tyle, że szpital uważa ją za obciążenie.

- Ile zgromadziłaś dni urlopu? - zapytał.

- Nie wiem - mruknęła. - Cztery albo pięć.

- Dni?

- Tygodni.

- Serio?

- To przechodzi z roku na rok.

- Cii. Jesteś jak cyborg albo już sam nie wiem. Okej, lubisz pracować, i to jest godne podziwu. Ale na co oszczędzasz ten urlop? Nie powinienem wywierać na ciebie presji.

- Jesteśmy w środku kryzysu. Właśnie powiedziałam Maddie o jej matce...

- Mam do ciebie pytanie, Kate - przerwał jej Ira. - Czy teraz, właśnie teraz potrafisz być obiektywnym terapeutą? Najpierw obserwowałaś egzekucję człowieka, który zabił twoją siostrę. Potem natykasz się na zabójstwo... To za wiele. - Wyrzucił do góry ręce. - Czy zdajesz sobie sprawę, jak źle to wygląda? Czy pojmujesz, w jakiej stawiasz nas sytuacji?

- Nadal potrafię zachować obiektywność wobec swoich pacjentów - upierała się.

- Spójrzmy prawdzie w oczy. - Pochylił się w jej stronę. - Musisz się odsunąć. I to już.

Kate poczuła narastającą złość.

- Odsunąć od czego? Od kiedy to oczekuje się od nas, że będziemy się odsuwali od pacjentów w środku kryzysu? Właśnie

powiedziałam Maddie, że jej mama nie żyje. Ona mnie teraz, właśnie teraz potrzebuje...

Stanowczo potrząsnął głową.

- Nigdy nie stracę w ciebie wiary, Kate. Próbuję ci pomóc. -
Gdy posępnie pokiwała głową, oznajmił zdecydowanym tonem: -
Okej. Chcę, żebyś wzięła dwa tygodnie urlopu, poczynając od
dziś. A nie za pół roku.

- A co z moimi innymi pacjentami?

- Poprosiłem Yvette, żeby zmieniła terminy ich wizyt. Twój
kalendarz jest czysty. Od tej chwili jesteś wolna.

- Wolna - powtórzyła głuchym głosem.

- Wróć do nas odświeżona i wypoczęta. Nie będę ci zlecał
nowych przypadków, dopóki wszystko się nie ułoży. Zaczniemy od
dwóch tygodni i zobaczymy, co będzie dalej. Jeśli zajdzie potrzeba,
zawsze możemy przedłużyć to do czterech.

- Czterech? Czy jestem stąd usuwana siłą, Ira?

Pochylił się w jej kierunku i zniżył głos.

- Wręcz przeciwnie. Próbuję cię zatrzymać.

- Doprawdy? Bo odnoszę wrażenie, że właśnie mnie wyrzucasz.

- Postarajmy się niczego nie prowokować, dopóki nie wyjaśni
się kwestia pozwu sądowego, okej? Nie powinnaś wplątywać się
w sprawę następnej zaburzonej nastolatki i jej zamordowanej
mamy. - Jego głos stał się łagodniejszy. - Słuchaj, czasami
potrzebujemy przyjaciół, żeby przypomnieli nam, że jesteśmy
tylko ludźmi. - Uśmiechnął się do niej zachęcająco. - To nic
strasznego, prawda? Trochę odpoczynku?

- Chyba nie.

- Jedź do domu. Pogadamy za dwa tygodnie. Zobaczymy, jak
wygląda sytuacja.

Wróciła do siebie całkowicie wyczerpana. Ira miał rację. Była zdeklarowanym pracoholikiem, który nie umie odpoczywać. Zbyt głęboko w to zabrnęła. Nie powinna zgadzać się, by Maddie Ward została jej pacjentką. Być może teraz dostała szansę na odzyskanie kontroli nad swym życiem.

Stała przed oknami salonu i patrzyła na gasnące promienie słońca odbijające się od sopli na dachach domów po drugiej stronie ulicy. Poczowała ochotę na papierosa, zapagnęła jakiejś odmiany. Wkrótce wróci do domu James, po raz pierwszy od trzech dni. Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo za nim tęskni. Znalazła książkę kucharską matki i postanowiła zaskoczyć go wyszukaną kolacją. Coś francuskiego w stylu Julii Child.

Tej nocy się kochali.

Następnego dnia wczesnym rankiem James pojechał do Massachusetts General. Kate niespokojnie kręciła się po mieszkaniu, aż w porze lunchu, nie mogąc dłużej znieść bezcelowości swoich działań, postanowiła udać się do szpitala i przywieźć trochę teczek z dokumentami. Skoro została usadzona na ławce rezerwowych, przynajmniej może nadrobić zaległości.

Kiedy gromadziła dokumenty, zauważyła, że słoik z peanutsami zniknął. Rozejrzała się po gabinecie, przeszukała szuflady, zajrzała nawet do kosza na śmieci. I nic. Orzeszki zniknęły.

Kate, podobnie jak jej współpracownicy na tym samym piętrze, nigdy nie zamykała drzwi do gabinetu, ponieważ dostęp do tego skrzydła szpitala był ograniczony. Rozmasowała gęsią skórę na ramionach i jeszcze raz się rozejrzała, jakby jakimś cudem orzeszki mogły pojawić się ponownie. Jej frustracja przeszła

w złość. Wyszła na korytarz i zawołała:

- Cześć, koledzy! Czy ktoś z was był niedawno w moim gabinecie?

W drzwiach pojawiły się głowy.

- Czy widzieliście, jak ktoś wchodzi do mojego pokoju? Spence? Raj?

Koledzy zaprzeczyli.

- Nie, Kate. Przykro nam.

- A Jerry?

Wzruszyli ramionami.

- Chyba nie.

Podziękowała im i ruszyła w stronę gabinetu Jerry'ego, znajdującego się na końcu korytarza.

- Czy zabrałeś z mojego pokoju orzeszki? - zapytała niespokojnym głosem.

- Orzeszki? Jakie orzeszki? - Jerry miał twarz okrągłą jak tarcza staromodnego zegara i małe wilgotne oczy.

- Och przestań, Jerry. Przyznaj się.

- Do czego?

- Chodzi mi o słoik palonych orzeszków. Bardzo śmieszne.

- Przepraszam. - Wzruszył ramionami. - Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Któregoś dnia w moim gabinecie pojawił się słoik orzeszków, a teraz zniknął.

- Co, orzeszki? To jakiś kiepski żart.

Wróciła do gabinetu. Usiadła przy biurku, odpowiedziała na kilka mejli, a gdy miała zamiar włączyć komunikat informujący o nieobecności w pracy w odpowiedzi na nadchodzące mejle, zauważyła mruganie automatycznej sekretarki. Odsłuchiwała nagrane wiadomości. Trzy były związane z pracą, czwarta

pochodziła od ojca:

- Cześć, Kate. Prosiłaś, żebym czasem zadzwonił, no a właśnie usłyszałem, co się stało. Złe wieści szybko tutaj się rozchodzą... Chciałbym być takim ojcem, na którym dzieci mogą polegać, a nie człowiekiem, jakim się stałem... No cóż, wziąłem dziś dzień wolny, żeby załatwić kilka spraw, ale przez większą część dnia będę w domu. Zadzwon do mnie, jeśli zechcesz. Do widzenia.

Były to najcieplejsze słowa, jakie od niego kiedykolwiek usłyszała. Może wreszcie ma szansę? Zgarnęła kluczyki, włożyła kurtkę i opuściła szpital. Jeżeli uda się o matce porozmawiać z ojcem od serca, chciała zrobić to w cztery oczy.

Półtorej godziny później wjechała na pusty podjazd domu ojca. Forda rangera nadal nie było. Okej, ojciec wspominał, że ma kilka spraw do załatwienia. W porządku. Ma czas. Poczekaj.

Na horyzoncie gromadziły się ciemne chmury. Spod doniczki w ogrodzie wyjęła zapasowy klucz i weszła do środka. W przypominającym muzeum wewnątrz panowała cisza. Co to za sprawy? - zaczęła się zastanawiać. Co ojciec robi w wolnym czasie? Jeździ po okolicy bez celu? Odwiedza przyjaciół? A czy on w ogóle ma przyjaciół? Czy chędoży swoją sekretarkę, tę siwowłosą damę, która ma siedmioro wnuków? Wysoki procent lekarzy uzależnia się od leków. Czy ojca też to spotkało? A może umawia się z prostytutkami? Albo uprawia hazard? Poświęca czas na realizację szczytnych celów? Chodzi do kościoła? Nie miała pojęcia. Ojciec był dla niej tajemnicą.

Ruszyła na górę do swojego dawnego pokoju, który od ponad dziesięciu lat się nie zmienił. Półki były pełne książek Carla Junga, Jean Piaget i Abrahama Masłowa. Na biurku leżały jej dawne kosmetyki i krzykliwe szminki. Ściany zdobiły plakaty muzyczne: U2, Nirvana, Pink. Nieszczęsne staromodne okna

wychodziły na podwórko. Siedząc w tym bujanym fotelu, Kate obserwowała zmieniające się pory roku, marząc jednocześnie o tym, jak to zostanie słynnym psychiatrą i odkryje lek na chorobę swojej matki.

Nagle usłyszała hałas i ruszyła w stronę holu.

- Tata?

Nie usłyszała nic oprócz wiewiórek na dachu. Albo myszy w ścianach.

Od dziesięcioleci nie wsunęła stopy do pokoju rodziców. Zawiasy drzwi z drewna klonowego zazgrzytały. Podłoga z twardego drewna wydawała trzaski i skrzeki we wszystkich znanych miejscach. Kilka lat temu Bram przeniósł swój dobytek na dół, lecz rzeczy Julii pozostawił nietknięte, podobnie jak łoże z baldachimem z rzeźbionymi słupami, szafkami nocnymi do kompletu, ciężką komodą i spłowiałym perskim dywanikiem. Kate usiadła na łóżku, sprężyny zazgrzytały. Razem z Savannah rano wchodziły na to łóżko i tuliły się do rodziców, budząc ich. Wtedy ojciec często się śmiał.

Wstała i zatrzymała się przy komodzie. Przejrzała zawartość szuflad, dotykając koronkowych koszul nocnych matki, halek na ramiączkach, imitacji torebki Louis Vuittona i ciemnych okularów marki Ray-Ban. Tabletki antykoncepcyjne Julii zostały zużyte w połowie. Wszystko było przesiąknięte lekkim zapachem perfum Diora o nazwie Poison.

W garderobie wisiało mnóstwo ubrań z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Za sukienkami i spódnicami Kate znalazła kilka podpisanych pudeł do przechowywania rzeczy i wysunęła je, omijając flotyllę butów na wysokim obcasie. Uniosła pokrywę z napisem „Rzeczy zimowe” i przejrzała pachnące naftaliną ubrania, szaliki i rękawiczki. Między dwoma swetrami

z warkoczami było pudełko z biżuterią.

Wyciągnęła je zachwycona i podniosła wieko. Wyjęła garść bransoletek, naszyjników z paciorków i kolczyków w kształcie koła, szukając Człowieka na Księżycu, ulubionego naszyjnika matki. Oblał ją zimny pot, gdy przypomniała sobie ten długi srebrny naszyjnik z uśmiechniętym wisiorkiem w kształcie półksiężyca. Wisiorek wielkością odpowiadał ranie na szyi Susie Gafford.

Spanikowana wsunęła ręce w głąb pudełka, nie mogła jednak znaleźć naszyjnika. Doktor Holley wspomniał o przekonaniu matki, że część jej biżuterii została skradziona. Może jednak Julia nie była aż tak szalona? Może ten, kto ukradł biżuterię, zabił Susie Gafford? Może to William Stigler...? Zaraz, zaraz. O kradzieży biżuterii Julia była przekonana jeszcze przed pobytem w szpitalu. Jeszcze zanim poznała Stiglera. A więc to nie on. Kate potrząsnęła głową. A może to wszystko jest absurdalne? W latach dziewięćdziesiątych sprzedano zapewne z milion wisiorków w kształcie półksiężyca.

Wyciągnęła z garderoby resztę pudeł do przechowywania, mając nadzieję znaleźć gdzieś ten naszyjnik. Otworzyła pudło z napisem „Rzeczy dla dzieci” i pogrzebała wśród malutkich ubrań, grzechotek oraz innych zabawek. Trudno wprost uwierzyć, że była kiedyś tak malutka.

Wpadł jej w ręce ulubiony sweterek, niebieski kardigan z pomarańczowym tygrysiem naszytym na kieszonkę z przodu. Gdy go rozłożyła, ze środka wypadło kilka listów. Patrzyła przez chwilę na staranne pismo matki. Wszystkie koperty były zaadresowane do Brama. Kate zaczęła czytać:

Drogi Bramie!

Jak mogłabym to powiedzieć, żeby nie sprawić wrażenia nienormalnej? Jestem przedmiotem badań. Ktoś mnie obserwuje. Jakbym była częścią jakiegoś eksperymentu. Okej, to naprawdę brzmi dziwnie. Wczoraj na podwórku znalazłam martwą wiewiórkę. Co to znaczy? A moja lalka, moja ulubiona lalka – mówiłam Ci, co się z nią stało, prawda? Nie potrafię powiedzieć, czy niektóre z tych rzeczy, które niedawno mi się przydarzyły, zostały zrobione celowo czy nie. Czy coś takiego przydarza się innym ludziom? Czy tylko mnie? Jestem przekonana, że ktoś był w naszym domu, jakiś intruz, i wiem, że mi nie wierzysz, ale oni musieli włamać się tu bez śladu. Zdjęli ten obraz ze ściany w salonie i położyli go na stole w jadalni, pamiętasz? Krajobraz ze stodołą. Czy ja zwariowałam? A to zniknięcie mojej ulubionej lalki? Kto mógłby coś takiego zrobić? Musimy jakoś zareagować. Musisz mi uwierzyć.

Julia

Drogi Bramie!

Wiem, że chcesz, abym cierpiała. Musisz chcieć. To jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy, twojego chłodu, oddalenia, ledwie ukrywanej wrogości wobec mnie. Siedzę w tym okropnym miejscu, ponieważ mało brakowało, a podcięłabym sobie gardło, i to śmiertelnie mnie przeraziło. Mogłam siebie zabić, przeanalizowałam wiele sposobów i możliwości... ale zamiast tego wybrałam pomoc profesjonalną. No cóż, była to najlepsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłam. Doktor Holley jest taki wyrozumiały i empatyczny. Ludzie tutaj są cudowni. Sądzę, że chciałeś mnie ukarać, i dlatego tu jestem. Karałeś mnie codziennie swoją ostrą krytyką. Nigdy niczego nie potrafię zrobić dobrze. I mimo że teraz nie jestem w najlepszym stanie

psychicznym, to jednak jestem silniejsza i zdrowsza, niż byłam, jestem silniejsza z każdym dniem, i wkrótce zbiorę się na odwagę, żeby Cię opuścić. No, wreszcie to powiedziałam. Zabiorę z sobą dziewczynki, nie powstrzymasz mnie przed tym. Trzeba było mnie słuchać wcześniej.

Julia

Drogi Bramie!

Kocham Cię, naprawdę. Ale pytanie brzmi: gdzie się podziałeś? Gdzie jest mój kochający mąż? Co zabolalo Cię tak bardzo, że odsunęłaś się od jedynej w świecie osoby, która tak Cię kocha? Bo ja naprawdę Cię kocham, Bram, całym sercem. Nie rozumiem jednak Twojego zachowania i nie potrafię już z tym żyć. Sprawiasz, że źle o sobie myślę. Żyję, mam emocje, czuję i chcę. Ale nie mogę żyć w ścianach, które zbudowałeś wokół siebie. Czuję się tu jak w lochu. Coś się musi zmienić. Albo stawimy temu czoła razem, albo oddzielnie.

Julia

Kate pochłonęła szybko resztę listów. Niektóre były pełne paranoicznej gadaniny, która potwierdzała słowa doktora Holleya o urojeniach Julii: śledzące ją tajemnicze postaci, ściany przemawiające do niej „drapiącym językiem”; zwykłe przedmioty były w gruncie rzeczy mikrofonami. Inne jednak listy były poważne i nacechowane introspekcją. W kilku Kate znalazła aluzje do dawnych romansów, jakby Julia chciała drażnić Brama swoją niewiernością. Oskarżała go o to, że odcina ją od dawnych przyjaciół i nie pozwala jej być sobą. Tyle rzeczy poświęciła, żeby go poślubić: swoją wolność, wyższe wykształcenie, niezależność. Czuła, że się dusi, czuła, że jest niekochana.

Ostatni list Julii do Brama to przechwałki dotyczące jej życia

z Williamem Stiglerem - jak ją wspierał, jakim był dobrym słuchaczem, no i nie oczekiwał, żeby siedziała w domu i się nim zajmowała. Wreszcie znalazła mężczyznę, który pragnął, by była szczęśliwa i spełniona. Jakie to wyzwajające! Jakie to ożywcze! Julia skończyła list żądaniem rozwodu. Domagała się pełnej opieki nad córkami.

Kate wyobrażała sobie bezsilność ojca wobec zdrady matki. Nie mogła już dłużej czekać. Najwyższy czas, żeby coś wyjaśnić.

Jechała przez miasto w kierunku rozległego kampusu uniwersyteckiego. Tam znalazła miejsce do zaparkowania i doładowała iPoda, by znaleźć więcej informacji na temat profesora Williama Stiglera. Ukazały się setki artykułów i opracowań naukowych. Ponownie odszukała jego profil uniwersytecki i przejrzała długie CV. Był na studiach licencjackich na Uniwersytecie Columbia, a doktorat z socjologii zrobił na Uniwersytecie Nowojorskim. Do Blunt River przyjechał na stypendium podoktoranckie i zgromadził imponującą liczbę grantów prywatnych i rządowych. Był współautorem setek artykułów. Jakim cudem taki znany, zatrudniony na etacie profesora człowiek mógłby być seryjnym mordercą? Jeszcze raz przyjrzała się jego fotografii. Był dobrze po pięćdziesiątce, mniej więcej w wieku jej ojca, a jednak dzieliły ich lata świetlne. Stigler był ostentacyjnie przystojny, miał hipsterskie okulary, modną tweedową marynarkę i czarujący uśmiech.

Clarence Oberon Building znajdował się nieopodal The Dude, popularnej na kampusie kawiarni. Kate stanęła pod budowlą ze szkła oraz stali i słuchała wycia wiatru. Zanosiło się na silną burzę, wysoko na niebie zbierały się groźne kłębiaste chmury.

Rozległe lobby odznaczało się elegancją i nowoczesnością, a przylegający do niego bar studencki był pełen młodych mężczyzn w czapkach szerpów i kobiet w kurtkach patagonia. Wszyscy popijali cappuccino z czekoladą lub chai latte. Przez wysokie okna i świetliki wpadało do środka zgaszone zimowe światło. Kate wpisała się do księgi w recepcji i ruszyła w stronę wind.

Według tablicy informacyjnej gabinet Stiglera znajdował się na trzecim piętrze. Kate nacisnęła guzik i czekała, czując niepokój. Palmer się wścieknie, lecz jej ciekawość była niepohamowana. W każdym razie postanowiła zachować ostrożność. Po prostu chciała zerknąć na mężczyznę będącego głównym podejrzanym Palmera.

Wjechała windą na trzecie piętro i wysiadła na długim korytarzu. Gabinet Stiglera znajdował się na jego końcu, za dziekanatem i salami ćwiczeń. Zatrzymała się w odległości dziesięciu metrów od niego, przy tablicy informacyjnej. Odniosła wrażenie, że gabinet jest pusty – za matowym szlifowanym szkłem nie dostrzegła żadnego ruchu.

Wyminęła ją dziewczyna w pikowanej kurtce, przystanęła przed drzwiami gabinetu i zapukała.

- Profesorze Stigler? - Nacisnęła klamkę, ale drzwi były zamknięte. Dziewczyna nabazgrała coś na kartce, złożyła ją na pół, wsunęła pod drzwi i odeszła.

Gdy tylko zniknęła, Kate odważyła się zbliżyć do gabinetu. Stała przed drzwiami i przyglądała się przyklejonym do nich rysunkom satyrycznym z „New Yorkera”. „Ilu potrzeba socjologów, by wkręcić żarówkę? Jednego, ale żarówka musi podpisać zgodę”.

Poczuła za plecami czyjś obecność.

- Dzień dobry. Mogę w czymś pomóc?

Aż podskoczyła przestraszona.

- Czytałam sobie te tekściki.

- Rozluźnianie atmosfery.

William Stigler w jednej ręce trzymał kubek z kawą od Starbucksa, w drugiej klucze. Wyglądał dokładnie jak na zdjęciu, efekt wzmacniały uderzająco niebieskie oczy i starannie

przycięte, siwiejące nad czołem włosy. Emanował aurą optymistycznej życzliwości oraz otwartości, jakby chciał powiedzieć: oto nauczyciel, któremu możesz ufać. Żadnej cechy wskazującej na to, jakim według Palmera był człowiekiem.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał ponownie.

Kate się zaczerwieniła.

- Aplikuję o posadę na wydziale psychologii i interesuje mnie pana praca w Godwin Valley - skłamała.

- W takim razie proszę wejść. - Profesor Stigler ostrożnie trzymał w ręce kubek, gdy otwierał drzwi. Potem odsunął się i gestem wskazał Kate, by weszła pierwsza. - Przepraszam za bałagan. Jestem pewien, że złamałem ze dwa przepisy sanitarne, ale mniejsza z tym. - Posłał jej zuchwały uśmiech.

Kate się zawahała, stojąc w progu. Z okna gabinetu Stiglera widać było cudowny zimowy krajobraz kampusu. Biurko zalegały stosy papierów. Weszła do środka, czując się, jakby wkraczała pod piłę tarczową.

- Proszę usiąść. - Zamknął drzwi i wskazał skórzany fotel stojący przed biurkiem. Podniósł wsuniętą pod drzwi kartkę i rzucił ją na biurko, nie czytając.

Kate usiadła i nerwowo skrzyżowała nogi.

- Co mogę dla pani zrobić? Przepraszam, nie zapytałem o nazwisko.

Ku swemu zdumieniu Kate powiedziała:

- Sądzę, że pan znał moją matkę.

- Kim jest pani matka?

- To Julia Wolfe.

Nastąpiła wymowna chwila milczenia, podczas której profesor Stigler wypił kilka małych łyków kawy, potem odstawił kubek i oparł złożone ręce na biurku.

- Aha. Wobec tego mam do czynienia z Kate.

Sztywno skinęła głową.

Przyglądał się jej przez chwilę.

- Wie pani, zawsze się zastanawiałem, czy kiedyś się pani ze mną skontaktuje. I proszę, oto pani jest.

Kate poczuła, że robi się jej gorąco.

- Do wczoraj nie miałam pojęcia o pana istnieniu - oznajmiła. - Dopiero wczoraj dowiedziałam się o pana romansie z moją matką.

- Naprawdę? - Spojrzał na nią z powątpiewaniem. - Ojciec nigdy o mnie nie wspominał?

- Nie. - Pokręciła głową. - Dowiedziałam się od kogoś innego.

Mięśnie twarzy Stiglera się napięły.

- Wobec tego niech zgadnę. Palmer Dyson. Dlatego jest pani tutaj, prawda? Wysłał panią, żeby mnie pani szpiegowała.

No nie, ale się popisała. W dwie sekundy zawałiła sprawę. Palmer dostanie apopleksji.

- Nie, on mnie tu nie przysłał - powtórzyła z uporem. - Właściwie to mnie ostrzegł, żebym tu nie przychodziła.

- Pewnie. Bo ja jestem niebezpieczny. - Zaśmiał się. - Prawda?

Niechętnie pokiwała głową.

- Chryste. - Oczy Stiglera patrzyły zimno. - Po zniknięciu Makayli Brayden odniosłem mylne wrażenie, że mogę się przydać policji, ponieważ przy jednym z moich projektów przeprowadziłem wywiad z jej rodziną. Była tam historia alkoholizmu i przemocy domowej. Ale kiedy zgłosiłem się na policję, w głowie Dysona uruchomił się radar o seryjnym zabójcy. Od tej pory ma mnie na celowniku, nęka ludzi, dla których pracuję, narusza moją prywatność, rozmawia z kolegami, studentami, przyjaciółmi i sąsiadami. Przysięgam na Boga, jeśli to się nie skończy, podejmę kroki prawne.

- Jak już powiedziałam, on mnie tu nie przysłał - odparła stanowczym tonem. - Przyszłam tutaj z własnej woli.

- Dlaczego?

- Byłam ciekawa.

- Może pani coś wyjaśnię - powiedział, otwierając szufladę.

Poczuła napięcie, jej serce załomotało. Nie miała pojęcia, po co Stigler sięga. Zacisnęła dłonie na podłokietniku, gotowa rzucić się do ucieczki.

Wyjął puszkę Cavendish & Harvey Coffee Drops.

- Poczęstuje się pani? Nie? - Wrzucił jedną drażetkę do ust. - Kiedy zagięła Vicky Koffman, byłem w Niemczech na trzydniowej konferencji - wyjaśnił, ssąc drażetkę. - Kiedy zagięła Maggie Witt, miałem wykład na Uniwersytecie Bostońskim. Policja oczyściła mnie z podejrzeń. Detektyw Dyson o tym wie, ale nie może się powstrzymać. Temu facetowi przydałoby się nowe hobby.

- Palmer o tym wie?

- Oczywiście. - Profesor Stigler westchnął. - Chciałbym panią o coś zapytać. Czy jest pani idealnie normalną istotą ludzką? Bo ja nie. Jeśli coś mnie zaintryguje, nie mogę się temu oprzeć. Moja ciekawość jest chorobliwa. W gruncie rzeczy Dyson i ja jesteśmy bardzo do siebie podobni. Obaj mamy obsesję na punkcie rodzin dysfunkcyjnych i nierozwiązanych zabójstw. - Pochylił się w stronę Kate. - Jest pani bardzo podobna do matki, wie pani o tym?

Kate ze zdumieniem skinęła głową.

- Wywołała w szpitalu spore zamieszanie. Była olśniewająca i czarująca. I miała wielkie poczucie humoru. Wyciągała ode mnie papierosy i przesiadywaliśmy na werandzie. Dużo rozmawialiśmy. Była niesamowicie inteligentna. Ten jej śmiech... Głównie jej

słuchałem, a po chwili ona zaczynała się otwierać. W końcu musiałem usunąć ją z badań, ponieważ... no cóż, nasz związek się rozwinął.

- I dla pana to jest etyczne? Zakochanie się w pacjentce?

Wzruszył ramionami.

- Jej małżeństwo już nie istniało. Związek z pani ojcem był farsą. Miała zamiar go opuścić. Pani ojciec lubił wszystko kontrolować. Pod koniec nawet się go bała.

Kate zmarszczyła czoło.

- O czym pan mówi?

- Niedługo przed jej przyjściem do naszego szpitala pokłócili się i on ją uderzył.

- Nie, to niemożliwe. - Poczwała się dezorientowana. - Mój ojciec nigdy nikogo nie uderzył. On nie wierzy w kary cielesne.

Profesor Stigler wzruszył ramionami.

- Może wtedy pani tam nie było?

Kate przypomniała sobie coraz bardziej dziwaczne zachowanie matki, jej gwałtowne wybuchy. Bram jednak nigdy nie odpłacał się tym samym. Na ogół wsiadał do samochodu lub znikał w swoim gabinecie, zostawiając Julię, by lizała swoje wymagane rany. Milczenie oraz wycofywanie się stanowiły największą broń ojca.

- Była zdecydowana go opuścić - powtórzył Stigler. - Co mógłbym powiedzieć? Zakochaliśmy się w sobie. Chcieliśmy wziąć ślub. Poprosiła twojego ojca o rozwód, ale się nie zgodził. Co gorsza, zagroził, że przejmie całkowitą opiekę nad wami, dziewczynkami. Sądzę, że to właśnie pchnęło ją na skraj przepaści.

Kate wzdrygnęła się.

- Chwileczkę. Czy pan wini ojca za jej samobójstwo?

Westchnął.

- Wie pani, pogodziłem się z moją stratą dawno temu. Nikogo nie chcę przekonać w tej dyskusji. Po prostu wszystko pani wyjaśniam. Może pani wyciągnąć własne wnioski. Ja wiem tylko to, co pani matka mi powiedziała.

Kate przypomniała sobie o ich ukochanej kotce, Phoebe. Właściwie należała do Julii. Pewnego dnia jeden z sąsiadów przyniósł koszyk pełen kotków, a Julia wybrała najśłabszego z miotu. Ale Bram się zirytował, ponieważ tego z nim nie skonsultowała. Kotka ciągle plątała się pod nogami. Sikala na dywan i ignorowała kuwetę. Bram przeganiał Phoebe nogą i narzekał na wysokie koszty kociego jedzenia i rachunki od weterynarza. Kilka miesięcy później Savannah wrzasnęła, gdy na podwórku znalazła martwą kotkę, nad którą już brzęczały muchy.

- Ona chyba wiele rzeczy wyolbrzymiała - zaprotestowała Kate.

- Miała skłonność do dramatyzowania.

- Ale ja jej wierzyłem.

- Jak pan śmie go obwiniać!

- Proszę mnie posłuchać - rzekł spokojnie. - Przyszła pani do mnie, a ja skorzystałem z okazji, żeby podzielić się z panią moją wersją tej historii. Moją prawdą. Czy nie to właśnie mówi pani swoim pacjentom, doktor Wolfe? Stawiaj czoło prawdzie i poznaj siebie?

Kate poczuła zawrót głowy.

- Powinnam iść.

- Nie chciałem pani zdenerwować.

Wybiegła z gabinetu i ruszyła pędem korytarzem, czując, że przewraca się jej w żołądku. Dostrzegła toaletę i pchnęła drzwi, ale nie zdążyła dobiec do kabiny. Zwymiotowała na ułożone w szachownicę kafelki.

43

Telefon Kate już ledwo zipsał, wczoraj zapomniała go naładować. Próbowała skontaktować się z Palmerem Dysonem za pośrednictwem jego komórki, ale nie odbierał, zostawiła więc krótką wiadomość:

- Cześć, tu Kate. Musimy porozmawiać. Zadzwoń do mnie jak najprędzej.

Na pewno będzie zły z powodu jej spotkania z profesorem Stiglerem, ale jakoś sobie z tym poradzi.

Jechała przez miasto w kierunku swego dawnego domu. Stwierdziła z ulgą, że ford ranger ojca stoi na podjeździe. Wsiadła z samochodu, pospiesznie przeszła przez podwórko i zastukała do drzwi. Kilka sekund później ojciec je otworzył.

- Kate? Co tu robisz? - zapytał.

- Dostałam od ciebie wiadomość. Musimy porozmawiać - oświadczyła, otupując buty na macie.

- Wchodź. Właśnie zacząłem rozpakowywać zakupy.

W domu pachniało wyprawioną skórą i deszczem. Kate usiadła przy kuchennym stole, a ojciec zaczął parzyć kawę i chować zakupione rzeczy. Z łatwością sięgał do górnych półek i układał produkty zgodnie z datą ich przydatności do spożycia. Ostre fluorescencyjne światło ujawniało na jego twarzy skutki niszczącego działania czasu.

Kate postanowiła nie odpuszczać.

- Pamiętasz, kiedy umarła Phoebe?

- Ta kotka?

- Myśleliśmy, że ktoś ją otruił.

- Nie, to był jakiś wirus - odparł Bram.

- Naprawdę? Bo nie pamiętam, żeby była chora.
- Koty ciągle umierają. - Ojciec się zirytował. - O co ci chodzi?
- Myślę, że została otruta.

Kawiarka zapiszczała, zapach świeżo zaparzonej kawy wypełnił kuchnię.

- Skąd ten pomysł? - zapytał.

Kate postanowiła dotrzeć do sedna sprawy.

- Czy kiedykolwiek uderzyłeś mamę?

Ojciec wzdrygnął się bezwiednie.

- Uderzyłem? Nie. Dlaczego? O co chodzi?
- Czy uderzyłeś ją, zanim trafiła do Godwin Valley?

Ojciec skrzyżował ramiona na piersi.

- Kochałem twoją matkę. Dlaczego zadajesz mi te absurdalne pytania? Skąd ta wrogość?

- Tato. - Postukała palcem w blat stołu. - Ta rozmowa się odbędzie. Pytanie jest proste. Czy uderzyłeś mamę podczas kłótni? Czasem uderzamy kogoś ze złości. Nikt nie jest doskonały. Ona zachowywała się coraz bardziej nieobliczalnie... Może straciłeś panowanie nad sobą?

- Nie, Kate. - Ojciec pokręcił głową. - To nieprawda.
- William Stigler powiedział mi, że właśnie tak się stało.
- Kto? - Twarz ojca sposępniała. - Co powiedziałaś?
- Dziś się z nim widziałam.

Skrzywił się.

- A więc wiesz o nim i o matce.
- Tak.
- Od kogo?

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Mówisz serio? Sądziłeś, że uda ci się to ukryć przede mną na zawsze?

- Tak mi się wydawało.

- Dlaczego?

- Bobyś tego nie zrozumiała.

- A więc kazałeś mi myśleć, że wróciła do szpitala?

- To było tylko zauroczenie - upierał się. - Kiedy twoja matka wróciła ze szpitala, czułem najpierw ogromną ulgę. Uważałem, że wszystko zaczniemy od początku. Ale potem mi powiedziała, że zakochała się w kimś innym, choć wiedziałem, co to oznacza. Ona ciągle się zakochiwała. Twoja matka bała się miłości. Bała się zobowiązania. Uciekała z naszego małżeństwa, ale wiedziałem, że jeśli jej na to pozwolę, wróci. Zawsze wracała. Więc uznałem to za kolejny bluff i pozwoliłem jej odejść. Powiedziałem: „Zamieszkaż z nim, jeśli tego chcesz. Albowiem Bóg wie, że bycie w zgodzie z sobą jest ważniejsze niż małżeństwo i dzieci”. - Jego oczy były pełne bólu. - Sądziłem, że odzyska rozum i nasze życie wróci do normy. A po jej śmierci wszystko przestało mieć znaczenie. Odeszła, i nic nie mogło jej przywrócić.

- Prosiła cię o rozwód?

Niechętnie skinął głową.

- I zagroziłeś, że odmówisz jej opieki nade mną i Savannah?

- Nie. - Dwukrotnie mrugnął powiekami.

- Ale profesor Stigler mówił...

- On kłamie! - Ojciec uderzył pięścią w stół. - To nonsens, Kate. Całkowity absurd! Po pierwsze, twoja mama nie pojechała do szpitala dobrowolnie. Musiałem ją tam zawieźć. Widziałem, że traci kontrolę nad życiem i autentycznie się o nią obawiałem. Jej zachowanie stawało się niebezpieczne. Nie pamiętasz tego poranka, kiedy zdmuchnęła świeczkę w piecyku gazowym, odkręciła gaz i już miała zapalić zippo? Mało brakowało, a wysadziłaby w powietrze dom, z wami w środku! Musiałem jej

tę zapalniczkę wytrącić z ręki. I wielokrotnie uciekała z domu. Znajdowałem ją nad rzeką w przemoczonych butach. Myślała, że mówią do niej płaszczce i kurtki, i że w murach mieszka Zły, który przemawia do niej w „drapiącym języku”. Była w niezmiernie kruchym stanie psychicznym. – Bram usiadł przy stole i przycisnął dłońmi oczy. – Doktor Holley informował mnie o jej postępach, nawet wziąłem udział w kilku sesjach terapeutycznych. Poważnie myślałem, że jej stan się poprawia. – Spojrzał na Kate. – Nie chcę więcej o tym rozmawiać. To zbyt bolesne.

W domu panowała taka cisza, że Kate słyszała tykanie wszystkich zegarów jednocześnie. Brzmiało to jak zapalniki bomb w kreskówkach. Ojciec wstał i nalał do dwóch kubków kawy. Ostrożnie upił pierwszy łyk. Ręce mu drżały. Sprawiał wrażenie bardzo kruchego mimo swego wzrostu, mimo słusznego oburzenia. Kate nagle zrobiło się go żal.

– Tato, przepraszam, jeśli cię zdenerwowałam... ale ukrywałeś to przede mną przez całe lata i to nie jest w porządku.

Ojciec kiwnął głową.

– Masz rację, ale proszę, postaraj się zrozumieć. Zawsze pracowałem. Dwunasto- lub czternastogodzinne zmiany, przez sześć dni w tygodniu, żeby tylko utrzymać praktykę na powierzchni. Wiesz, jak to jest. Giniesz pod stosami papierzysk: formularzy ubezpieczeniowych, wyników badań laboratoryjnych, uwag klinicznych, przepisów federalnych, podatkowych. Ledwie starczało mi czasu na pacjentów, nie mówiąc o rodzinie. Kiedy Julia wróciła do domu ze szpitala, poczułem wielką ulgę. Wyglądała jak dawna dobra Julia. Paranoja minęła, więc pilnowałem, żeby brała leki i chodziła co tydzień na sesje terapeutyczne, ale to nie trwało długo. Wyglądało na to, że nasze życie razem nie miało już dla niej znaczenia.

- Czy straszyłeś ją, że będziesz się upierał przy opiece?

- Nigdy nie straszyłem twojej matki. Odrzuciłem jej żądanie o pełną opiekę. Zapowiedziałem, że o to będę walczył. Znowu stawała się dla was niebezpieczna, a nie mogłem na to pozwolić. Przestała brać lekarstwa. Zażądała wolności, więc ją jej dałem. - Zamilkł na chwilę. - Czy to wszystko? - zapytał szorstkim tonem, wstając.

Pomiędzy nimi pojawiła się dziwna drgająca energia, a Kate zadała sobie pytanie, czy nie był to jeden z tych czynników, który skłonił matkę do odejścia - jego wzrost, imponująca fizyczność, niezdolność prowadzenia trudnej rozmowy bez przyjmowania taktyki obronnej czy popadania w złość. Jego zraniona duma.

- Owszem, tato. Skończyliśmy.

Wstała i opuściła dom.

W samochodzie włączyła ogrzewanie i zaczęła bezmyślnie przerzucać kanały radiowe. Muzyka pop. Wszystko, by zagłuszyć to, co czuła.

Za oczami zaczął się pulsujący ból. W oddali gromadziły się chmury burzowe, wiatr kołysał sosnami wirginijskimi, karłowatymi drzewkami wyjętymi jakby z obrazu Salvadora Dali. Dalej przy drodze widniały nowsze zabudowania, wyjątkowo dużo domów wystawiono na sprzedaż.

Myśli Kate powędrowały ku Hannah Lloyd. Pod wpływem impulsu skręciła w lewo zamiast w prawo i jechała w stronę Balsams, gęsto zalesionej okolicy, gdzie dziesięć lat temu, tuż przy Kirkwood Road, znaleziono szczątki Hannah.

Dwadzieścia minut później zaparkowała na poboczu drogi, odpięła pas i wysiadła. Ostatni dom został kilometr za nią. Przeszła na drugą stronę ulicy i kierując się znakami, ruszyła w stronę szlaku turystycznego. Stary las stanowił część rozległego parku stanowego, który ciągnął się do sąsiednich okręgów miejskich. Był to wspólny skarb złożony z terenów leśnych i bagien, którego klejnotem koronnym była góra Summation w Greenville w stanie New Hampshire, która przyciągała turystów, rybaków i wspinaczy skałkowych z różnych stron. Region Balsams był unikatowy, obejmował zmarznięte północne drzewa o twardym drewnie, które majaczyły w powietrzu na wysokość około trzydziestu metrów – jodły balsamiczne, świerki czerwone, stare dęby – oraz niższy baldachim złożony z orzesznika, derenia i sosny wirginijskiej.

Słuchając chrzęstu śniegu pod stopami, Kate skierowała się

w stronę lasu, uświadamiając sobie, że do chaty nie jest daleko. Skalistymi ścieżkami dotarła w końcu do Parsons Road po drugiej stronie miasta. „Jej” stronie miasta. Nagle uświadomiła sobie, że od miejsca znalezienia zwłok Hannah Lloyd do chaty, z której zniknęła Savannah, prowadziła prosta droga.

Zawsze było dla niej tajemnicą, w jaki sposób zabójca zdołał porwać Savannah, a Kate ani żaden inny świadek nie zauważyli przy Parsons Road zaparkowanego pojazdu. Teraz odpowiedź stała się oczywista. Savannah została wyprowadzona z lasu w kierunku przeciwnym jednym z tych szlaków pieszych, mając zapewne przyłożoną do karku broń lub nóż do szyi.

Zaczął padać śnieg. W powietrzu unosiły się delikatne białe płatki. Kate ciaśniej owinęła szyję szalikiem i zadrżała, gdy wiatr się nasilił. Poczowała na ciele gęsią skórę. Okej, pora wracać. Leśny szlak musi poczekać.

Właśnie zawracała, gdy z dziesięć metrów dalej spostrzegła coś unoszącego się wśród drzew. Jakaś upiorna zjawa. Jakiś wir. Co to było?

Zamrugła i obraz zniknął. To pewnie złudzenie optyczne. Czuła zbliżającą się migrenę, obkurczające się naczynia krwionośne. Potrząsnęła głową i między drzewami zobaczyła fruujące barwne błyski – to kardynały szukały schronienia przed burzą.

Ponownie zlustrowała wzrokiem drzewa, no i proszę: tym razem nieco dalej drobna postać przemieszczała się przez las w kierunku wschodnim. Mocno przymrużyła oczy. Czy to sarna? Pies? Przeciążenie sensoryczne? Zmęczenie oczu? Coś takiego może spowodować stres. Nadmierna ilość kortyzolu uwolniona do krwi, w połączeniu z podprogowym pragnieniem, by zobaczyć coś, czego nie ma, sprawia, że podświadomość wypełni puste

miejsca. Eteryczne dziecko wędrujące przez zaczarowany las. „Urzeczenie” to termin używany czasem do opisu podzbioru radości. To stan intensywnego uniesienia, które się pojawia, kiedy przeżywamy coś, co nam znacząco poprawia nastrój. Kate teraz właśnie coś takiego odczuwała. Nie miała pojęcia dlaczego.

Trzask gałązki.

- Savannah? - zawołała.

Szybki ruch. Gdzie to się podziało?

Weź się w garść! - nakazała sobie. Tracisz rozum!

Musi sprawdzić, co to było. Śnieg trzeszczał jej pod stopami, gdy odważnie brnęła w las. Był niesamowicie piękny. Wiatr brzmiał jak syreni śpiew. Majestatyczne drzewa kołysały się, ich gałęzie skrzypiały niczym fotele na biegunach. Z gąszczu wyrwało się stadko ptaków, wrzeszcząc wniebogłosy. Śnieg wirował wokół niej, jakby tworzył największą śnieżną kulę świata. Brnęła coraz dalej, omijając połamane gałęzie, wystające skały, niespodziewane koleiny. Pomyślała, że musi poruszać się ostrożnie, jeśli nie chce skrócić karku.

Dotarła do miejsca, gdzie przecinały się dwa szlaki. Naprzeciwko niej ukazała się dwumetrowa skarpa. Gdy wspięła się na jej szczyt, przystanęła i się rozejrzała. Do kilku pobliskich brzoź przybito okrągłe plastikowe tarcze wielkości mniej więcej pomarańczy. Te kolorowe tarcze, umocowane wzdłuż szlaku na co dziesiątym drzewie, określały, jaki rodzaj działalności jest w parku dozwolony. Zielone dyski oznaczały trasy dla kolarstwa górskiego, czerwone dla jazdy konnej, a pomarańczowe wskazywały szlaki piesze. Nieoznakowane szlaki stanowiły własność prywatną, nieprzeznaczoną do użytku publicznego. Ze względów bezpieczeństwa wszystkie kolorowe tabliczki zostały ponumerowane, by w sytuacji, gdy ktoś się zgubi, służby

ratunkowe mogły ustalić jego położenie.

Maszerując przez ciemny las, Kate zastanawiała się, czy szesnaście lat temu Savannah widziała te tablice, czując we włosach letni wiatr, słysząc w podszyciu świerszcze, a także ciężkie kroki mężczyzny za plecami i wydawane szorstkim głosem groźby, by poruszała się szybciej.

Zeszła ze skarpy i przedarła się przez zwalony pień. Kontynuowała marsz trasą dla pieszych, aż trafiła na osuwisko gruntu. Pod śniegiem ukryte były zamarzniete kałuże. To tutaj, pomyślała. To jest miejsce, w którym spostrzegła przypominającą ducha dziewczynkę. Jak można było się spodziewać, na śniegu nie zauważyła żadnych śladów ludzi czy zwierząt.

Gdy na rzesach osiadły jej płatki śniegu, strzepnęła je mrugnięciem powiek. Popołudniowe powietrze było zimne niczym stal. Za starym kamiennym murem szlak dzielił się na dwie ścieżki.

Hu-hu, hu-hu-hu.

Obróciła się dokoła.

- Kate? - rozległ się przyniesiony przez wiatr cichutki głos.

Okolo dwudziestu metrów dalej, na szczycie zwietrzałego wzgórza, zauważyła jakiś kształt. Tkwił tam nieruchomo, niczym tornado zawieszony w powietrzu. Zamrugala, mając nadzieję, że kształt zniknie, ale patrzyła na nią dziewczynka. Nie, nie dziewczynka. Jakaś niewyraźna plama. Coś sugerującego postać dziewczynki.

- Savannah?

W głowie jej pulsowało. To obłąd. Zachowuje się jak szalona. Początek schizofrenii u dorosłych może wystąpić w każdym wieku, ale najczęściej po dwudziestce i trzydziestce. Czy to załamanie nerwowe?

Postać rozplynęła się w podmuchu wiatru.

Kate potrząsnęła głową. Musi być jakieś wyjaśnienie. Kołyszące się na wietrze gałęzie sosen. Wiatr podrywający w górę śnieg. Jej narastająca migrena.

Tracisz rozum, do cholery, pomyślała.

Skręciła w stronę pokrytego śniegiem wzgórza i zaczęła się na nie wspinać. Było bardziej strome, niż się wydawało, i ta wspinaczka nieźle ją zmęczyła. W powietrzu przed nią wirowały obłoczki jej oddechu. Ale na samym szczycie nic nie było.

Uderzył ją w twarz zawodzący wiatr. Pora wracać. Co jakiś czas w Balsams ginęli zagubieni turyści, zwłaszcza ci na tyle głupi, by wyruszać na wędrowkę zimą. Drzewa trzeszczały w porywach wiatru. Mama, pomyślała Kate, straciła orientację mniej więcej w moim wieku. Może tak właśnie to się zaczyna?

Rozpoczęła wędrowkę w dół wzgórza, lecz po dwóch minutach dotarła do ostrego spadku, którego nie dostrzegła z góry, i musiała zacząć wszystko od początku. Trik polegał na tym, by znaleźć zejście bez ukrytych półek skalnych. W środkowym odcinku drogi skały zostały pokryte przez zlodowaciałe łachy. Kate pośliznęła się i upadła, mocząc w śniegu rękawiczki oraz kurtkę. Wstała, otrzepała się i kontynuowała niebezpieczne zejście.

Gdy dotarła na dół, skierowała się w stronę Kirkwood Road, albo przynajmniej tak jej się wydawało, bo wkrótce potem szlak pieszy zmienił się w serię osuwisk i już nie wiedziała, gdzie się znalazła. Zawróciła, a tymczasem burza śnieżna rozpełtała się na dobre. Widoczność wynosiła niewiele ponad metr.

Po kolejnych dwóch minutach zdała sobie sprawę, że się zgubiła. Temperatura ostro spadła. Kate wybrała kierunek, ale szlak był tak podmyty, że musiała znów zawrócić. Po chwili

stwierdziła, że nie widzi już na drzewach kolorowych tabliczek. Musiała zejść ze szlaku publicznego na prywatny.

Znowu poczuła w głowie pulsujący ból. Plecak zostawiła w samochodzie. Zdjęła rękawiczki i zaczęła grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu aleve. Znalazła jedną pokrytą kłaczkami pigułkę i połknęła ją bez popijania, po czym odczekała chwilę i ponownie popatrzyła na wysokie drzewa. Nigdzie nie dostrzegła kolorowych tarcz. Ruszyła w stronę wzgórza średniej wielkości i dotarła do miejsca, gdzie szlak znów się rozwidłał. W którą stronę? W prawo czy w lewo?

W żadną, zdecydowała. Zaczęła wracać po swoich śladach, ale coraz gęstszy śnieg bardzo to utrudniał. Z olbrzymim wysiłkiem pokonywała lodowaty wiatr, ale widoczność wynosiła zaledwie metr. Nogi jej drętwiały. Zaczęła tupać butami w śniegu, by pobudzić krążenie, by nie spanikować. Panika tylko pogarsza sytuację. Z powodu paniki można zginąć. Padający śnieg pochłaniał ślady butów, jakie za sobą zostawiała.

Wyciągała szyję w poszukiwaniu kolorowych tabliczek, ale widziała jedynie śnieg i drzewa. W głowie jej dudniło. Dzwoniło w uszach. Obraz się zamazywał. Wyjęła telefon i popatrzyła na ekran. Mimo przerażającej sytuacji nie mogła się zmusić do tego, by zadzwonić pod 911. Jeszcze nie. Ryzyko upokorzenia było zbyt duże, znacznie gorsze niż sam fakt zgubienia drogi. Policja, ekipa ratunkowa, wezwanie ochotników. Wiadomość o jej żenującej przygodzie znajdzie się w wieczornych wiadomościach. „Dzisiaj podczas zamieci śnieżnej doktor Kate Wolfe straciła orientację w Balsams. Co robiła w tak odległym miejscu podczas śnieżycy, to wielka niewiadoma. Trzydziestodwuletnia Kate – psychiatra dziecięcy, siostra zamordowanej Savannah Wolfe – nie zabrała z sobą plecaka, kompasu, wody ani mapy. Pewne źródła sugerują,

że szukała ducha zmarłej siostry. Oglądają państwo wiadomości o jedenastej”.

Wokół cichutko padał śnieg. Ta zamieć powoli ją zasypie, centymetr po strasznym centymetrze. Śmierć przez powolne uduszenie.

Spojrzała na zegarek. Piętnaście po czwartej. Nie zostało wiele czasu. Za czterdzieści pięć minut zacznie zachodzić słońce. Jeśli aleve szybko nie zadziała, migrena sparaliżuje ją wyniszczającym bólem, który może trwać godzinami.

Śnieg. Drzewa.

Niech to cholera, zgubiła się.

45

Ponownie wyjęła telefon, ale był już prawie rozładowany. Miała ochotę zadzwonić do Jamesa, ale nie poradziłaby sobie z konsekwencjami. Byłby jej wiadomością śmiertelnie przestraszony, może nawet wściekły. „Co to znaczy, że się zgubiłaś w lesie? Jak, do diabła, to się stało? Nie znałaś prognozy pogody? O czym ty myślałaś, Kate?”. Pomijając wszystko, w tej chwili mogła jedynie wezwać pomoc, a to potrafi zrobić sama.

Lecz ekipa ratunkowa z SAR nie będzie w stanie ustalić miejsca jej pobytu, skoro znalazła się na prywatnym szlaku. Przez zmrużone oczy popatrzyła na drzewa. Nie dostrzegła żadnej kolorowej tabliczki. Może powinna zadzwonić do ojca? Ale on zapewne potraktuje ją surowo, a nie zniosłaby jego krytycyzmu. Potrzebowała kogoś zrównoważonego i nieoceniającego, kogoś, kto by przede wszystkim pojął, dlaczego się tu znalazła. Nie miała ochoty być zmuszana do udzielania wyjaśnień. Zadzwoniła więc do Palmera Dysona.

- Halo?

- Cześć, to ja. Kate. Zrobiłam coś naprawdę idiotycznego.

- Co się dzieje?

- Zgubiłam się w Balsams - odparła, usiłując stłumić drżenie w głosie.

- Jak to się stało?

- Słuchaj, telefon mi zaraz padnie. Zapomniałam go naładować.

- Okej, uspokój się. Znam ten obszar - powiedział Palmer. - Opisz mi, gdzie jesteś.

- Nie mam pojęcia. Kręcę się w kółko, no i pada gęsty śnieg.

- Gdzie zaparkowałaś?

- Przy Kirkland Road, niedaleko szlaku. Krążę już po tym lesie mniej więcej pół godziny.

- Jak głęboko weszłaś w las? Tak mniej więcej.

- Nie wiem. Chyba ze trzy kilometry.

- Czy widzisz na drzewach kolorowe tabliczki?

- Nie. Szukałam ich, ale jestem na szlaku prywatnym.

- Okej. Idź i mów, co widzisz. A więc co widzisz?

Brnęła przed siebie, walcząc z wyczerpaniem.

- Śnieg. Drzewa.

- To mi nie pomaga, Kate.

- Podszycie... kamienie, kilka głazów. Nie wiem, czego mam szukać - przyznała żalonym głosem.

- Dobrze. Słuchaj. Jeśli pójdziesz jeszcze kawałek dalej, musisz się natknąć na kamienne fundamenty albo starą studnię, coś w tym stylu.

- Okej. - Dotarła do miejsca, gdzie droga się rozdzielała. - O, jestem na rozwidleniu.

- W porządku. Wybierz jakiś kierunek i idź dalej.

- No dobrze. Skręcam w lewo.

- Widzisz może te tabliczki?

- Nie.

- Nie zatrzymuj się. Dalej nic nie widzisz?

- Jeszcze nie.

- Dobrze. Zawróć i skreć na rozwidleniu w prawo.

Posłuchała go.

- Dalej nic?

Zauważyła tabliczkę przybitą do jesionu.

- Tak! Widzę jedną. Jest pomarańczowa.

- Wspaniale. Jesteś więc na szlaku pieszym. Czy możesz odczytać numer?

- Dwa zero i jeszcze coś.
- Nie mogłabyś bardziej się postarać?
- Chwileczkę... - Spróbowała usunąć śnieg ręką.
- Kate?
- Sekundę. - W telefonie rozległy się nieprzyjemne trzaski. - Palmer?

Przez chwilę w telefonie panowała cisza.

- Palmer?

Aparat ożył.

- Kate?
 - Dzięki Bogu. Na chwilę straciłam zasięg.
 - No więc jaki jest ten numer?
 - Dwa zero dziewięć.
 - Dobra. Poczekaj.
 - Bateria mi się kończy - przypomniała mu płaczącym tonem.
 - Spokojnie. Oglądam teraz mapę - odrzekł. - Dwa zero dziewięć. Mam! Dokładnie wiem, gdzie jesteś. Mam domek niedaleko tego miejsca. Jest bliżej niż to miejsce na Kirkland Road, gdzie zostawiłaś samochód. Rozumiesz?
 - Tak. Co mam zrobić?
 - Trzymaj się szlaku przez jakieś dwie minuty, aż dojdiesz do następnego skrzyżowania szlaków pieszych. Powiedz mi, kiedy do niego dojdiesz.
 - Okej.
 - Nie spiesz się.
- Po kilku minutach mozolnego marszu oznajmiła:
- Dobra. Jestem na skrzyżowaniu.
 - Odczytaj numer z najbliższej tabliczki.
- Tym razem numer był wyraźny.
- Okej, dobrze. Masz teraz skręcić w lewo i pozostać na szlaku,

aż dojdiesz do następnego rozwidlenia, na którym skreścis w prawo. Ale uważaj. Jeśli w tym miejscu wybierzesz niewłaściwy szlak, znajdziesz się na czterokilometrowej pętli. A tego wolelibyśmy uniknąć.

- Dobrze - powiedziała, usiłując się skoncentrować.

- Po mniej więcej dziesięciu minutach dojdiesz do fundamentów starej farmy i znajdującej się nieopodal zardzewiałej pompy. Od fundamentów do pompy masz narysować w wyobraźni linię prostą. Ta wyobrażona linia wyprowadzi cię z lasu. Jasne? Czy to rozumiesz?

- Tak! - zawołała, usiłując przekrzyczeć głośny wiatr. - Rozumiem.

- Idź swoim tempem. Staraj się skupić. Spotkam się tam z tobą za dwadzieścia minut.

Telefon zasygnalizował niski poziom naładowania baterii.

- W pewnym miejscu natkniesz się na strumień, ale będzie zamrznięty...

- Palmer? Palmer?

Połączenie się przerwało.

Kate poczuła przyływ adrenaliny, gdy chowała telefon do kieszeni. Szła pod wiatr, z trudem przebijała się przez tumany śniegu. Zapadał zmrok. Groziła jej hipotermia. Twarz piekła ją od wiatru. Nogi jej zdrętwiały - miała wrażenie, że idzie jak na koturnach. Ale nie mogła sobie pozwolić na to, by coś schrzanić. W prawo na rozwidleniu... kamienne fundamenty... przejdź na drugą stronę drogi... i z powrotem wejdź na szlak...

Brnęła przez coraz wyższe zasy, pocąc się i przeklinając, aż wreszcie dostrzegła zrujnowane fundamenty pokryte cienką warstwą śniegu. Zlokalizowała zardzewiałą pompę i z ruin domu narysowała do niej w wyobraźni linię, po czym ruszyła

w wytyczonym kierunku. Z drzeniem opuściła szlak. Buty wpadały w ukryte dziury i jary pełne skał. Skupiła wzrok na jaśniejszej plamie za drzewami. Ta martwa przestrzeń mogła oznaczać tylko jedno. Polana. Droga.

Miała wrażenie, że trwa to wieczność, w końcu jednak udało jej się wyjść z lasu na nieutwardzoną drogę do transportu drewna. Odetchnęła z ulgą, obłoczki oddechu kierowały się na wschód. Prawie w domu.

Przebiegła na drugą stronę drogi i zlokalizowała szlak wiodący znów w głąb lasu. Około dziesięciu metrów dalej natknęła się na strumyk. Był zamarznięty. Przystanęła ostrożnie na ściętej lodem powierzchni i bezpiecznie dotarła na drugą stronę. W tej samej chwili zgasł ostatni promyk dnia. Tumany śniegu zaatakowały ją ze wszystkich stron. Wyjęła klucze i miniaturową latarką oświetliła sobie drogę. Posuwała się do przodu ze spuszczoną głową.

Pięć minut później zauważyła wnikające w ciemność snopy światła reflektorów. Gdy podeszła bliżej, zauważyła domek, a obok niego Palmera. Skierował w jej oczy światło profesjonalnej latarki, oślepiając ją na moment.

Potem krąg światła przeniósł się w inne miejsce.

- Kate? - zawołał, przekrzykując wycie wiatru.

Zaśmiała się ostatkiem sił, niemal się zakrztusiła, i najszybciej jak mogła ruszyła w jego kierunku.

46

Przytrzymał dla niej otwarte drzwi, oboje otrzepali śnieg z butów. Powiesił swoją kurtkę na wieszaku w małym holu, Kate umieściła swoją obok. Potem zrzuciła buty i w skarpetkach ruszyła za nim do kuchni.

- Rozgość się - powiedział, nastawiając kawę.

Usiadła przy kwadratowym stole z surowych desek i rozmasowała obolałe stopy. Burza śnieżna słabła. Z głośników w salonie płynął cichy głos Deana Martina śpiewającego podpiętym głosem starą piosenkę miłosną. Kate próbowała się uspokoić, ale nie przestawała dygotać.

- Nie mam zamiaru cię pouczać - zaczął Palmer - ale to było...

- Idiotyczne, wiem - dokończyła. - A tak przy okazji, to jest pouczanie.

Uśmiechnął się.

- Musisz zmienić skarpetki. Zaraz wrócę. - Zniknął na schodach.

Kate obejrzała stopy. Palce były spuchnięte i wrażliwe na dotyk, ale mogła nimi poruszać, a pulsowanie w nich ustało. W lewej nodze poczuła skurcz, więc masowała ją, dopóki mięśnie się nie rozluźniły. Nerwy miała napięte jak postronki. Musi powiedzieć Palmerowi o Williamie Stiglerze.

Palmer wkrótce wrócił, trzymając w ręce parę białych sportowych skarpetek, a Kate zapytała, gdzie jest łazienka. Wskazał hol. W wyłożonym biało-czarnymi kafelkami pomieszczeniu Kate zdjęła przemoczone skarpetki i włożyła suche. Potem przyjrzała się w lustrze swojej twarzy. Policzki miała czerwone, usta spękane. Zaczerpnęła głęboki haust

powietrza. Mogła w tym lesie zginąć. Umyła twarz ciepłą wodą i palcami przeczesła włosy.

Gdy wróciła do kuchni, Palmer napełnił kubki kawą, dodał dużo mleka i nasypał cukru. Kate szybko wypijała swoją porcję, rozkoszując się każdym łykiem.

- Widziałam się dziś ze Stiglerem - oświadczyła.

Jego postawa się zmieniła.

- Kate, nie.

- Chciałam go tylko zobaczyć, to wszystko. Ale zaczęliśmy rozmawiać.

Palmer potrząsnął głową.

- Nie powinienem ci o nim wspominać.

- Powiedział, że był w Niemczech, kiedy zaginęła Vicky Koffman, i w Bostonie, kiedy zaginęła Maggie Witt, więc policja wykluczyła go z kręgu podejrzanych. Twierdził, że o tym wiesz.

- Kate, posłuchaj mnie. Ten człowiek to wyjątkowy kłamca. Vicky Koffman zaginęła osiem godzin przed odlotem Stiglera do Niemiec. A matka Maggie Witt myślała, że jej córka jest u przyjaciółki, ale do niej nie dotarła; chronologia nie całkiem się zgadzała. Więc pozostał przedział pięciu godzin, kiedy różne rzeczy mogły się wydarzyć. Stigler mógł ją uprowadzić przed odlotem do Bostonu. A jednak mu uwierzyłaś.

Powoli pokiwała głową.

- Sprawiał wrażenie czarującego i sensownego...

- Stigler odpowiada profilowi. Rozwiedziony, nie ma dzieci. Jest właścicielem domu nad jeziorem z dużą działką, więc od sąsiadów dzieli go spora odległość. Potrzebował odizolowanego miejsca, gdzie mógłby realizować swoje fantazje. Z racji pracy kontaktuje się z ofiarami. Świetnie manipuluje ludźmi, oszukuje, jest bardzo inteligentny. Ma stanowisko profesora i do niczego nie można się

przyczepić. To znakomity kamuflaż. - Palmer potarł nos. - Musimy omówić jeszcze jedno.

Kate objęła się ramionami, lekceważąc ostry ból żołądka.

- Moim zdaniem twoja matka została zamordowana, a jej samobójstwo zostało upozorowane, tak jak wypadek Susie Gafford.

Kate wzdrygnęła się. Potrząsnęła głową.

- Nie. Ona zabiła się tak samo jak Virginia Woolf, napełniła kieszenie kamieniami i weszła do rzeki. Uwielbiała Virginie Woolf.

- Owszem, i Stigler doskonale o tym wiedział. Kamienie stały się częścią inscenizacji. Wtedy on i twoja matka razem mieszkali, ale ich związek nie był idealny. Sąsiedzi narzekali na hałasy, na kilka dni przed jej śmiercią z ich posesji dobiegały odgłosy głośnych kłótni.

- Zaraz, zaraz! - zaprotestowała wzburzona. - Czy chcesz mi powiedzieć, że profesor, którego dziś poznałam, zabił moją matkę i upozorował jej samobójstwo? Bo mnie przypominał każdego profesora, z jakim miałam do czynienia. Jest może trochę arogancki, ale niczym od innych się nie różni. Sprawiał wrażenie ciepłego i opiekuńczego, a mojej matce bardzo się to spodobało. Pragnęła uwagi. Mój ojciec potrafi być wyjątkowo chłodny.

- Ale nawet lepiej niż ja zdajesz sobie sprawę z tego, że psychopaci potrafią udawać empatię. Stigler miał alibi na większość tego dnia, w którym umarła twoja matka, ale nie na cały dzień. Nie ma świadków na dwie godziny, a to mnóstwo czasu, żeby kogoś zabić, uwierz mi. Oprócz tego nie zgodziłem się z patologiem co do czasu śmierci, co dawałoby mu dodatkowe dwie godziny. W tej sprawie jest mnóstwo wątpliwości, niestety niczego nie byłem w stanie wtedy udowodnić. Ale twoja matka

została skremowana. Nie możemy dokonać ekshumacji i kolejnej autopsji.

Wiatr uderzał w szyby nieregularnie, jakby dziecko waliło w nie pięściami. „Wpuście mnie. Zimno mi. Chcę jeść”.

- Twoja mama świetnie pływała, prawda? - ciągnął Palmer. To była prawda, Julia często chwaliła się nagrodami, które zdobyła w szkole na zawodach pływackich. Wody się nie bała. - Zanim człowiek utonie, mija od czterech do pięciu minut - tłumaczył - a to dużo czasu, żeby zawalczyć o powietrze. Nawet jeśli ktoś chce się zabić, instynkt przetrwania włącza się po mniej więcej trzydziestu sekundach, bez względu na to, jaki zamiar miał tonący. Poza tym lekarz sądowy utrzymywał, że nawet gdyby jej instynkt przetrwania zadziałał, wyczerpałyby ją silne prądy w połączeniu z obciążonymi kieszeniami. Orzekł, że rany na jej ciele powstały wskutek prądów, które pociągnęły ją z sobą i roztrzaskały o głazy.

Kate odetchnęła głęboko, czując mdłości.

- Mamy jednak do czynienia z osobą, która jest emocjonalnie rozchwiana - kontynuował Palmer, nie zważając na jej ból. - Są dowody, że piła. A jeśli twoja matka i Stigler tego wieczoru się pokłócili? A jeśli jechał za nią do rzeki samochodem? I jeśli tam nadal się kłócili, a on wykorzystał jej odurzenie i ją zabił? Jeśli uderzył ją w głowę, napełnił jej kieszenie kamieniami i wepchnął do rzeki?

Wstrząsnął nią dreszcz, jakby uderzył w nią prąd stworzony w wodzie przez płynącą łódź.

- Quade i ja spieraliśmy się w wielu sprawach, a to była jedna z nich. Historię chorób psychicznych twojej matki oraz ilość alkoholu w jej organizmie uznał za dowód potwierdzający jego hipotezę. Nie zostawiła żadnego listu pożegnalnego, ale

w przeszłości groziła, że się zabije. A według niego fakt, że w płucach miała pełno wody, stanowił dowód na to, że wskakując do rzeki, żyła. Kamienie w kieszeniach wskazywały, że decyzja, by skończyć z życiem, była świadoma. Sprawa zamknięta. Niemniej ja nadal uważam, że było to zabójstwo upozorowane na samobójstwo.

Patrzyła na niego szklanym wzrokiem.

- Czyżbyś sugerował, że Stigler zabił moją matkę i moją siostrę?

Palmer upił łyk kawy.

- Po godzinach czasem go śledziłem. Raz nawet wezwałem go na przesłuchanie, ale zagroził, że nas pozwie, nakazano mi więc się wycofać. Teraz jestem na emeryturze. Nie mam dużo pieniędzy, ale mogę robić, co chcę.

- Jednak lekarz sądowy wyciągnął inne wnioski.

- To nie był pierwszy raz, kiedy któryś z nas nie zgodził się z Picklerem.

- A więc inni detektywi też powątpiewali w jego oceny?

- Z tych, którzy głośno wyrażali swą opinię, część nie żyje, reszta jest na emeryturze. - Wzruszył ramionami.

- Ale nie masz żadnych dowodów. To wszystko są poszlaki.

- W tym przypadku trudno jest coś udowodnić.

Potrząsnęła głową ze sceptyczną miną.

- Co właściwie spowodowało, że dopatrzyłeś się związku między ofiarami a Stiglerem?

- O jego badaniach jako pierwsza wspomniała mi matka Vicky Koffman. Wkrótce dowiedziałem się, że w tym projekcie uczestniczyło sześć innych osób, odkryłem też kilka interesujących szczegółów. Matka Maggie Witt wspominała, że podczas rozmowy kwalifikacyjnej Stigler odsuwał włosy z oczu

Maggie. To samo robił z włosami niektórych innych dziewczynek. Zbadałem przeszłość Stiglera i odkryłem, że pochodzi z przemocowej rodziny. Jego ojciec był pijakiem i bił zarówno jego, jak i jego braci oraz matkę, a opuścił rodzinę, kiedy Stigler miał siedem lat. Jego matka była uzależniona od narkotyków i czasem pracowała jako fryzjerka. Stigler w dzieciństwie często bawił się na podłodze salonu, w którym pracowała.

Kate powoli pokiwała głową.

- To interesujące, niemniej...

- Uwierz mi, jest dość argumentów przemawiających na jego niekorzyść. Bardzo długo uchodziło mu to na sucho, aż nabrał przekonania, że wszyscy są albo głupi, albo zbyt ślepi, aby cokolwiek dostrzec. Pod warunkiem, że będzie unikał ryzyka, może zabijać dalej. A tymczasem uśmiecha się przyjaźnie i udaje normalnego przyzwoitego człowieka. W głębi serca jednak wie, kim jest. I jest z tego dumny.

- Porozmawiam z nim jeszcze raz.

- Wykluczone. Nie chcę, żebyś się z nim stykała. Przynajmniej dopóki on uważa, że jest bezbłędny.

- To co mogę zrobić? - zapytała.

- Siedź i nie ruszaj się. - Spojrzał na nią z grymasem niezadowolenia. - Ten człowiek jest niebezpieczny. Pokazując się dziś w jego gabinecie, wzbudziłaś jego zainteresowanie. Być może stałaś się kolejnym celem.

Nerwowo skinęła głową. Palmer ma rację. Jeśli jakimś trafem Stigler zabił jej matkę i siostrzyczkę, nie miałyby żadnych skrupułów, by zabić także ją.

- Obiecuj mi jedno - dodał Palmer. - Żadnych więcej przygód. Bądź ostrożna. Uważaj na siebie. Zamykaj drzwi na klucz. I dzwoń do mnie, jeśli wydarzy się coś niezwykłego.

- Niezwykłego?
 - Problemy. Anonimowe prezenty. Niepodpisane listy. Szkody majątkowe.
 - Mówisz serio?
 - Sekundę. - Palmer wyszedł z kuchni. Słyszała, jak w salonie otwiera szuflady. Gdy wrócił, podał jej pojemnik z gazem pieprzowym. - Trzymaj to pod ręką.
 - Gaz pieprzowy?
 - W celach samoobrony. Na wszelki wypadek.
 - Wspaniale - skomentowała sarkastycznie. - Czy naprawdę uważasz, że on mi nie odpuści?
 - Może próbować cię zastraszyć, ale nie będzie działać pochopnie. Przynajmniej nie teraz. Wie, że go obserwuję. Oprócz tego jesteś zbyt znana. Nie chce, żeby go złapano. Psychopaci nie znoszą przegrywania.
 - Naprawdę mnie przerażasz, Palmer.
 - Nikt cię nie skrzywdzi, Kate. Dopóki cię pilnuję. - Wstał i włożył płaszcz. - Posłuchaj, robi się późno. Może tu przenocujesz? Rano wpadnę po ciebie i podwiozę do twojego samochodu.
- Kate spojrzała na zegarek. Zrobiło się rzeczywiście późno.
- Palmer podał jej klucze.
- Częstuj się tym, co jest w lodówce. Czysta pościel jest w garderobie na górze. Telefon stacjonarny działa, jeśli zechcesz gdzieś zadzwonić. Mam też zapasową ładowarkę, więc skorzystaj.
 - Nie chcę się narzucać.
- Uśmiechnął się.
- To żaden problem. Ja jestem wykończony. Jadę do domu.
 - Okej. Skorzystam z twojego zaproszenia.
 - Dobrze.

Odprowadziła go do drzwi.

- Dzięki za ratunek.

- Polecam się.

Gdy wyszedł, zamknęła drzwi na łańcuch.

Nalała sobie kolejny kubek kawy i zadzwoniła do Jamesa.

- Jezus Maria, gdzie ty jesteś? Od wielu godzin próbuję dodzwonić się do ciebie. Umierałem ze strachu.

- Telefon mi się rozładował i dopiero teraz mogłam podłączyć go do ładowarki - wyjaśniła. - Bardzo cię przepraszam, skarbie.

- Ponieważ nie było cię w domu, zadzwoniłem do twojego ojca. Dowiedziałem się, że rozstaliście się kilka godzin temu. Gdzie się podziewałaś, Kate?

- Zgubiłam się w lesie. W Balsams. Kiedyś zabrałam cię tam na pieszą wędrówkę, pamiętasz? W każdym razie przyszedł mi do głowy zwariowany pomysł... Znalazłam się na szlaku i nagle odniosłam wrażenie, że widzę Savannah. I nim się spostrzegłam, zgubiłam drogę.

- Och, Kate - rzekł ze współczuciem.

- Zanim się zorientowałam, że mam problem, zaczęło strasznie padać. I czułam, że zbliża się migrena. Bateria była na skraju wyczerpania, więc zadzwoniłam do Palmera...

- Palmera?

- Detektywa Dysona.

- Aha.

- ...ponieważ on zna ten rejon bardzo dobrze, no i pomógł mi znaleźć drogę z lasu.

- A gdzie jesteś teraz?

- W domku. W domku Palmera.

- On ma domek?

- Tak. Pozwolił mi tu zostać na noc, a rano odwiezie mnie do mojego samochodu. Czuję się jak idiotka, tak się zgubić.

- Cieszę się, że nic ci się nie stało - powiedział James. A potem, jakby po namyśle, dodał: - Jak się do niego dodzwoniłaś, skoro padł ci telefon?

- Jeszcze kilka minut działał - odparła. - Miałam ochotę zadzwonić do ciebie, ale zanim byś tu dotarł, minęłyby godziny, a poza tym i tak musiałbyś wezwać służby ratunkowe. Bałam się całego tego upokorzenia.

- Nie zrozum mnie źle. Cieszę się, że on cię uratował, pieprzony kamień spadł mi z serca, ale to się musi skończyć.

Kate potrząsnęła głową.

- Co?

- Znalazłem akta policyjne, Kate.

- Grzebałeś w moich rzeczach?

- Zostawiłaś je rozrzucone po całym salonie. Jak mógłbym ich nie zauważyć? I tego, jak straszne są te zdjęcia? To nie jesteś ty. To ten facet, ten detektyw. Nie mogę wprost uwierzyć, że przysłał ci te odrażające rzeczy.

- On ich nie przysłał, James. Ja o nie poprosiłam.

- Serio? Po co?

- Bo istnieje możliwość, że Savannah nie zabił Blackwood.

James głośno westchnął.

- Czy już tego nie przerabialiśmy? Gdyby ten facet był niewinny... gdyby istniał jakikolwiek dowód jego niewinności, gubernator wstrzymałby egzekucję.

- Niekoniecznie.

- Słuchaj, przepraszam, że przejrzałem twoje rzeczy, okej? Nie powinienem był tego robić, ale Kate... czy twoim zdaniem to jest zdrowe? I jaki ma być finał? To znaczy... powiedzmy, że Dyson ma rację. Załóżmy, że po okolicy grasuje seryjny zabójca. Co masz zamiar zrobić? Odgrywać Nancy Drew[7]?

Kate ukryła twarz w dłoniach. Chciała opowiedzieć Jamesowi o Stiglerze, nie mogła jednak znów zdradzić Palmera.

- Mówisz tak, jakby to było coś złego, a ja po prostu chcę wiedzieć, kto naprawdę zabił moją siostrę.

- Wiemy, kto zabił twoją siostrę.

- Ale zaczynam myśleć, że może Blackwood mówił prawdę.

- W takim razie niech zajmie się tym policja.

- W tym właśnie problem - zauważyła. - Policja się tym nie zajmie.

- Może dlatego, że to nie jest prawda? - James podniósł głos. - Może to wierutne bzdury? Może Dyson chce odgrywać bohatera? Mówiłaś, że lekarz sądowy się z nim nie zgodził, tak? Jeśli to prawda, to nie powinny się tym zająć media i policja?

- Czy nie sądzisz, że sama się nad tym zastanawiam?

- Przestań, Kate. To, co robisz, jest niebezpieczne. Przeraza mnie nie tylko to, że ten facet wciąga cię na swoją orbitę, ale i to, że znowu miałaś halucynacje.

Odniosła wrażenie, że połączenie się przerwało, jakby ktoś wyciągnął wtyczkę z gniazdka.

- To przez te migreny. Już o tym rozmawialiśmy...

- Kate, odeślij te akta. Proszę, skończ z tym.

Przymknęła oczy.

- Jestem wyczerpana. Czy możemy porozmawiać rano?

- Tak, oczywiście.

- Do zobaczenia jutro, okej? - Rozłączyła się.

W pokoju na górze było mnóstwo książek. Kate zmieniała pościel i przestudiowała zawartość dębowych półek. Znalazła tam biografie agentów FBI i seryjnych zabójców, podręczniki na temat psychiatrii sądowej i kryminologii, mapy i przewodniki turystyczne po New Hampshire oraz bogaty zbiór literatury faktu. Wyglądało również na to, że Palmer zebrał wszystkie opublikowane prace doktora Williama Stiglera. Były tam dziesiątki czasopism naukowych z jego nazwiskiem w spisie treści oraz prace naukowe o tytułach takich jak „Wpływ dysfunkcji rodzinnej na psychopatologię człowieka dorosłego”.

Wybrała kilka czasopism do przejrzenia, a kiedy się mościła w łóżku, na stoliku nocnym dostrzegła stos książek. Wzięła do ręki stare twarde wydanie książki autorstwa doktora Holleya pod tytułem „Ambitne czasy w Godwin Valley: życie lekarza w szpitalu dla psychicznie chorych”. Rozdziały miały tytuły Pacjentka A, Pacjentka B, Pacjentka C, i tak dalej. Pacjentka J. była zaznaczona żółtym pisakiem, zaś odpowiednia strona miała na dole zagięty rożek. Kate oparła książkę na brzuchu i zaczęła czytać.

Pacjentka J. dorastała się w sennym miasteczku w New Hampshire, gdzie była wychowywana przez chłodną matkę i przymilnego ojca, który od wczesnych lat ją molestował. Na skutek tego J. stała się seksualnie dysfunkcyjną dorosłą kobietą, która sypiała z dziesiątkami mężczyzn, zanim w końcu ustatkowała się i wyszła za odpowiedzialnego żywiciela rodziny, który cieszył się poważaniem lokalnej społeczności. Często jednak go zdradzała i małżeństwo zaczęło się rozpadać.

Pacjentka J. przybyła do szpitala, wykazując symptomy depresji

psychotycznej. Podczas sesji z doktorem Holleyem zdołali dotrzeć do źródła jej traumy (molestujący ojciec) i ustalić, że każdego mężczyznę, jakiego poznawała, traktowała jako potencjalny substytut ojca. Autor omawiał różne aspekty jej leczenia, łącznie ze współdziałaniem leków, a także terapii psychologicznej, dzięki czemu stan psychiczny pacjentki stopniowo się poprawiał.

„Gdy coraz głębiej wnikaliśmy w jej przeszłość i ustaliliśmy, w jaki sposób molestowanie seksualne ze strony ojca wpłynęło na jej życie, Pacjentka J. zaufała mi na tyle, by wyznać, że jedno z jej dzieci jest owocem romansu. Od razu się zorientowałem, że jej psychozę wywołało poczucie winy spowodowane tą smutną okolicznością. Co gorsza, jej mąż nie miał pojęcia, że dziecko nie było jego. Niewierność Pacjentki J. i jej konsekwencje miały głęboki wpływ na jej stan psychiczny, toteż spędzaliśmy czas w szpitalu, usiłując jakoś uzdrowić sytuację. Jej wybór był prosty: albo wyznać tajemnicę mężowi, albo nauczyć się z nią żyć. Dla dobra dziecka postanowiła się do tego nie przyznawać”.

Serce Kate biło jak szalone: lata dezorientacji dobiegły końca. Savannah nie była podobna do nikogo z rodziny Brama. Wolfe'owie byli wysocy, mieli jasną skórę, ciemne włosy i niebieskie lub brązowe oczy, podczas gdy Savannah była drobną dziewczynką o złotych włosach, miała szmaragdowe oczy, piegi oraz wdowi szpic, co nadawało jej twarzysotny wygląd.

Kate najwięcej odziedziczyła po rodzinie matki, przejęła jednak kilka cech fizycznych ojca: leworęczność, umiejętność zwijania języka w rurkę, zagięty mały palec, prosty nos. Savannah nie miała żadnej z tych cech. Z nich dwóch była genetyczną anomalią.

I jeszcze jedno. Gdy Bram zabierał córki na grób Julii, zawsze przywozili z sobą torbę na śmieci, by uprzątnąć z nagrobka stare

bukiety róż. Nie wiedziały, kto je tam składał.

Kate przypomniała sobie, jaka Julia była piękna. Mężczyźni wbijali w nią wzrok wszędzie, gdzie się pojawiała: w sklepie, na stacji benzynowej, podczas spaceru główną ulicą miasta. Matka nie tylko cieszyła się z tego, ona tej uwagi wręcz łaknęła. Często potrafiła się zatrzymać, by poplirtować z zupełnie obcymi ludźmi, co Kate żenowało. A gdy Kate była bardzo młoda, rodzice wydawali przyjęcia, na których mnóstwo pijanych dorosłych tańczyło w rytm utworów BANGLESÓW lub U2, aż w końcu Brama zmęczyła kokieteria Julii i położył temu kres.

A gdy Kate poznała Maddie Ward, od pierwszej chwili zdumiało ją jej podobieństwo do Savannah. Czy Julia sypiała z Henrym Blackwoodem? Czy to możliwe? I co to wszystko miałoby oznaczać?

Jeśli Henry Blackwood był ojcem Savannah, to czy Bram o tym wiedział? Czy też Julii udało się to przed nim ukryć? A William Stigler, czy miał o czymś pojęcie? Był zazdrosny? Czy zabił matkę Kate w ataku zazdrości i wściekłości? A potem, sześć lat później, zakopał Savannah żywcem na podwórku Blackwooda, żeby się brutalnie zemścić? Jak można być aż tak zdeprawowanym? Czy profesor William Stigler jest zdolny do aż takiego szaleństwa?

49

Błade światło. Świt. Woda skapująca z sopli. Kate obudziła się w obcym pokoju i zaczęła panikować, zanim zdała sobie sprawę, gdzie jest. Była szósta rano. Odłożyła na miejsce czasopisma oraz książkę Holleya, wzięła prysznic, ubrała się i zeszła na dół, gdzie zrobiła sobie kawę i czekała na Palmera.

Poprzez staromodne okna do kuchni wpadały jasne promienie słońca. Zapowiadał się piękny dzień. Piętnaście minut później Palmer zapukał do drzwi.

Jego włosy były przyprószone siwizną, oczy przekrwione. Twarz miał pobrużdżoną zmarszczkami, czego wcześniej nie zauważyła.

- Dobry - rzekł z uśmiechem. - Jak spałaś?

- Jak zabita.

- Jesteś gotowa?

Wzięła torebkę i podała mu klucze do domku.

Gdy jechali w stronę Kirkland Road, Kate wyznała:

- Chyba zaczynam coś rozumieć.

Palmer podniósł głowę.

- Chciałabyś o tym porozmawiać?

- Pamiętam, jak mama zaczęła chorować. Pewnego dnia wróciłam ze szkoły i zobaczyłam, jak przycina żywopłoty pilarką taśmową. - Wzruszyła ramionami. - Wyrastasz w przekonaniu, że osoba, którą kochasz, będzie zawsze z tobą. Aż któregoś dnia ona patrzy na ciebie zimnym wzrokiem, a ty uświadamiasz sobie, że jest kimś zupełnie obcym. I że możesz jej nigdy nie odzyskać.

- Przykro mi, że musiałaś przez to przejść - powiedział Palmer.

- Czasami czuję, jakbym sama traciła rozum. - Kate potarła nos.

- Niedawno widziałam moją zmarłą siostrę. Wiem, że to skutek

moich migren. Czasami, w połączeniu ze stresem, powodują omamy wzrokowe. Przez to właśnie wczoraj się zgubiłam. Ściagałam w lesie ducha.

- Widziałaś swoją siostrę?

Kate skinęła głową.

- James obwinia o to ciebie.

Palmer zmarszczył czoło.

- Dlaczego?

- Zobaczył akta, które mi przysłałeś. Uważa, że to nie jest zdrowe. Powiedział, że powinna się tym zajmować policja. - Westchnęła ciężko. - Ale nie martw się. Nie powiedziałam mu o Stiglerze.

- Dzięki, że uznałaś tę wiadomość za poufną. Jestem wdzięczny.

Spojrzała na Palmera z żalną miną.

- Ale muszę to wszystko doprowadzić do końca. Inaczej ciągle będę się bała.

- Czego się boisz, Kate?

- Że to ja zabiłam moją siostrę, zostawiając ją samą w chatce. - Jej oczy wypełniły się łzami. Powoli pokiwała głową. - Wszyscy mówią, że to nie moja wina. Powtarzają mi to od lat. Ale kłamią. Bo to była moja wina. To ja ją tam zaprowadziłam. Powinnam była lepiej jej pilnować. Nie powinnam zostawiać jej samej nawet na chwilę.

- Czy sądzisz, że ona by cię obwiniała?

Kate zamrugała.

- Savannah?

- Czy twoim zdaniem chciałaby, żebyś zawsze żyła w strachu?

- Nie. Ona nikogo o nic nie winiła.

- Ale w głębi serca jeszcze w to nie wierzysz. I dopóki się z tym nie uporasz, ten lęk cię nie opuści.

- A więc mówisz, że powinnam widzieć winę tam, gdzie jej miejsce.

Palmer kiwnął głową.

- W Stiglerze.

Kate starała się zachować spokój.

- Okej, posłuchaj. Jest jedna rzecz, na której znam się dobrze: to choroby psychiczne. Jeśli uważasz, że Stigler jest psychopatycznym zabójcą, mogę ci pomóc go obserwować. Dwa lata byłam rezydentką w szpitalu McLeana, gdzie pracowałam z agresywnymi młodocianymi psychotykami. Mam odpowiednie przeszkolenie i doświadczenie.

Palmer wydał z siebie ciche westchnienie.

- Obawiam się, że to musi poczekać. Na jakiś czas wyjeżdżam.

- Po co? Gdzie?

- Pamiętasz, jak ci mówiłem o tej klinice medycznej w Meksyku? Dziś lecę do Tijuany. Osiem sesji terapeutycznych w ciągu dwóch tygodni. - Zerknął na nią. - Meksykańscy lekarze podzieli się ze mną danymi statystycznymi, które robią wrażenie.

Kate czytała o klinikach zagranicznych, które polowały na bezbronnych chorych na nowotwór.

- Jesteś pewien, że ta procedura jest skuteczna?

- Uwierz mi, na pewno bym się nie zdecydował, gdybym uważał, że to przekręt. Miejsce jest uczciwe, mają wysoki wskaźnik remisji. Nie martw się o mnie, dobrze?

- Dobrze - odparła, nie chcąc podkopywać nadziei, którą widziała w jego oczach. - Po prostu wydobrzej. Skup się na swoim zdrowiu. - Nagle coś przyszło jej do głowy. - A co ze Stiglerem? - zapytała. - Mówiłeś, że nie będzie mnie śledzić, ale co, jeśli się zorientuje, że wyjechałeś?

- Nikt w wyjątkiem ciebie, mojej byłej żony i dwóch kolegów

z pracy nie wie, że wyjeżdżam. Stigler myśli, że mam szpiegów wszędzie. – Włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej mały niebieski flashdrive, nie spuszczając oczu z drogi. – Przetrzyj to, dobrze?

Kate patrzyła na małe urządzenie na swej dłoni.

– Co to jest?

– Wszystko, całe lata moich badań. Połączyłem wszystkie fakty.

Na wszelki wypadek.

Wzdrygnęła się.

– Na wypadek czego?

– Na wypadek, gdyby coś mi się stało.

– Proszę, nie mów tak.

– A jeśli coś się stanie, proszę, daj to Cody’emu Dunmeyerowi, mojemu dawnemu partnerowi, teraz komendantowi Dunmeyerowi. Będzie wiedział, co z tym zrobić. A ja wrócę za dwa tygodnie, gotów przyszpilić tego drania. Długo główkowałem, jak się do tego zabrać, i już mam plan. Na razie nie mogę ci go zdradzić, ale zaufaj mi... nic ci się nie stanie.

Z ociąganiem skinęła głową.

Zatrzymali się za samochodem Kate, Palmer zaciągnął hamulec ręczny, a potem odwrócił się do niej z poważną miną.

– Powinienem ci podać telefony, które mogłabyś wykorzystać w sytuacji awaryjnej – powiedział.

Kate podała mu telefon i przez okno po stronie pasażera wyglądała na las, podczas gdy Palmer wpisywał informacje. Aż dziwne pomyśleć, jak groźnie ten las wyglądał wczoraj. W końcu Palmer oddał jej telefon i uśmiechnął się.

– Przepraszam. Te nowoczesne urządzenia trochę czasu mi zajmują.

Kate zrewanżowała się uśmiechem, który był jednak wymuszony. Dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę z tego, jak

bardzo Palmer zmienił jej życie. A teraz ją opuszczał.

Ruszyła do domu okrężną drogą, postanowiwszy odwiedzić po drodze doktora Holleya. Sprawiał wrażenie zdziwionego jej wizytą.

- Co sprowadza panią do mojej samotni?

- Chodzi mi o Pacjentkę J.

Z namysłem pokiwał głową.

- Aha. Więc znalazła pani moją książkę. *Entrez vous*.

Zaprowadził ją do zalanego słońcem salonu, gdzie w tle Beatlesi śpiewali cicho „Norwegian Wood”. Kate usiadła na beżowej, złożonej z segmentów kanapie, i powiedziała:

- Wiem, że Savannah tylko w połowie była moją siostrą. Nie przypominała nikogo z rodziny ojca. A ja, oprócz innych cech genetycznych, mam nos Wolfe’ów. - Zamilkła na chwilę. - Córka Henry’ego Blackwooda, Maddie, do złudzenia przypomina Savannah, kiedy moja siostra była w tym samym mniej więcej wieku.

Holley wzruszył ramionami.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Czy matka nie powiedziała panu, kim był ojciec Savannah?

- Nie. Przykro mi.

- A mój ojciec też o tym nie wie?

- Nie wydaje mi się. Niemniej jest możliwe, że przeczytał moją książkę i wyciągnął jakieś wnioski. Ale ja nie mogę tego wiedzieć.

- Uśmiechnął się ze współczuciem.

Kate westchnęła sfrustrowana.

- Powiedział mi pan, że nigdy by pan nie zdradził poufnych informacji dotyczących mojej matki, a jednak w książce zdradził

pan jej wszystkie brzydkie sekrety.

Lekarz potrząsnął głową.

- Nie. Pacjentka J. powstała z połączenia kilku kobiet, które leczyłem. Wszystkie pacjentki od A do Zet są osobami złożonymi: zmieniałem imiona, wiek i wygląd fizyczny, żeby ochronić ich prywatność.

- Najwyraźniej jednak Pacjentki J. nie zakamuflował pan wystarczająco.

- Dostałem akceptację wydziału prawnego. - Westchnął. - A poza tym nakład jest już wyczerpany. Sprzedało się chyba z pięć tysięcy egzemplarzy.

Kate dotknęła palcami gorącego czoła. Ot tak, po prostu. Savannah była jej pólsiostrą. Matka je zdradziła. Ojciec był rogaczem. Wszystko to wyglądało bardzo niebezpiecznie. Przypominało wędrówkę po przegniłej podłodze - w każdej sekundzie można z trzaskiem się wywalić.

- Czy mam o tym powiedzieć ojcu?

- Nie robiłbym tego - poradził doktor Holley. - Wychował was sam, Savannah była jego córką bez względu na biologię. Odebranie mu tego bardzo by go skrzywdziło.

Przycisnęła palce do wypełnionych łzami oczu.

- Ma pan rację. To by go zabiło.

Stary psychiatra pogładził się po policzku.

- Wie pani, kiedy moja żona urodziła naszą córkę, natychmiast się w niej zakochałem. Nie mogłem uwierzyć, że ta malutka istotka jest moja. Zdobyła moje serce. Jako rodzic nigdy nie pozbędziesz się tego uczucia. Wydaje ci się, że twoje ramiona zawsze będą chronić dziecko.

Spojrzała na niego uważnie.

- Czy powiedziałby mi pan, kim był ojciec Savannah, gdyby pan

wiedział?

- Nie. Ale mam czyste sumienie. Pani matka zabrała tę tajemnicę do grobu.

51

Kate zaparkowała, ze schowka na rękawiczki wyjęła pierścionek i włożyła go na palec. Gaz pieprzowy, który otrzymała od Palmera, wsunęła do kieszeni kurtki. Idąc w stronę budynku, uważała, by nie pośliznąć się na oblodzonym bruku.

W windzie nacisnęła guzik ósmego piętra i wygrzebała z torby klucze. Gdy otwierała drzwi, była ledwo przytomna.

- James? - zawołała.

Stał w holu w swoim wełnianym płaszczu i zimowych butach. Pocałował ją na powitanie.

- Przepraszam, że wczoraj denerwowałeś się o mnie - powiedziała.

- Nie szkodzi, ważne, że nic ci się nie stało.

- Możemy porozmawiać?

- Właśnie wychodziłem. Muszę odbyć kolejną konsultację z lekarzami mamy. Teraz niepokoją ich zakrzepy. A ona mówi, że czuje drętwienie i mrowienie.

- O mój Boże. Jak mogłabym ci pomóc?

- Wpadnij później, żeby z nią pogadać. To jej poprawi nastrój.

- Oczywiście. Przyjadę.

- Posłuchaj, Kate. - Ujął jej rękę. - Chcę, żebyś była szczęśliwa, a nie przestraszona czy zestresowana, i dlatego uważam, że grzebanie w sprawie śmierci siostry wcale ci nie służy. Ale wesprę cię, kiedy uznasz to za stosowne. Czasami po prostu nie wiem, jak mam to wszystko traktować.

Uścisnęła jego rękę.

- Porozmawiamy innym razem, kiedy twoja matka lepiej się poczuje.

Tulił ją do siebie dobrą chwilę, po czym wyszedł.

Kilka godzin później, zupełnie wykończona, skubnęła trochę sałatki i przebrała się w piżamę. Wcześniej wybrała się do Massachusetts General w odwiedziny do Vanessy, lecz do domu wróciła sama. James, zaniepokojony zakrzepicą żył głębokich matki, postanowił zostać w szpitalu, a w tym czasie Kate odwaliała w domu mnóstwo roboty papierkowej.

Teraz przesuwiała palcami po malutkich bliznach na udach i przedramionach - były to zagłębienia wielkości łyzy, drobne nacięcia na gładkiej skądinąd skórze. Przypomniała sobie dźgnięcia pinezkami i towarzyszące temu odrętwienie. Samookaleczanie było niczym wkraczanie do znacznie bardziej zrozumiałej rzeczywistości. Przyjrzała się nierównym bliznom na nadgarstkach, świadczącym o tym, że podczas samobójczej próby zawahała się. Pamiętała chrzęst i atak bólu, gdy brzytwa zatapiała się w ciele. Wszystko to przetrwała - przetrwa także to, co nadejdzie.

Mocno wystraszona obudziła się w środku nocy. Spojrzała na zegarek. Trzecia. Na dworze szalał wiatr, zima za oknami się nie poddawała. Poczowała, że jest bezbrzeżnie samotna.

Wzięła do ręki telefon leżący na stoliku nocnym i zobaczyła, że ma wiadomość głosową od Palmera Dysona:

- Pozdrowienia ze słonecznej Tijuany. Lot okropny. Podłe samolotowe żarcie. Jak się miewasz? Zadzwoń, kiedy odsłuchasz tę wiadomość. Operacja jutro.

Nie miała pojęcia, która w Meksyku jest godzina. Gdy zadzwoniła do Palmera, odezwała się jego poczta głosowa, więc się nagrała:

- Cześć, tu Kate. Słoneczna Tijuana to brzmi nieźle. Tutaj, jak sądzę, jest około pięciu stopni mrozu. A jeśli chodzi o jutro,

powodzenia. Zadzwoń po operacji.

Odłożyła telefon i zamknęła oczy.

Wydawało się, że dzwonek telefonu rozległ się już po kilku sekundach.

Był to Ira.

- Przepraszam, że cię obudziłem - powiedział.

Usiadła prosto na łóżku i wyjrzała za okno. Wschodzące słońce było ukryte za kilkoma skąpymi chmurami o barwie fluorescencyjnego różu.

- Nie szkodzi - odparła zasnym głosem. - Co się dzieje?

- Maddie Ward zostaje wypisana ze szpitala. Dziś przejdzie pod opiekę rodziny zastępczej. Pomyślałem, że powinnaś o tym wiedzieć.

- Skąd ten pośpiech?

- Jej ubezpieczenie pokrywa maksymalnie dwanaście dni. Więc albo ją wypiszemy, albo przeniesiemy na oddział zamknięty. A wiesz, co o tym myślę.

- Jasne. - Umieszczenie tnącej się kilkunastoletniej dziewczynki w instytucji pełnej agresywnych młodych przestępców nie jest dobrym wyjściem.

- Tak czy owak, Ursula znalazła wspaniałą rodzinę zastępczą, która zgodziła się wziąć pod swoje skrzydła dziecko z taką historią niestabilności jak u Maddie. To niemały wyczyn. Mają wspaniałe udokumentowane osiągnięcia. Musieliśmy działać szybko.

- Nie mieliście wyboru, prawda?

- Ale mieliśmy szczęście. Poza tym Maddie pytała o ciebie. Rodzina zastępcza zabiera ją o dziesiątej, więc zastanawiam się, czy chciałabyś wpaść na chwilę, żeby się z nią pożegnać. Wizyta ma być czysto nieprofesjonalna.

- Będę o dziewiątej.

- Dobrze.

Dzień był piękny, niebo przybrało barwę lazuru. Kate szybko dotarła do Bostonu. Na Dziecięcym Oddziale Psychiatrycznym roiło się od kłownów - umalowanych szminką ochotników, którzy rozdawali baloniki i straszili młodsze dzieci. Patrząc na magiczne sztuczki kłownów, nastolatki przewracały oczami, ale zawsze pytały pielęgniarki, kiedy kłowny wróca.

Kate znalazła Maddie skuloną w swym pokoju i zatopioną w myślach. Miała na sobie różowy T-shirt, niebieskie spodnie dresowe i nowiutką parę nike'ów. Pielęgniarki zapewne znów zorganizowały zrzutkę. Kate nakazała sobie zapamiętać, żeby dać im parę groszy. Torby Maddie były spakowane, jej różowy płaszcz w kratkę leżał na łóżku. Była gotowa do wyjścia - przynajmniej fizycznie.

- Dzień dobry - powiedziała Kate.

Maddie uśmiechnęła się promiennie.

- Wróciła pani! Zastanawiałam się, gdzie pani jest.

Kate przyciągnęła sobie krzesło.

- Jak się dziś czujesz?

- Dosyć dobrze. W piątek byli u mnie policjanci. Zadawali dużo pytań. - Maddie rozpięła plecak i wyjęła zniszczony album ze zdjęciami o białej wytłaczanej okładce, na której cekinami wypisane było „KU PAMIĘCI”. - Przynieśli to z mojego domu. Myśleli, że może dzięki temu będzie mi łatwiej przypomnieć sobie różne rzeczy. - Pokazała Kate swoje zdjęcie w wieku niemowlęcym, potem gdy zaczynała chodzić, oraz zdjęcie Derricka i Nelly Wardów jako młodej pary. Wreszcie odwróciła stronę. - A to ja, kiedy miałam sześć lat - dodała.

Kate uważnie przyjrzała się fotografii. Maddie i Savannah

mogły być bliźniaczkami.

- I proszę popatrzeć. Tu jest wujek Henry i mamusia.

Henry Blackwood obejmował zaborczo chudą piętnastoletnią Penny. Nastolatka sprawiała wrażenie zarówno dumnej, jak i przestraszonej. Blackwood nie miał na głowie swej czapeczki bejsbolowej, toteż wyraźnie było widać jego krótko ostrzyżone jasne włosy oraz wdowi szpic. Miał uderzająco zielone oczy, zupełnie jak Savannah i Maddie. W pamięci Kate bejsbolowa czapka zawsze zasłaniała mu oczy, ukrywała złociste włosy. Na tym jednak zdjęciu bez wątpliwości mogła stwierdzić, komu Savannah i Maddie zawdzięczały swój wygląd - swemu ojcu.

- Miałam tej nocy sen - wyznała Maddie, wpychając album do plecaka. - Mama wiozła mnie do szkoły, a tu nagle wjechałyśmy w ocean, samochód zaczął się napełniać wodą i prawie utonęłyśmy.

- Ojej. Brzmi to strasznie.

- Ale obudziłam się, zanim to się skończyło.

- Co według ciebie mogłoby to oznaczać?

Maddie wzruszyła ramionami.

- Kilka razy mało co nie utonęłam w wannie. Tak samo jak w tym śnie.

Kate zamrugnęła.

- Przepraszam, ale co to znaczy?

- W wannie. Mamusia czasami trzymała mi głowę pod wodą, aż zaczynałam się topić, a potem ją puszczała, jak jeszcze żyłam. Kiedyś padał śnieg i wracałyśmy do domu z supermarketu...

- Czy to inny sen?

- Nie. To prawda. Wróciłyśmy do domu, i pomagałam jej wnieść zakupy z samochodu, ale pośliznęłam się na lodzie i stłukłam kilka jajek. Mama powiedziała, że jestem wstrętna. I okropnie

głupia. Rozbolał mnie strasznie brzuch, bo wiedziałam, co mnie czeka. Miała wtedy coś takiego w oczach.

- Co?

- Tatuś mówił, żebym się nie martwiła. Że to minie, ale nie minęło. Nie rozumiał, bo prawie nigdy go nie było w domu.

- Co się działo, kiedy mama miała coś takiego w oczach, Maddie?

- Napełniała wannę wodą i zmuszała mnie, żebym do niej weszła. Potem trzymała mi głowę pod wodą, aż czułam, że za chwilę umrę. A później w ostatniej sekundzie mnie puszczała.

Kate nie podejrzewała Nelly Ward o coś takiego, ale ta historia miała sens. Ofiara przemocy często staje się jej sprawcą.

- Czy mówisz, że mama próbowała cię utopić? Więcej niż raz?

- Mnóstwo razy - przyznała Maddie łagodnie.

- Czy mówiłaś o tym policjantom?

Maddie potrząsnęła głową.

- O to nie pytali.

- A doktorowi Irze?

- Jeszcze nie.

- A czy twój ojczym o tym wie? Wie, że mama próbowała cię utopić?

Maddie potrząsnęła głową.

- Nie. On nic nie wie.

- Mówiłaś jednak, że kiedyś cię popchnął, pamiętasz?

- Ale on nic nie wie o mamusi. On by mnie nie zranił. On mnie kocha.

- Czy mama robiła coś jeszcze? Krzywdziła cię w inny sposób?

Maddie poważnie pokiwała głową.

- Źle się czuję.

- Ale twój ojczym cię nie krzywdzi, prawda? Tylko mama to

robiła?

- Mamusia powiedziała, że by ją zabił, jakby się dowiedział. Nie pozwoliła mi nikomu o tym mówić.

Kate była wstrząśnięta.

Maddie położyła ręce na brzuchu.

- Robi mi się niedobrze.

- Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś, Maddie. To wymagało wielkiej odwagi.

Dziewczynka zaczęła drzeć.

- Kiedy zobaczę się z tatusiem?

- Policja jeszcze go szuka.

- A jak go znajdą, to się z nim zobaczę?

- Nie wiem, jakie są procedury, ale sprawdzę.

Maddie pokiwała głową, najwyraźniej zadowolona.

- Chciałabym, żebyś zrozumiała jedno. Wyzdrowiejesz.

Maddie spojrzała na nią sceptycznie.

- Skąd pani wie?

Kate postanowiła być wobec niej uczciwa. Powie dziewczynce prawdę, nawet gdyby miało to oznaczać, że w ten sposób pozbywa się szansy leczenia Maddie jako pacjentki. Maddie jednak znajdowała się w dobrych rękach Iry.

- Skąd to wiem? - Kate podciągnęła rękawy. - Ja też się kiedyś cięłam. Ale już jest dobrze.

Maddie wbiła wzrok w jej blizny.

- Czego pani używała?

- Gwoździ. Pinezek. Brzytwy. Nożyczek. Wszystkiego, co mi wpadło w ręce.

- Słyszała pani głosy?

- Nie. - Kate opuściła rękawy.

Maddie się wyprostowała.

- Chodzi o ten głos w twojej głowie? - mówiła dalej Kate. - To nie jest żaden diabeł, potwór czy coś podobnego. Ten głos pochodzi z twojej podświadomości. To taki mechanizm radzenia sobie ze stresem. Kiedy ktoś z twojego otoczenia, nawet ktoś ci bliski, zaczyna cię źle traktować, w twojej głowie powstaje komora pogłosowa. Taka, w której jest echo. Żaden z tych głosów nie jest prawdziwy, ale kiedy zrozumiesz, skąd się bierze, znacznie łatwiej jest go zlekceważyć. A kiedy go lekceważysz, on słabnie.

Maddie z namysłem pokiwała głową.

- Czy jeszcze kiedyś panią zobaczę?

- Jestem pewna, że się tu gdzieś spotkamy. Będiesz kontynuowała terapię u doktora Iry jako pacjentka ambulatoryjna.

Twarz Maddie powoli rozjaśniał uśmiech. Sięgnęła do plecaka i wyciągnęła nowiutki telefon komórkowy.

- Proszę popatrzeć, co dostałam od Ursuli. To od moich rodziców zastępczych. Oni wszyscy mają telefony. Fajne, nie?

- Cudowne.

- Proszę spojrzeć. Moja aplikacja pogodowa mówi, że będzie padał śnieg. - Maddie pokazała ekran. - Czy możemy się wymienić numerami?

- Dobry pomysł - odparła Kate, po czym wbiły do telefonów swoje numery kontaktowe.

- Hej, a czy możemy zrobić sobie selfie? - zapytała Maddie z entuzjazmem.

- Bardzo chętnie.

Ustawily się do zdjęcia.

- Uśmiech! - Rozległo się kliknięcie. - Zaraz to pani wyśle - oznajmiła Maddie. Gdy telefon Kate zabrzączał, spojrzaly na

zdjęcie. Obie były uśmiechnięte.

Rozległo się pukanie do drzwi, po czym do środka zajrzała Ursula O'Keefe, pracownica szpitalnego działu opieki społecznej.

- Przepraszam. Czy wam w czymś przeszkadzam?

- Nie, właśnie się żegnałyśmy - wyjaśniła Kate.

- Spakowana? - zapytała Ursula, a Maddie chwyciła płaszcz, plecak i zeskoczyła z łóżka.

Potem rzuciła się Kate na szyję.

- Do zobaczenia wkrótce - powiedziała i mocno się do niej przytuliła.

Kate delikatnie wyzwoliła się z jej ramion.

- Pamiętaj, to tylko echa.

Maddie uśmiechnęła się dzielnie.

- Echa.

- No cóż, młoda damo. Czas poznać nową rodzinę zastępczą - powiedziała Ursula. - Podobno mają psa, który nazywa się Winnie the Poodle...[8]

Maddie zachichotała, a Kate patrzyła, jak obie znikają w głębi korytarza.

Nie mogła się doczekać, by podzielić się z Irą tą wstrząsającą informacją na temat zachowań Nelly - był to przełom, jakiego oczekiwali - ale siedział właśnie na zebraniu i nie można było mu przeszkadzać. Targały nią sprzeczne uczucia, gdy przemierzała korytarz w drodze do swojego gabinetu. Nelly cierpiała przez całe życie i zrobiła wszystko, by córkę spotkał ten sam los. To tragiczne. Ale tak właśnie działa przemoc - zatrauwa wszystko, czego się tylko tkniesz. Teraz Maddie ma przynajmniej szansę, by zacząć żyć normalnie.

Kate zatrzymała się przed oknami wychodzącymi na szpitalny dziedziniec. Po drugiej stronie zbudowano wielopoziomowy garaż, a w przeszklonym łączniku prowadzącym przez dziedziniec dostrzegła trzy postaci. To Maddie i jej przybrani rodzice kierowali się na poziom pierwszy. Zanim straciła ich z oczu, zauważyła, że Maddie radośnie rozmawia ze swą zastępczą matką. To dobry znak. Dzieci wyczuwają niebezpieczeństwo. Podobnie jak zwierzęta wiedzą, komu nie należy ufać.

Kate poczuła, że piecze ją palec. Podrapała zaczerwienioną skórę, a gdy weszła do gabinetu, usiadła przy biurku i sprawdziła pocztę.

Poczuła, że zbliża się kolejny ból głowy, zaczęła więc grzebać w torebce w poszukiwaniu aleve. Zamiast jednak na buteleczkę z tabletkami jej palce natrafiły na flashdrive'a, który Palmer wręczył jej na przechowanie.

Siedziała przez chwilę, trzymając go w dłoni. Spojrzała na zegar. Po upływie kilku sekund włożyła flashdrive'a w wejście USB i kliknęła myszą.

Było tam dziesięć folderów:

1_STIGLER_J. Wolfe, 2_STIGLER_Gafford, 3_STIGLER_Mason, 4_STIGLER_S. Wolfe, 5_STIGLER_Koffman, 6_STIGLER_Howell, 7_STIGLER_Lloyd, 8_STIGLER_Witt, 9_STIGLER_Davidowitz, 10_STIGLER_Brayden.

Przez pełną napięcia chwilę siedziała z palcem zawieszonym nad myszą. Potem otworzyła folder numer jeden. Znalazła w nim trzy dokumenty w Wordzie i jeden PDF. Otworzyła dokument o nazwie „Podsumowanie sprawy”. W dwustronicowym streszczeniu Palmer przytaczał argumenty z raportu lekarza sądowego przemawiające za uznaniem tego zdarzenia jako sprawy o zabójstwo.

Cytat z raportu autopsji Quade’a Picklera:

„Obecność wody w płucach i żołądku wskazuje na śmierć przez utonięcie, podobnie jak krwotok w zatokach i tchawicy. Ofiara żyła, kiedy zanurzyła się w wodzie. Dowody świadczące o tym, że niesione prądem ciało obijało się o skały: przedśmiertne stłuczenia klatki piersiowej i podbrzusza, złamane paliczki (dwa w prawej ręce, jeden w lewej – patrz ilustracja), otarcia przedramion i pojedynczy, spowodowany tępym narzędziem uraz z prawej strony czaszki, skutkujący pęknięciem z wgłębieniem. Ciało zostało odnalezione 48 godzin po śmierci”.

Poniżej Palmer zanotował swoje obserwacje:

„Otarcia ramion i dłoni mogły być spowodowane walką z napastnikiem. Do urazu głowy zadanego tępym narzędziem mogło dojść przed wepchnięciem nieprzytomnej ofiary do wody, obciążonej kamieniami, by upozorować samobójstwo. Poziom alkoholu w organizmie ofiary mógł dodatkowo osłabić jej zdolności obronne. Obecność wody w płucach świadczy o tym, że ofiara była co prawda nieprzytomna, ale jeszcze żyła. Miała kilka

złamanych palców, co mogło być bezpośrednim rezultatem tego, że się broniła przed napastnikiem trzymającym tępy przedmiot, który spowodował uraz głowy i zapewne utratę przytomności. Uraz czaszki: silny cios zadany w prawą stronę czaszki wskazuje na to, że sprawca był leworęczny. William Stigler jest leworęczny. Charakterystyka obrazu wskazuje na to, że cios został zadany ostrym kanciastym narzędziem, takim jak łyżka do opon, nie zaś spowodowany uderzeniem o gładzą rzeczny (podejrzanie wzbudza fakt, że w żadnym z pojazdów na miejscu zdarzenia nie znaleziono łyżki do opon – sądzę, że znajduje się na dnie rzeki). Wniosek: prawdopodobieństwo zabójstwa upozorowanego na samobójstwo.

Niemniej zabójstwa przez utopienie właściwie nie można udowodnić. Owej feralnej nocy padał ulewny deszcz, który zmył ślady stóp ofiary od samochodu do rzeki, nic więc dziwnego, że nie znaleziono żadnych oznak walki. Przesłuchania świadków sugerują, że ofiara i główny podejrzany (Stigler) coraz gwałtowniej się kłócili. Podejrzany nie miał niezbitego alibi w okresie, kiedy ofiara rzekomo popełniła samobójstwo. Nie zgadzam się także z podanym przez lekarza sądowego czasem śmierci. Ofiara mogła zostać zabita godzinę wcześniej, niż oszacowano”.

Kate otworzyła dokument z napisem „Zeznania świadków”. Znalazła w nim dziesiątki stenogramów zeznań, w większości dość podobnych.

Tricia Landreau (sąsiadka):

„Usłyszałam hałas w domu sąsiadów i otworzyłam okno. Oni (Stigler i Wolfe) znowu prowadzili tę swoją zaciętą walkę. Wrzeszczeli, krzyczeli i przeklinali... On był zazdrosny, a ona groziła, że go rzuci. Potem usłyszałam odgłos tłuczonego szkła

i głośny krzyk kobiety. Już chciałam dzwonić pod 911, kiedy nagle wszystko ucichło. Miałam tylko nadzieję, że ona żyje. Ale zobaczyłam ją następnego dnia i wyglądało na to, że jest okej, miała tylko kilka zadrapań, więc pomyślałam, że powinnam pilnować swoich spraw”.

Nicholas Valentino (sąsiad):

„O tak, oni się kłócili cały czas. Moja żona była tym mocno zaniepokojona, ale ja uważałem, że to nie nasza sprawa. Skakali sobie do gardła przez całą dobę, każdego dnia w tygodniu. Z tego, co słyszałem, policja była tam raz czy dwa, ale nikogo nie aresztowali. Myślę, że to pewnie dlatego, że on jest lekarzem, a ona była w wariatkowie, no i jeszcze dlatego, że ona nie wniosła oskarżenia. Kiedy usłyszeliśmy o tym samobójstwie, to wcale nie byliśmy zdziwieni”.

Kate szybko pochłonęła resztę zeznań świadków, po czym otworzyła trzeci dokument w Wordzie, „Raport policyjny”. Na koniec otworzyła PDF. Czuła lęk, gdy oglądała kolorowe zdjęcia opuszczonego samochodu matki, podmyty brzeg rzeki i martwe ciało Julii. Leżała na porośniętym chaszczami brzegu, członki miała nienaturalnie skrzyżowane, twarz uwalaną błotem, ubrania przylegające do ciała jak mokre szmaty, w otwartych oczach widniał stygmat śmierci.

Drżącymi palcami Kate zamknęła folder i patrzyła na pozostałą dziewiątkę umieszczoną na flashdrivie. Powiedziała sobie, że lepiej nie czytać tego dalej, lecz jej palec kliknął dwukrotnie na folder „4_STIGLER_S. Wolfe”.

W środku znajdowały się trzy dokumenty w Wordzie nazwane tak samo jak poprzednio: „Podsumowanie sprawy”, „Zeznania świadków” i „Raport policyjny”. PDF nosił nazwę „Zdjęcia z autopsji”. Kate bez wahania otworzyła plik. Jej oczy zalała fala

rozdzierających serce fotografii. Na jednej z nich była Savannah z zamkniętymi oczami, z wygoloną głową, łysa jak kolano. Jej różowy T-shirt i białe szorty były czymś poplamione. Trampki, które uważała za „szczęśliwe”, zniknęły. Podeszwy stóp miały szaroniebieską barwę. Paznokcie u rąk były brudne. Na ramionach widniały czerwone zadrapania, równoległe do siebie, jakby ktoś sprawdzał odcienie szminki. Drobne ciało Savannah zajmowało zaledwie połowę stołu do sekcji. Na jej twarzy malował się niebiański spokój.

Kate zrobiło się niedobrze. Trudno przyjąć nagą prawdę. Ale z jakiegoś powodu w tym widoku było coś bardziej uzdrawiającego niż przed laty w otwartej trumnie. Pracownicy zakładu pogrzebowego pokryli skórę Savannah grubą warstwą podkładu, a Kate zawsze wstrząsał dreszcz na wspomnienie źle dopasowanej peruki siostry i wyrysowanych kredką brwi. Woląta ten wizerunek, bo woląta prawdę. Na tych zdjęciach widziała brutalną szczerłość. Taką właśnie Savannah zabrała śmierć.

Powoli, niczym krew rozchodząca się po powierzchni wody, zalewały ją czarne myśli. Zamknęła folder z Savannah bez otwierania pozostałych dokumentów. Dosyć się naoglądała.

Wyjęła flashdrive'a i siedziała, cierpiąc. Odniosła wrażenie, że wszystko się na nią zważyło. Czuła pełzający strach i coraz silniejsze mdłości. Czy William Stigler pogrzebał jej siostrę żywą, aby zarówno ukarać, jak i zrobić Henry'ego Blackwooda za zrobienie Julii dziecka? Byłaby to nikczemna zemsta. „Oto twoja biologiczna córka, i wiesz co? Spędzisz resztę życia, gnijąc w celi śmierci”. Odciski palców Blackwooda były na łopacie. Policja znalazła jego włosy wplątane w sznur. Stigler musiał śledzić Blackwooda i przed morderstwem odwiedził jego posesję. Musiał wiedzieć, gdzie Blackwood trzyma łopatę i sznurek. Być może

wzbudził w Blackwoodzie zaufanie i został nawet zaproszony do jego domu. Ta zbrodnia wymagała przebiegłości i starannego zaplanowania. Jednym mistrzowskim machiawelicznym posunięciem Stigler zadał wielki ból nie jednemu, lecz obu swym rywalom o względy Julii: Henry'emu Blackwoodowi i Bramowi Wolfe'owi.

Kate wyjęła flashdrive'a z gniazda USB i wrzuciła go do torebki. Ojciec pełni teraz swój niedzielny dyżur w centrum miasta. Postanowiła do niego zadzwonić.

- Doktor Wolfe, słucham - powiedział do słuchawki bezbarwnym profesjonalnym tonem.

- Cześć, tato. To ja.

- Witaj, Kate.

- Wiesz, przykro mi z powodu tego, co się stało.

- W porządku. Trochę poniosły nas emocje - odparł.

- Kocham cię. Wiesz o tym, prawda?

Jego głos lekko zadrżał.

- Ja też cię kocham, Kate.

- Coś się stało. Masz minutkę?

- Teraz jestem trochę zajęty...

- Nie przeszkadzałabym ci, gdyby to nie było ważne.

Ojciec milczał chwilę.

- Dobrze. Mam pacjenta dopiero za piętnaście minut.

- Zastanawiam się... A co, jeśli mama nie popełniła samobójstwa? Jeśli została zamordowana, a wszystko zostało zainscenizowane w taki sposób, żeby wyglądało na samobójstwo?

- Kate, to już się wymyka spod kontroli...

- Mam przed sobą raport z jej autopsji. Miała w głowie ranę, która według detektywa mogła zostać zadana łyżką do wyważania opon. Miała też rany na ramionach i rękach, które mogą

świadczyć o tym, że się broniła. Jest możliwe, że została uderzona w głowę, a dopiero potem wepchnięta do rzeki. Świadkowie twierdzą, że mama i Stigler strasznie się kłócili, czasem nawet wzywano policję, a Stigler nie miał wiarygodnego alibi na ten wieczór. Są dowody wskazujące na to...

- Co ty mówisz? Sugerujesz, że William Stigler zabił Julię?

- Tak uważa detektyw Dyson. Jego zdaniem wszystko zostało tak zaaranżowane, żeby wyglądało na samobójstwo.

Ojciec się rozłączył.

- Tato? Tato? - Spróbowała się z nim połączyć ponownie, ale usłyszała sygnał zajętości.

Była zszokowana. Co ona zrobiła?

Kolejna próba połączenia się z ojcem skończyła się porażką. Kate pozbierała swoje rzeczy i opuściła szpital. Krętymi ulicami Bostonu, zwłaszcza kiedy trzeba było skręcić w lewo, jeździło się trudno nawet w najlepszą pogodę, a w środku zimy drogi były dodatkowo pełne dziur i zamarzniętych kałuż. Jechała nieprzyjaznymi ulicami, mijając kompleksy biurowe, niewielkie pawilony handlowe i lśniące nowoczesne budynki, pełna obaw, że Bram może zrobić coś głupiego, na przykład pod wpływem impulsu pojechać na uniwersytet, by skonfrontować się z profesorem Stiglerem. W wyobraźni już widziała, jak ojciec wpada do gabinetu profesora, opiera się rękami o jego biurko i obrzuca go oskarżeniami, a może nawet grozi użyciem przemocy fizycznej. Ojciec miał wybuchowy charakter – co będzie, jeśli kompletnie straci panowanie nad sobą? Policja uniwersytecka wyprowadzi go w kajdankach.

I to wszystko będzie jej wina.

Na czerwonych światłach wybierała numer gabinetu ojca i nieustannie natrafiała na sygnał zajętości. W końcu telefon odebrała sekretarka, która powiedziała Kate, że ojciec odwołał wszystkie wizyty i wypadł z biura bez słowa wyjaśnienia, nie odkładając słuchawki na widełki. Kate podziękowała jej i się rozłączyła.

Była strzępkiem nerwów, gdy dotarła do domu ojca na Three Hills Road. Podjazd był pusty, toteż zawróciła do miasta i zaparkowała kilka przecznic od uniwersytetu. Szybko przeszła przez zaśnieżony kampus do budynku Clarence'a Oberona, windą wjechała na trzecie piętro i stwierdziła, że w gabinecie Stiglera

jest ciemno, a drzwi są zamknięte.

Na drugim końcu korytarza znajdował się sekretariat wydziału socjologii. Stała przed biurkiem pracownicy administracyjnej i nerwowo zastukała paznokciami o biurko. Kobieta w średnim wieku wyglądała na nieco zirytowaną tym, że jej ktoś przeszkadza.

- W czym mogę pani pomóc?

- Szukam profesora Stiglera.

- Miał dziś zajęcia wcześniej rano i już poszedł do domu. Czy chciałaby pani zostawić mu wiadomość?

- Właściwie - wyznała Kate - to szukam mojego ojca, Brama Wolfe'a. Wydaje mi się, że mógł dziś wpaść do profesora.

- Aha! - zawołała kobieta. - To pani jest tą Kate. Dużo o pani słyszałam. Doktor Wolfe jest naszym lekarzem rodzinnym od wielu lat. Teraz leczy moje wnuki, wyobraża pani sobie?

Kate pokiwała głową.

- A więc ojciec był tutaj?

- Z godzinę temu. Posłałam go do domu nad jeziorem.

- Domu nad jeziorem?

- Powiedział, że to pilne, dałam mu więc adres profesora Stiglera. - Kobieta otworzyła odpowiedni plik w komputerze. - 623 Lakeview Drive.

Kate podziękowała jej i opuściła budynek. Skierowała się na północ miasta, gdzie wokół jeziora stały domy warte miliony dolarów. Minęła odnowione neogotyckie bungalowy oraz okazałe rezydencje, gdzie mieszkali niektórzy z najzamożniejszych mieszkańców Blunt River: kadra uniwersytecka, drobni przedsiębiorcy i lokalni politycy.

Dom profesora Stiglera stał na końcu prywatnej drogi i był oddzielony od najbliższych sąsiadów wysokim cedrowym płotem

i gęstym sosnowym lasem. Kate zaparkowała obok forda rangera ojca, po czym wysiadła i zdenerwowana przystanęła. Na podjeździe nie było innego samochodu, nie dostrzegła też garażu. Ciekawe, gdzie jest samochód Stiglera. No i gdzie jest ojciec?

Wiatr nasilił się, wśród sosen rozległo się jego wycie. Stigler mieszkał w koronkowym, przypominającym ślubny tort wiktoriańskim domu z barokowymi wieżyczkami i otaczającą go werandą. Na brzegu jeziora ponad lód wystawał drewniany pomost. Było tu nieprzyjaźnie i odludnie.

Szła w stronę domu, słuchając trzeszczącego pod butami żwiru, gdy nagle coś przykuło jej uwagę. Były to wyżłobienia, jakby ktoś kogoś ciągnął – dwa głębsze rowki pozostawione przez obcasy, a obok nich ślady krwi.

Znieruchomiała. Ktoś został wywleczony z wnętrza domu, przeciągnięty przez schody werandy oraz podjazd. Ślady krwi urywały się w miejscu, w którym Stigler zapewne parkował swój samochód. Kate dostrzegła w żwirze odciski opon, głębokie wyżłobienia pozostawione przez coś masywnego, zapewne samochód terenowy albo suv.

Wyjęła telefon i wybrała numer.

- 911, słucham? - usłyszała głos operatora.

Poczuła pustkę w głowie.

- 911, słucham.

- Chyba mój ojciec nie żyje - wykrztusiła.

Dwadzieścia minut później stała, trzęsąc się, na werandzie, gdzie komendant Dunmeyer kazał jej poczekać. Było bardzo zimno, kilka stopni mrozu. Chyba mój ojciec nie żyje, myślała. Według policjantów w domu nie było nikogo, lecz w łazience na górze znaleziono krew, poza tym kurtyna w kabinie prysznicowej była oberwana.

Reszty można się domyślić: ojciec przyjechał spotkać się ze Stiglerem, a ten go zabił. Potem Stigler wyciągnął ciało z domu, wrzucił je na tył samochodu – według policji był to suv bmw x5 – i odjechał. Jej ojciec nie żyje. Prosty wniosek.

Palce jej drętwiały. Zaczęła bezmyślnie krążyć wokół werandy, by pobudzić krążenie krwi. Nawet zajrzała do środka, zwijając ręce w trąbkę i przytykając je do okna. Nic.

Zadzwoiła do Palmera, ale nie odbierał. Zapewne przechodzi teraz operację albo jest tuż po niej. Nafaszerowany lekami leży w sali pooperacyjnej. Nagrała mu wiadomość:

- Cześć, tu Kate. Mam nadzieję, że operacja poszła dobrze. - Przerwała na moment. - Koniecznie muszę z tobą porozmawiać. Coś się wydarzyło. Kiedy poczujesz się lepiej... proszę, zadzwoń do mnie.

Jej oczy wypełniły się łzami. Zapragnęła porozmawiać z Jamesem, ale została natychmiast przełączona na pocztę głosową. Chciała nagrać mu wiadomość, ale żadne słowa nie przychodziły jej do głowy. Rozłączyła się.

Na chodniku przed domem zebrał się tłumek gapiów. Kate nie miała ochoty dłużej sterczeć na werandzie. Przeszła na podwórko na tyłach domu i zapaliła papierosa, patrząc na psy policyjne.

Dwa z nich obwąchiwały okoliczne drzewa.

Z domu wyszedł mężczyzna w średnim wieku, który przedstawił się jako detektyw Lucas. Kate opowiedziała mu o wszystkim: o flashdrivie, o raporcie z sekcji Julii, o próbach połączenia się z ojcem, którego, jak się okazało, już nie było w gabinecie.

- Ten flashdrive dał pani detektyw Dyson? - zapytał Lucas. - Mogę go obejrzeć?

Kate wyciągnęła rękę z flashdrive'em.

- Kazał mi dać go komendantowi.

- Ja mu go przekażę.

- Nie, dostałam jasne instrukcje. - Wrzuciła flashdrive'a z powrotem do torebki.

- Proszę tu poczekać. - Lucas zniknął w domu.

Nieopodal posesji zauważyła krążący helikopter. No tak, media. Wspaniale, pomyślała ze złością. Sieci telewizyjne zaczną grzebać w ich przeszłości i tragedia rodziny Wolfe'ów znowu dostanie się do głównych wiadomości oraz na pierwsze strony gazet. Funkcjonariusz oprowadzał wokół na smyczy labradora retrievera. Pies obwąchiwał właśnie pień drzewa u podstawy.

Przez tylne drzwi domu wyszedł komendant Dunmeyer i przystanął przy niej u stóp schodów. Był szczupły i zadbany - miał srebrne wąsy i kozią bródkę - i przez szesnaście lat prawie się nie zmienił. Ubrany był w ciemne spodnie, koszulę w prążki i jedwabny krawat, widoczny pod obowiązkową kurtką z napisem BRPD.

- Czy pan wie, co się mogło stać z moim ojcem?

- Rozesłaliśmy po całym stanie listy gończe za suvem Stiglera. Znajdziemy ich. Detektyw Lucas mówił, że pani ma coś dla mnie?

Otworzyła torebkę i wyjęła z niej flashdrive'a.

- Palmer mi powiedział, że pan wie, co z tym zrobić. Nie byłam

w stanie jeszcze się z nim skontaktować, ale jestem pewna, że zrozumie, dlaczego daję to panu teraz.

Dunmeyer zmarszczył czoło.

- Co na tym jest?

- Jego badania dotyczące dziewięciu zaginionych i zamordowanych dziewczynek, a także samobójstwa mojej matki. Palmer uważa, że to wszystko zrobił Stigler. Powiedział, że tutaj są wyjaśnienia.

Komendant pokiwał głową.

- Palmer i ja długo byliśmy partnerami. Mam do niego bezgraniczne zaufanie, jednak jego hipotezy nie zawsze trzymały się kupy. Często go prosiłem, żeby przedstawił mi jakiś nowy dowód, coś solidnego, a się tym zajmujemy.

Kate również pokiwała głową.

- Ale teraz pan to sprawdzi?

- Teraz sprawdzimy wszystko. - Rozejrzał się i zniżył głos. - Musi pani zrozumieć, doktor Wolfe... że połowa tych spraw nie znajduje się w naszej jurysdykcji. Trzy miały miejsce w innych miejscowościach. Dwie z tych spraw to samobójstwa, a jedna to wypadek. Ciągłe dostajemy raporty o zaginionych dzieciach. Uciekają z domu. Biorą narkotyki i spieprzają sobie życie. Quade Pickler cieszy się dużym szacunkiem, pracuje z nami od trzydziestu pięciu lat, a te jego opinie po sekcjach zwłok... nic dodać, nic ująć.

Helikopter zawisł nisko nad ich głowami.

- Znowu wywrócą mi życie do góry nogami, prawda? - powiedziała.

Dunmeyer spojrział na nią ze współczuciem.

- Obawiam się, że tak. Tego się nie uniknie.

- Czy sądzi pan, że mój ojciec nie żyje?

- Nic nie mogę powiedzieć, dopóki nie zajmie się tym kryminalistyką, ale na moje oko w domu jest za mało krwi, aby wnioskować, że ktoś tu zginął. Jednak nie chcę rozbudzać w pani nadziei. Dowody poszlakowe wskazują na atak z zamiarem zabójstwa, a pani ojciec jest prawdopodobną ofiarą, ponieważ nie ma samochodu Stiglera. Zrobimy badania krwi, szybkie DNA. Tymczasem stajemy na głowie, żeby ich znaleźć.

- Złapiecie go?

Dunmeyer kiwnął głową.

- Ostatnio nie uciekają zbyt daleko. A teraz, jeśli pani pozwoli, poproszę jednego z detektywów, żeby eskortował panią na posterunek, gdzie złoży pani szczegółowe oświadczenie. Pomożemy też pani w kontaktach z mediami, no i z innymi problemami, które mogą się pojawić.

- Dziękuję.

Jego uwagę przykuły szczekające psy.

- Przepraszam, zaraz wrócę - powiedział, uchylając kapelusza i kierując się w głąb podwórza.

Nagle Kate poczuła, że nie zniesie wizyty na posterunku. Szybko ruszyła do swojego samochodu, zapaliła silnik i ostrożnie przejechała między dwoma policyjnymi radiowozami. Telefon zabrzączał, informując o nadejściu wiadomości. Od Palmera:

Jutro rozpocznę leczenie, Kate. Życz mi szczęścia.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak samotna.

Jechała znajomą trasą w kierunku domu ojca, nie w pełni świadoma, co właściwie robi. Na jakimś podwórku przed domem zauważyła staromodny sznur do wieszania bielizny. Ten widok skojarzył jej się ze sznurem, jakiego użyła Nikki, żeby się powiesić. Gdzie Nikki nauczyła się wiązać pętlę?

Do chwili, gdy zaparkowała na podjeździe przed swym rodzinnym domem, serce jej waliło jak szalone. Weszła do środka i przez chwilę stała nieruchomo w holu, zmrożona panującą wewnątrz ciszą. Czuła się tak rozdarta wewnątrz, że miała ochotę krzyczeć. Czy ojciec rzeczywiście zginął?

Ruszyła na górę do sypialni rodziców i przewróciła wszystko do góry nogami, szukając związków z przeszłością. Wyciągnęła z garderoby matki pudła do przechowywania rzeczy i wysypała ich zawartość na podłogę. Czuła się jak archeolog przekopujący się przez szczątki historii rodzinnej, poszukując dowodów – nadal nie wiedziała, czego.

Natknęła się na kolejną partię listów matki adresowanych do Brama i szybko je przeczytała. Julia przeżywała huśtawkę między megalomanią a depresją, szczęściem a cierpieniem:

W mojej obecności potrafisz sklecić zaledwie ze dwa słowa. A kiedy się w końcu odezwiesz, mówisz zawsze nie to, co trzeba. Dam Ci radę: przestań mnie osaczać, Bram. Ludzie potrzebują przestrzeni, żeby się zakochać, i potrzebują przestrzeni, żeby ta miłość trwała.

Były tam niedorzeczne oskarżenia, Bram był potępiany za

absurdalne rzeczy. Julia domagała się wolności i chciała zachować swą rodzinę. Chciała odrzucić swoje życie i pragnęła, aby Bram jej wybaczył. Chciała usunąć ciężę i chciała mieć więcej dzieci. Kate wysypała na podłogę zawartość wyszywanego cekinami pudełka na biżuterię i zaczęła szukać wisiorka w kształcie półksiężyca, lecz znalazła tylko zapalniczkę marki Zippo – kompaktową z tureckim wzorem retro. Julia utrzymywała, że papierosy mentolowe pomagają jej w zwalczaniu bólu głowy. Kate pomyślała, że może powinna to wypróbować. Wrzuciła zapalniczkę do torby i przystąpiła do przekopywania się przez stary kufer podróżny, przeglądając stosy pościeli, rakiety do tenisa i szpargały.

Znalazła tam roczną kronikę szkolną. Szybko przekartkowała jej strony. Julia Knight była jedną z tych dziewczyn, o której wszyscy mówili, że daleko zajdzie. Olśniewająca, wysportowana i błyskotliwa. Należała do stowarzyszeń Honor Society, Girls' Leadership, chóru, klubu fotograficznego, drużyny szkolnych cheerleaderek, była kapitanem drużyny pływackiej. W wyniku głosowania została uznana za najbardziej popularną dziewczynę szkoły. Cytat na początku kroniki pochodził z filmu „Love Story”: „Miłość oznacza, że nie zrobisz nic, za co musiałbyś przeproszać”.

Zamiast bajek na dobranoc Julia raczyła swoje małe córki opowieściami ze swej dzikiej, nieodpowiedzialnej młodości. Piła i prowadziła samochód. Ćpała i uwielbiała manipulować. Skoczyła z najwyższej skały do jeziora Moody i przebierała w chłopakach jak w ulęgałkach. Minęło wiele lat, zanim Kate pojęła, jak niewłaściwe było zachowanie matki opowiadającej te historie swoim podatnym na wpływy dzieciom. Jednak na Julię nie można było się długo wściekać. Był w niej jakiś rys tragiczny, sprawiający, że miało się ochotę ją chronić.

Na dnie kufra Kate znalazła zniszczone pudełko na buty wypełnione zdjęciami obrazującymi dziesięciolecie życia Julii. Były tam fotografie przyjęć z okazji narodzin Julii, ukończenia szkoły średniej, lat na uniwersytecie, ślubu. Bram i Julia podczas miesiąca miodowego. Wczesne lata ich małżeństwa. Przyjęcia. Opalanie się na podwórzu. Pierwsza ciąża. Druga ciąża.

W pudełku było także sporo zdjęć z zakrapianych alkoholem przyjęć koktajlowych z późnych lat osiemdziesiątych i początku dziewięćdziesiątych. Kobiety miały na sobie jaskrawe sukienki z poduszkami na ramionach oraz burze włosów. Mężczyźni szpanowali fryzurami gwiazd rocka i opalenizną rodem z „Miami Vice”. Matka Kate promieniała w obcisłych sukienkach i butach na szpilkach, była królową balu. Mężczyźni tłoczyli się wokół niej, podczas gdy Bram zawsze czaił się gdzieś z boku. Nie tańczył, ale Julia uwielbiała taniec. Sprawiała wrażenie zbyt żywiołowej, by zostać żoną takiego mężczyzny jak ojciec Kate.

Kate rozpoznała na zdjęciach kilku mężczyzn: oto młody Quade Pickler z włosami dłuższymi z tyłu głowy, przystojny Cody Dunmeyer, pan Mason, ojciec Emery, dziewczynki, która zaginęła w drodze na koncert. Zaraz, zaraz. Serce Kate zaczęło szybciej bić. Przerzuciła szybko zdjęcia. Oto tańczący z Julią ojciec Tabithy Davidowitz. Julia tańczyła z głową odchylną do tyłu, odsłaniając białą szyję – można było niemal słyszeć, jak się śmieje.

Kate nie mogła uwierzyć własnym oczom. Zaczęła gorączkowo grzebać w pudełku ze zdjęciami, szukając innych ojców ofiar, większości twarzy nie mogła jednak rozpoznać. Odbitki były prześwietlone lub niedoświetlone, a może fotograf wypił o jeden kieliszek za dużo i nie potrafił utrzymać prosto aparatu, w konsekwencji czego obraz był zamazany.

Na jednym ze zdjęć Bram i Julia kłócili się w kącie klubu

tanecznego. Ich przyjaciele mieli zaskoczone miny. Szminka Julii rozmazała się, jej oczy były pełne łez. Rozwścieczony Bram zaciskał mocno pięści. Ten, kto zabił Julię, był leworęczny. Bram był leworęczny.

Kate czuła smutek i ból w sercu, gdy wyjęła ostatnie zdjęcie z dna pudełka, zrobione w szpitalu psychiatrycznym. Twarz Julii była blada i ściągnięta. Bardzo schudła. Jednak było w niej jakieś nieziemskie piękno, kruchy wdzięk nietknięty przez chorobę. „Żona potwora”, mówiły biegnące przez fotografię słowa napisane odręcznie przez Julię.

Kate próbowała odsunąć od siebie podejrzenia. Owszem, ojciec bywał w towarzystwie nieśmiały, zazdrosny i zaborczy. Ale nie on jeden. Miał świadomość, że jego osobowość jest obsesyjno-kompulsywna. Czasami znikał na całe godziny. Był niekomunikatywny i narcystyczny, ale nigdy nie zranił Julii bez względu na to, co zrobiła. Nigdy by tego nie zrobił. Nie był potworem.

„Jest samotny. Izoluje się. Nie ma pojęcia, jak tworzyć więź z innymi ludzkimi istotami”.

Zeszła na dół i rozsunała zasłony na wszystkich oknach, by do domu, w którym panował zaduch, wpuścić popołudniowe słońce. Potem stanęła pośrodku salonu, próbując zlokalizować miejsce na lakierowanej podłodze, w którym matka wyryła niegdyś zakazane słowa. Przesunęła ciężki fotel, przestawiła o jakieś trzydzieści centymetrów stolik do kawy, odsunęła pleciony dywanik, i je znalazła. „Pieprzona suka”. Takie nieokrzesane i paskudne. Wstrząsnęło nią to do głębi. Nabierająca tempa fala strachu wzniosła się i opadła. Psychopaci kłamią po mistrzowsku. Są bardzo inteligentni i potrafią zwodzić. Potrafią oszukać swych najbliższych. Znane są także przypadki, gdy oszukali swych

psychiatrów - na przykład Ted Bundy czy Dusiciel z Hillside, Kenneth Bianchi.

Musi się dowiedzieć. Musi. Ruszyła do gabinetu ojca i zaczęła przerzucać karty w jego starych stalowych szafkach. Jej serce biło jak szalone, kiedy przeglądała zarchiwizowane karty pacjentów, szukając Makayli Brayden, Tabithy Davidowitz, Susie Gafford, Lizbeth Howell, Vicky Koffman, Hannah Lloyd, Emery Mason, Maggie Witt.

Nic. Może ojciec gdzieś je ukrył?

W jej rozgorączkowany umysł wdarły się okropne niechciane myśli. A jeśli policja się myli? Jeśli to Stigler nie żyje? Jeśli to jej ojciec zaatakował go nożem, a potem wywlókł ciało na dwór i odjechał suvem Stiglera? Jeśli to on zainscenizował wszystko, by zmylić policję, i upozorował swoją śmierć? Być może upozorował też śmierć Savannah, by zrobić Blackwooda, a także zainscenizował wypadek Susie Gafford oraz samobójstwo swojej żony?

Wiele za tym przemawiało. Bram bardzo precyzyjnie organizował dzień. Był niewolnikiem przyzwyczajień. Metodycznym, zorientowanym na szczegóły, rozważnym, ostrożnym - można było według niego regulować zegarek. Zawsze pozostawał w tle, był skryty i posepny. Jako lekarz spędzał mnóstwo czasu z dziećmi oraz ich rodzinami. Mógł wykorzystać swą pozycję społeczną, by zwabiać ofiary. Był powszechnie szanowany, pracował w tym samym miejscu od dziesiątków lat.

Kate zaczęła ostrożnie burzyć resztki wątpliwości, jakie w niej pozostały. Bo jeśli tamtego feralnego wieczoru to właśnie ojciec pojechał za Julią w stronę rzeki? I jeśli błagał, by wróciła z nim do domu, a ona odmówiła? A jeśli wybuchnął gniewem i uderzył ją

łyżką do opon, a potem w taki sposób upozorował jej śmierć, by wyglądała na samobójstwo? A jeśli to wydarzenie wyzwoliło z głębi jego psychiki coś chorego, co jątrzyło się od lat, ale co dotąd udawało mu się tłumić? I jeśli to coś dało mu wolną rękę, by wreszcie być sobą? By zabijać?

Czy wiedział o Savannah?

Przyklękła przed regałem z książkami i przesunęła palcami po grzbietach wydań kieszonkowych i książek w twardej oprawie, szukając „Ambitnych czasów w Godwin Valley” doktora Jonasa Holleya. I znalazła. Na najniższej półce.

Wyciągnęła zakurzoną książkę, która otworzyła się na stronie zatytułowanej „Pacjentka J.”. Ktoś podkreślił fragmenty pomarańczowym pisakiem:

„Gdy coraz głębiej wnikaliśmy w jej przeszłość i ustaliliśmy, w jaki sposób molestowanie seksualne ze strony ojca wpłynęło na jej życie, Pacjentka J. zaufała mi na tyle, by wyznaczyć, że jedno z jej dzieci jest owocem romansu”.

A więc wiedział.

Ale czy byłby zdolny do aż takiej brutalności? Takiego ohydneho czynu? Takiego bestialstwa? Czy naprawdę jest potworem?

Zszokowana i oszołomiona usiadła przy biurku Brama i otwierała po kolei drewniane szuflady, grzebiąc wśród wyciągów bankowych, zezwoleń na prowadzenie działalności, składek na ubezpieczenie i zeznań podatkowych. Dowód, musi się znaleźć jakiś dowód. W głębi jednej z szuflad natrafiła na szarą teczkę z napisem FOUR OAKS, MAINE. W środku był dokument własności wystawiony na rzecz jej dziadków.

„Potrzebuje dostępu do odizolowanych miejsc, gdzie mógłby realizować swe fantazje”.

Stodoła zazwyczaj pachniała kiszonką, w dojarni stały

niespokojne krowy, które muczały, ciężko przestępowały z nogi na nogę, unosiły ogony i wypuszczały z siebie biegnące łukiem strumienie moczu, co niezmiernie bawiło Savannah.

Kate zeszła do piwnicy, by wziąć klucze do domu na farmie dziadków. To jest szalone. Idiotyczne. Ale nic jej nie powstrzyma.

56

Złapała w swym samochodowym radiu lokalną stację:

- Liczne organy ścigania przyłączyły się do ustalenia miejsca pobytu profesora Williama Stiglera, który jest poszukiwany w celu złożenia zeznań w związku ze zniknięciem doktora Brama Wolfe'a, zamieszkałego także w Blunt River. Policja poszukuje czarnego suwa marki BMW X5. Do tej pory nie wiadomo, co właściwie wydarzyło się w domu profesora przy Lakeview Drive, lecz nasze źródła sugerują działanie osób trzecich. Szesnaście lat temu córka doktora Wolfe'a, Savannah, została zamordowana, a człowiek skazany za to zabójstwo został w zeszłym tygodniu stracony...

Zauważyła, że jedzie za nią ciemnoszary džip renegade. Poczowała lekką panikę, bo przednia szyba džipa była przyciemniona i nie było widać twarzy kierowcy. Samochód nie odstępował jej przez jakieś trzy kilometry, aż w końcu, w dużym korku za Sanford, straciła go z oczu. Może więc jej się tylko przywidziało? Powiedziała sobie, że ma się uspokoić. Klasyczna paranoja - uważać, że ktoś cię śledzi. Niedługo zaczniesz słyszeć głosy.

Na horyzoncie widziała góry, których szczyty były pokryte śniegiem. Nastawiła głośniejsze radio:

- Policja przeczesuje okoliczne lasy z pomocą psów szkolonych do znajdowania zwłok, a ekipa kryminalistyczna wykorzystuje na podwórzu posiadłości georadar, by wykryć nieprawidłowości gleby mogące wskazywać na tajne miejsce pochówku...

Kate aż podskoczyła. Miejsce pochówku?

- Widziano, jak policjanci wynoszą z domu profesora Stiglera dziesiątki pudeł z materiałem dowodowym... źródła informują...

policja znalazła zdjęcia sprzed nawet kilku dziesiątek lat... schemat zaginionych i zamordowanych dziewczynek w tym rejonie i poza nim... właśnie się dowiedzieliśmy, że niektóre z tych dzieci oraz ich rodziny uczestniczyły w programach badawczych prowadzonych przez profesora Stiglera...

Zakręciło jej się w głowie. Jeśli w posiadłości Stiglera znaleziono szczątki zwłok, to znaczy, że Palmer miał od początku rację. A jeśli Stigler jest seryjnym mordercą, to jej ojciec prawie na pewno nie żyje.

Tylko dlaczego ktoś miałby grzebać ofiary na własnym podwórku?

Ale jeśli Stigler jest pogodzony ze swym upadkiem, tak jak Henry Blackwood? A jeśli prawdziwy zabójca zakopał jedno ciało lub więcej ciał w posiadłości Stiglera, by go w to uwikłać? Czyją właściwie krew znaleziono w domu nad jeziorem? A jeśli Stigler zginął, a jej ojciec żyje? Jeśli tak to zainscenizował, że prawda może wydawać się zupełnie inna? A co, jeśli to Bram upozorował swoją śmierć?

Godzinę później, kiedy dojeżdżała do wioski Four Oaks w stanie Maine, zaczął padać śnieg. Centrum tej miejscowości składało się z budynku poczty, sklepu spożywczego, trzech kościołów i sklepu z karmą dla zwierząt. Farma jej dziadków była daleko na zadupiu, przycupnięta pośród zaśnieżonych lasów i skutych lodem jezior. Gdy rozpoznała zniszczoną skrzynkę na listy, nacisnęła na hamulec.

Do mleczarni Wolfe'ów wchodziło się przez altanę obsadzoną martwą teraz winoroślą. Stary szyld się rozpadał. Kate zgasiła silnik. Było oczywiste, że od dawna nikt tego miejsca nie odwiedzał. Nie dostrzegła w śniegu śladów opon, podjazd zalegały jedynie stare zaspy śnieżne. Do domu można było dostać

się od tyłu, ale w tym celu należało pokonać kilka dróg gruntowych.

Kate zadzwoniła na posterunek, prosząc o połączenie z komendantem Dunmeyerem, ale podobno nie odbierał telefonów. Zostawiła wiadomość u dyżurnego sierżanta i się rozłączyła. W tej okolicy był niewielki ruch. Płatki śniegu spływały z nieba powolnym wirującym ruchem. Kate wysiadła z samochodu, zapięła na zamek kurtkę i przez głębokie po kolana zasy ruszyła w stronę farmy. Gdy dotarła do płotu z połamanymi sztachetami, była mokra od potu.

Główny dom znajdował się na mniej więcej pięciohektarowym terenie i był otoczony rozpadającymi się budynkami. Na zaśnieżonym podwórku widniały ślady saren przypominające podziobany widelcem spód babcinego kruchego ciasta. Ta mleczarnia była kiedyś czynna. Teraz wszystko przykryła bezlitosna zima Maine.

W Kate uderzył nagły tuman śniegu. By się schronić, wbiegła na stary ganek. Na gałce w drzwiach wisiał na długim sznurze zardzewiały krowi dzwonek. Przeszła przez uginające się deski ganku i wyjęła z kieszeni klucze. Dzwonek zabrzączał, gdy otworzyła drzwi.

Kiedy zatrzymała się w holu wejściowym, czekając, aż oczy przyzwyczają się do mroku wnętrza, przeniknął ją upiorny chłód. Jej nozdrza wypełnił nieprzyjemny zapach – w korytarzu leżała martwa wiewiórka. Kate skierowała się do salonu, gdzie wyliniałe meble, niegdyś pokryte błękitną materią i bawełną w kratkę, pokrywały pleśń i brud. W kuchni dominował zapach rozkładu. Swoje cuchnące ślady zostawiły tutaj różne stworzenia. Kate odkręciła kran, ale nie popłynęła z niego woda. Otworzyła szafki i znalazła w nich pokryte rdzą babcine patery na ciasto i foremki

do wykrawania ciasteczek Mother Goose.

Jadalnię oddzielały od reszty domu artretyczne drzwi przesuwne, z którymi Kate z wielkim trudem się uporała. Przez chwilę stała, otrzepując ręce z kurzu i słuchając, jak ten odgłos echem odbija się od ścian. Przypomniała sobie kolacje z dziadkami, ich historie o puszczej bąki krowach i charyzmatycznych ludziach, którzy za opłatą wywoływali deszcz. Ruszyła na górę, wspominając dreszczyk emocji, gdy wraz z Savannah zasypiały bardzo późno, po ciemku bawiąc się w gry w słowa i słuchając, jak w oborze kwilą nowo narodzone jałówki. Teraz w każdym kącie leżały martwe insekty otoczone pajęczyną. Podłogi były krzywe, progi skrzypiały. Słyszała wzmagający się na dworze wiatr. Pogoda stawała się coraz bardziej groźna.

Kate nie znalazła tutaj nic podejrzanego. Żadnych pamiątek po seryjnym zabójcy, ubrań albo biżuterii. Żadnych skalpów. Ani pił łańcuchowych. Jej ojciec nie jest seryjnym zabójcą. Pomyliła się. Rację miał Palmer. Sprawa zamknięta.

Zeszła na dół i skierowała się na tyły domu. Obejrzała wiatrołap, opanowaną przez gryzonie spiżarnię, gabinet dziadka. Przejrzała zakurzone książki i papiery na biurku, natknęła się na klasowe zdjęcie ojca i jego kolegów. Bram Wolfe z pewnością był najwyższym dziesięciolatkiem w lokalnej podstawówce. Stał w drugim rzędzie i garbił się strasznie, usiłując zmieścić się w kadrze z kolegami. Ojciec wyrastał w wiosce pełnej hałaśliwych chłopaków, którzy pragnęli zostać gwiazdami hokejowymi. Nic dziwnego, że chcieli przytrzeć mu nosa.

Poczuła rozdzierający smutek. Jej ojciec żył w aurze narzuconej samemu sobie samotności. Trudno było go kochać - ale z tego powodu nie stał się potworem. Kochał Julię całym sercem. Kochał także swoje córki. Jego jedynym grzechem było poślubienie

kobiety, która nie potrafiła być mu wierna.

Szare smugi światła wnikały przez zakurzone okna. Kate odłożyła zdjęcie na biurko i odwróciła się, by odejść. I nagle to zobaczyła. Na regale z książkami, pokryty cieniutką warstewką kurzu, stał słoik z nalepką Planters Roasted Peanuts. Jej serce zaczęło bić jak szalone.

Usłyszała odgłos dzwonka zawieszzonego na gałce drzwi wejściowych.

Odwróciła się gwałtownie.

Ktoś jest w domu.

Na ścianie pojawił się drżący cień zmierzający szybko w jej kierunku. Wysoka postać o nienaturalnym kształcie głowy. Kominiarka narciarska?

Tata?

Próbowała rzucić się do ucieczki, lecz mężczyzna zablokował jej drogę i oboje upadli na podłogę, wzbijając tumany kurzu. Kate krzyknęła, lecz napastnik zasłonił jej usta dłonią. Gdy ugryzła mocno jego skórzaną rękawiczkę, odsunął się, a ona skorzystała z okazji i poderwała się na nogi. Biegiem rzuciła się w stronę drzwi. Pędem zbiegła ze stopni ganku i wpadła w głęboki po kolana śnieg. Napastnik deptał jej po piętach, i wkrótce ją przegonił. Teraz stali twarzą w twarz, oddychając ciężko. Padający śnieg zamazywał obraz. Mężczyzna stał między nią a podjazdem. Między nią a wolnością.

Tata?

Poczuła czysto zwierzęcy strach, który na chwilę ją sparaliżował. Wyjęła gaz pieprzowy, skierowała go w stronę pozbawionych wyrazu oczu napastnika i nacisnęła dyszę, nic jednak się nie stało. Potrząsnęła pojemnikiem i ponowiła próbę. Bezskutecznie.

O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże.

Rzuciła pojemnik w śnieg i spróbowała wyminąć mężczyznę, ale zablokował jej drogę, jak gdyby bawili się w kotka i myszkę. Ruszyła w kierunku przeciwnym, w stronę stodoły. Były tam widły, narzędzia, którymi mogłaby spróbować się obronić. Brnęła przez śnieg, zerkając przez ramię. Napastnik szedł szybko za nią.

Świat stał się niewyraźną plamą.

Narastał w niej strach.

Dotarła do stodoły, chwyciła zardzewiały uchwyt i szarpnięciem otworzyła drzwi. Wpadła do środka, przyzwyczajając oczy do mroku. Zniszczone wnętrze wyglądało jak wielki wrak statku, pełen przegniłych belek trzymających się jeszcze razem dzięki zardzewiałym gwoździom. Między krokwiami wył upiornie wiatr. Kate śmignęła między częściami do traktorów i starymi oponami ułożonymi w stos na skrzynkach do transportu mleka, kierując się do tylnej ściany. Na ścianie wisiała zardzewiała maczeta, tam, gdzie zawsze było jej miejsce. Kate ją chwyciła i obróciła się.

Napastnik pędził za nią.

- Tato! Nie! - zawołała.

Złapał ją wpół i opadli na przegniłe deski. Kate przełknęła obłok pyłu i krzyknęła:

- Tato, to ja! Kate!

Mężczyzna wyszarpnął jej maczetę z ręki.

- Przestań!

W chłodnym zimowym powietrzu usłyszała wyładowania elektryczne. Napastnik rzucił się na nią całym swoim ciężarem. Opanował ją paniczny strach. Krzyczała, dokąd starczyło jej energii. Potem jej oddech stał się urywany. Ostatkiem sił sięgnęła do kominiarki i szarpnięciem zdarła ją z jego głowy.

Patrzył na nią Palmer Dyson.

Otoczył muskularnym ramieniem jej szyję. Świat Kate zamigotał i zgasł.

Z trudem uniosła powiekę. Ciało miała posiniaczone i obolałe, jakby leżała na potłuczonym lustrze. Widziała niewyraźnie. Czuła pulsujący ból głowy. Od kiedy tutaj jest? Od minuty? Cały dzień?

Usiłowała usiąść, lecz z jej ciałem było coś nie tak, nie chciało współpracować. Czuła się, jakby ważyła tonę. Nadgarstki, nogi i kostki miała związane mocną taśmą klejącą. Siedziała zapięta pasami na tylnym siedzeniu dżipa – uświadomiła sobie, że tego samego dżipa renegade, który ją śledził – a za kierownicą siedział Palmer.

- Cześć, Kate. – Spojrzała na niego z niedowierzaniem. – Jak się czujesz?

Znowu spróbowała się uwolnić, ale taśma wrzynała jej się w ciało, wywołując w oczach łzy.

- Myślałam, że jesteś w Meksyku – wysapała ze zdumieniem.

- Wyluzuj, wszystko będzie dobrze.

Poczuła przypływ adrenaliny, gdy próbowała zgadnąć, co się dzieje. Jechali przez pustkowia. Gdzie są? Widziała tylko las. Ogarnęła ją panika.

- Dokąd mnie wiesz? Co się dzieje?

- Jesteś w szoku. Powinnaś się uspokoić.

Obraz za jej oknem stał się zamglony, gdy renegade podskoczył na pękniętym asfalcie, a deszcz ze śniegiem zalały okno. Na drodze nie było ruchu, ale nawet gdyby pojawił się jakiś pojazd, przyciemnione okna dżipa stanowiły doskonałą ochronę przed ciekawskimi oczami. A tylne drzwi na pewno można otworzyć tylko od zewnątrz. Pochyliła się do przodu, mięśnie zadrżały jej z wysiłku, lecz fala mdłości wepchnęła ją z powrotem w siedzenie.

- Przestań walczyć - poradził Palmer. - Będzie łatwiej, jeśli przestaniesz walczyć.

Wbiła w niego wzrok.

- Dokąd mnie wiesziesz?

- W bezpieczne miejsce.

- Bezpieczne od czego? Dlaczego jestem związana? Co się, do cholery, dzieje?

- Zastanawiałem się, w jaki sposób powinienem to rozegrać - odparł tonem człowieka, który się spowiada. - Ale potem pomyślałem... że najlepszą polityką jest uczciwość.

O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże.

Zamki miękko zgrzytnęły. Wszystkie drzwi otworzyły się jednocześnie. Zobaczyła to z krystaliczną jasnością - bezgraniczne oszustwo Palmera Dysona.

Spięła się jak koń reagujący na pociągnięcie wodzami, krzycząc i rzucając się na boki, podczas gdy taśma coraz bardziej zagłębiała się w jej ciało.

Palmer obserwował ją chłodno, analitycznie. Zero emocji. Nawet cienia.

Przestała się miotać i przełknęła zniewagę.

- To nie jesteś ty - powiedziała. - Ty jesteś dobrym człowiekiem, Palmer. Zatrzymaj samochód i mnie wypuść. Obiecuję, że nikomu nic nie powiem.

- Przykro mi, Kate.

Idiotka. Ależ była głupia, że mu zaufała. Czuła do tego człowieka czystą nienawiść, taką samą głuchą furję, jaką obserwowała w swych chemicznie okiełznanych pacjentach - bezsilny gniew pojmanego.

- Jesteś chory - wyrzuciła z siebie.

- Nic nie rozumiesz.

Poczuła w głowie pustkę. Krzyknęła i obróciła się na siedzeniu, ponownie miotając się z boku na bok, aż do całkowitego wyczerpania. W końcu ogarnęła ją kompletna beznadzieja. Zapadła się w sobie, dysząc z wysiłku, niczym insekt uwięziony w pajęczynie.

- Musisz stawić temu czoło, Kate. Sama znalazłaś się w tej sytuacji. Prosiłem cię, żebyś nie była naiwna.

Ogarnął ją głęboki spokój.

- Masz zamiar mnie zabić?

Uśmiechnął się do niej, patrząc w lusterko wsteczne.

- Dlaczego miałbym to zrobić? Czuję, że jest między nami więź.

- Więż? - syknęła.

- Wiem, że i ty ją czujesz.

Ale ona czuła jedynie narastające, ogłuszające przerażenie.

- Uważam, że jesteśmy blisko. Tak, naprawdę. Mam nadzieję, że niedługo ci to wyjaśnię. Możemy zabawić się w psychiatrę i pacjenta, co ty na to? Możesz mnie psychoanalizować, a ja ci powiem, jak i dlaczego to zrobiłem. Będziesz miała swoje odpowiedzi, a ja moje.

Kolejna fala strachu znowu wzniosła się w niej i opadła. Kolejny raz zaczęła mocować się z taśmą, ale to tylko pogorszyło sytuację.

- Uspokój się - powiedział Palmer, patrząc na nią.

Odetchnęła głęboko i zaczęła się zastanawiać nad kolejnym ruchem. Musi rozmawiać z nim o tym wszystkim, o czym ten facet myśli. Jeśli jesteś zakładnikiem, powinieneś starać się nawiązać bliski kontakt z porywaczem. Często zwracać się do niego po imieniu. Przemawiać do jego ego. Będzie musiała użyć całej swej inteligencji, jeśli chce przetrwać.

Skoro nie można wykorzystać siły, trzeba uciec się do podstępu. Najpierw jednak potrzebowała czegoś ostrego, czym by mogła

przeciąć taśmę na nadgarstkach. Rozejrzała się uważnie wokół, lecz na tylnym siedzeniu niczego nie znalazła. Zacisnęła nerwowo ręce i zauważyła pierścionek od Jamesa. Opuszkami palców wyczuła osadzenie diamentu.

- Dopiero wiosną znajdą ciała - zauważył Palmer, a Kate podniosła głowę. - Jakiś turysta albo myśliwy natknie się na leśnej drodze na suwa. Stigler ma rozwaloną głowę. Zostawił list samobójczy, sam mu go podyktowałem. Twój ojciec był jego ostatnią ofiarą. Dwadzieścia dwa ciosy nożem. Jako psychiatra powinnaś docenić tę symbolikę.

- Jaką symbolikę?

- Pomyśl.

Dwadzieścia dwa razy. Jej matka umarła dwadzieścia dwa lata temu. Kate tępym wzrokiem patrzyła przed siebie, usiłując nie zwariować, a jednocześnie skierowała pierścionek na taśmę i powolnym ruchami przesuwiała nim w przód i w tył. Ręce trzymała na kolanach, Palmer nie mógł ich widzieć.

- Każdy, kto jest choć trochę ciekawy, może to zrozumieć. Wątpię jednak, żeby miejscowi policjanci byli aż tak bystrzy. Mimo wszystko Stigler przejdzie do historii jako jeden z wielkich. Stanie obok Dennisa Radera zwanego BTK i Teda Bundy'ego.

- Mówisz, jakbyś był zazdrosny - zauważyła.

- E tam. Wolałbym być bohaterem. Dałaś Dunmeyerowi flashdrive'a, prawda?

Kiwnęła głową. Poczowała, jak jej twarz zalewa pot.

- Uhonorują mnie pośmiertnie. Wszystko jest załatwione. Zmarłem podczas nieudanej próby leczenia. Władze meksykańskie niedługo przyślą do kraju moje prochy razem ze świadectwem zgonu. Byłabyś zdumiona, wiedząc, co ludzie są gotowi zrobić za pieniądze.

Zapłonęła gniewem.

- Czy w ogóle masz tego raka? To też było kłamstwo?

- Jest w remisji. Od dziesięciu lat.

- A więc nie umierasz?

Wzruszył ramionami.

- Dzisiaj nie.

Zaczerpnęła głęboko powietrza. Opady deszczu ze śniegiem malały. Zza chmur wyjrzało słońce, droga pięła się w górę. Kierowali się w stronę gór, widok był surrealistyczny. Tak mało prawdopodobny jak na pocztówce.

Musi być skupiona. Przecinała taśmę delikatnymi precyzyjnymi ruchami - nacięcie wynosiło już ponad centymetr. A Palmera trzeba zabawiać rozmową.

- Powiedziałeś, że kiedyś mi to wyjaśnisz. Może zrobisz to teraz?

Popatrzył na nią uważnie.

- Musisz bardziej się postarać, Kate.

- E tam. Psychiatrzy są jak księża. Chcesz się wypowiadać. Po prostu nie możesz wytrzymać, tak bardzo chcesz mi to powiedzieć. Jestem jedyną osobą w świecie, która wie, że spędziłeś dziesiątki lat, grając w tę wyszukaną grę, no i po co? Żebyś mógł zniknąć i udawać, że to się nie zdarzyło? Żeby udawać martwego bohatera? Czy to ci nie przeszkadza? Czy nie jest to takie uczucie, jakbyś wygrał olimpiadę, ale nie mógł się tym pochwalić?

Palmer potrząsnął głową.

- Nie żartuj sobie ze mnie, Kate.

- Nie żartuję. Masz swoją chorą dumę i jesteś bohaterem własnej historii. Powiedz mi więc, dlaczego to zrobiłeś. Czy jesteś urodzonym psychopatą? Jakie to straszne wydarzenie

z dzieciństwa skłoniło cię do tego, żeby rozpocząć tę masakrę?

- To jest marne pytanie.

- Skoro tak uważasz...

Wzruszył ramionami.

- Dlaczego to zrobiłem? Bo nikt mnie nie powstrzymał.

- Kłamiesz. Istnieje głębszy powód.

- Próbujesz mnie terapeutyzować? To nie działa.

- Chcę tylko wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś. Chcę wiedzieć, dlaczego wkrótce umrę. Daj spokój. Powiedz coś na swój najbardziej fascynujący temat, czyli o sobie.

Uśmiechnął się, szczerząc zęby.

- Przejrzałaś mnie.

- Jak to się zaczęło? - Dalej wykonywała powolne ruchy pierścionkiem. Nacięcie wynosiło już prawie trzy centymetry. Czują, jak stopniowo taśma się rozluźnia. - Naprawdę chciałabym wiedzieć. Jaki jest powód?

- Czy musi być jakiś powód?

- Zawsze jakiś jest.

Spojrzał na nią z irytacją.

- Wydaje ci się, że masz dużą samoświadomość. Ale ja znam cię lepiej niż ty sama. Jeszcze nie zdążyłaś poznać siebie. Czeka cię mnóstwo pracy.

- O czym ty mówisz? - zapytała.

- Och, daj spokój. Sprowadziłem cię tutaj, do tego czasu i miejsca.

- Sprowadziłeś mnie?

- Prowadziłem cię jak mysz po labiryncie. Twoje ruchy były takie przewidywalne.

Zamyśliła się.

- Masz na myśli książkę doktora Holleya? Pacjentkę J.?

- Miałem zamiar zwrócić ci kiedyś na to uwagę, ale jak zgubiłaś się w lesie i zaprosiłem cię do spędzenia nocy w moim domu, okazja była zbyt dobra, żeby ją zaprzepaścić. Zostawiłem ją w miejscu, w którym miałaś ją znaleźć. A następnego dnia rano dałaś mi telefon, żebym wpisał tam numery kontaktowe, pamiętasz? Nigdy nie dawaj nikomu telefonu. Bardzo łatwo je zhakować. Ściągnąłem dwie aplikacje i odtąd cię śledzę. Czytam twoje wiadomości, słucham twoich rozmów. Śledzę twojego GPS-a.

Kate bardziej zdecydowanym ruchem potarła taśmę.

- A te orzeszki w biurze? Przekupiłem jedną ze sprzątaczek. Uważałem, że to niezły dowcip. Twój pacjenci to peanuty. Podobają mi się moje małe żarciki. Czy zauważyłaś, ile straciłaś innych rzeczy w ciągu paru lat? Okulary do czytania, bielizna...

- Dlaczego?

- Kaprys.

Spojrzała na niego z odrazą, wyobrażając sobie ciało ojca owinięte plastikową kurtyną z kabiny prysznicowej. Przed jej oczami stanął obraz Stiglera skulonego na kierownicy, z roztrzaskaną czaszką.

- Uwielbiam patrzeć, jak próbujesz zrozumieć czyjeś zachowanie. Szukasz odpowiedzi, kiedy masz je pod samym nosem. - Uśmiechnął się przelotnie. - Usypałem szlak z okruszków. Wszystkie wydziobałaś.

W jej myślach zapanował chaos. Rób dalej to, co robiłaś. Skup się.

- A więc prowadziłaś mnie krok po kroku? Skąd wiedziałaś, że otworzę flashdrive'a? Skąd wiedziałaś, że powiem ojcu o tym, że to Stigler zabił moją matkę?

Westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Przestań, Kate. Byłem pewien, że nie oprzesz się pokusie i i zerkniesz w ten flashdrive, a kiedy już to zrobisz, opowiesz o tym ojcu. Uznałem, że prawdopodobieństwo jest wysokie. Gdybyś nie powiedziała Bramowi o Stiglerze, miałem inne plany, ale takie rzeczy jakoś same się rozwiązują.

Po czole Kate spłynęła kropla potu.

- To ty zostawiłeś peanutsy w domu moich dziadków?

- Kilka tygodni temu.

- Dlaczego? Jaki był w tym pieprzony cel?

- Kiedy rozmawialiśmy o motywacji zabójcy, powiedziałaś, że w tym wszystkim chodzi o władzę i kontrolę, i to jest prawda. Ale też mącenie ludziom w głowach to fajna zabawa. Sprawia mi to radość. Wiem wszystko o mieszkańcach Blunt River. Lubię im mieszać w głowie. Na farmie twoich dziadków byłem parę razy. Zastanawiałem się, kiedy zaryzykujesz tę wyprawę, ale nie miałem pojęcia, że pojedziesz tam przekonana, że twój ojciec jest seryjnym zabójcą. - Roześmiał się. - Podobało mi się, kiedy powiedziałaś do mnie „tato”.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Chciałem cię zniszczyć krok po kroku - ciągnął. - Kiedyś się chwaliłaś, że sobie z tym poradzisz, no bo pracowałaś przecież w szpitalu McLeana, pamiętasz? Uwierz mi. Na coś takiego nie jesteś przygotowana.

Na chwilę straciła władzę w śliskich od potu dłoniach.

- Znam cię dłużej, niż sądzisz.

- O czym ty mówisz? - wykrztusiła. - Poznaliśmy się właściwie tydzień temu.

- Znam cię, odkąd byłaś dzieckiem. Późnym wieczorem zakradałem się do domu twoich rodziców i patrzyłem, jak bawisz się w kołysce. Chowali zapasowy klucz pod doniczką, wyobrazasz

sobie? Ludzie są głupi. Czasami patrzyłem, jak Julia śpi. Trzymała się kurczowo swojej strony materaca, jak najdalej od twojego ojca. Ukradłem kilka rzeczy – jakąś biżuterię, książki, listy. Ukatrupiłem jej kotkę. Traciła już kontakt z rzeczywistością. Cieszę się, że pomogłem.

Kate uświadomiła sobie, że Palmer mówi o wisiorku w kształcie półksiężyca.

- Ukradłeś więc wisiorek mojej matki i udusiłeś nim Susie Gafford?

- Jak już wspominałem, był to błąd rekruta.

Jej myśli znów zaczęły rozbiegać się na wszystkie strony. Skup się.

- Poznałem każdy centymetr tego domu. Wiem, gdzie twoja matka trzymała tabletki antykoncepcyjne. Wiem, gdzie ojciec chował pornografię. Wiem, gdzie ukrywałaś swoje żyletki, Kate. Ten kłęb gumy do żucia pod łóżkiem twojej siostry zauważyłem długo przed tobą. O twojej rodzinie wiem znacznie więcej niż ty. Właściwie wiem o was absolutnie wszystko.

Kate nie odwracała od niego wzroku.

- Z tym właśnie masz do czynienia. Taki jestem. - Spojrzał na nią martwym wzrokiem. - Oklaski proszę.

- Dlaczego? - wykrztusiła.

- A dlaczego nie? - zapytał wyzywająco.

Kate piekły oczy, gdy podjęła swe rozpaczliwe zadanie. Rozcięcie miało już ze cztery centymetry, czuła, że taśma na spoconych nadgarstkach zaczyna mocno się rozluźniać. „Patrzył, jak spała. Zabierał jej rzeczy”.

- To wszystko z powodu mojej matki, prawda? To dlatego wrobiłeś Henry'ego Blackwooda i Williama Stiglera. Bo oni z nią spali. I dlatego zabiłeś mojego ojca.

Palmer wzruszył ramionami.

- To ty jesteś psychiatrą. Ty mi to wyjaśnij.

- Nie mogłeś znieść myśli, że spała z innymi mężczyznami.

Miałeś na jej punkcie obsesję.

- Kochałem ją - wyznał. - A ona mnie zdradziła.

- Jak? Wyjaśnij mi, co się stało.

- Chodziliśmy razem do szkoły. Poznałem ją, kiedy była chudym brzydkim kaczątkiem. Miała być moja. Ale ona wszystko zaprzepaściła.

- Więc ją zabiłeś?

- Nie, nie, nie. Nic nie rozumiałaś. Ja jej nie zabiłem. Zabił ją Stigler. Był pijany, był zazdrosny, a ona go prowokowała. Była w tym bardzo dobra. Pojechał za nią nad rzekę i ją zabił, a potem wszystko zatuszował. Zajęło mi dwadzieścia dwa lata, żeby policzyć się z tym skurwysynem.

Nie spuszczała z niego wzroku.

- A więc chodziło tylko o zemstę?

- Dlaczego to cię dziwi?

Przecinała taśmę gorączkowymi drobnymi ruchami. Prawie koniec.

- Twoja matka miała rzadko spotykaną urodę, taką szlachetną, z klasą... ale ją zmarnowała. Traktowała siebie jak śmieć. Szalała za nią połowa facetów z miasteczka. Miałem czternaście lat, kiedy się nade mną zlitowała. Przespaliśmy się ze dwa razy, ale potem mnie rzuciła. Była kapryśna pod tym względem. W końcu wyszła za twojego ojca, jeden Bóg wie dlaczego. Można pomyśleć, że bycie lekarzem jest lepsze niż bycie gwiazdą rocka. Tak czy owak, wziął, co było moje. No ta ja wziąłem to, co było jego - córkę, spokój duszy... Ludzie powinni płacić za swoje czyny.

Kate poczuła ostry ból, kiedy zobaczyła przy trasie tablicę

informacyjną. Dotarli do Piscataquis County, kierowali się na północ, krętymi drogami w góry. Szosa była wąska. Śnieg przestał padać, a gdy Kate spojrzała w dół, zobaczyła rozległe połacie starych lasów i jeziora.

- A więc zabiłeś Savannah, żeby wziąć odwet na moim ojcu, no i na Blackwoodzie, kiedy już uświadomiłeś sobie, że jest jej biologicznym ojcem, nawet jeśli on nie zdawał sobie z tego sprawy?

- Tak.

- A pozostałe dziewczynki? - zapytała. - Jak je wybierałeś?

- Skłoniłem asystenta Stiglera, żeby dał mi nazwiska rodzin objętych badaniami. Nic prostszego. Był narkomanem, więc go zaszantażowałem.

- No dobrze, miałeś nazwiska, ale pewnie musiałeś wybierać między setkami dziewczynek, nie?

- W każdym przypadku musiałem czekać, aż nadarzy się okazja.

- Czyli... musiałeś czekać, aż uprowadzenie ich będzie bezpieczne?

- I zsynchronizowane z wyjazdami Stiglera z miasta.

Kate pokiwała głową.

- Żeby niezauważenie zakopać ciało w jego posiadłości? I tam właśnie policja odnajdzie cztery brakujące dziewczynki, na jego podwórku na tyłach domu?

- Uduśzone. Ogolone.

- Dlaczego ogoliłeś głowy kilku ofiarom, ale nie wszystkim? - zapytała. - Mówiłeś mi, że Susie Gafford i te dwie samobójczynie miały włosy obcięte tylko trochę?

- Potrafię się kontrolować, kiedy to konieczne, pod warunkiem, że dostanę trochę tego, co potrzebuję. Byłoby idiotyzmem inscenizować samobójstwa tylko po to, żeby przykuć uwagę

identycznymi językami.

- I ciągnąłeś tę sprawę przez tyle lat... Skąd wiedziałeś, że ci się uda?

- Nauczyłem się przewidywać zachowania ludzi.

- W moim zawodzie nazywa się to megalomanią.

- To małe miasteczko, Kate. Małomiasteczkowe myślenie. Po całych latach obserwacji wiem, jak ludzie będą reagować. Z drugiej strony, czasem można ustalić zachowanie kogoś zupełnie nieznanego. Wystarczy poznać przyzwyczajenia tego człowieka, wystarczy kilkudniowa obserwacja. O której ta pani wychodzi z domu, czy się spieszy, czy stopnie werandy jej domu są oblodzone. Zwłaszcza wtedy, kiedy polejesz je węzłem ogrodowym. Przepraszam za twoją teściową. To był nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Treść tych słów z trudem do niej docierała.

- James zaczął być irytujący - wyjaśnił Palmer. - Łatwo jednak było przewidzieć, że cię opuści z powodu ukochanej mamuski. Z drugiej jednak strony nie przewidziałem, że dziś pojedziesz na farmę dziadków. Po prostu poszedłem za ciosem. A już wielką zagadką było to, że twoim zdaniem Bram mógłby być zabójcą.

Kate poczuła rozpacz. Przed jej oczami pojawił się rozdzierający serce obraz Nikki powieszanej w domu rodziców.

- Czy zabiłeś Nikki McCormack?

- A jak inaczej miałem ściągnąć na siebie twoją uwagę, Kate? Zignorowałeś wszystkie moje listy. Musiałem jakoś zaaranżować nasze spotkanie na pogrzebie.

- Więc śledziłeś mnie przez tyle lat? - zapytała. - Dlaczego mnie po prostu nie zabiłeś?

Jej głos był przeszywający, ale Palmer milczał.

- Czy Nelly też zabiłeś?

- Nie. Ale w tej sprawie nie ma tajemnicy: Derrick Ward to brutalny facet.

- A kim ty jesteś, żeby mówić o brutalności innych?

- Nie zawsze byłem taki. Byłem grzecznym dzieckiem. Ale twoja matka mnie zmieniła. Kochałem ją, a ona się z tego wyśmiewała. W badaniach Stiglera były setki dziewczynek; dlaczego wybrałem tylko dziewięć? Julia miała słabość do Eddiego Gafforda, flirtowała z ojcem Emery Mason. Mógłbym mówić dalej...

- A więc to wszystko ma związek z moją matką? - zawołała. - To jej wina?

Palmer wzruszył ramionami.

- Każdy ma coś na sumieniu.

- Ale ona nic ci nie zrobiła.

- Drwiła ze mnie.

Kate starała się mówić spokojnym tonem.

- Nie uwierzę, że jesteś taki przez nią. W twoim życiu stało się coś, co spowodowało tak wielką zmianę. Co to było, Palmer? Co sprawiło, że tama pękła? Że kiełkująca w tobie psychopatia się rozszalała?

Uniósł brwi.

- Chcesz usłyszeć adekwatną historyjkę? Proszę bardzo. Mój ojciec był dzielnicowym w Manchesterze. Przez całe lata chodził do pracy na tę samą zmianę, od południa do północy. Wszyscy go znali, wierzyli, że dzięki niemu okolica jest bezpieczna. W domu jednak był podłym draniem, bił mnie i matkę. Zostawił nas, kiedy miałem sześć lat, a matka się po tym rozleciała. Jak się nad tym zastanawiam, to widzę, że zawsze coś tam było pod powierzchnią, ale ojciec utrzymywał to w ryzach pięściami. A jak odszedł, matka zaczęła zachowywać się paranoicznie, piła, paliła i godzinami oglądała telewizję. Chodziła na długie spacerunki i wracała

z kostkami oblepionymi trawą. Podejrzewam, że wchodziła na tory, że chciała rzucić się pod pociąg.

Uśmiechnął się do Kate ironicznie, patrząc w lusterko wsteczne.

- Stopniowo coraz bardziej mieszało jej się w głowie. Bez trudu rozpoznałabyś symptomy. Zrobiła się taka jak Julia. Dom obrastał brudem. Któregoś dnia zobaczyłem, jak klęczała w kuchni zapłakana, zbierając ziarenka rozsypanej owsianki. Innego dnia ubzdurała sobie, że ma krzywą twarz i całymi godzinami patrzyła na siebie w lustrze. Wtedy zaczęła kupować lalki od Goodwilla. Mówiła, że ich twarze są doskonałe. Bardzo szybko dom się nimi zapełnił. Najpierw byłem tym śmiertelnie przerażony, bo te lalki nie ruszały się, nie mówiły. Ale potem z tego właśnie powodu je polubiłem.

Przerwał na moment, jakby o czymś myślał.

- Kiedy po szkole wracałem do domu, matka bawiła się tymi swoimi lalkami. Malowała im twarze, obcinała włosy. Któregoś dnia zaatakowała nożyczkami mnie. Ugodziła mnie szesnaście razy - na szczęście nie trafiła w żaden ważny punkt. Potem usiadła na mojej piersi i obcięła mi włosy, nawet brwi. Twierdziła, że przynoszę do domu wszy, które wyżerają jej mózg. Po tym wszystkim zamknęli ją w szpitalu, ale lekarze jej nie wyleczyli. Terapia była wtedy straszna: hydroterapia, lobotomia, leki, po których dygotała. Zmarła w psychiatryku. - Wzruszył ramionami.
- To koniec mojej historii.

Jechali pogórzem po zachodniej stronie góry. Ciasne i wijące się zakręty. Ostre spadki raz po jednej, raz po drugiej stronie drogi.

- Kiedy już raz wejdiesz w mrok - powiedział Palmer - mrok wejdzie w ciebie.

Po policzku Kate spłynęła kropla potu.

- Martwy człowiek pachnie niemal słodko - ciągnął Palmer - jak gnijący owoc. Jeśli weźmiesz w ramiona martwą osobę, ona na zawsze pozostanie z tobą.

Kate zadrżała. Nie przestawała nacinać taśmy.

Prawie koniec. Nie poddawaj się.

- Jesteś psychiatrą. Na co twoim zdaniem cierpię? Urojenia prześladowcze? Narcystyczne zaburzenie osobowości? Czy po prostu na zwykłą starą i zwyczajną psychopatię?

Zamilkła na chwilę, ciężko oddychając.

- Chcesz usłyszeć prawdę?

Wzruszył ramionami.

- Niech to będzie strzał w dziesiątkę.

- Myślę, że masz już dość tych gier. Chcesz pokazać światu, kim naprawdę jesteś i czego dokonałeś. Masz ochotę trochę się pochwalić.

Na jego twarzy pojawił się grymas.

- Nachwaliłem się już tyle, ile chciałem.

- Coś w tobie zostało uszkodzone - rzekła łagodniejszym tonem - i może nie da się cię wyleczyć. Ale możesz się zmienić. Możesz przestać, kiedy tylko zechcesz.

- Kate... - Palmer się roześmiał. - To jest takie transparentne.

- Mów, mów. Nigdzie się nie wybieram.

Milczał, cisza się przedłużała.

- Wiesz, kim jesteś. Wyczuwam jednak, że chciałbyś to zmienić.

- Kłamała. Palmer nigdy się nie zmieni. Ale musiała grać na zwłokę. Jej palce pracowały. Gdy ruchem piły przesuwiała pierścioneł tam i z powrotem, ręce jej drętwiały. - Na pewno jesteś zmęczony manipulowaniem ludźmi, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, co zrobiłeś. Bo czy to nie jest nudne w świecie, w którym wszyscy inni są głupi?

- Dlatego właśnie tutaj jesteś. Jeszcze z tobą nie skończyłem. -
Podniósł brwi. - A czy to nie jest dobre pytanie? To, co mam
zamiar z tobą zrobić?

Powoli pokiwała głową.

- No? Wyrzuć to z siebie, Kate. Przestań mówić ogródkami.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Co masz zamiar ze mną zrobić?

Uśmiechnął się szeroko.

- Jeszcze nie wiem. W tym cały smaczek. Ale teraz należysz do
mnie.

Nie miała siły dłużej z nim pertraktować. Jej opór topniał.

Jednym szybkim ruchem rozerwała taśmę, odpięła pas,
pochyliła się do przodu i chwyciła Palmera za szyję. Mocno ją
ścisnęła. Palmer oderwał ręce od kierownicy i nacisnął
gwałtownie na hamulce. Stracił kontrolę nad pojazdem.

Czuła zapach palonej gumy, podczas gdy samochód obrócił się
na drodze i stoczył się ze skarpy, spadając przez zaśnieżone
krzewy, podskakując na zagłębieniach i zarośniętych szlakach, aż
uderzył w rosnące na dole drzewa.

Nastąpił wybuch. Posypało się szkło. Siła uderzenia rzuciła Kate
w stronę przedniego siedzenia w chwili, gdy poduszki wystrzeliły
jak balony. Poczowała, jak jej twarz zderza się z plastikiem
wypełnionym powietrzem, a potem zapadła ciemność.

Usłyszała cichy tykający dźwięk i otworzyła oczy, uświadamiając sobie jak przez mgłę, co się stało. Obraz, który widziała, był rozmyty. Ogarnął ją strach. Dżip zderzył się z dużym drzewem iglastym, które w wyniku siły uderzenia się pochyliło. Wokół roztrzaskanego na dwie części pnia widniały jasne plamy po zerwanej korze. Samochód stał na kołach, mocno pochyłony. Przód auta był zgnieciony, przednia szyba rozbita.

Para. Dym. Kate poruszyła się w fotelu, kawałki szkła opadły z jej kolan na podłogę. Drobne szklane kawałeczki wypadły z włosów. Poczula na twarzy zimny wiatr. Drzwi po stronie kierowcy były otwarte, a Palmer zniknął. Kate popatrzyła na białe połacie śniegu wokół samochodu, ale go nigdzie nie dostrzegła.

Próbowała otworzyć drzwi po swojej stronie, lecz oczywiście były zamknięte na zamek. Zaczęła przemieszczać się na przód samochodu, mimo że nogi i kostki miała nadal związane. Podczas zderzenia otworzył się schowek na rękawiczki i jego zawartość wypadła na tylne siedzenie. Zaczęła grzebać w tych szpargałach – były wśród nich mapy, drobne monety, okulary przeciwsłoneczne, zatłuszczona czerwona bandana. Obwiązała bandaną rękę, by ją chronić, wzięła największy kawałek szkła, jaki znalazła, po czym zaczęła nim przecinać taśmę na nogach. Chwilę później była wolna.

Przeczołgała się na przednie siedzenie i przez otwarte drzwi po stronie kierowcy osunęła się na ziemię. Na drżących nogach wylądowała w głębokim po kolana śniegu. Walcząc o utrzymanie równowagi, rozejrzała się wokoło. Spadli z dziesięć metrów po zboczu góry, zanim uderzyli w drzewo. Ze zmiażdżonego przodu

dżipa unosiła się para; pod wpływem zderzenia metal rozerwał się jak pajęczyna. Jedne z tylnych drzwi zerwały się z zawiasów, kołpaki odpadły. W powietrzu unosił się zapach benzyny, która wyciekała z baku. Kłapa bagażnika była otwarta. Na śnieg wysypała się cała jego zawartość: walizki, przewody rozruchowe, skrobaczka do szyb, torby soli drogowej, koło zapasowe, szufla do śniegu.

Kate usłyszała cichy jęk i odwróciła się. Pięć metrów dalej, twarzą w śniegu, leżał Palmer. Nieruchomo. Na jego skórze i włosach widniały zamarzniete skrzepy krwi. Jedna z rąk była nienaturalnie skrzywiona, jakby złamana. Kate napięła mięśnie, gotowa do ucieczki. Będzie musiała wspiąć się stromym zboczem na drogę, chyba że znajdzie jakiś kręty szlak przez gęste cedry i jodły.

- Kate. - Palmer podniósł głowę, na jego twarzy widniała strużka krwi. - Pomóż mi. - Dostrzegła krew także na jego zębach.

Poczuła nagły przypływ obrzydzenia. Wzięła do ręki ciężką szuflę do śniegu i przyjęła wyczekującą pozycję, spodziewając się nagłych ruchów ze strony Palmera.

- Moja ręka... Chyba jest złamana - wymamrotał.

Zacisnęła dłoń mocniej na trzonku szuflki i zastanowiła się, czy jest w stanie go prześcignąć. Mimo złamanej ręki może być bardzo szybki. Dziś już raz ją dogonił. Popatrzyła na szczyt wzgórza. Zaryzykować?

Zdrową ręką Palmer starł krew z twarzy, po czym z bólem wciągnął powietrze w płuca.

- Nigdy nie chciałem nic ci zrobić.

Potrząsnęła głową, czując napływające mdłości.

- Tylko... się nie ruszaj.

- Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. To była część mojego planu. Coś nas połączyło, prawda? Nie czułaś tego?

- Odpieprz się. Nie mam pojęcia, o czym mówisz - syknęła. Czuła pulsowanie w skroniach. Słyszała tylko głośnie bicie swojego serca. - Zabiłeś całą moją rodzinę. I dlaczego? Z zazdrości i dla zemsty. Jesteś żalospną kreaturą.

Miał martwe oczy, jak rekin. W jego zimnym wyrachowanym spojrzeniu dostrzegła swą najbliższą przyszłość.

- Przysięgam na Boga, nigdy nie miałem zamiaru cię skrzywdzić.

Spojrzała na niego z odrazą. Niech go szlag. Przed oczami wciąż miała swą kurczącą się rodzinę.

- Czy ty naprawdę myślisz, że możesz mną manipulować? Spójrz na siebie. - Cofnęła się o krok. - Idę. Nie wiem, czy mi się uda, ale role się odwróciły i mam teraz większą szansę niż ty.

- Nie możesz tak po prostu odejść. To do ciebie niepodobne.

Podniosła wzrok na zbocze i dostrzegła kopczyk, stos kamieni, jakie turyści usypują, by zaznaczyć szlak. Na zboczu widać było także ciąg betonowych koryt odprowadzających wodę, więc może droga na górę nie będzie tak beznadziejna, jak się początkowo wydawało.

- Kate?

Spojrzała na niego z góry.

- Nie oszukuj się - dodał. - Nigdy nie zapomnisz, że zostawiłaś mnie tutaj, żebym zamarzł.

Kate zrobiło się niedobrze, gdy odwracała się od niego plecami i ruszała w stronę linii drzew. Z ogromnym wysiłkiem brnęła pod górę. Przedzierała się do przodu krok za krokiem, czując skurcze w mięśniach, gdy z całych sił wbijała nogi w śnieg.

Pokonała mniej więcej dziesięć metrów, gdy potknęła się o jakiś

przedmiot zakopany w śniegu. Szufla wyleciała jej z dłoni. Ze śniegu wystawała stara skórzana walizka, która wypadła z bagażnika samochodu. Kate ją wyciągnęła.

Była to walizka z wyłożonymi błękitnym aksamitem przegródkami, przypominająca przenośną wystawę dawnych domokrążców. W kieszonkach przegródek były fiołki. Kilka z nich wypadło na śnieg. Kate je podniosła. W każdej fiołce była próbka włosów związanych na końcu - jasnych, ciemnych, rudych, czarnych. Do każdej fiołki była przyklepiona etykieta z nazwiskiem i datą. Kate opadła na kolana i położyła fiołki na kolanach: Susie Gafford, Emera Mason, Vicky Koffman, Lizbeth Howell, Hannah Lloyd, Maggie Witt, Tabitha Davidowitz, Makayla Brayden. Były tam także nazwiska, których nie знаła.

Zaczęła szukać fiołki Savannah. Gdzie jest jej siostra? Zaczęła grzebać w walizce - ile tu tych fiołek! Wkładała palce w kieszonki i wyciągała to, co pozostało po innych dziewczynkach, aż w końcu ją znalazła. Savannah Wolfe.

Opadła na śnieg bezwładnie jak szmaciana lalka, osłupiała, zapatrzona w złociste włosy siostry zamknięte w szklanej fiołce. W powietrzu unosiły się obłoczki jej oddechu.

- Kate?

Podniosła głowę.

Z góry patrzył na nią Palmer Dyson.

Chciała wstać i uciekać, ale było już za późno. Nie miała na nic siły. Jej stopy zamieniły się w bryły lodu. Łkając, wyciągnęła rękę w stronę szufli, ale leżała parę centymetrów za daleko.

- Czy naprawdę chcesz wiedzieć, jakie mam wobec ciebie plany?

Chwycił Kate za włosy i podniósł ją na nogi. A więc nie miał złamanej ręki - to była kolejna jego sztuczka.

Zaczęła drapać go na oślep, więc uderzył ją pięścią w twarz. Rozległ się trzask pękającej kości, jej głowa odskoczyła do tyłu, na śniegu pojawił się szkarłatny ślad. Ból był tak przenikliwy, że nie mogła złapać tchu.

Ujął jej twarz w dłonie i pokazał krew na swych palcach.

- Przestań ze mną walczyć. Nie chcę cię zabić. - Gdy cisnął nią o drzewo, poczuła, że traci przytomność. Potrząsał nią, aż oprzytomniała, a potem jednym ramieniem przyszpilił ją do pnia. Dusił się ciepłą krwią zbierającą się w ustach.

Palmer obserwował ją uważnie.

- Prędzej czy później wszyscy będziemy martwi. Jakie to nudne. Śmierć jest bez polotu.

Pluła krwią, widziała gwiazdy przed oczami. Spróbowała go kopnąć, choć sytuacja była beznadziejna.

- Zabiłem więcej ludzi, niż myślisz - powiedział tonem, jakby chciał jej się zwierzyć. - Okej... może więc nie można mnie wyleczyć. Może nie mogę się zmienić, Kate. Ale może nadszedł czas, żebyś ty się zmieniła.

Chwycił ją za gardło, fachowo naciskając kciukami, aż tchawica się zamknęła i zabrakło jej powietrza. Przysunął się tak blisko, że czuła bicie jego serca tuż przy swoim - bijąca tkanka mięśniowa, otwierające się i zamykające zastawki, rozszerzające się i kurczące płuca. Gdy walczyła w jego ramionach, czuła jedynie czystą nienawiść. Palmer zaciskał palce coraz mocniej.

- Nie możesz wygrać. Przecież wiesz.

Gdy ją puścił, opadła na kolana. Potem chwycił ją za włosy i pociągnął w kierunku rozbitego dżipa, znad którego nadal unosiła się smuga dymu. Kate rzucała się na boki, drapiąc jego ręce, ale Palmer jakby tego nie zauważał, ciągnąc ją w stronę leżącego na śniegu zwoju sznura. Spostrzegła manometr do mierzenia ciśnienia w oponach, który miał kształt ołówka. Wyciągnęła w jego kierunku rękę, ale Palmer podciągnął ją na nogi i zaczął krępować jej nadgarstki. Krzyknęła i próbowała go od siebie odepchnąć, walcząc rozpaczliwie, ale był zbyt silny.

- Byłoby o wiele lepiej, gdybyś nie walczyła - rzekł ze złością.

- Nie! - Uderzyła go pięścią w twarz, a pierścionek Jamesa przeciął mu policzek.

Dotknął policzka i poczuł krew. Zanim zdołał ponownie chwycić Kate, zaatakowała go, i oboje potoczyli się po stromej pochyłości. Wyłowiła ze śniegu manometr i skierowała go w szyję Palmera, ale metal przebił skórę najwyżej na centymetr. To go tylko rozwścieczyło. Wyrwał manometr z szyi i odrzucił go daleko w bok, a potem przyszpilił ją do ziemi.

- Nie ruszaj się - poprosił ją łagodnie. - Przeprowadzę cię przez to, dziecinko. Obiecuję.

- Przez co mnie przeprowadzisz? - zapytała słabym głosem.

- Punkt... po... punkcie.

Poczuła coś w rodzaju transcendentnego odrętwienia.

- Co masz zamiar ze mną zrobić?

- Zobaczysz. Teraz nic z tego nie zrozumiesz. Ale pełen obraz stanie się jasny później.

- Jaki pełen obraz?

- Nic ci się nie stanie - obiecał, ocierając krew z twarzy. - Zawiozę cię w bezpieczne miejsce.

Była tak przerażona, że walczyła o każdy oddech.

- I co zrobisz?

- Cii. - Odsunął z jej twarzy włosy. - Nie martw się. Dostaniesz dobre jedzenie i opiekę. Jesteś teraz moją Julią.

W żyłach Kate wreszcie popłynęła adrenalina. Jej krzyk odbił się echem o góry. Może ktoś ją tam usłyszy?

Palmer zatkał jej usta dłonią.

- Chcę opowiedzieć ci o twojej siostrze - oświadczył. - Od niej dowiedziałem się czegoś o pokorze. Tamtego wieczoru najpierw płakała, ale potem patrzyła na mnie czystymi oczami. Poddała się, zrozumiała, że zadziałała siła wyższa, że nie można mnie pokonać. Przez chwilę byłem zaskoczony, bo wiedziałem, co chcę zrobić, rozumiesz. Wszystko zostało zaplanowane. Nie można było tego zatrzymać. Ona dała mi dar akceptacji. I jest to jedyna rzecz, Kate, jakiej chcę od ciebie. Akceptacja.

Usłyszała jakiś głuchy odgłos i zdała sobie sprawę, że to jej nieprzytomnie bijące serce. Pomyślała o Savannah w rękach tego faceta. On zaś znowu podniósł sznur, ale zanim zdążył związać jej rękę, wbiła kciuki w jego patrzące martwo oczy. Krzyknął z bólu i zatoczył się, usiłując na pochyłym zboczu utrzymać równowagę. Kate zerwała się na równe nogi i rozejrzała w poszukiwaniu jakiegokolwiek broni. Złapała odłamaną grubą gałąź i zamachnęła się nią na Palmera, trafiając w klatkę piersiową. Palmer jęknął i spojrzał na nią ze złością.

Złapała następną gałąź i przypuściła kolejny atak, z całą energią waląc w jego twarz. Siłę tego uderzenia poczuła w ramionach i piersi. Słyszała, jak Palmerowi pęka kość nosowa. Ogłuszony opadł na kolana. Tracił i odzyskiwał widzenie. Z głębokiej rany na jego czole lała się krew. Kate wiedziała, że właśnie ma niepowtarzalną okazję.

Powodowana głuchą furią ruszyła po leżącą kilka metrów dalej

szuflę. Chwyciła ją i jak burza wróciła do Palmera, wbiła mocno nogi w śnieg i przygotowała się do ciosu. Poczwała w sobie ogromną energię, gdy uniosła szuflę wysoko nad głowę i opuściła ją na czaszkę Palmera.

Usłyszała głuchy dźwięk, gdy siła ciosu zwała go na ziemię, twarzą w śnieg. Patrzyła bez emocji, gdy z trudem zaczerpnął powietrza i na czworakach, centymetr po centymetrze, próbował doczołgać się do wraku dżipa. Krople krwi opadały na śnieg. Zataczając się, Palmer dźwignął się na nogi i zaczął skręcać w prawo, jakby nie miał pojęcia, gdzie się znalazł. Jej cios był celny. Mózg Palmera funkcjonował na zwolnionych obrotach.

Szła za nim ostrożnie, podczas gdy dalej walczył o odzyskanie równowagi, potykając się i wstając. Końcówkę drogi do dżipa pokonał, pełzając. Skrwawionymi palcami dotknął pociętych drzwi. Rozejrzał się zdezorientowany, jego niewidzące oczy odnalazły jej wzrok.

Stała nieruchomo, ściskając w rękach szuflę. Sparaliżował ją strach, gdy Palmer ukląkł, wyciągnął rękę i wybełkotał:

- Kate...

Potem zatoczył się do tyłu i bezwładnie opadł na ziemię, lądując płasko na plecach, z rozrzuconymi ramionami. Krople benzyny powoli kapały na jego ciało.

Poczwała w piersi dławiący ból, gdy czekała, aż Palmer się ocknie. Czas płynął, a on leżał nieruchomo.

- Kłamiesz - wysyczała. - Nie umarłeś.

Podeszła do niego odrobinę bliżej, gotowa w każdej chwili walnąć w niego szuflą. Poczwała, jak ogarnia ją chore pragnienie, by go całkowicie zniszczyć.

Nadal się nie ruszał. Z jego ran wypływała krew, rzeźbiąc w bieli szkarłatne rozgałęzienia. Nie robiło to na Kate wrażenia.

Przed chwilą ją okłamał. Teraz pewnie też ją oszukuje.

Ostrożnie przykucnęła obok niego. Czy oddycha? Czy drgnęły mu powieki?

Czekała, ściskając szufłę w dłoni i mrugając powiekami, by obraz stał się ostry.

A jeśli Palmer odzyska przytomność i ją chwyci? Jeśli zrobi z niej swoją Julię? Julię, którą będzie w stanie kontrolować?

Odsunęła się poza zasięg jego rąk.

Leżał, nie wydając z siebie żadnego dźwięku.

Obejrzała się przez ramię, zerkając na górę. Nad jej głową przeleciał łańcuch dzikich gęsi. Robiło się przejmująco zimno. Trzeba kierować się w stronę kopca z kamyków i zacząć tę wspinaczkę. Dopiero wtedy będzie bezpieczna. Dostrzegła w śniegu butelkę wody, wyjęła ją i łapczywie się napiła. To jej szansa. Poszukała wzrokiem swojej torebki. Tam, przy kablach rozruchowych. Wygrzebała z niej telefon i zadzwoniła na 911, ale nie było sygnału. Na przodzie kurtki zauważyła szkarłatne strużki. Była zalana krwią, ale się tym nie przejęła. Znalazła w śniegu apteczkę oraz dwa batoniki wysokobiałkowe i wsunęła je do torebki. Na jej dnie odnalazła zapalniczkę marki Zippo. Zapaliła ją i obserwowała migocący płomień.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobi po powrocie do domu, to poprosi Jamesa, by się z nią ożenił. Potem pomoże Maddie Ward stać się normalną kilkunastoletnią dziewczynką. I pogodzi się z sobą.

Cichy jęk.

Kate odwróciła się. O Boże.

Palmer się poruszył.

Wrzuciła do kieszeni zapalniczkę i ponownie złapała szufłę.

Palmer uniósł się i popatrzył na nią dzikim wzrokiem. Usiłował podnieść się na nogi.

- Nie! - powiedziała głośno.

Palmer ukląkł.

- Nie! - krzyknęła, lecz ją zignorował i stanął prosto.

- Każdy płaci za swoje czyny - powiedział.

W powietrzu pachniało benzyną, kurtka Palmera była nią przesiąknięta. Strach zelektryzował Kate. Wyjęła z kieszeni starą zapalniczkę i groźnym gestem trzymała ją w górze.

- Zostań tam, gdzie jesteś. Nie zbliżaj się nawet o milimetr.

Zignorował ją i postąpił krok do przodu, a ona na chwiejnych nogach się cofnęła. Z całkowitą jasnością zdała sobie sprawę, że Palmer nie ustąpi. I że wystarczająco daleko już zabrnęła. Zapaliła zapalniczkę i cisnęła nią w Palmera.

Rozległ się cichy syk, a po chwili jego kurtka stanęła w płomieniach. Czując w nozdrzach zapach siarki, odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła w stronę dużego głazu, za którym się ukryła. Gdy po chwili odwróciła głowę, zobaczyła, jak Palmer miota się ślepo we wszystkie strony, podsycając ogień tlenem, aż w końcu pada na ziemię obok dżipa. Wyrzucił w górę ramiona, lewą ręką uderzając w ciekący zbiornik paliwowy. Zapanowała krótka chwila ciszy, a potem nastąpił wybuch. Był tak głośny, że odbił się od góry z ogłuszającym rykiem. Kula ognia rosła. Kate przytuliła się do głazu, czując, jak fala uderzeniowa przetacza się przez jej ciało, mięśnie i kości. Zakryła głowę rękami, widząc, jak wokół niej opadają nadpalone szczątki.

Odniosła wrażenie, że upływa wieczność, zanim odważyła się wyrzeć zza głazu. Dżip renegade przewrócił się na bok, paliło się kilka najbliższych drzew. Gęste kłęby dymu unosiły się nad wrakiem, słychać było głośny trzask. Na ziemi zobaczyła coś czarnego, płomienie liżące spalone i powykęcane członki. Palmer nie żyje. Koniec.

Była tak wyczerpana, że opadła na zaspę śniegu. Zastanawiała się, ile czasu upłynie, zanim zamarznie. Pokusa, by zamknąć oczy, była wielka. Jak przyjemnie byłoby zasnąć...

Silny wiatr poruszył wierzchołkami drzew, kierując dym w kierunku przeciwnym. Przestraszyła się, że Palmer może wyczołgać się z popiołów i ruszyć w jej stronę. Czuła, że nie panuje nad emocjami. Wciągnęła w płuca rześkie zimne powietrze i podniosła kołnierz, patrząc, jak nad jej głową przelatuje stado ptaków wzbijające się ku niebu.

Najpierw pomyślała, że widoczna w dymie postać to wytwór jej wyobraźni. Potem zdała sobie sprawę, że patrzy na dziewczynkę ubraną w letnią sukienkę o barwie zsiadłego mleka.

- Savannah?

Dziewczynka wysunęła się z obłoku i zatrzymała przed Kate. Jej zielone oczy lśniły, włosy opadały na ramiona niczym zbyt obszerna aureola.

Kate zakreśliło się w głowie. Czuła pulsowanie w skroniach. Jej serce ścisnęły smutek i poczucie winy. Nadeszła pora się pożegnać.

Puk puk.

Kto tam?

Savannah.

Savannah i co dalej?

Widzisz? Już mnie zapomniałaś.

Kate uśmiechnęła się. Powietrze pachniało dziwnie, balsamem i zwiędłymi kwiatami.

- Nigdy cię nie zapomnę, siostrzyczko.

Rozejrzała się. Savannah zniknęła.

Kate otarła łzy i ruszyła w stronę widocznego na zboczu

kopczyka, pokonując wyboisty szlak za zimozielonymi starymi drzewami iglastymi oraz daglezbami. Uda jej się wyjść z tych lasów.

EPILOG

Sześć miesięcy później

Włączyła kamerkę i przypięła przyrząd zaciskowy do liny. W pocie czoła wspinała się na szczyt skały. Ostatni odcinek był zawsze najtrudniejszy. Sięgnęła do woreczka z magnezją, wklepała trochę proszku w dłonie i chwyciła się skały, po czym przyjęła najkorzystniejszą pozycję. Gdy stopy szukały oparcia w najmniejszych zagłębieniach, a palce wpijały się w szpary szerokości dziesięciocentówki, ramiona drżały jej z wysiłku.

Kiedy dotarła do szczytu liczącej blisko dwieście metrów skały i przeciągnęła się przez krawędź, ciężko dyszała z wysiłku. Stała nad urwiskiem i odwróciła się w stronę wschodu, wystawiając twarz i ramiona do porannego słońca. Sierpień w Seattle. Na zachód Zatoka Pugeta. Na wschód Góry Kaskadowe, których pokryte śniegiem szczyty wystawały ponad linię drzew. Na dole, na przestrzeni kilkuset kilometrów we wszystkich kierunkach, rozpościerały się szlaki prowadzące przez pogórze. Na szczyt tej litej skały przywiodła ich długa poranna wędrówka, a do początku trasy, pokonując kręte strome drogi, dotarli samochodem.

Wyjęła z plecaka butelkę wody i łapczywie się napiła, po czym otarła usta ręką. Jej gorący pot miał zapach wyprawionej skóry. To była trudna wspinaczka, lecz warta wysiłku.

Sześć miesięcy temu, w środku mroźnej zimy, Kate wyczołgała się z lasów w Maine z dwoma siniakami na żebrach i lekkim odwodnieniem. Nie były to poważne obrażenia, jej psychika jednak została właściwie zdruzgotana.

Na jej tchawicy Palmer Dyson pozostawił dwa fioletowe odciski kciuków. Obserwowała, jak stopniowo znikają. W ciągu kilku dni z błękitu kobaltowego przeszły do zieleni, aż w końcu nie pozostał po ucisku żaden ślad. Proces zdrowienia jest długi. Codziennie sobie o tym przypominała.

Jej głęboki strach przerodził się w koszmary. Dominowały w nich zapach adrenaliny, potu, paląca potrzeba ucieczki i ciężki oddech przez wyschnięte usta. Koszmary można uleczyć przez terapię, ale strach pozostał. Nie da się go włączyć i wyłączyć przez naciśnięcie pstryczka. Żadne leki tu nie pomagają. Trzeba wyrzucić go na zewnątrz, a potem próbować z nim rozmawiać, przekonać, by nie zajmował tyle miejsca w twoim życiu. Powrót do zdrowia jest powolny, życie Kate jednak stopniowo odzyskiwało swój naturalny rytm.

Ponownie podjęła terapię, a ze stratą pomagał jej uporać się Ira. Strasznie tęskniła za ojcem. Czuliła się winna, że w ogóle go podejrzewała o cokolwiek. Robił, co mógł. Przez jakiś czas Kate dręczyło pytanie: Julia mogła mieć każdego mężczyznę, a wybrała Brama Wolfe'a. Dlaczego? Julia była piękna i pełna życia. Mężczyźni do niej lgnęli. Im więcej jednak Kate myślała o ojcu oraz ostatnich dniach życia matki, tym jaśniejsze się stawało, że tym, co Julia pokochała w Bramie, była wrodzona przyzwoitość. To przez jakiś czas trzymało ją w ryzach.

Palmer Dyson zostawił za sobą szlak śmierci. W jego walizeczce znaleziono trzydzieści osiem próbek włosów, a wiązano go ze zniknięciami nawet w odległym Oregonie. Policja z Blunt River współpracowała z organami co najmniej sześciu stanów. Podejrzewano, że Palmer wyjeżdżał na wakacyjne orgie zabójstw. Pozbawiał życia swe ofiary w całym kraju, by zaspokoić głód zabijania. Wznawiano nierozwiązane sprawy, media ochrzciły go

mianem „mordercy z golarką”. W oczach Kate te wydarzenia obnażyły kłamstwa Palmera, to, jak za swe wynaturzenia próbował zrzucić winę na jej matkę. Zabił wiele dziewczynek niemających najmniejszego nawet związku z Julią Wolfe czy pragnieniem zemsty na Williamie Stiglerze. Palmer po prostu uwielbiał zabijanie.

Kate mocowała się ze świadomością, że pozbawiła życia człowieka. Wyglądało na to, że Palmer wniknął do jej mózgu i tam zamieszkał. Nie wytoczono przeciwko niej żadnej sprawy – policja, prokuratura, media oraz opinia publiczna zgodnie doszli do wniosku, że działała w samoobronie. Niektórzy okrzyknęli ją bohaterką, lecz Kate ciągle pamiętała słowa Palmera: kiedy już raz wejdiesz w mrok, mrok wejdzie w ciebie.

O zabójstwo Nelly został oskarżony Derrick Ward. Utrzymywał, że jedna z ich częstych kłótni dotycząca tego, jak jego żona traktowała Maddie, wymknęła się spod kontroli, a było to wtedy, gdy wrócił do domu i dowiedział się, że Nelly zostawiła dziewczynkę w Bostonie. Przyznał, że dużo przedtem wypił, a poza tym nie po raz pierwszy rzucił się z pięściami na Nelly. Maddie Ward już nigdy nie wróci do domu, ale w rodzinie zastępczej układało jej się dobrze, no i pozostawała pod opieką Iry. Nie była już pacjentką Kate, ale potrzebowała przyjaciół, a Kate chętnie przystała na tę rolę.

James wciągnął się na krawędź skały i stanął obok niej.

– Uff! Gdzie się podziały te pieprzone uchwyty? To było strasznie trudne wejście.

– Nie – odparła z wyższością. – Bułka z masłem.

– Racja, Laro Croft. – Otrzeptał ręce z brudu i uśmiechnął się do niej. – Może przydałby mi się jakiś nowy towar, co?

Uśmiechnęła się do niego.

- Tak uważasz?

- Ale i tak jestem zabawny, nie?

- Mój chłopak to prawdziwy twardziel.

- Bywam twardy. - Uśmiechnął się, otoczył ramionami jej talie i splótł palce na kości ogonowej.

Stali na dużym, groźnie wyglądającym występie skalnym, z którego roztaczał się zapierający dech w piersi widok. Powietrze przepełniał narkotyczny zapach sosny żółtej.

- Pięknie tutaj, co?

- Cudownie. - James robił mnóstwo brzusków i martwych ciągów na siłowni, topiąc niepokój w aktywności fizycznej. Wysportowany, opalony, przystojny, jak zawsze pewny siebie, James cierpiał w milczeniu. Kate wiedziała o tym. To dla niej udawał, że jest silny.

W szufladzie biurka w pracy trzymała pewne zdjęcie, coś z archiwum doktora Holleya. Była to stara fotografia zrobiona polaroidem i przedstawiająca matkę Palmera Dysona, zdjęcie zrobione pięćdziesiąt lat temu w szpitalu psychiatrycznym w Manchesterze. Kobieta wyglądała jak zaszczute zwierzę. Została przyjęta w trakcie załamania nerwowego, tuż po tym, gdy zaatakowała syna nożyczkami. Na szczęście żaden z jego organów ani głównych arterii nie został uszkodzony. W innym przypadku by nie przeżył i nie został jednym z najgłośniejszych zabójców seryjnych w historii współczesnej. Ilekroć Kate patrzyła na tę fotografię, tylekroć przychodziło jej do głowy pytanie: do cholery, jakim cudem nie trafiłaś w serce, ty głupia babo?

Chciała wyrzucić tę starą fotografię, bo sprawiała, że odnajdowała w sobie odrobinę współczucia dla Palmera. Ta fotografia powodowała, że nie nienawidziła go tak bardzo, jak by chciała. Zdjęcie to mówiło o dziedziczeniu cech, koszmarnym

rodzicielstwie, naturze w zderzeniu z wychowaniem. Kate była psychiatrą dziecięcym i zawsze czuła empatię wobec ofiary. Twarz pani Dyson ujawniała, że granica między zdrowiem psychicznym a obłądem jest wyjątkowo delikatna.

Tak czy owak, nadeszła pora.

Kate rozpięła plecak i wyjęła prezenty, które Nikki McCormack zostawiła jej sześć miesięcy temu: obrosłe skorupiakami okulary z lat pięćdziesiątych XX wieku, grzebień szylkretowy, zardzewiały kompas i w końcu obciążnik do spódnic z lat dwudziestych.

Wypowiedziała kilka słów i rzuciła je przed siebie. Oboje z Jamesem patrzyli, jak dary od Nikki znikają w scenerii zwietrzałego piaskowca i bazaltu, rozmytej akwareli z różnymi odcieniami palonej sjeny, terakoty i żółtej ochry. Wylądowały, nie wydając najmniejszego dźwięku.

James obserwował Kate, wypatrując oznak problemu.

- Wszystko okej?

Spanikowała na moment. Cóż mogłaby powiedzieć? Nie? Już nigdy wszystko nie będzie z nią w porządku?

Zamiast tego wypaliła:

- Ożenisz się ze mną?

Nie odpowiedział natychmiast. Musiała poczekać kilka długich sekund, zanim usłyszała jego pełen zdumienia drwiący śmiech.

- No, no. Czyżbyś mnie właśnie poprosiła, żebym się z tobą ożenił?

Oczy Kate wypełniły się łzami.

- Pomyślałam, że już pora.

- Zdumiewasz mnie.

Uśmiechnęła się z takim trudem, że aż zabolowały ją policzki.

- Ożenię się z tobą pod warunkiem, że oddasz mi pierścioneł.

A potem poproszę cię o rękę we właściwy sposób, jak phawdziwy

bhytyjski dżentelmen, wsunę ci ten pierścionek na palec i sprawdzę, czy mu się tam spodoba. Ciekaw jestem, jak to będzie, kiedy stanie się on prawdziwym pierścionkiem zaręczynowym.

- Ależ z ciebie manipulant - orzekła ze śmiechem.

- Nic na to nie poradzę. Moja ciekawość dotycząca twojego palca jest naukowa.

- Naprawdę? To zgadnij, który palec teraz trzymam w górze?

Pogładził ręką jej policzek i czule go objął.

- Moja dziewczyna jest zachwycająca.

Tego wieczoru, już w łóżku, tulił ją do siebie i nie wypuszczał z ramion.

Świat wyglądał na kruchy, pełen koronkowych krawędzi, z których można spaść. Kate pragnęła zamknięcia. Położenia kresu tym bolesnym podróżom paranoiczną ścieżką pamięci. Udało jej się przechytryć potwora, lecz przeistoczył ją w zabójczynię. Zmieniła się na zawsze.

Trzecia w nocy. Kate leżała w łóżku i przez okno hotelowe patrzyła na śródmieście Seattle. Przed nimi ostatni dzień wakacji. Potem wrócą do Bostonu i podejmą swe zajęcia. Z tą różnicą, że teraz zajmą się planowaniem ślubu. To zabawne, jak ten świat się kręci.

Leżała, czekając na nadejście świtu. Oddechy jej i Jamesa były doskonale zsynchronizowane. Zasnął na brzuchu, z lewą ręką pod poduszką, i rano będzie narzekał na drętwienie w palcach. Jak zawsze. Ludzie są bardzo przewidywalni.

Przymknęła oczy i znowu to zobaczyła. Poskręcane spalone ciało. Nawet jeśli straci wzrok, ten obraz się nie rozplynie.

Przebudziła się, gwałtownie oddychając. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że przysypia.

James ją przyłapał. Jak zwykle.

- Cześć, kochanie. Wszystko okej?

- Znow ten okropny sen. - Przysunęła się do niego bliżej.

Objął ją delikatnie, po czym oboje zapatrzyli się w światła miasta. Czasem świat staje na głowie, pokazując wyjątkowo okropną prawdę. Ale to może także cię wyzwolić. Świat ujawnił swoje barwy. A po drugiej stronie jasno świeci słońce.

[1] James N. Butcher, Jill M. Hooley, Susan Mineka "Psychologia zaburzeń", Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne, 2017 (przyp. tłum.).

[2] Peanuts, nuts (ang.) - orzeszki; w języku potocznym słowo to jest używane w znaczeniu „wariat”, „świr” (przyp. tłum.).

[3] HIPAA (Health Insurance Portability and Accountability Act) - ustawa podpisana w 1996 r. przez prezydenta Billa Clintona, regulująca ochronę pewnych danych dotyczących zdrowia pacjenta (przyp. tłum.).

[4] Lara Croft - bohaterka gier z serii Tomb Rider, przedstawiana jako piękna archeolożka i poszukiwaczka przygód, badająca starożytnie niebezpieczne grobowce i ruiny na całym świecie (przyp. tłum.).

[5] Snark (ang.) - połączenie słów shark (rekin) i snake (wąż); tajemniczy potwór z poematu „Wyprawa na Żmirlacza” Lewisa Carrolla (przyp. tłum.).

[6] Paul Kleinman: „Psych 101: Psychology Facts, Basics, Statistics, Tests, and More!”; książka opisująca w żartobliwej formie zachowania człowieka (przyp. tłum.).

[7] Nancy Drew - dziewczyna detektyw, bohaterka cyklu powieściowego dla młodzieży i serialu telewizyjnego z 1996 r. (przyp. tłum.).

[8] Winnie the Pooh - Kubuś Kałuża; aluzja do Winnie the Pooh - Kubuś Puchatek (przyp. tłum.).

Tytuł oryginału:
A Breath After Drowning

Pierwsze wydanie:
Titan Books. A division of Titan Publishing Group Ltd, Londyn 2018

Opracowanie graficzne okładki:
Emotion Media

Redaktor prowadzący:
Grażyna Ordega

Opracowanie redakcyjne:
Jakub Sosnowski

Korekta:
Urszula Gołębiewska

© 2018 by Alice Blanchard

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa, 2018

Wydanie niniejsze zostało opublikowane licencji Harlequin Books, S.A.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak firmowy nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Shutterstock.com .Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN 9788327639646

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Część pierwsza

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

Część druga

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

Epilog

Przypisy

Strona redakcyjna